KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

III



Publikacja współfinansowana
przez Port Lotniczy Gdańsk
im. Lecha Wałęsy

SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

Rocznik Społeczno-Kulturalny

Nr 111 • styczeń–grudzień 2026 • PL ISSN 0860–1917

RADA PROGRAMOWA
Kazimierz Ickiewicz – przewodniczący
Jerzy Cisewski, Kamila Gillmeister, Czesław Glinkowski
Józef Golicki, dr Michał Kargul, Jan Kulas,
prof. Maria Pająkowska-Kensik, Józef Ziółkowski

REDAKTOR NACZELNA
Monika Jabłońska

REDAKCJA
Jacek Cherek, Krzysztof Filip

PRZYGOTOWANIE DO DRUKU
Lidia Ciecierska – korekta, skład i łamanie

WYDAWCA
Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Skulteta w Tczewie
Kociewski Kantor Edytorski
Sekcja Wydawnicza MBP
Damian Domański – dyrektor

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
83–110 Tczew, ul. Jarosława Dąbrowskiego 6
tel. +48 572 779 199
biblioteka.tczew.pl; www.facebook.pl/mbptczew
e-mail: kke@biblioteka.tczew.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmiany tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych w nadesłanych tekstach.

„Kociewski Magazyn Regionalny" można pobrać w wersji elektronicznej ze strony:
https://skarbnica.tczew.pl/category/kmr/

DRUK I OPRAWA
Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o., Pelplin

Projekt I okładki: Karol Banach



Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy
„Kociewskiego Magazynu Regionalnego",

z ogromną satysfakcją oddajemy w Państwa ręce kolejny numer „Kociewskiego Magazynu Regionalnego", który w tym roku obchodzi wyjątkowy jubileusz – swoje czterdziestolecie. To piękna rocznica, będąca świadectwem trwałości idei, pasji ludzi oraz potrzeby pielęgnowania naszej lokalnej tożsamości.

Dla mnie jest to moment szczególny. Od wielu, wielu lat jestem wiernym czytelnikiem KMR. To czasopismo towarzyszy mi na różnych etapach życia – od młodzieńczych lat, kiedy odkrywałem historię i kulturę naszego regionu, aż po dziś dzień. Z dumą mogę powiedzieć, że w swoich zbiorach mam wszystkie archiwalne numery magazynu. Każdy z nich to nie tylko zapis ważnych ⟫

» tematów i wydarzeń, lecz przede wszystkim opowieść o ludziach, miejscach i historii, które współtworzą Kociewie.

To właśnie „Kociewski Magazyn Regionalny" zachęcił mnie przed laty do głębszego poznawania historii Tczewa i całego regionu. Dzięki publikacjom jego autorów mogłem lepiej zrozumieć nasze korzenie, docenić dorobek poprzednich pokoleń oraz spojrzeć na współczesność przez pryzmat bogatej przeszłości. Jestem przekonany, że podobną rolę magazyn odgrywa dla wielu mieszkańców – budując więź z miejscem, w którym żyjemy.

Tczew jako największe miasto Kociewia odgrywa szczególną rolę na mapie regionu. Jest nie tylko ważnym ośrodkiem gospodarczym, ale przede wszystkim centrum życia kulturalnego i społecznego. To tutaj spotykają się różnorodne inicjatywy, rozwijają się organizacje, rodzą się pomysły, które promieniują na całe Kociewie. Tym bardziej cieszy mnie fakt, że „Kociewski Magazyn Regionalny" właśnie stąd – z serca regionu – ponownie trafia do rąk Czytelników.

Jednym z ważnych celów, jakie postawiłem sobie, obejmując urząd prezydenta miasta Tczewa, było przywrócenie wydawania magazynu. Wiedziałem, jak istotną rolę pełni to czasopismo w budowaniu regionalnej tożsamości oraz dokumentowaniu życia naszego miasta i okolic. Dlatego podjąłem działania, aby zabezpieczyć środki finansowe na jego wznowienie. Dzięki wspólnemu zaangażowaniu udało się przywrócić magazyn po czteroletniej przerwie – co uważam za jeden z ważniejszych kroków w obszarze wspierania kultury lokalnej.

Dzisiejszy jubileusz jest doskonałą okazją, aby podziękować wszystkim osobom, które przez cztery dekady tworzyły KMR: redaktorom, autorom, współpracownikom, pasjonatom historii i kultury. Dzięki Państwa pracy magazyn stał się ważnym elementem dziedzictwa Kociewia. Dziękuję również Czytelnikom, bo to właśnie Państwa zainteresowanie i przywiązanie do tej publikacji sprawiają, że ma ona sens i przyszłość.

Wierzę, że „Kociewski Magazyn Regionalny" ma przed sobą kolejne lata rozwoju. Niech nadal inspiruje, edukuje i integruje mieszkańców naszego regionu oraz pozostaje przestrzenią dla dialogu, refleksji i odkrywania tego, co w Kociewiu najcenniejsze.

Zachęcam Państwa do lektury tego wyjątkowego numeru oraz do dalszego wspierania inicjatyw, które służą zachowaniu naszej tożsamości i historii.

Z wyrazami szacunku,

Łukasz Brządkowski
Prezydent Miasta Tczewa

OD REDAKCJI

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy!

Dokładnie czterdzieści lat temu, na *ziemi łagodnej*, dzięki staraniom grupy regionalistów narodziła się idea powołania do życia pisma przybliżającego odbiorcom nie tylko historię, kulturę i obyczajowość kociewską, ale również najważniejsze wyzwania stojące przed regionem oraz cele przyświecające jego popularyzatorom.

Obecnie „Kociewski Magazyn Regionalny" jest jednym z najstarszych i najważniejszych wydawnictw poświęconych regionalizmowi w północnej Polsce. Jego kolejne numery są nie tylko źródłem wiedzy na temat przeszłości czy dziedzictwa kulturowego Kociewia, ale także miejscem budowania i pielęgnowania wspólnoty.

We wstępie do pierwszego zeszytu „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" z 1986 roku Roman Landowski napisał: „Kociewie (...) ze wszech miar zasłużyło na upowszechnienie swojego dorobku. Niemal w każdej dziedzinie jest się czym pochwalić. Sądzimy, że podołamy temu zadaniu, bo żyje przecież wśród nas wielu aktywnych twórców, gotowych poświęcić swoje umysły i pióra dla pomnażania wszystkiego, co dobre. Niejeden już raz potrafili to udowodnić, ale teraz zależy nam na czymś więcej – by pożytek był pełny i powszechny, służący wszystkim". Dziś z dumą i wzruszeniem czytamy powyższe słowa i patrzymy na tę czterodekadową, niepozbawioną trudności drogę, która prowadziła i nadal prowadzi nas ku jasno wytyczonemu celowi, jakim jest budowanie wspólnoty myśli i działań.

„Kociewski Magazyn Regionalny" to nie tylko periodyk o Kociewiu. To pomost łączący ludzi, instytucje i środowiska zaangażowane w rozwój małej ojczyzny. To przestrzeń, w której lokalna tożsamość styka się z żywym dialogiem, a wspólne pasje rodzą trwałe więzi. To wreszcie dowód na to, że pamięć o przeszłości jest najtrwalszym fundamentem budowania współczesności zakorzenionej w tradycji, a zarazem bogatej w wiedzę i doświadczenie.

Przed czterdziestoma laty Roman Landowski, pierwszy redaktor naczelny „Kociewskiego Magazynu Regionalnego", uwierzył w to, że pasja, zaangażowanie i wrażliwość na otaczający świat są w stanie utrwalić to, co odchodzi w zapomnienie. Uwierzył, ale też przekuł swoją wiarę w czyn. O pamięć o Kociewiu walczył nie tylko słowem pisanym, ale też aktywnością na polu animacji kultury, edukacji regionalnej oraz integracji lokalnych środowisk twórczych. Nie był w tym dziele osamotniony – wspierali go inni pasjonaci, znawcy i popularyzatorzy regionu. ⟫

OD REDAKCJI

Dziś my przejęliśmy pałeczkę w tej sztafecie pokoleń i z dumą oddajemy w Państwa ręce kolejny, już 111. numer pisma, które łączy, inspiruje, poszerza horyzonty i podkreśla znaczenie Kociewia na kulturowej mapie Polski.

Ten rok jest dla nas szczególnym czasem – splotło się w nim bowiem wiele lokalnych rocznic. Świętujemy nie tylko jubileusz samego „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" czy 80-lecie działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie, ale też osiem wieków istnienia tczewskiej parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Tę wyjątkową mapę czasu dopełniają kolejne ważne jubileusze, m.in. 180-lecie powstania starogardzkiego, 750. rocznica przybycia cystersów do Pelplina oraz 400-lecie bitwy pod Gniewem.

W tym uroczystym wydaniu przygotowaliśmy dla Państwa prawdziwy kalejdoskop tematów. Zgodnie z założeniami poprzedników, dążymy do tego, by nasze łamy były otwarte dla spraw istotnych – spraw, które nurtują i interesują mieszkańców oraz miłośników ziemi kociewskiej. Udowadniamy tym samym, że nasza kultura wciąż żyje, rozwija się, czerpie z tradycji i odpowiada na wyzwania nowoczesności.

Profesor Maria Pająkowska-Kensik napisała kiedyś, przy zupełnie innej okazji, że na Pomorzu ujawniło się wielkie kociewskie żniwo. Mamy nadzieję, że numer, który oddajemy w Państwa ręce, jest kolejnym obfitym plonem tego „żniwa", a zawarte w nim treści przyniosą Państwu radość i satysfakcję, stając się jednocześnie inspiracją do dalszego odkrywania uroków Kociewia.

Życzymy Państwu udanej lektury!

Damian Domański
dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie

Monika Jabłońska
redaktor naczelna „Kociewskiego Magazynu Regionalnego"

SPIS TREŚCI

Ryszard Szwoch
U początków „Kociewskiego Magazynu Regionalnego” / 9

Józef M. Ziółkowski
Pod prąd: Początki Kociewskiego Kantoru Edytorskiego / 16

Wywiad z Józefem Golickim
Pismo zrodzone z uporu regionalistów / 20

Katarzyna Peplińska
Przy redakcyjnym biurku z Romanem Landowskim / 24

Alicja Słyszewska-Szybowska
Doroczny Jarmark Cysterski w Pelplinie / 29

Walne Plachandry 2026 / 36

Maria Pająkowska-Kensik
Czekając na kolejne kociewskie Plachandry / 39

Ryszard Walkowski
Piosenka o kociewskiej mowie / 42

Ryszard Walkowski
Panegiryk na cześć Pani Profesor Marii Pająkowskiej-Kensik / 44

Ryszard Walkowski
Jak nie dać zginąć temu, co nasze. Czego Kociewie może się nauczyć od Ślązaków? / 46

Michał Kargul
Achtnónć kociewską mowę! / 48

Amelia Zakrzewska, Adrianna Zakrzewska
Kociewie w literaturze... pięknej / 53

Renata Kozłowska
Ach! Więc tu jest Kociewie! / 56

Julita Dembek
Poznajcie Krainę Haftu Kociewskiego / 58

Miejska Biblioteka Publiczna w Czarnej Wodzie
Piąty Kociewski Festiwal Zupy w Czarnej Wodzie / 61

Seweryn Pauch
O pelplińskim laniu światła / 63

Małgorzata Pauch
Jak utkano „Lokalne Sploty” / 68

Karolina Czonstke-Świątkowska
Bartosz Świątkowski
Między ziemią a pamięcią / 71

Zofia Lisewska
Dwadzieścia lat Szlaku Grzymisława. Pierwszego szlaku rowerowego na Kociewiu / 76

Patrycja Oryl
Oswoić region na rowerze / 80

Damian Domański
Biblioteka jako instytucja zaufania. O czytaniu, wspólnocie i odporności społecznej / 84

Wiersze Tczewskiego Koła Literatów im. Romana Landowskiego

Renata Kozłowska, * * * / 87

Maria Dietrich, *Przy kominku w bujanym fotelu* / 87

Zofia Daniel, *W moim świecie* / 88

Patrycja Oryl, *Las* / 88

Nina Cichocka, *Pociąg życia* / 89

Lidia Zygmunt, *Szeptuszki zalipiańskie* / 89

Mirosława Janiszewska, *Nad brzegiem Wisły na Kociewiu* / 90

Barbara Alicja Korpak, *Krągłość brzucha* / 90

Zdzisław Wojtaś
Wspomnienia [wiersz] / 91

Marta Murawska
Rzeźbiarskie trele. O pracowni i muzeum Zygmunta Paschilke w Osiecznej / 92

Bogumiła Fiałkowska
Dopóki trwa pamięć... / 96

Aleksandra Brzozowska
Nagle wyhamowałam. Rozmowa z Anną Sakowicz / 100



Ziemio, ty najbliższa,
Jak przyjaciel rękę podasz.
(...)
Ziemio, tyś potrzebna,
Jak powietrze i jak woda.

(Roman Landowski, „Ziemio ty najbliższa”)

Wieś Rybaki na Kociewiu, gmina Subkowy, fot. Bogdan Konieczny

Aleksandra Brzozowska
Pizza w „Parasolce" i „Bolero" Ravela. Rozmowa z Magdaleną Kubicką-Netką / 105

Jan Skerka
Z Tczewa do Meksyku po złoto. Kociewie ma powody do dumy / 108

Joanna Murzydło, Patrycja Kussowska Małgorzata Gądek
Śladami wspomnień. Dwa projekty / 111

Grażyna Giełdon
Po drogach jednego Życia. Wspomnienia z Gętomia / 117

Zofia Daniel
Perełka w oazie zieleni / 122

Jerzy Cisewski
„Ksiądz Janusz St. Pasierb. Homo Viator" odnowa / 128

Bogdan Wiśniewski
Trzydzieści lat Pasierbowego świętowania / 132

Jerzy Cisewski
Dwadzieścia lat później. Kociewie – tradycja, tożsamość i przyszłość / 138

Zdzisław Wojtaś
Owoc [wiersz] / 142

Józef Golicki
Pomennonicka chałupa w Chrystkowie / 143

Piotr Zygmunt Kowalski
Architektura Tczewa około 1910 roku: Między historią i nowoczesnością / 145

Karol Plata-Nalborski
Dworek modrzewiowy w Szteklinie. Siedziba polskiej szlachty czy rezydencja niemieckiego ziemiaństwa? / 153

Adam Murawski
Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych / 160

Alicja Słyszewska-Szybowska
750. rocznica przybycia cystersów do Pelplina / 165

Ks. Wojciech Gliniecki
Duchowe dziedzictwo tczewskiej fary / 170

Marek Kordowski
Bitwa pod Gniewem – 1626 rok / 174

Grzegorz Rogowski
Relikwiarz ołtarzowy z kościoła farnego w Nowem n. Wisłą / 185

Ryszard Szwoch
Powstanie starogardzkie 1846 roku. Od konspiracji do odwołanego ataku / 192

Kazimierz Ickiewicz
Stulecie technicznego kształcenia w Tczewie / 196

Franciszek Lorkowski
Jan Hołoga (1907–1949). Z dziejów nowskiej spółdzielczości / 204

Adam Murawski
Pierwszy Zjazd Katolicki diecezji chełmińskiej w 1924 r. / 208

Jakub Borkowicz
Kradzieże na wsi w powiecie starogardzkim w międzywojniu / 215

Tczew podczas II wojny światowej na pocztówkach / 219

Danuta Drywa
Mieszkańcy Tczewa i okolic w obozie koncentracyjnym Stutthof / 220

Daniel Czerwiński
Walki o Tczew w dokumentach z rosyjskich archiwów / 226

Czesław Glinkowski
Miejsca Pamięci w Tczewie / 231

Jan Kulas
O genezie „Solidarności" w regionie gdańskim i w Tczewie! / 236

Mirosław Kalkowski
Już 8 tom „Słownika biograficznego Kociewia" Ryszarda Szwocha. Czekamy na kolejne / 240

Joanna Drozd
Co nam mówią mury miasta? / 243

40 LAT

„KOCIEWSKIEGO MAGAZYNU REGIONALNEGO”

KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

RYSZARD SZWOCH

U POCZĄTKÓW „KOCIEWSKIEGO MAGAZYNU REGIONALNEGO”

Z perspektywy minionych czterech dekad „Kociewski Magazyn Regionalny” jawi się jako cenny periodyk, którego rola w podtrzymywaniu świadomości lokalnych tradycji, umacnianiu potrzeby ich kultywowania oraz budowaniu więzi z małą ojczyzną jest nie do przecenienia.

Magazyn stanowi swoisty pomost między wcześniejszymi inicjatywami prasowymi, podejmowanymi z przekonaniem o znaczeniu słowa w kształtowaniu świadomości czytelników, a współczesną misją integrowania lokalnej społeczności wokół historii, kultury i bieżących spraw regionu. Kontynuując tę tradycję, zarazem poszerza pole refleksji nad kociewskim etosem, podejmując nowe tematy i sięgając po różnorodne formy jego prezentowania, związane zarówno z dziejami regionu, jak i z wyzwaniami współczesności. Na tym polegają jego szczególna wartość i znaczenie: jest źródłem wiedzy o regionie, narzędziem edukacji służącym budowaniu więzi z małą ojczyzną poprzez przybliżanie jej dziejów i dorobku kolejnych pokoleń, a zarazem kroniką wydarzeń, inicjatyw i dokonań współczesnych środowisk oraz osób współtworzących obraz Kociewia pierwszej ćwierci XXI wieku.

Idea powołania własnego periodyku zrodziła się z przekonania o sile słowa i jego znaczeniu dla kształtowania regionalnej świadomości. Przekonanie to wybrzmiewało coraz odważniej przy różnych okazjach. Zamiar ten dojrzewał w środowisku regionalistów skupionych wokół Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej, a następnie także Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim. Przedstawiciele obu organizacji podejmowali starania o stworzenie czasopisma poświęconego sprawom Kociewia, choć w ówczesnych warunkach politycznych takie przedsięwzięcie napotykało poważne przeszkody. Towarzystwa miały już doświadczenie wydawnicze – lista ich publikacji jest długa – jednak utworzenie regionalnego czasopisma było zadaniem znacznie trudniejszym. Wynikało to przede wszystkim z polityki państwa wobec prasy, podlegającej ścisłej kontroli i traktowanej jako ważne narzędzie oddziaływania ideologicznego.

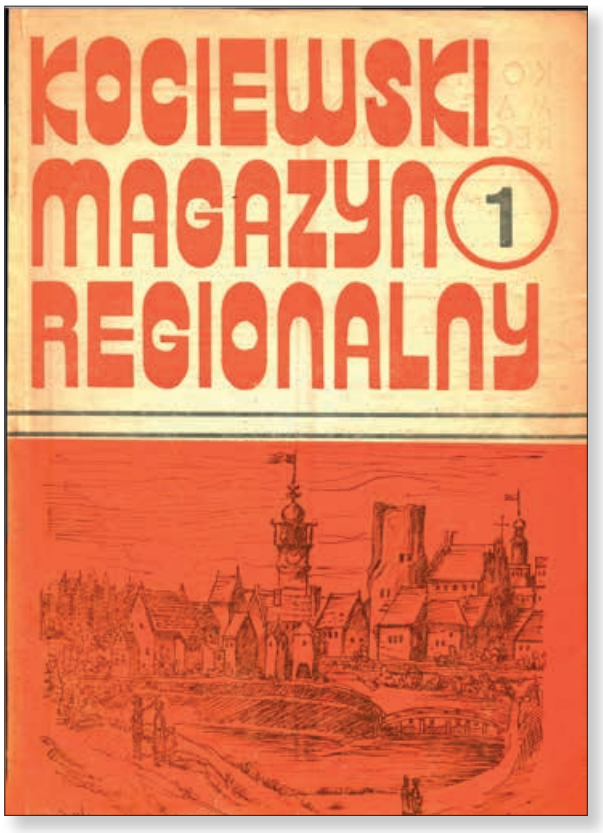
Determinacja obu środowisk była jednak ogromna. Szczególną rolę odgrywała zgodna współpraca władz obu towarzystw, zwłaszcza ich ówczesnych prezesów: pragmatycznego Zygmunta Kułakowskiego w Tczewie i dyplomatycznego Tadeusza

Kubiszewskiego w Starogardzie Gdańskim. Sprzyjały im również doświadczenia wyniesione z działalności opozycyjnej, w ramach której rozwijała się prasa tzw. drugiego obiegu – wydawana bez debitu, poza zasięgiem cenzury, drukowana i kolportowana wbrew władzom. Stanowiła ona swoistą szkołę niezależnego dziennikarstwa. Dla czasopisma wydawanego legalnie poważną przeszkodą pozostawała natomiast cenzura, a wraz z nią daleko idące ograniczenia nakładane przez władze na oddolne inicjatywy wydawnicze.

W takich realiach lat 80. XX wieku dojrzewała idea stworzenia powojennego czasopisma regionalnego, początkowo jeszcze bez sprecyzowanej formuły, tytułu i profilu. Za wzór brano zarówno przedwojenny dodatek prasowy „Kociewie" (o krótkim okresie ukazywania się), jak i „Zapiski Kociewskie" – efemeryczne wydawnictwo z 1956 roku. Istotnym punktem odniesienia była także „Pomerania", od lat obecna na pomorskim rynku prasowym. Koncepcja magazynu regionalnego, a nie jedynie biuletynu, zyskała ostatecznie poparcie wszystkich zaangażowanych w przygotowanie samodzielnego czasopisma[1].

Znając realia epoki i skalę ówczesnego kryzysu gospodarczego w PRL, zawczasu zadbano nawet o zapas papieru przeznaczonego na druk przyszłego pisma. Pozyskano go z niewykorzystanej części puli przeznaczonej na wydanie przewodnika turystycznego „Kociewie" autorstwa Józefa Milewskiego i Czesława Skonki, a następnie zmagazynowano z myślą o przyszłym czasopiśmie. Zapas ten mógł stanowić dodatkowy argument w staraniach o uzyskanie zgody na jego wydawanie.

Także inne działania przygotowawcze pozwalały z nadzieją patrzeć na powodzenie przedsięwzięcia. Projekt uzyskał po-





Kolejne wersje winiety „Kociewskiego Magazynu Regionalnego": pierwsza – od 1987 roku (nr 1), druga – od numeru całorocznego z 1996 roku (nr 15)

[1] Por. R. Szwoch, *Jak powstał Kociewski Magazyn Regionalny*, „Kociewski Magazyn Regionalny" 2013, nr 3 (82), s. 3.

parcie lokalnych władz administracyjnych, potwierdzone stosownymi uchwałami radnych. Zakładano, że czasopismo będzie finansowane z nadwyżek budżetowych Miejskich Rad Narodowych w Starogardzie Gdańskim i Tczewie. Ustalono również jego koncepcję redakcyjną: skład zespołu redakcyjnego, grono współpracowników oraz potencjalnych autorów. Zwieńczeniem tego etapu było uzyskanie wymaganych rekomendacji i pisemnego poparcia władz wyższego szczebla dla wydania czasopisma.

Starania o zgodę na wydawanie pisma pod tytułem „KOCIEWIE. Miesięczny Magazyn Regionalny”, które miało ukazywać się co miesiąc w objętości 24 stron formatu A4, rozpoczęły się 22 kwietnia 1983 roku. Tego dnia oba towarzystwa skierowały wspólnie do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk w Warszawie (GUKPiW) szczegółowo udokumentowany wniosek. Przedstawiono w nim cele, tematykę i zasięg planowanego czasopisma, podkreślając jego funkcję społeczną i edukacyjną. Do wniosku dołączono również dokumenty potwierdzające poparcie władz politycznych i administracyjnych obu miast dla inicjatywy wydawniczej.

Jedną z pierwszych, jeśli nie pierwszą, oficjalną zapowiedzią planowanego czasopisma był komunikat opublikowany w lipcu 1983 roku na łamach „Dziennika Bałtyckiego” pod tytułem „Nawiązując do tradycji”. Jego autor, A. Gerigk (ik), pisał: „Czynione są starania o wydanie regionalnego pisma, obejmującego swym zasięgiem oraz tematyką publikowanych materiałów obszar regionu kociewskiego. Wydawcą periodyku byłyby towarzystwa miłośników regionu w Starogardzie Gd. i Tczewie, a nawiązywałby on do pięknych i bogatych tradycji lat międzywojennych, kiedy to na tym terenie ukazywały się liczne tytuły lokalnej prasy codziennej (...). Oby już niedługo nowe i oczekiwane przez społeczeństwo «Kociewie» mogło trafić do rąk czytelników”.



Zmiany winiety magazynu: od stycznia 2003 roku (nr 40) oraz od lipca 2004 roku (nr 46)

Po kilku miesiącach milczenia w tej sprawie delegację wnioskodawców zaproszono na konsultacje do KC PZPR, co wzbudziło nadzieję na pomyślne rozstrzygnięcie. Do Warszawy udali się Roman Landowski i Zbigniew Pilas z Tczewa oraz Ryszard Szwoch ze Starogardu Gdańskiego. Jako rzecznicy powołania pisma przedstawili swoje argumenty przed kilkunastoosobową komisją jednego z wydziałów KC, której członkowie próbowali odwieść ich od tego zamysłu. Stanowisko to znalazło niebawem oficjalne potwierdzenie w piśmie z 18 grudnia 1983 roku, w którym prezes GUKPiW „postanawia odmówić udzielenia zezwolenia" i „nie uwzględnia wniosku [o] powołanie nowego miesięcznika", stwierdzając zarazem: „Decyzja niniejsza jest ostateczna".

Rozczarowanie takim obrotem spraw nie odebrało jednak wnioskodawcom determinacji. Kolejnym krokiem stało się poszukiwanie takiej formuły czasopisma, która mogłaby zostać zaakceptowana przez władze. Pewne możliwości stwarzała ustawa z lipca 1983 r. o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego, zwiększająca zakres samodzielności władz lokalnych, a tym samym otwierająca możliwość podejmowania i finansowego wspierania inicjatyw związanych z promocją, edukacją i szeroko rozumianą działalnością regionalną. Nadzieje związane z nowymi rozwiązaniami prawnymi szybko jednak zderzyły się z realiami politycznymi, nie zahamowało to jednak dalszych starań o własne czasopismo.

Temat powołania magazynu kociewskiego podejmowano przy okazjach, które stwarzały szansę pozyskania dla tej inicjatywy nowych sprzymierzeńców, zwłaszcza wśród osób mających wpływ na decyzje władz. Jedną z nich było spotkanie z wiceministrem kultury i sztuki Edwardem Gołębiowskim, które odbyło się 23 listopada 1984 roku w Kościerzynie. Przedstawiciele obu towarzystw – prezesi Falkowski i Kułakowski – przedstawili wówczas sprawę planowanego czasopisma, zwracając się zarazem o poparcie inicjatywy przez kierowany przez Gołębiowskiego resort.



Ryszard Szwoch w rozmowie z Józefem Weltrowskim (I Kongres Kociewski, 1995, fot. Józef Ziółkowski / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

W tej sytuacji, podczas wspólnego posiedzenia w Tczewie 14 stycznia 1985 roku, Rada Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej oraz Prezydium Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim ponownie podjęły uchwałę o wystąpieniu do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk z wnioskiem o zezwolenie na wydawanie czasopisma „Kociewie". W imieniu TMZK dokument podpisali prezes Edmund Falkowski, sekretarz Ryszard Szwoch oraz Józef Milewski – zasłużony regionalista, historyk i publicysta. Towarzystwo Miłośników Ziemi Tczewskiej reprezentował jego prezes Zygmunt Kułakowski, należący do najgorętszych orędowników powołania czasopisma adresowanego do całego Kociewia. Wniosek poparły również swoimi uchwałami Miej-



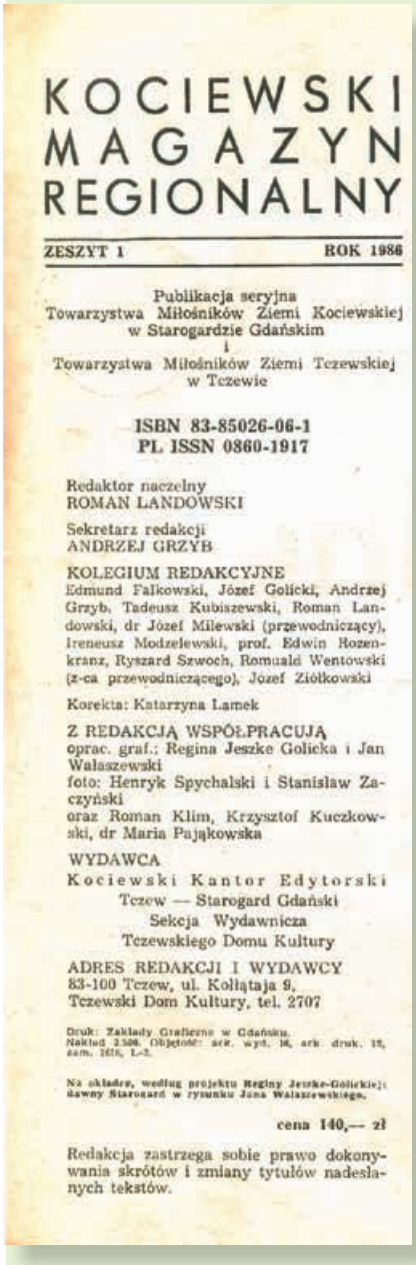
Ryszard Szwoch otrzymuje podziękowania od Prezydenta Miasta Tczewa, Zenona Odyi (III Kongres Kociewski, 2005, fot. Stanisław Zaczyński / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

skie Rady Narodowe: w Tczewie 31 stycznia 1985 roku, a w Starogardzie Gdańskim 5 lutego 1985 roku.

Równolegle prowadzono działania formalne, organizacyjne i prawne, których podjęło się środowisko tczewskich regionalistów. W związku z reorganizacją placówek kultury, prowadzoną na podstawie ustawy z 1984 r. o upowszechnianiu kultury, 19 czerwca 1985 roku przyjęto nowy statut Tczewskiego Domu Kultury. W jego strukturze utworzono sekcję wydawniczą pod nazwą Kociewski Kantor Edytorski. Oficyna rozpoczęła działalność 2 września tego samego roku, uzyskując możliwość prowadzenia działalności wydawniczej i posługiwania się numerami ISBN. Był to istotny krok w trwających od kilku lat staraniach o powołanie kociewskiego czasopisma.

25 listopada 1985 roku ponownie wystąpiono do GUKPiW, tym razem z wnioskiem o zgodę na wydawanie „Kociewskiego Magazynu Regionalnego” jako publikacji seryjnej, ukazującej się do czterech razy w roku. Wniosek został przekazany do Departamentu Książki Ministerstwa Kultury i Sztuki. Starania zakończyły się sukcesem 18 stycznia 1986 roku, kiedy zapadła decyzja umożliwiająca wydawanie „Kociewskiego Magazynu Regionalnego”.

Prace redakcyjne toczyły się własnym rytmem, w miarę napływania tekstów od autorów zainteresowanych współpracą, jednak kwestia terminu ukazania się pierwszego numeru wielokrotnie powracała podczas oficjalnych spotkań regionalistów. Tak było również 17 maja 1986 roku w Tczewie, podczas konferencji z udziałem delegatów miejscowych oraz przedstawicieli m.in. Gniewu, Nowego, Pelplina, Starogardu i Świecia. Poruszono wówczas także sprawę planowanego czasopisma, apelując do środowisk kulturalnych z całego Kociewia o współpracę, tak aby magazyn



KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

ZESZYT 1 ROK 1986

Publikacja seryjna
Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej
w Starogardzie Gdańskim
i
Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej
w Tczewie

ISBN 83-85026-06-1
PL ISSN 0860-1917

Redaktor naczelny
ROMAN LANDOWSKI

Sekretarz redakcji
ANDRZEJ GRZYB

KOLEGIUM REDAKCYJNE
Edmund Falkowski, Józef Golicki, Andrzej Grzyb, Tadeusz Kubiszewski, Roman Landowski, dr Józef Milewski (przewodniczący), Ireneusz Modzelewski, prof. Edwin Rozenkranz, Ryszard Szwoch, Romuald Wentowski (z-ca przewodniczącego), Józef Ziółkowski

Korekta: Katarzyna Lamek

Z REDAKCJĄ WSPÓŁPRACUJĄ
oprac. graf.: Regina Jeszke Golicka i Jan Walaszewski
foto: Henryk Spychalski i Stanisław Zaczyński
oraz Roman Klim, Krzysztof Kuczkowski, dr Maria Pająkowska

WYDAWCA
Kociewski Kantor Edytorski
Tczew — Starogard Gdański
Sekcja Wydawnicza
Tczewskiego Domu Kultury

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
83-100 Tczew, ul. Kołłątaja 9,
Tczewski Dom Kultury, tel. 2707

Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku.
Nakład 2.500. Objętość: ark. wyd. 18, ark. druk. 12, zam. 1015, L-2.

Na okładce, według projektu Reginy Jeszke-Golickiej: dawny Starogard w rysunku Jana Walaszewskiego.

cena 140,— zł

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów nadesłanych tekstów.

STOPKA REDAKCYJNA PIERWSZEGO NUMERU „KOCIEWSKIEGO MAGAZYNU REGIONALNEGO”

Zeszyt 1 Rok 1986

Publikacja seryjna

Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim i Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej w Tczewie

Redaktor naczelny
ROMAN LANDOWSKI

Sekretarz redakcji
ANDRZEJ GRZYB

KOLEGIUM REDAKCYJNE
Edmund Falkowski, Józef Golicki, Andrzej Grzyb, Tadeusz Kubiszewski, Roman Landowski, dr Józef Milewski (przewodniczący), Ireneusz Modzelewski, prof. Edwin Rozenkranz, Ryszard Szwoch, Romuald Wentowski (z-ca przewodniczącego), Józef Ziółkowski

Korekta: Katarzyna Lamek.

Z REDAKCJĄ WSPÓŁPRACUJĄ
oprac. graf.: Regina Jeszke-Golicka i Jan Walaszewski

foto: Henryk Spychalski i Stanisław Zaczyński

oraz Roman Klim, Krzysztof Kuczkowski, dr Maria Pajączkowska

WYDAWCA
Kociewski Kantor Edytorski
Tczew – Starogard Gdański
Sekcja Wydawnicza
Tczewskiego Domu Kultury

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
83-100 Tczew, ul. Kołłątaja 9, Tczewski Dom Kultury

Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku

Nakład 2.500. Objętość: ark. wyd. 18, ark. druk. 12
Na okładce, według projektu Reginy Jeszke-Golickiej: dawny Starogard w rysunku Jana Walaszewskiego.

Cena 140,– zł

stał się forum promocji regionu i zarazem narzędziem jego integracji.

Ukazanie się długo oczekiwanego periodyku wywołało duże zainteresowanie w środowisku regionalistów i ludzi kultury. Kronikarz pod datą 5 listopada 1986 roku odnotował: „Wreszcie jest upragniony, oczekiwany pierwszy «Kociewski Magazyn Regionalny»! (...) Na pierwszy rzut oka znać jego «duszę». Od razu też rozpoznaje się ją na tle «Pomeranii» oraz «Pomorza». Przez to nie identyfikuje się on z żadnym z «sąsiednich» pism, zachowując oryginalność, odrębność, swojskość... Nie powiela swoją formą i koncepcją istniejących tu wzorów”.

Entuzjastyczne przyjęcie nowego czasopisma przeważało nad dostrzeganymi podczas lektury drobnymi niedociągnięciami. Jak zauważono: „Drobne potknięcia drukarskie, przeoczone przez korektę nie umniejszają ogólnego wrażenia”. Doceniono również

wysiłek niewielkiego, dwu- lub trzyosobowego zespołu odpowiedzialnego za przygotowanie magazynu do druku.

Tego samego dnia podczas posiedzenia poszerzonego zespołu redakcyjnego w Tczewie, z udziałem redaktorów Romana Landowskiego i Andrzeja Grzyba, Katarzyny Lamek pełniącej funkcję sekretarza oraz Edmunda Falkowskiego, Józefa Golickiego, Józefa Milewskiego, Ireneusza Modzelewskiego, Ryszarda Szwocha i Józefa Ziółkowskiego, dokonano oceny pierwszego numeru i omówiono możliwości kontynuowania wydawnictwa. Wstępnie ustalono, że w 1987 roku ukażą się kolejne cztery numery magazynu, nadal jako publikacja ciągła, lecz bez statusu regularnego czasopisma. Wciąż bowiem konieczne było uzyskiwanie zgody cenzury na wydanie każdej kolejnej publikacji.

Zanim nowy „Kociewski Magazyn Regionalny" trafił do rąk czytelników, jego egzemplarze okazowe już następnego dnia, 6 listopada, zaprezentowano przedstawicielom lokalnych władz partyjnych i administracyjnych, które z uznaniem przyjęły tę inicjatywę wydawniczą. W Starogardzie Gdańskim zarówno prezydent miasta, jak i I sekretarz KMG PZPR przekazali Edmundowi Falkowskiemu, prezesowi Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej, deklaracje pełnego poparcia dla kontynuowania przedsięwzięcia. Podobne stanowisko zajęły również władze Tczewa. Włączenie magazynu przez miejscowy oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch" do systemu dystrybucji prasy lokalnej umożliwiło dotarcie pisma do punktów sprzedaży na terenie całego regionu. Od tej pory „Kociewski Magazyn" stał się dostępny dla mieszkańców Kociewia i wszystkich zainteresowanych problematyką regionalną.

Zdecydowane działania osób zaangażowanych w ideę powołania kociewskiego magazynu, konsekwentne starania obu towarzystw oraz wywiązywanie się władz lokalnych z podjętych zobowiązań przyniosły oczekiwany rezultat. „Kociewski Magazyn Regionalny", którego redakcja mieściła się w Tczewie, szybko stał się wizytówką prężnie rozwijającego się wówczas ruchu regionalnego. Jego pojawienie się spotkało się z szerokim odzewem na Kociewiu, do czego przyczyniło się również zainteresowanie mediów[2]. Inicjatywa zyskała także uznanie uczestników III Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury w Poznaniu, obradującego w dniach 23–25 października 1986 roku. Za sprawą uczestniczącego w kongresie Ryszarda Szwocha „Kociewski Magazyn Regionalny" miał swoją symboliczną promocję.

Losy „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" pokazują, jak duże znaczenie dla powodzenia tego przedsięwzięcia miały wspólna idea, zaangażowanie środowisk kultury oraz poparcie ówczesnych władz administracyjnych i politycznych Kociewia, zwłaszcza Tczewa i Starogardu Gdańskiego. Determinacja osób bezpośrednio zaangażowanych w powstanie pisma pozwoliła przezwyciężyć liczne trudności charakterystyczne dla realiów tamtej epoki.

Późniejsze przemiany polityczne i samorządowe postawiły jednak przed magazynem nowe wyzwania. Szczególnie istotne konsekwencje przyniosła zaskakująca decyzja władz Starogardu Gdańskiego z 1993 roku o wycofaniu się z jego współfinansowania[3]. Trudno było znaleźć dla niej racjonalne uzasadnienie, toteż spotkała się z negatywnym przyjęciem miejscowych regionalistów, którzy wcześniej współtworzyli „Kociewski Magazyn Regionalny", a w kolejnych dekadach nadal wspierali go swoją działalnością publicystyczną. Wszystko wskazuje na to, że pozostaną obecni na jego łamach również w rozpoczętej już piątej dekadzie pomyślnego trwania pisma na Kociewiu. ■

[2] *Pół wieku działalności dla regionu i jego stolicy*, oprac. r. Szwoch, Starogard Gd. 2024, s. 54.

[3] R. Landowski, *35 lat dla Tczewa i regionu*, TMZT, Tczew 2004, s. 106.

JÓZEF M. ZIÓŁKOWSKI

POD PRĄD: POCZĄTKI KOCIEWSKIEGO KANTORU EDYTORSKIEGO

Zastanawiam się, jak przekazać wspomnienia z dawnych lat, a szczególnie z powstawania pierwszego po 1945 roku kantoru wydawniczego w Tczewie. W książce „Roman Landowski – dla Tczewa, Pomorza i Kociewia" poświęciłem temu wydarzeniu obszerny rozdział. Dla mojego pokolenia opisane w nim fakty są jasne, czytelne i zrozumiałe. Cóż jednak powie na nie dzisiejszy młody regionalista? „Jakie starania, jakie pisma, jakie zgody?" – zapyta. Wystarczy przecież mieć pomysł, komputer, pieniądze na druk i mamy książkę.

Cofnijmy się zatem do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. W Tczewie istniała „pustynia wydawnicza". W 1960 roku, z okazji kolejnej rocznicy Tczewa, wydano „Biuletyn Informacyjny", ponadto Stefan Linowski wydał książkę poświęconą wydarzeniom okresu PRL. Te dwie publikacje musiały być zgodne z linią partyjną i wymogami obowiązującej cenzury.

Roman Landowski chciał jednak pójść pod prąd, dlatego w 1974 roku postanowił założyć czasopismo „Kociewie". Miały to być zeszyty regionalne, w których naukowcy publikowaliby swoje przemyślenia dotyczące Kociewia. Uzyskał poparcie Zygmunta Kułakowskiego, prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej, oraz Mariana Matysiaka, Naczelnika Miasta i Powiatu Tczewskiego. Siedzibą redakcji miała być Poradnia Metodyczna Pracy Kulturalno-Oświatowej, mieszcząca się przy ulicy 1 Maja. Tam też po raz pierwszy spotkałem się z Romanem Landowskim. Można powiedzieć, że wcześniej „znałem" go z gabloty Domu Kolejarza, gdzie zamieszczano zdjęcia z prowadzonej przez niego Sceny Literackiej „Propozycje".

Logo Kociewskiego Kantoru Edytorskiego

Do planowanego czasopisma Roman Landowski miał przygotowane do druku materiały o różnej tematyce. Chciał, aby druk



odbywał się w Zakładach Małej Poligrafii przy ulicach Okrzei i Kościuszki w Tczewie. Mimo że wniosek poparł Komitet Powiatowy PZPR w Tczewie, nikt z pomysłodawców nie otrzymał odpowiedzi.

W 1983 roku ponowiono starania o wydawanie „Kociewia". Do prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji

Józef M. Ziółkowski podczas swojego benefisu w Fabryce Sztuk w Tczewie, 6.02.2025 (fot. Jacek Cherek); niżej: Tczewski Dom Kultury przy ul. Kołłątaja 9 w latach 90. XX w. – pierwsza siedziba Kociewskiego Kantoru Edytorskiego (grafika na podstawie fot. Stanisława Zaczyńskiego)





Starogard Gdański. Jubileusz 20-lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej, 22 czerwca 1993. Od prawej: Roman Landowski, Jerzy Cherek, Józef Golicki i Edmund Falkowski (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

i Widowisk w Warszawie wysłano tym razem wniosek dwóch towarzystw – Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej i Towarzystwa Miłośników Ziemi Starogardzkiej. Chodziło o promocję Kociewia. W piśmie przypomniano, że w Tczewie w okresie międzywojennym wychodził „Goniec Pomorski", a w Starogardzie – „Gazeta Starogardzka". Wniosek podpisali Zygmunt Kułakowski i Tadeusz Kubiszewski (TMZS). Z pismem do KC PZPR w Warszawie pojechali Zbigniew Pilas, Roman Landowski i Ryszard Szwoch ze Starogardu Gdańskiego. Zgody na wydawanie czasopisma jednak nie otrzymano. Ówczesne władze stwierdziły, że wydano już w Polsce zbyt wiele zezwoleń na publikacje i brakuje mocy poligraficznych.

1974
Starania o założenie czasopisma „Kociewie"

1983
Nowa batalia o powstanie czasopisma

1985
Powstanie Kociewskiego Kantoru Edytorskiego

1986
Ukazanie się „Kociewskiego Magazynu Regionalnego"

Rok później sytuacja prawna nieco się zmieniła. Postanowiono to wykorzystać, angażując w przedsięwzięcie obie rady narodowe – tczewską i starogardzką. Władze obu miast były przychylne pomysłowi, jednak Romana Landowskiego wezwano na rozmowę do Komitetu Woje-

wódzkiego PZPR w Gdańsku i sondowano, czym ma być to pismo. Niemniej 31 stycznia 1985 roku Miejska Rada Narodowa w Tczewie podjęła uchwałę o powołaniu pisma regionalnego, a w Starogardzie uczyniono to 5 lutego 1985 roku. Przygotowano mocne uzasadnienia obu miast, a Roman Landowski określił także kształt pisma.

Rady obu miast wyłoniły czteroosobowy zespół, który miał zająć się przygotowaniem wydawnictwa. Na jego czele stanął Roman Landowski, a w jego skład weszli także Józef Golicki, Józef Ziółkowski i Romuald Wentowski. Utworzono również kilkuosobowe kolegium oraz zespół redakcyjny. Nazwiska osób z Tczewa i Starogardu Gdańskiego możemy odczytać w stopce pierwszego numeru „Kociewskiego Magazynu Regionalnego". Józef Golicki, inspektor miejski ds. kultury, powiadomił Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, że od września 1985 roku przy Tczewskim Centrum Kultury (ul. Kołłątaja) powstaje komórka wydawnicza – Kociewski Kantor Edytorski.

„Kociewski Magazyn Regionalny" miał być drukowany w wydawnictwach regionalnych, z wykorzystaniem odpadów papieru zrywkowego. Taki plan, po uwagach Zyty Myszki, wiceprezydent miasta Tczewa, i Janusza Trzcińskiego, Tczewianina, zatwierdziło Ministerstwo Kultury i Sztuki. Miano jedynie zrezygnować z cyklicznego charakteru wydawnictwa.

Powołano kolegium redakcyjne. Jego przewodniczącym został dr Józef Milewski (Starogard Gdański), zastępcą – Romuald Wentowski, a członkami: prof. Edwin Rosenkranz (Gdańsk), Józef Golicki, Edmund Falkowski (Starogard Gdański), Tadeusz Kubiszewski (Starogard Gdański), Ryszard Szwoch (Starogard Gdański), Ireneusz Modzelewski i Józef Ziółkowski.

Na wydawnictwo przeznaczono po milionie złotych z budżetów Starogardu Gdańskiego i Tczewa. Kociewski Kantor Edytorski został zarejestrowany i otrzymał numer ISBN. Redaktorem naczelnym wydawnictwa został Roman Landowski, a sekretarzem – Andrzej Grzyb. W zespole pracowała także Katarzyna Lamek, zajmująca się korektą oraz przepisywaniem na starej maszynie tekstów, które wówczas sporządzano ręcznie.

Zapewne wszyscy uczestnicy tych wydarzeń mają własne wspomnienia. Przytoczyłem tylko najważniejsze fakty dotyczące powstawania KKE. Nikt nie zliczy spotkań, wyjazdów, dyskusji i wszystkich emocji wyrażających się w pytaniu: „Uda się czy nie?". Często o wydawnictwie rozmawialiśmy nawet na ulicy, gdy spotykaliśmy Romana Landowskiego lub kogoś, kto wrócił ze spotkania z władzami centralnymi. Nie było przecież telefonów komórkowych ani Facebooka. Dla tego pomysłu trzeba było pozyskać ludzi, którym bliski był lokalny patriotyzm.

Istniała ogromna wola, aby powstało kociewskie wydawnictwo, które mogłoby rejestrować fakty i wydarzenia z życia regionu. O trudnościach może świadczyć następujący fakt: wprawdzie władze wydały zgodę na druk, ale gdy doszło do przygotowania pierwszego numeru KMR, w drukarni przy ul. 3 Lipy w Gdańsku usłyszeliśmy, że musimy sami znaleźć papier, choćby zrywkowy. Wówczas pomógł Jerzy Góźdź, dyrektor Zakładu Produkcyjno-Naprawczego Mechanizacji Rolnictwa w Tczewie, który odsprzedał belę białego papieru służącego do pakowania części zamiennych.

Różne były przez dziesięciolecia losy KKE. Powstawały w nim nie tylko magazyny regionalne, ale także publikacje książkowe, z których można czerpać wiele informacji o najbliższej ziemi. Teraz Kociewski Kantor Edytorski zapewne czekają zmiany wynikające ze współczesnych realiów. Dzieło sędziwych dziś sympatyków tego wydawnictwa muszą przejąć młodzi regionaliści. ■

PISMO ZRODZONE Z UPORU REGIONALISTÓW

Z JÓZEFEM GOLICKIM ROZMAWIA KRZYSZTOF FILIP

Panie Józefie, cofnijmy się o czterdzieści lat. Jak z dzisiejszej perspektywy pamięta Pan narodziny „Kociewskiego Magazynu Regionalnego”?

Pomysł stworzenia pisma, które opowiadałoby o Tczewie i całym regionie – jego historii, współczesności, kulturze, ludziach i ważnych wydarzeniach – dojrzewał przez wiele lat. Wyrastał z przekonania, że Tczewowi i Kociewiu zwyczajnie brakuje własnego, regularnie ukazującego się pisma, które patrzyłoby na naszą małą ojczyznę szerzej i z bliska.

W tamtym czasie właściwie nie było publikacji, które w sposób systematyczny i pogłębiony zajmowałyby się regionem. Od czasu do czasu pojawiały się materiały w prasie codziennej – w „Dzienniku Bałtyckim” czy „Głosie Wybrzeża” – ale miały one charakter sporadyczny i najczęściej okazjonalny. Były to artykuły, reportaże czy teksty poświęcone wybranym wydarzeniom, postaciom i zagadnieniom. Oczywiście tylko tym tematom, które zdołały przejść przez ówczesne cenzorskie i redakcyjne sito.

Może określenie „ojcowie założyciele” brzmi nieco pompatycznie, ale był Pan w gronie osób, które tworzyły pismo od początku. Jak to się stało?

W latach osiemdziesiątych, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Gdańskim, trochę przez przypadek trafiłem do pracy w Urzędzie Miejskim w Tczewie, gdzie objąłem stanowisko inspektora do spraw kultury. Tam poznałem grono ludzi – zarówno nieco starszych ode mnie, jak i moich rówieśników – którym, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, naprawdę leżały na sercu rozwój kultury, edukacja kulturalna i odkrywanie lokalnej historii. Łączyło nas też przekonanie, że materiałów poświęconych Tczewowi i całemu regionowi jest zdecydowanie za mało. Coraz wyraźniej czuliśmy, że tę lukę trzeba w jakiś sposób wypełnić.

Kogo uznaje Pan za „spiritus movens” całego przedsięwzięcia?

Oczywiście Romana Landowskiego – już wtedy cenionego autora, publicystę i działacza regionalnego. Miał na koncie wiele tekstów poświęconych Tczewowi – jego kulturze, historii i ludziom – a także szerzej, całemu regionowi. Trzeba powiedzieć to jasno: to przede wszystkim od niego wyszedł pomysł powołania pisma.

Jako literat i regionalista doskonale wiedział, jak mało jest materiałów dotyczących Tczewa i Kociewia, jak rozproszone są źródła, a wiele informacji pozostawało trudno dostępnych. To on zaczął przekonywać ludzi ze środowiska kulturalnego, że potrzebne jest pismo, które tę wiedzę będzie gromadziło, porządkowało i upowszechniało.

Chodziło o stworzenie miejsca, dzięki któremu mieszkańcy mogliby lepiej poznawać swoją małą ojczyznę – jej historię, kulturę, ludzi i tożsamość – bez względu na to, czy byli z Tczewa i Kociewia od pokoleń, czy dopiero zaczynali wiązać z tym miejscem swoje życie.

Jak pomysł nabierał kształtów?

Roman Landowski był już wówczas człowiekiem doświadczonym, miał też rozległe kontakty, więc najpierw rozeznał, jakie kroki należy podjąć, by pomysł powołania pisma zaczął nabierać realnych kształtów. Wiedział, że trzeba było zainteresować pomysłem odpowiednie środowiska, dotrzeć do właściwych władz, przygotować stosowne pisma i zabiegać o poparcie.



Józef Golicki (fot. Regina Jeszke-Golicka)

Wokół tego pomysłu stopniowo skupiał grono ludzi, których łączyło przekonanie, że takie czasopismo jest potrzebne. Rozmawialiśmy o tym, wzajemnie się wspieraliśmy. Każdy na swój sposób pomagał przeprowadzić ten niełatwy proces w tamtych realiach politycznych.

W latach osiemdziesiątych stosunek władz PRL do działalności regionalnej był chyba dość ambiwalentny?

Sam regionalizm – zainteresowanie historią, kulturą, folklorem czy lokalną tradycją – nie musiał być dla władz czymś niepożądanym. Mógł funkcjonować, zwłaszcza jeśli mieścił się w oficjalnych strukturach i pozostawał pod kontrolą państwa. Problem zaczynał się wtedy, gdy grupa społeczników chciała działać oddolnie, tworzyć własne środowisko, a przede wszystkim wydawać własne pismo. Wówczas pojawiał się opór władz centralnych, które nie mogły dopuścić do tego, by tego rodzaju inicjatywy rozwijały się niezależnie, poza systemem administracyjnej i politycznej kontroli.

Dzisiaj założenie pisma to kwestia decyzji wydawcy i kapitału. A wtedy?

Wtedy wyglądało to zupełnie inaczej. Wszystko podlegało reglamentacji i kontroli, więc zanim ktokolwiek wydał zgodę, zastanawiano się, czy na taką inicjatywę w ogóle można pozwolić, kto za nią stoi, czy coś się za nią nie kryje i w jakim kierunku może się rozwinąć. Pomysł wydawania lokalnego czasopisma podlegał więc nie tylko ocenie merytorycznej, ale przede wszystkim politycznej.

Droga przez mękę?

Można tak śmiało powiedzieć. W tamtych realiach wszystkie działania związane z powołaniem czasopisma musiały przejść przez kolejne szczeble partyjno-urzędnicze. I nie była to prosta ścieżka, typu: miasto, województwo, ministerstwo i decyzja. Po drodze pojawiały się rozmaite instytucje, a w samym Ministerstwie Kultury i Sztuki – poszczególne departamenty, które opiniowały sprawę.

Wiedzieliśmy, że już na szczeblu lokalnym nasz wniosek o powołanie czasopisma musiał zyskać przychylność nie tylko najważniejszych władz administracyjnych, ale także politycznych i samorządowych. W tamtym systemie każdy mógł sprawie pomóc, otworzyć kolejne drzwi albo przeciwnie – skutecznie ją zatrzymać.

Wszyscy mieliśmy świadomość, w jakim systemie żyjemy. Wiedzieliśmy, że z socjalistycznych realiów nie da się po prostu wyrwać. Pozostawało więc działać w granicach tego, na co pozwalały ówczesne warunki polityczne i społeczne, a jednocześnie – na ile było to możliwe – próbować te granice poszerzać.

Jak w praktyce wyglądało zabieganie o zgodę i poparcie dla pisma?

Na tym etapie właściwie każdy dorzucał do tej inicjatywy swoje pięć groszy i pomagał, jak potrafił. Uruchamialiśmy kontakty, szukaliśmy „dojścia", dzwoniliśmy, pisaliśmy pisma. Trzeba było być – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – trochę upierdliwym: przypominać się, przekonywać, wracać do sprawy i pilnować, żeby gdzieś po drodze nie utknęła.

Szukaliśmy też osób związanych z Tczewem czy Kociewiem, które zajmowały bardziej eksponowane stanowiska – w ministerstwach, urzędach czy innych ważnych instytucjach. Liczyliśmy nie tylko na ich przychylność, ale również na konkretną, praktyczną podpowiedź: jak przygotować wniosek, do kogo go skierować, jak poprowadzić sprawę, żeby zwiększyć jej szanse na akceptację.

Po pierwszych rozmowach i zabiegach Romana Landowskiego wszystko zaczęło nabierać tempa, ale trwało około dwóch lat. W pewnym momencie w sprawę było już zaangażowanych bardzo wiele osób – jedni bardziej, inni mniej, ale każdy dokładał coś od siebie.

A kiedy udało się już przebrnąć przez bariery polityczne i administracyjne?

To zaczynały się nowe. Pozostawała cała materialna strona przedsięwzięcia: trzeba było znaleźć etaty, pieniądze, drukarnię, zdobyć papier. Dziś brzmi to może prozaicznie, ale wówczas również papier był dobrem reglamentowanym i podlegał przydziałom. Nie wystarczyło więc mieć pomysł, redakcję i gotowe teksty – trzeba było jeszcze zdobyć wszystko to, bez czego nie dało się fizycznie wydrukować ani jednego numeru.

Skąd środki finansowe?

W tamtych czasach kultura była finansowana przede wszystkim z Funduszu Rozwoju Kultury. Był fundusz centralny, wojewódzki i miejski, a pieniądze – mówiąc najprościej – schodziły z góry na dół, na kolejne szczeble.

Ja, jako inspektor zajmujący się kulturą w Urzędzie Miejskim, przygotowywałem projekt Miejskiego Funduszu Rozwoju Kultury. Obejmował on finansowanie wszystkich miejskich instytucji kultury. Trzeba było zaplanować środki na ich bieżącą działalność, na remonty, na inwestycje, na wynagrodzenia dla pracowników.

I z takim projektem miejskiego funduszu jechał Pan do Urzędu Wojewódzkiego?

Tak. Jeździłem do odpowiednich pracowników w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, w którym każdy zajmował się określonym wycinkiem spraw. Przedstawiałem propozycje. Dobrze umotywowane zadanie dość szybko znajdowało wsparcie. W ten sposób udało się pozyskać etaty i środki finansowe na powstanie Kociewskiego Kantoru Edytorskiego.

I tak powstał Kociewski Kantor Edytorski w Tczewie?

Tak. Aby Kantor mógł funkcjonować, potrzebne było zaplecze organizacyjne, etaty dla pracowników i pieniądze na ich wynagrodzenie. To, co udało się załatwić w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, było niezbędnym minimum. Stworzenie silnej jednostki wymagało dodatkowych działań, już na miejscu, w Tczewie.

Kantor powstał w strukturze organizacyjnej Tczewskiego Domu Kultury i rozwinął się dzięki przesunięciom organizacyjno-finansowym w tej placówce. Dodatkowe środki na działanie Kantoru udawało się również pozyskiwać corocznie, dzięki przychylności miejskich radnych, z tzw. nadwyżki budżetowej Miejskiej Rady Narodowej.

Z tego wynika, że powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od współdziałania bardzo różnych środowisk.

Zdecydowanie. Z jednej strony byli ludzie kultury, z Romanem Landowskim na czele. On cały czas tę sprawę pilotował. Mówił: „Ja napiszę, ja wyślę, tylko powiedzcie, czy pomożecie mi w tym albo w tamtym". Był motorem całego przedsięwzięcia i pilnował, żeby sprawa posuwała się do przodu.

Z drugiej strony byli urzędnicy – prezydent, wiceprezydent, ja jako osoba odpowiedzialna w urzędzie za kulturę. Do tego dochodziło środowisko polityczne oraz Miejska Rada Narodowa, która również musiała poprzeć powstanie nowej placówki i samego pisma. Bez współdziałania tych wszystkich ludzi trudno byłoby doprowadzić sprawę do końca.

Skąd w tym przedsięwzięciu pojawił się Starogard Gdański?

Od początku było jasne, że trudno będzie uzyskać akceptację dla pisma pomyślanego wyłącznie jako tczewskie. Oczekiwano inicjatywy o szerszym, regionalnym charakterze. I stąd pojawił się pomysł, żeby włączyć do przedsięwzięcia również Starogard Gdański.

Nie chodziło przy tym wyłącznie o ludzi kultury. Potrzebne było także oficjalne poparcie obu miast. Dlatego miejskie rady narodowe w Tczewie i Starogardzie Gdańskim podjęły uchwały popierające powstanie pisma i utworzenie placówki.

Jak podzielono role między Tczew i Starogard?

Założenie było takie: Kociewski Kantor Edytorski powstanie w Tczewie i tu będzie redagowany oraz wydawany „Kociewski Magazyn Regionalny". Funkcję redaktora naczelnego obejmie Roman Landowski, natomiast Starogard otrzyma przewodnictwo w Radzie Programowej. Jej przewodniczącym został dr Józef Milewski ze Starogardu Gdańskiego. Był to rodzaj porozumienia między dwoma najważniejszymi ośrodkami Kociewia – Tczew dawał siedzibę, zaplecze organizacyjne i redaktora, a Starogard otrzymywał znaczącą rolę w programowym kształtowaniu pisma.

Patrząc z perspektywy minionych czterdziestu lat i dzisiejszego nadmiaru mediów, ma Pan poczucie, że tematyki regionalnej jest już wystarczająco dużo? Czy przeciwnie – nadal potrzebny jest periodyk, który, tak jak u początków „Kociewskiego Magazynu Regionalnego", zaspokajałby potrzebę pogłębionej wiedzy o regionie, jego historii, kulturze, ludziach i współczesności?

Niewątpliwie pismo poświęcone Kociewiu jest potrzebne. Uważam jednak, że w dobie mediów elektronicznych „Kociewski Magazyn Regionalny" powinien funkcjonować inaczej niż dotychczas. Aby regularnie wydawać i rozwijać czasopismo, potrzebne są stabilne środki finansowe. Wpływy ze sprzedaży nie pokrywały i nie pokrywają kosztów wydawania czasopisma. Dlatego konieczne jest wieloletnie wsparcie prywatnych sponsorów i samorządów. Chodzi o to, aby niezbędne pieniądze były stałym wieloletnim przychodem. Tylko wtedy będzie można budować coroczny budżet i planować wydawanie czterech czy więcej numerów

Jeśli magazyn ma docierać do szerszego grona czytelników, potrzebuje korespondentów w kociewskich gminach i powiatach. Powinni oni otrzymywać wynagrodzenie za swoją pracę, podobnie jak autorzy publikowanych tekstów. Przez czterdzieści lat, z powodu braku środków, redakcja nie mogła płacić za zamawiane artykuły. Płacąc za publicystyczne, historyczne czy społeczne materiały, będziemy mogli wpływać na zawartość merytoryczną magazynu i kształtować jego artystyczny charakter i poziom. ■

KATARZYNA PEPLIŃSKA

PRZY REDAKCYJNYM BIURKU Z ROMANEM LANDOWSKIM

Był 9 maja 1986 roku. Z niepokojem, ale i ciekawością szłam na pierwsze spotkanie z Romanem Landowskim. Miała to być rozmowa w sprawie pracy. Nie znałam jeszcze mojego przyszłego pracodawcy, choć jego nazwisko nie było mi obce.

Kiedy wróciłam z innej rozmowy kwalifikacyjnej, zadzwonił do mnie znajomy bibliotekarz, Janusz Kaznocha, i powiedział, że w niewielkiej redakcji regionalnej poszukiwany jest pracownik. Jeszcze tego samego dnia udałam się więc do Tczewskiego Domu Kultury przy ulicy Kołłątaja. Na poddaszu, nad pomieszczeniami z projektorami filmowymi, mieściła się redakcja Kociewskiego Kantoru Edytorskiego. Tam po raz pierwszy spotkałam Romana Landowskiego.

Codzienność małej redakcji

Nie miałam kwalifikacji do pracy w redakcji, ale całkiem dobrze radziłam sobie z pisaniem na maszynie. I to wystarczyło! Nie mogłam jednak od razu podjąć pracy na etacie, ponieważ nadal byłam zatrudniona w obecnym Zespole Szkół Ekonomicznych. Zgodziłam się więc na umowę zlecenia. W ten sposób na kilka lat związałam się z Kociewskim Kantorem Edytorskim – miejscem, które do dziś wspominam z sentymentem.

Początkowo rękopisy oraz poprawione już maszynopisy przepisywałam wieczorami w domu. Co jakiś czas przychodziłam do redakcji, by uzgodnić ewentualne poprawki i wymagania techniczne.

Każda z tych wizyt była zarazem okazją do bliższego poznania mojego przyszłego przełożonego. Podziwiałam go za rozległą wiedzę i kompetencje, tym bardziej że w dziedzinie edytorstwa był samoukiem. Kiedy podejmował pracę redaktora w wydawnictwie, nie miał jeszcze doświadczenia w tej dziedzinie. Potrzebną wiedzę i umiejętności zdobywał z książek, do których później również ja zaglądałam, zwłaszcza gdy uczyłam się znaków korektorskich.

Nie mieliśmy wtedy ani komputerów, ani telefonów komórkowych, ani dostępu do internetu, którego w Polsce po prostu jeszcze nie było. Dziś trudno to sobie wyobrazić.

Gdy 1 września 1986 roku rozpoczęłam stałą pracę w redakcji, moim podstawowym narzędziem była maszyna do pisania. Wyposażenie mieliśmy bardzo skromne. Prawie wszystko zdobywaliśmy z odzysku, dzięki życzliwości innych. Pamiętam, że pewnego razu przynieśliśmy nawet dywan należący do moich dziadków, który dźwigaliśmy z Czyżykowa. W chłodne dni dzięki niemu było nam przynajmniej trochę cieplej w nogi.

Atmosfera w redakcji zawsze była ożywiona i nieustannie działo się coś ciekawego. Nie było dnia bez odwiedzin kogoś z zewnątrz. Oprócz znajomych, którzy wpadali na pogawędkę, przychodzili przede wszystkim autorzy liczący na publikację swoich tekstów na łamach „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" lub w formie samodzielnego wydawnictwa. Na naszych biurkach i w segregatorach zawsze czekał zapas materiałów do przejrzenia i opracowania.

Główny twórca i redaktor Kantoru Kociewskiego nikomu nie odmawiał prawa



Początki Kociewskiego Kantoru Edytorskiego. Od lewej: Andrzej Grzyb, Roman Landowski, Katarzyna Peplińska, 1987 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

do publikowania i dzielenia się swoją wiedzą, nawet jeśli nadesłane teksty wymagały znacznych poprawek stylistycznych i językowych. Często miały jednak dużą wartość ze względu na podejmowaną tematykę i zawarte w nich ciekawostki historyczne. Mało kto wiedział jednak, ile pracy wymagało przygotowanie niektórych z nich do druku. Niekiedy trzeba było je gruntownie przeredagować, a czasem niemal napisać od nowa. Pan Roman potrafił jednak dostrzec ich wartość i nie chciał jej zaprzepaścić.

Wydawnicza manufaktura

Dzisiejszy proces wydawania czasopism i książek radykalnie różni się od tego, jak powstawał nasz kwartalnik, który zresztą początkowo ukazywał się nieregularnie. Ówczesny sposób pracy nazwałabym swego rodzaju „manufakturą".

Autorzy przynosili artykuły głównie w formie maszynopisów, rzadziej rękopisów. Z reguły wymagały one poprawek stylistycznych i językowych, a niekiedy także merytorycznych. Po redakcji teksty przepisywano ponownie na maszynie, ponieważ liczba znaków i wierszy na stronie oraz szerokość marginesów musiały odpowiadać określonym wymogom drukarni.

Podczas kolejnego czytania nanosiliśmy paginację, a za pomocą znaków korektorskich zaznaczaliśmy błędy. Liczba poprawek nie mogła być jednak zbyt duża, ponieważ drukarnia mogła odmówić przyjęcia takiego maszynopisu. Dopiero komplet odpowiednio przygotowanych tekstów trafiał do Zakładów Graficznych w Gdańsku. Jeśli nadarzała się okazja, wieźliśmy je samochodem, ale bardzo często zawoziłam je pociągiem.

Do druku nie przyjmowano materiałów bez pieczęci potwierdzającej zgodę urzędu cenzury. Na szczęście rzadko zdarzało się, by cenzor zakwestionował któryś z naszych tekstów.

Po pewnym czasie otrzymywaliśmy wiadomość, że w Gdańsku można już odebrać od zecerów tzw. szczotki, czyli odbitki szpaltowe. Niestety także na tym etapie zdarzały się błędy, więc po raz kolejny nanosiliśmy poprawki za pomocą znaków korektorskich.

Jednocześnie pan Roman zajmował się adiustacją techniczną. Bezpośrednio na tekście lub na marginesach zaznaczał, jaki krój i wielkość pisma należy zastosować, gdzie wprowadzić odstępy, wyróżnienia, ramki czy wcięcia akapitowe. Trzeba też było przewidzieć miejsce na ilustracje.

Następnie przychodziła pora na żmudne przygotowanie makiety. Za pomocą nożyczek i kleju powstawał zarys ostatecznego kształtu „Kociewskiego Magazynu Regionalnego". Na tym etapie można było jeszcze wprowadzać ostatnie zmiany, wyróżniać tytuły, dodawać ozdobniki, a także rozmieszczać poszczególne szpalty i kolumny na stronach. Wszystko musiało tworzyć spójną i estetyczną całość.

Dziś służą do tego programy edytorskie i graficzne. Wówczas wiele rozwiązań było technicznie niemożliwych. Wielokrotne korekty, ręczne „wyklejanki" i brak poczty elektronicznej znacznie wydłużały pracę nad kolejnymi numerami „Kociewskiego Magazynu".

A przecież wydawaliśmy także książki, wyjeżdżaliśmy na spotkania, rozmawialiśmy z autorami, zajmowaliśmy się wysyłką i sprzedażą publikacji, odpowiadaliśmy na korespondencję i telefony. W redakcji zawsze coś się działo, a nieraz bywało tak głośno, że trudno było skupić się na kolejnym czytaniu tych samych tekstów.

Ludzie redakcji

Pan Roman zabiegał o to, by nasza niewielka redakcja stopniowo powiększała się także pod względem personalnym. Początkowo funkcję sekretarza redakcji, z przerwami, pełnił Andrzej Grzyb, który później przez krótki czas był dyrektorem Tczewskiego Domu Kultury. Z czasem dał się szerzej poznać jako samorządowiec – był burmistrzem Czarnej Wody, starostą starogardzkim, a następnie senatorem RP VII i VIII kadencji. Był także literatem, autorem wielu książek i niestrudzonym popularyzatorem Kociewia. Andrzej Grzyb, nawet kiedy nie pracował już z nami przy sąsiednim biurku, nadal nas odwiedzał i wspierał. To właśnie on, sobie tylko znanymi sposobami, potrafił zdobyć przydział papieru, bez którego nie można było niczego wydać. Papier był wówczas towarem deficytowym i „na przydział". Jego zdobycie wymagało znajomości, wielu zabiegów, a czasem po prostu szczęścia. Pan Andrzej potrafił sobie z tym radzić.

Ja sama dość szybko awansowałam z maszynistki na korektorkę, a po odejściu Andrzeja Grzyba zostałam sekretarzem redakcji. Do zespołu dołączyła Barbara Węsierska, która cierpliwie, przez wiele godzin, uderzała w klawisze maszyny do pisania. Do dziś niemal „słyszę" ten miarowy stukot.

Mieliśmy także swoich przedstawicieli w kociewskich miastach – dziś nazwalibyśmy ich zapewne korespondentami. Zbierali materiały ze swojej najbliższej okolicy, ponieważ zależało nam na tym, by na łamach „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" możliwie równomiernie reprezentowane były różne części Kociewia.

Przez krótki czas współpracowała z nami również Marzena Domaros ze Starogardu Gdańskiego, później znana jako autorka wydanej w 1992 roku głośnej, skandalizującej książki „Pamiętnik Anastazji P. Erotyczne immunitety".

Od lutego 1990 roku na część etatu pomagała nam także Grażyna Giełdon. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy – była osobą niezwykle empatyczną i wrażliwą.

Stałym wsparciem byli również członkowie Kolegium Redakcyjnego, którego skład przez pierwsze lata niemal się nie zmieniał. Niektórzy z nich pozostali związani z czasopismem na długo, później zasiadając w jego Radzie Programowej.

Szef i mentor

Redaktor Roman Landowski był dobrym szefem. Chętnie dzielił się wiedzą i doświadczeniem związanym z pracą redakcyjną.



Roman Landowski (1937–2007) – poeta, prozaik, publicysta, edytor i regionalista, założyciel Kociewskiego Kantoru Edytorskiego w Tczewie oraz „Kociewskiego Magazynu Regionalnego", 1989 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Ostateczne decyzje dotyczące szaty graficznej publikacji należały do niego, ale zawsze cenił dobre pomysły i zachęcał nas do własnych prób pisarskich, służąc przy tym radą i pomocą.

Był bardzo oczytany, a łatwość, z jaką przelewał myśli na papier, zawsze mnie zadziwiała. Wspierał także moje skromne próby pisarskie. Wyszukiwałam stare kociewskie przepisy kulinarne, a z czasem powierzono mi również redagowanie krótkich ciekawostek o Kociewiu w cyklu „Korzec osobliwości" oraz przeglądanie tego, co o naszym regionie pisano w innych czasopismach. Ogromną satysfakcję dawał mi widok własnego nazwiska pod artykułem czy w rozdziale książki.

Miał też niewątpliwy dar opowiadania. Wystarczyło o coś zapytać, a potrafił mówić godzinami – niemal na każdy temat. Z czasem część tych historii znałam już na pamięć, a mimo to nigdy mnie nie nudziły. Miało to oczywiście swoje dobre i złe strony: zdarzało się, że dzień upływał na rozmowach, a praca niewiele posuwała się naprzód. Dzięki tym opowieściom poznałam jednak wiele historii z jego życia oraz rodzinnych wspomnień, które później odnajdywałam w jego książkach, wplecione w literacką fikcję.

Cieszę się, że mogłam bliżej poznać tak niezwykłego człowieka. Swoje cele realizował może nie zawsze szybko, ale konsekwentnie. Przeszkody oczywiście się pojawiały, jednak potrafił się z nimi mierzyć nawet w trudniejszych chwilach. Zdarzało się, że przychodził do pracy z wysoką gorączką, ale nawet to potrafił obrócić w żart, mówiąc, że „krasnoludki chodzą mu po plecach i leją zimną wodę".

Blisko ludzi

Nigdy nie stwarzał dystansu wynikającego z różnicy wieku ani z relacji pracodawca–

–pracownik. Od pierwszego dnia czułam się w redakcji jak u siebie. Dbał o przyjazną atmosferę i był dla nas bardziej „dobrym wujkiem" niż szefem.

Miał też w sobie wiele zwyczajnej ludzkiej życzliwości. Jeśli tylko było to możliwe, zabiegał o moje podwyżki i nagrody. Nigdy później nie awansowałam tak szybko ani nie otrzymywałam tylu premii i wyróżnień. Miło było czuć się docenioną – nie tylko materialnie, lecz także poprzez słowa zachęty, pochwały i możliwość zobaczenia własnego nazwiska pod drukowanym tekstem.

Dzięki panu Romanowi miałam też okazję poznać wielu ciekawych ludzi odwiedzających redakcję. My również jeździliśmy na różne spotkania i uroczystości, podczas których promowaliśmy i sprzedawaliśmy nasze publikacje.

Był bardzo aktywny społecznie. Zasiadał w jury konkursów, uczestniczył w spotkaniach autorskich i pisał scenariusze przedstawień. W jednym ze spektakli kukiełkowych dla dzieci brałam udział wraz z pracownikami Tczewskiego Domu Kultury. Jego nazwisko znałam jednak dużo wcześniej, jeszcze z czasów „Ekonomika". Należałam wtedy do szkolnego zespołu teatralnego „Żaczek", prowadzonego przez Bogumiła Sadokierskiego, a scenariusze naszych przedstawień pisał właśnie Roman Landowski. Nie przypuszczałam wówczas, że po latach będziemy pracować przy sąsiednich biurkach.

Po latach

Naszą współpracę, którą zawsze będę wspominać z sentymentem, przerwał mój długi urlop wychowawczy. Po jego zakończeniu nie wróciłam już do Kociewskiego Kantoru Edytorskiego. Redakcja trafiła wtedy do struktur Miejskiej Biblioteki Publicznej. Zmieniały się też narzędzia pracy – pojawiły się komputery i programy edytorskie, które całkowicie odmieniły sposób przygotowywania publikacji do druku.

Mój dawny szef bardzo chciał, żebym wróciła do redakcji na etat, ale podczas mojej nieobecności zatrudniono już inne osoby. Ja z kolei nie miałam jeszcze nawet podstawowego przygotowania do pracy z komputerem.

Kiedy redakcję przeniesiono z Tczewskiego Domu Kultury do Miejskiej Biblioteki Publicznej, formalnie również ja stałam się pracownikiem biblioteki. Vie wróciłam już więc do redakcji, lecz rozpoczęłam pracę jako bibliotekarka w czytelni.

Pana Landowskiego widywałam bardzo często, bo pracowaliśmy w tym samym budynku. Zaglądałam do redakcji już jako gość, z zainteresowaniem słuchałam o kolejnych planach wydawniczych i cieszyłam się z każdego nowego numeru „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" oraz innych publikacji.

Zmagał się już wtedy z ciężką chorobą, która coraz bardziej ograniczała jego siły. Ostatnie lata życia spędził w Czarnej Wodzie. Podziwiałam jego determinację i to, że niemal do końca nie rezygnował z pracy, choć coraz częściej ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Do dziś mam przed oczami, jak mozolnie wspinał się po schodach do redakcji, która także w bibliotece przez długi czas mieściła się na ostatnim piętrze.

Nie zdążył dokończyć wielu spraw ani zrealizować wszystkich swoich planów. Pozostawił jednak bogatą spuściznę literacką. Dzięki jego książkom Kociewie stało się bliższe kolejnym pokoleniom, a regionalny księgozbiór biblioteki wzbogacił się o wiele cennych publikacji.

Cieszę się, że choć od chwili, gdy zaczynaliśmy pracę nad „Kociewskim Magazynem Regionalnym", mija już 40 lat, czasopismo nadal się ukazuje. Co najważniejsze, wciąż są ludzie, którym zależy na tym, by ta niewielka kociewska inicjatywa wydawnicza trwała i by kontynuować dzieło zapoczątkowane przed laty przez niestrudzonego popularyzatora historii i kultury regionu. ■



ALICJA SŁYSZEWSKA-SZYBOWSKA

DOROCZNY JARMARK CYSTERSKI W PELPLINIE

Gmina Pelplin i Powiat Tczewski ogłosiły rok 2026 Rokiem Cysterskim z okazji 750. rocznicy przybycia cystersów do Pelplina. W tym samym roku jubileusz 25-lecia obchodzi Jarmark Cysterski w Pelplinie. Wydarzenie odbywa się na terenie dawnego opactwa cysterskiego, zawsze w trzeci weekend września.

25 Lat minęło

Pod nazwą Jarmark Cysterski w Pelplinie kryje się dziś wydarzenie łączące elementy sakralne, naukowe, warsztatowe, muzyczne, wystawiennicze i handlowe. Czerpie ono z historii i kultury Pomorza oraz tradycji lokalnych i regionalnych. Nawiązuje przede wszystkim do średniowiecza, ale przypomina też późniejsze dzieje pelplińskiego klasztoru, zakonu cystersów i szlaku cysterskiego, którego Pelplin jest ważnym ośrodkiem.

Zapewne niewiele osób pamięta dziś, że pierwszy Jarmark Cysterski był ludycznym dopełnieniem konferencji naukowej zorganizowanej z okazji 725. rocznicy przybycia cystersów do Pelplina. W dniach 21–23 września 2001 r. ponad trzydziestu prelegentów z kraju i zagranicy, wybitnych znawców historii i kultury cystersów, przedstawiło wyniki

[1] Autorka w latach 2001–2022 przewodniczyła Komitetowi Organizacyjnemu Jarmarku Cysterskiego w Pelplinie. Od 2012 r. jest prezeską Stowarzyszenia Szlaki Kulturowe.



Książę Mestwin, w którego wciela się Jacenty z Ordowa, reżyser jarmarcznych spektakli, odbiera z rąk burmistrza klucz do Pelplina. Teraz miasto należy do niego – przynajmniej na czas jarmarku.

Barwny korowód dzieci przemierza ulice Pelplina. Za chwilę mali uczestnicy cysterskiego jarmarku ruszą do zabaw, turniejów i warsztatów.



najnowszych badań. Dotyczyły one dziejów, architektury, duchowości, piśmiennictwa, muzyki i tradycji cystersów pelplińskich, także w kontekście ich związków z innymi opactwami Pomorza, Polski i Europy. Wydarzeniu patronowali m.in. biskup pelpliński prof. dr hab. Jan Bernard Szlaga, generał zakonu cystersów o. Maur Esteva, opat klasztoru w Cîteaux o. Olivier Quenardel, marszałek Sejmu RP Maciej Płażyński, ambasador Republiki Francuskiej w Polsce Benoît d'Aboville, ambasador Republiki Federalnej Niemiec Frank Elbe, marszałek województwa pomorskiego Jan Zarębski oraz starosta tczewski Marek Modrzejewski. Przewodniczyłam wówczas komitetowi organizacyjnemu obchodów święta pelplińskich szarych mnichów i pełniłam tę funkcję przez kolejnych 21 lat.

Owocem pierwszej konferencji naukowej poświęconej szarym mnichom, zorganizowanej w 2001 r., jest publikacja „Pelplin. Kulturotwórcza rola cystersów na Kociewiu". W kolejnych latach odbywały się konferencje naukowe i popularnonaukowe dotyczące cysterskiego dziedzictwa kulturowego, m.in. „Biblioteki i skryptoria cysterskie na Pomorzu" (2011) oraz „Pismo i sztuka to jedyni świadkowie czasów" (2021). Podejmowano także temat rozwijającego się w Polsce Szlaku Cysterskiego oraz koncepcji utworzenia i funkcjonowania Pomorskiego Szlaku Cysterskiego, m.in. podczas konferencji „Europejskie szlaki kulturowe. Organizacja. Promocja. Zarządzanie" (2013).

W 2003 r., w przeddzień trzeciego Jarmarku Cysterskiego w Pelplinie, w refektarzu Collegium Marianum odbyła się konferencja „Koncepcja programowa i promocyjna działania Szlaku Cysterskiego na terenie Polski". Uczestniczyli w niej m.in. przedstawiciele Polskiej Kongregacji Cystersów z opatem o. dr. Eustachym Gerardem Kocikiem OCist. na czele, Zespołu Badań nad Historią i Kulturą Cystersów w Polsce z prof. dr. hab. Andrzejem M. Wyrwą oraz ICOMOS z prof. dr hab. inż. arch. Ewą Łużyniecką. Przybyli również reprezentanci samorządów gminnych i powiatowych, na których terenie znajdują się czynne i dawne opactwa cysterskie, a także organizacji pozarządowych zajmujących się ochroną dziedzictwa cysterskiego w Polsce. Podczas konferencji zainicjowano



W korowodzie kroczą także dostojnicy – prałaci, opaci i włodarze. Na czas jarmarku odkładają na bok urzędowe tytuły i razem z innymi włączają się w świętowanie (2003).



Nie ma jarmarku bez jadła i napitku. Tutejsi kucharze potrafią rozgrzać atmosferę, zanim jeszcze podadzą obiad.

działalność Rady Koordynacyjnej Szlaku Cysterskiego w Polsce.

W 2008 r., podczas wrześniowego święta cysterskiego, Pelplin gościł organizatorów Szlaku Cysterskiego z Polski i Europy, którzy przybyli na IV Forum Szlaku Cysterskiego w Polsce. Dzięki zaangażowaniu organizatorów Jarmarku Pelplin dołączył do europejskich organizacji „Cystersi Morza Północnego i Bałtyku" oraz „Europejska Karta Opactw i Miejsc Cysterskich".

Muzyka i sztuka

W ramach konferencji zorganizowanej w 2001 r. w bazylice katedralnej odbyło się prawykonanie utworu Augustyna Blocha „Bonum est nos hic esse", skomponowanego na 725. rocznicę przybycia cystersów do Pelplina. Wykonali go kompozytor oraz Chór Akademicki Uniwersytetu Gdańskiego pod dyrekcją Marcina Tomczaka.

W kolejnych latach wrześniowemu świętu cysterskiemu towarzyszyły liczne koncerty prezentujące muzykę różnych epok. W murach świątyni rozbrzmiewały chorał gregoriański oraz utwory średniowieczne, renesansowe i barokowe. Odbywały się również koncerty organowe, podczas których prezentowano m.in. muzykę zapisaną w Tabulaturach Pelplińskich.

W krużgankach katedralnych i Muzeum Diecezjalnym przybliżano dziedzictwo polskich i europejskich klasztorów cysterskich poprzez wystawy, takie jak „Opactwa cysterskie Europy" ze zdjęciami Karla von Lindena, „Klasztory cysterskie w krajobrazie polskim" czy „Pomorski Szlak Cysterski". Prezentowano także wystawy poświęcone życiu i pielgrzymkom św. Jana Pawła II oraz europejskim szlakom kulturowym. Można było również oglądać prace studentów z Bydgoszczy powstałe podczas plenerów, a także prace dzieci i młodzieży z powiatu tczewskiego nadesłane na konkursy.

Edukacja i zabawa

W zamyśle pomysłodawców Jarmark Cysterski w Pelplinie miał być przedsięwzięciem naukowym i społeczno-edukacyjnym, przybliżającym lokalną historię i kulturę związaną z zakonem cystersów, który gospodarował tu przez ponad sześćset lat. Dla-



tego od pierwszej edycji, na zaproszenie Jerzego Cisewskiego, członka Zarządu Powiatu Tczewskiego, w wydarzeniu uczestniczą nauczyciele oraz uczniowie szkół i przedszkoli z powiatu tczewskiego.

Pod kierunkiem historyka Jacka Ordowskiego, znanego jako Jacenty z Ordowa, przygotowują i przedstawiają sceny z dziejów opactwa pelplińskiego. Jest on głównym scenarzystą, reżyserem i wykonawcą



Co spotka jarmarczne wiedźmy? Tę tajemnicę zna tylko młodzież, która przygotowuje co roku szkolne dramy.

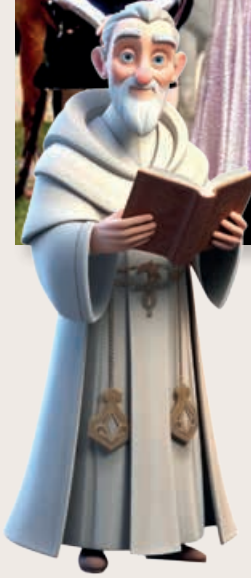
Gdy zapada zmrok, katedra odsłania cysterskie tajemnice. Nocne zwiedzanie z przewodnikiem to gratka dla tych, którzy lubią dreszczyk emocji i są ciekawi historii.

średniowiecznego teatrum jarmarcznego. Dzieci i młodzież uczestniczą również w zabawach sprawnościowych nawiązujących do średniowiecza oraz w turniejach o Miecz Starosty. Przez wiele lat młodzi uczestnicy prowadzili stoiska z własnymi wyrobami i brali udział w konkursach plastycznych, literackich oraz wiedzy o cystersach.

Ważną częścią programu stały się także przeglądy zespołów muzyki dawnej z udziałem dzieci i młodzieży oraz warsztaty historyczno-kulturowe, m.in. skryptoryjne, architektoniczne i tańca dawnego.

Sukces pierwszych jarmarków cysterskich, które stanowiły ludyczne dopełnienie konferencji naukowych, a także aktywny udział dzieci i młodzieży oraz zaangażowanie lokalnej społeczności sprawiły, że w kolejnych latach Jarmark Cysterski stał się głównym wydarzeniem wrześniowego święta szarych mnichów w Pelplinie.





W minionych latach uczestnicy chętnie odwiedzali wioskę średniowieczną i brali udział w warsztatach nawiązujących do życia w dawnych wiekach. Dla dzieci przygotowywano osobne miejsca zabaw.

Rozrastał się zarówno jego program, jak i przestrzeń handlowa. Przybywało kupców, rzemieślników, artystów i wystawców oferujących coraz bogatszy wybór wyrobów. Do Pelplina coraz liczniej przyjeżdżali też goście i turyści z Polski oraz zagranicy.

W 2013 r. Pomorska Regionalna Organizacja Turystyczna uznała Jarmark Cysterski za Produkt Turystyczny Roku, a rok później Targi Gdańskie nagrodziły jego organizatorów.

Profanum i sacrum

Wrześniowe święto cysterskie rozpoczyna się w piątkowy wieczór koncertami i nocnym zwiedzaniem katedry.

Sobotnie przedpołudnie upływa pod znakiem biegów cysterskich, w których chętnie uczestniczą dzieci, młodzież szkolna i dorośli. Popołudnie wypełniają zazwyczaj turnieje rycerskie, zabawy plebejskie oraz wydarzenia kulinarne, takie jak „Cysterskie złoto", „Bitwa na dwie patelnie" czy „Kuchnia cysterska i kociewska".

W minionych latach uczestnicy chętnie odwiedzali wioskę średniowieczną i brali udział w warsztatach nawiązujących do życia w dawnych wiekach. Dla dzieci przygotowywano osobne miejsca zabaw. Przez wiele lat przy młynie cysterskim działała strefa gastronomiczna „Jadło i napitek" – miejsce odpoczynku, zabawy i wieczornych biesiad. Biesiady „królewskie", „rycerskie", „zbójnickie" i „ludyczne" odbywały się również w refektarzu Collegium Marianum. Obecnie strefa gastronomiczna znajduje się wokół sceny na łące przy Collegium Marianum.

Stałym punktem niedzielnego programu jest Msza św. w intencji organizatorów i uczestników jarmarku. Kilkakrotnie celebrowali ją polscy cystersi, w tym Prezes Polskiej Kongregacji Cystersów, opat dr Eustachy G. Kocik.

Najbardziej oczekiwaną częścią programu jest barwny korowód, radośnie przechodzący przez miasto, zmierzający ku głównej scenie usytuowanej nad Wierzycą. Idą w nim postacie historyczne, przedstawiciele samorządów, organizatorzy, goście i wykonawcy, a także dzieci i młodzież w strojach z dawnych epok. Zgodnie ze zwyczajem na rondzie przed magistratem książę Mestwin, w którego wciela się reżyser jarmarcznych spektakli Jacenty z Or-



dowa, otrzymuje klucz do Pelplina od burmistrza miasta.

Na scenie przedstawiciele organizatorów symbolicznie otwierają jarmark i witają zebranych. Wręczany jest tam również Miecz Starosty Tczewskiego reprezentacji szkoły, która zwyciężyła w rozegranym wcześniej historycznym turnieju sprawnościowym. Przed sceną dzieci i młodzież ze szkół powiatu tczewskiego przedstawiają sceny z dziejów pelplińskiego klasztoru.

W tym czasie na ulicach wokół katedry i na placu przed nią trwa jarmark kupiecki, a turyści zwiedzają dawne opactwo cysterskie z przewodnikami. W ogrodach odbywają się rozgrywki pétanque.

Podczas pierwszych pięciu edycji Jarmarku klerycy Wyższego Seminarium Duchownego czytali tam dzieciom bajki i pomagali im szukać zaginionej Księgi Cystersów.

Kilkakrotnie w programie swoją obecność zaznaczyły pomorskie koła myśliwskie, nawiązując do gospodarczej działalności zakonu cysterskiego. W bieżącym roku w jarmarkową sobotę miał miejsce Hubertus Ogólnopolski PZŁ.

Jarmark Cysterski w Pelplinie kończy się zwyczajowo późnym popołudniem inscenizacją historyczną ukazującą wybrany wątek z dziejów ziemi pelplińskiej. Widzowie mogli dotąd poznać m.in. realia czasów przedchrześcijańskich, okresów panowania krzyżackiego i pruskiego oraz szwedzkiego najazdu na pelpliński klasztor. Przedstawiano także legendę o zbójniku Maternie i misję św. Brunona z Kwerfurtu. Inscenizacje, prezentowane początkowo na Przystani Sobieskiego, przeniesiono później na teren przy Collegium Marianum.

Na zakończenie cysterskiego święta przychodzi czas na podziękowania i obietnicę: do zobaczenia za rok! Tak już 25 lat!

Trudno w kilku zdaniach opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się przez 25 lat wrześniowego święta cysterskiego w Pelplinie. Przez wiele lat Jarmark Cysterski był wizytówką Europejskich Dni Dziedzictwa, koordynowanych przez Narodowy Instytut Dziedzictwa. Wierzę, że pozostawił trwały ślad w pamięci organizatorów i uczestników, a przede wszystkim mieszkańców ziemi pelplińskiej, powiatu tczewskiego i Pomorza.

Korzystając z okazji, dziękuję wszystkim osobom, instytucjom i organizacjom, z którymi przez ponad 20 lat miałam zaszczyt współtworzyć, organizować i rozwijać Jarmark Cysterski w Pelplinie. Życzę, aby nadal integrował lokalną społeczność i pozostawał kulturalną wizytówką miasta, powiatu oraz województwa. ■

Więcej na:
www.szlakcysterski.diecezja-pelplin.pl



Członkowie Zespołu Pieśni i Tańca „Kociewie Retro”, utytułowani Ambasadorami Kociewia podczas Walnych Plachandrów; niżej występ Kapeli Kociewskiej „Fefernuski” działającej przy Starogardzkim Centrum Kultury (fot. Jacek Cherek)

WALNE PLACHANDRY 2016





Poczty sztandarowe i nowi Ambasadorzy Kociewia z VI Walnych Plachandrów Kociewskich, Pelplin, 15 sierpnia 2026 (fot. Jacek Cherek)





VI Walne Plachandry Kociewskie, Pelplin, 15 sierpnia 2026 (fot. Jacek Cherek)



MARIA PAJĄKOWSKA-KENSIK

CZEKAJĄC NA KOLEJNE KOCIEWSKIE PLACHANDRY

Muszę wywołać temat gwary, bo to terytorialna odmiana języka wskazała zasięg tej pomorskiej krainy. Dialekt łączy, a jego odcienie jednocześnie dzielą. W świeckiej części, tj. południowej części regionu, nigdy nie słyszałam: *-óni psianknie tańcoweli, tyż nie greli, speli*, co przywołuje w „Weselu kociewskim" ks. Bernard Sychta[1].

I tak mieliśmy „szczaście", że dotarł tu wcześniej dr Florian Cejnowa, potem właśnie ks. B. Sychta. *Srodze ważne ślady, a nie jano zamanówszi* zostawił urodzony tu Roman Landowski[2]. *Ale nóm sie ulazło* – można powiedzieć– że ktoś tak niepospolity wracał do miejsc pamiętanych. Czytając tę jego książkę, przemierzamy sentymentalnie od dworca kolejowego w Świeciu nad Wisłą (tak, kilka razy dziennie docierała tu z Terespola Pomorskiego *bana*), potem przy Struchawie na Chmielniki... Teraz nie tylko „koni żal", ale i *bany* żal. Dla Świeciaków książka r. Landowskiego powinna być lekturą obowiązkową. *Zmienia się postać świata tego*, a tożsamość regionalna pozostaje ważna.

Ostatnio podkreślają to programy telewizyjne pt. „Jestem stąd". Korzystając z nowoczesnej formuły, dziennikarze wracają do oswojonych miejsc i dodają blasku temu, co niby minęło... W gronie bliskich mi osób spoza rodziny był Roman Landowski. Teraz pamięć o nim zobowiązuje, o czym wspomniałam w poprzednim „liście otwartym". Bardzo twórczy Kociewiak i dzieło jego życia duże. Wiele jego dokonań padło na dobrą glebę. Miał twórca szczęście, że syn Janusz czuwa nad plonem dokonań i z powodzeniem przegląda szuflady.

Pisałam kiedyś „Aneksy do Sychty", chwaliłam się złotym dorobkiem, którym było promotorstwo 50 prac magisterskich poświęconych Kociewiu i dwóch rozpraw doktorskich. Odrodzenie regionu odbywało się i nadal trwa na różnych poziomach, w wielu miejscach. Ożywione koła gospodyń wiejskich przypominają, że Kociewie *jestaj tyż w Jeżewie, Gniewie, Zblewie i Tczewie*...

Po obowiązkowej kiedyś ścieżce edukacji regionalnej co roku wyrastają modraki i maki przy rozmaitych *steckach*. Z zadowoleniem obserwuję wychowanie regionalne, które wyróżnia w powiecie świeckim Szkołę Podstawową w Przysiersku. Starannie przygotowane Konkursy Wiedzy o Kociewiu, odbywające się właśnie tam, zadziwiają poziomem i cieszą miłośników. Wspominam wizytę redakcji „Kociewskiego Magazynu" właśnie w tej szkole. Ważne dla mnie jest to, że uczy tam moja córka...

Dużo się działo przy okazji kolejnych Kongresów Kociewskich. Teraz gromadzimy dokonania, by na „szczytowe" spotkanie regionalistów, czyli VII Kongres Kociewski, nie wybierać się z pustymi rękami...

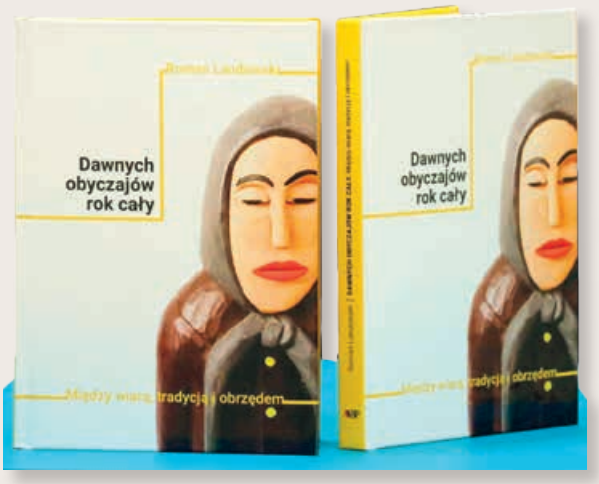
Sporo jest imprez łączących cały region – kongresy, festiwale, konkursy wiedzy, konkursy recytatorskie, Światowy Dzień Kociewia, Święto Kociewia podczas Jarmarku Dominikańskiego, wydawnictwa rozmaite, nawet „Elementarz"... i oczywiście „Kociewski Magazyn Regionalny". Delegacje naszych regionalistów dwukrotnie dotarły do Sejmu, by pokazać, że w Polsce są nie tylko Kaszuby czy Kurpie...

Pewnie Romana Landowskiego cieszyłyby też konferencje popularnonaukowe, działalność Lokalnej Organizacji Turystycznej niosącej barwy kociewskie w Polskę. Gdyby wspomniany twórca opracował tylko „Nowy bedeker kociewski"[3], to już zasługiwałby na naszą wdzięczność. A tu jeszcze dzieło „Poezje: 462 utwory zebrane"[4].

Oprócz wielu przedstawionych przez R. Landowskiego opowieści, legend, baśni trzeba wymienić „Dawnych obyczajów rok cały. Między wiarą, tradycją i obrzę-

1 Ks. B. Sychta, *Wesele kociewskie*, Gdynia 1959.
2 R. Landowski, *Powrót do miejsc pamiętanych*, Pelplin 1999.
3 R. Landowski, *Nowy bedeker kociewski*, Gdańsk 2002.
4 R. Landowski, *Poezje: 462 utwory zebrane*, oprac. E. Jakiel, Tczew 2017.

dem”[5]. Książka bardzo przydatna w praktyce szkolnej.



Często powtarzamy Pasierbowe słowa, że „droga do uczestnictwa w kulturze ogólnoludzkiej prowadzi przez przeżycie własnej tożsamości”. Współcześnie składają się na nią też nowoczesne formy – murale, motywy haftu kociewskiego nawet na ślubnych sukniach, kolorowanki dla dzieci... Na regionalnych biesiadach obecne są dawne smaki – *zagraj, szandar, ruchanki*.

Niezwykłą formą powrotu do źródeł jest nowe opracowanie „Kociewiak na wyginięciu?”[6]. Autorzy – Agnieszka Pawłowska-Mainville i Ryszard Walkowski. Temat – Rozważania o dziedzictwie kulturowym i języku na skraju zapomnienia – wpisany został w działania UNESCO. Dr hab. A. Pawłowska-Mainville jest profesorem na Uniwersytecie Północnej Kolumbii Brytyjskiej (UNBC) oraz kieruje Katedrą UNESCO ds. Żywego Dziedzictwa i Zrównoważonych Źródeł Utrzymania. Jej praca skupia się na ochronie, przekazywaniu, rewitalizacji oraz promowaniu niematerialnego dziedzictwa kulturowego języków rodzimych. Realizacja tematu dobrze wpisała się w działalność Nadwiślańskiego Parku Krajobrazowego. Spotkania i konferencje podczas prezentacji książki były zarazem świętowaniem „sprawy kociewskiej”. Członek Towarzystwa Przyjaciół Dolnej Wisły, Juliusz Dowgwiłłowicz-Nowicki, przygotował wzbogacające całość 22 akwarelki.



Wybór tekstów po kociewsku w „Kociewiaku na wyginięciu?” jest zasługą Ryszarda Walkowskiego, który mile wspomina „tczewskie czasy” i współdziałanie właśnie z Romanem Landowskim.

Teksty gwarowe znajdujemy w części I – „Dawniej bywało”, np. *Masło z kerzanki, Dreszmaszyna ji rozwerek*; cz. II – „O jeściu” (*Babcine pierogi z rżany mąki, Dukane kartofle)*; cz. III – „Szportowne dialogi i jedno przysłowie” (*Awantura o fjuta z rónkli, Bunki*); cz. IV – „Na szlaku Kociewia” (*„Okrónguły Stół” w Gródku, Festiwal Smaku w Grucznie*).

Wspomniana, świeżo wydana przez Wydawnictwo Region, książka powinna znaleźć się we wszystkich bibliotekach na Kociewiu. Może też będzie zachętą, by powstał zespół regionalistów, którzy opracują dalszą część „Bedekera kociewskiego”, obejmującą czas XXI wieku. Liczę na Grono Ambasadorów Kociewia. Roman Landowski też czeka... – myślę.

„Kociewski Magazyn Regionalny” niech żyje i doczeka się bibliografii z lat 2018–2026. ■

[5] R. Landowski, *Dawnych obyczajów rok cały. Między wiarą, tradycją i obrzędem*, wyd. 2, Tczew 2024.

[6] A. Pawłowska-Mainville, R. Walkowski, *Kociewiak na wyginięciu? Rozważania o dziedzictwie kulturowym i języku na skraju zapomnienia*, Gdynia 2026.

Piosenka o Kociewskiej mowie

słowa: Ryszard Walkowski ©

muzyka: Szymon Lisowski ©



Piosenka o kociewskiej mowie

1. Kociewska nasza mowa,
psiankne nasze gadanie,
nasza psieśń dómowa,
zawdy z nóma łostanie.

Refren
Kociewska łagodna mowa,
w sercach naszych śpsiywa,
zawdy tera, wcióż od nowa.

2. W nij my rośli od małygo,
w nij je serce, w nij je dusza,
w nij nas matka utulała,
do snu nóm śpsiywała.

3. Choć świat wielgi nas przywoła,
choć nas droga hen wywoła,
Na Kociywie wrócisz, jak do chleba,
bo swoji mowie serca trzeba.

4. Czujesz? Kociewska mowa,
nasza swoja mowa dómowa,
trza ji strzec, trza jó lubić,
bo to dusza – nie dej zgubić.

Finał
Kociewska mowa, nasza świanta,
póki bijesz nóm jak zwón,
w Tobie serce, w Tobie dóm!



Prof. Maria Pająkowska-Kensik. XI Areopag Pelpliński, Pelplin 2025 (fot. Jacek Cherek)

RYSZARD WALKOWSKI

PANEGIRYK NA CZEŚĆ PANI PROFESOR MARII PAJĄKOWSKIEJ-KENSIK

Ooo ludu złoty! Czego Kociewski lud się dzisia dowie,
Tego żodyn bajkopsisarz niy spsisze, ani niy opowie.
Bo to niy bajka, niy żodne gupot klepanie,
To o Kobiycie, chtórna o Kociywiu ma złote zdanie!

Pani Profesor, nasza Maria – Skra Ormuzdowo złota,
Co z Kociywia gwara znosi, jak pszczoła ma robota.
Kiej otworzy munia ji co powiy, to słychać od razu,
Że to je uczóna, niy klafciara z psierszygo lepszygo razu!

W głowie ma kociewski słownik ji encyklopedija,
A w sercu Jeji gra kociewska, żywa melodija.
Ludzie pytajó: „Skóndka wszyskiygo się dowiedziała?”
Od małygo gzuba: „Od urodzynia Kociywie w sobie miała”.

Na Jeji wykłady kolejka jak za mniodem,
Studenci letli, inksze jecheli samochodem.
Niech chto spróbuje, choć raz niy słuchać
Tego zara sumnienie zacznie trzónchać!

O gwarze gada, jakby o mowie ojców gadała,
Jakby kóżde słowo gansiym szmalcem smarowała.
A jak trzeba, weźmie się zara za psióro,
Do „Pomeranii” napsisze rynczno klawiaturó!

Nie je to baba z byle wybudowania,
To je uczóna godna uszanowania.
Jakby chto mniał Jó do tablicy wziańć,
Niech se lepji przeczyta ksióżków psiańć!

Pani Mario Pajónkowska-Kensik, nasz Skarbie Narodowy,
Kociewska perło, co zbiyra gwaryzmy ji trzymnie honor mowy.
Jakby Ciebie niy bóło, po kociewsku by my niy gadeli,
A tak gadómy, śmiejym się, bo do serca radości dostelim!

Niech żyje nasza Pani Profesor, co Kociywie niesie,
Od Świecia po Skarszewy, Trómbki ji dali po świecie!
Niech gada, niech pjisze! My Panió w sercu nosim,
A urode ji łagodność Krainy nad Wisłó, wespół głosim!

6 lipca 2026

RYSZARD WALKOWSKI

JAK NIE DAĆ ZGINĄĆ TEMU, CO NASZE

CZEGO KOCIEWIE MOŻE SIĘ NAUCZYĆ OD ŚLĄZAKÓW?

Kej wspominómy ginónce mowy ji zwyczaje, czansto wracómy do obrazków z dzieciństwa, do słów, co je pamiantajó najstarsze ludzie, nasze babki ji dziadki. A chto pamianta, że gadelim na nich Lulki? Mało chto wspómina dawne obrzandy widziane dziesiôntki lat nazad. Chto eszcze wiy, co to byli „Puste Noce"? Chto eszcze zaświadczy, że widział ji słyszał Brumtopów? Ja moga zaświadczyć, że widziałóm ji słyszłóm chodzóncych po Kozyn Fyrtlu we Tczewie przede Świantami Bożygo Narodzynia.

Wielu z tych, co pamiantajó, już nie ma. Po wielu nawet „Pustych Nocy" niy bóło, najwyży jedyn Różaniec w dniu pochówku. Zwyczaje ji obyczaje się zmniyniajó, tak bóło ji bandzie, bo na ich trwanie ji zmienianie wpływ ma codzienność: szkoła, robota, fajrowanie ji odpoczynek. Nie możem jednak gadać, że zwyczaje znikajó, bo się zmieniajó. Zniknóńć może co inksze – nasz język kociewski.

Wytwory pracy rónk możem oglóndać w muzealnych gablotach, możem podziwiać budowle ji inne rzeczy materialne. Ale co z tradycjó, obrzyndami ji naszó mowó dómowó? Z tym, co je słychać w codziennym gadaniu? Prawda je taka: tradycja żyje tak długo, jak długo dómy ji szanse trwać – tu ji tera.

Żem ból wyjechany do Krakowa na warsztaty sztuki opowiadania, chtórne zorganizoweli Instytut Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej ji Stowarzyszenie Grupa Studnia O. Podobne warsztaty sztuki opowiadania odbywały się tyż w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ul. J. Dąbrowskiego 6, w Tczewie 7 marca 2026 roku.

Najważniejsze je to, że na warsztatach trafsiółóm na rychtycznych Ślónzaków ji jednó Łeleśniczanke z Oleśnicy w województwie świętokrzyskim. Bóło nas razym sześć sztuk: sztyry kobiyty, jedyn chłop ji ja. Gadelim ze sobó „po naszamu" – po ślónsku, po łeleśnicku, a ja po kociewsku. Ji fejn się dogadywelim.

Ino uważta sobie! Óni wszyske psiyrszy raz dowiedzieli się, kaj rychtych jestaj Kociywie! Najprzód żem zapytał, chdzie je, a odpowiedź: Kajsi tam na północy... Na Kaszubach.

Ja wóm dóm na Kaszubach! Kaszuby só za nami!

A co z tego trefniyncia je najważniejsze?

Bóła tam Izolda Czmok-Nowak, chtórna w Telewizji Katowice prowadzi program „Dej pozór! Tok szok Izoldy Czmok". To móndry program rozrywkowy, bogaty w wiadomości o Górnym Śląsku. W lekki ji wesoły sposób pokazuje ślónskó godka, ludzi, zwyczaje ji bogactwo ślónskigo dziedzictwa. Uczy ji bawi. Z tego programu kóżdy region, a przede wszystkim Kociewie, może brać inspiracja do roboty ku ocalyniu ji promowaniu kociewskigo janzyka.

Kej chto chce, to niech gada, że za czansto używóm wyrażenia „język kociewski", a po-

winienym gadać „gwara”. A co to właściwie je gwara? No, dejta definicja.

Twórcy „Dej Pozór” pokazujó, że kultura lokalna to nie je skansen. To nie je coś, co je zamkłé w kaście abo zaketowane w jizbie w muzeum. Kultura regiónalna może być modna, twórcza ji ciekawa, jeżeli jó trzima sie jak skarb, a nie jak zakurzonó pamióntka. Wedle mnie, tam przeszłość ji teraźniejszość żyjó ramie w ramie.

Izolda – gospodyni programu – ji Jeji goście gadajó po ślónsku. Só wśród nich wszyscy: od przedszkolnygo gzuba, bez „starzyków” ji robióncych „na grubie”, aż po profesorów ji dochtorów. Trafi się, że jaki ważny gość nie poradzi po ślónsku, ale tak samo je u nas na Kociywiu. Jeszcze żem u nas uczały ważny osoby niy słyszał, żeby w telewizorze gadała po naszamu.

Skóndy to wiym? Bo żem obejrzał ji wysłuchał wiankszość audycji. Program powstał w 2013 roku. Tera leci kóżdó niedziela o godzinie 18.00 (poza wakacjami), co daje blisko sztyrdzieści audycji w roku.

W „Dej pozór! Tok szok Izoldy Czmok”, ślónska mowa jestaj żywa, tam gadajó naturalnie, ze swobodó, nie je tematem samym w sobie.

Nie je tak, że móndre głowy siedzó ji gadajó co robjić, żeby „godka ślónska” nie zginyła. Óni po prostu gadajó o wszystkim, a bez to widać, że żyje ji się rozwija, bo gadajó o współczesności. Może niy wszyske goście poradzó dobrze gadać w ślóński mowie, ale przynajmni próbujó.

„Dej pozór!” to je dobry przykład dla Kociewia. Gwara abo janzyk najlepsi się ochroni w użyciu, nie w projektach, w gadaniu - czego to nie musim zrobjić. Zamniast gadać, to robjić!

Uważóm, że Telewizja Tetka Tczew poradziłaby zrobić podobny program. Trzeba poszukać gadajóncych po kociewsku, starych ji młodych. Wedle mnie osoba prowadzónca musiałaby swobodnie gadać po kociewsku. To, że z gościem w programie bandzie gadała po naszamu, doda mu odwagi ji chanci – i babie ji chłopu.

Ostatnimi czasy byłóm wyjechany po prawie całym Kociywiu. Ale chdzie byłóm, to ino ja gadałóm po naszamu. A czy nie byłoby lepsi, żeby obecne tam uczałe ludzie tyż gadeli w naszy „świanty mowie”, zamiast się móndrzyć ji gadać, czego to óni nie robió, abo chcó robjić?

W Skórczu, w dómie kultury, w październiku 2024 roku, na otwarciu wystawy „Własna historia”, spotkałóm Kociewianke obutó po kociewsku, chtórna gadała po naszamu. Widać, że só młode ludzie, chtórne eszcze gadajó. Odeśli już ci, chtórne gadeli: „za stary Polski” abo „psierwy tego nie dało”. Jo, psierwy tego nie dało, żeby po kociewsku tak mało ludzi gadało.

Tedy wzywóm wszystkich na Kociywiu do współpracy. Trzeba Kociewiaków, rozdertych bez trzy powiaty, zebrać do kupy. Najlepsi, żeby bół jedyn Rzóndca – koordynator, chtórny połónczy rozmajite pomysły ji oczekiwania, żeby na wiyrzchu bóło kociewskie dziedzictwo kulturowe jako wspólne dobro jednygo, prężnygo Kociewia, a nie trzech maluśkich kawałków, chdzie kóżdy sobie kriczka skrobie.

Dla ochróny dziedzictwa kulturowygo, zwłaszcza języka, trzeba działać wspólnie.

A jak mnie je wiadómo, o jednym Rzóndcy na Kociywiu to już para lat tymu gadała Pani Profesor Maria Pajónkowska-Kensik. Czas Jéj posłuchać.

A najważniéjsze?

Tradycja pòwinna być do użycia – nie do postawienia na policy. ■

8 lipca 2026

MICHAŁ KARGUL*

ACHTNÓNĆ
KOCIEWSKĄ MOWĘ!

W listopadzie 2024 roku Rada Naczelna Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego przyjęła, w czasie spotkania w Zblewie, „Program dla Kociewia". Jest to dokument programowy, który w perspektywie kilku lat wyznaczył najważniejsze działania, jakie w ramach Zrzeszenia będą podejmowane na rzecz naszego regionu. Drugi punkt owego Programu brzmi: „Kolejnym kluczowym zadaniem są działania na rzecz ochrony i rozwoju dialektu kociewskiego języka polskiego. Kontynuować będziemy nasze zaangażowanie na rzecz zmian prawnych zmierzających do stworzenia realnie działających narzędzi, dzięki którym instytucje państwowe otoczą opieką regionalne odmiany polszczyzny i związane z nimi kultury regionalne". Tak jak i w pozostałych punktach tego dokumentu, za stworzeniem tego zapisu szły już konkretne pomysły i działania. Zmaterializowały się one kilka miesięcy później w projekcie „Achtnónć kociewską mowę!", który Zarząd Główny ZKP złożył do Instytutu Różnorodności Językowej Rzeczpospolitej w ramach programu „Różnorodność Językowa".

Głównym elementem projektu była konferencja, którą przeprowadziliśmy 29 października 2025 roku w tczewskiej Fabryce Sztuk. Składała się ona z dwóch części. W pierwszej, *stricte* konferencyjnej, uczestnicy mogli wysłuchać wykładu prof. Marii Pająkowskiej-Kensik, będącego zarysem wiedzy o dialekcie kociewskim, oraz wystąpień przedstawicieli Związku Kurpiów – prezeski Iwony Choroszewskiej-Zyśk i wiceprezesa Mirosława Grzyba, którzy opowiedzieli nam o działaniach i dobrych praktykach dotyczących dialektu kurpiowskiego. Działania Kurpiów, które w ostatniej dekadzie toczyły się z dużym rozmachem, są dziś jednym z najciekawszych przykładów troski regionalnej społeczności o swoją mowę. Dlatego warto było poznać inicjatywy i projekty, jakie prowadzone są w ostatnim czasie w krainie nad Narwią.

Natomiast druga część miała charakter warsztatowy. Uczestnicy podzielili się na trzy grupy i każda z nich po kolei odbywała zajęcia: z dr Anną Łucarz „Od tradycji do nowoczesności, czyli jak współcześnie kultywować i promować gwarę kociewską?"; z dr Katarzyną Sturmowską-Hinc „Dobra artykulacja kociewska jako podstawa przygotowania gwarowych wystąpień scenicznych – warsztaty fonetyczne" oraz z Beatą Graban „KOCIEWIE? GRA! Gry terenowe i stacje zadaniowe jako metody poznawania i utrwalania kociewskiego słownictwa – dobre praktyki". Warsztaty te były skierowane do nauczycieli i edukatorów zajmujących się edukacją gwarową. Miały dostarczyć praktycznej wiedzy i umiejętności każdemu, kto prowadzi zajęcia edukacyjne związane z gwarą kociewską. Udział w nich wzięło około trzydziestu zainteresowanych

* Dr Michał Kargul jest wiceprezesem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ds. kociewskich.



osób z całego Kociewia. W czasie konferencji przedstawiliśmy też kilka kolejnych owoców naszego projektu. Zbudowaliśmy specjalną stronę www.kociewskiezrzeszenie.pl, na której, poza informacjami o Kociewiu i jego mowie, zamieściliśmy szereg publikacji. Część z nich to materiały, które wcześniej zamieszczone były na portalu Skarbnica Kociewska, m.in. wszystkie numery „Tek Kociewskich" czy publikacja „Polska Regionalna", zawierająca materiały z konferencji, jaką Zrzeszenie zorganizowało na V Kongresie Kociewskim. Jednak największą wartością dodaną są specjalne materiały edukacyjne: tak w formie kilku filmów wideo, jak i klasycznych prac pisanych. A nie są to byle jakie prace... Specjalnie bowiem pod kątem wsparcia kociewskiej edukacji językowej przygotowaliśmy trzy publikacje, mające charakter praktycznych i przystępnych poradników.

Anna Łucarz przygotowała pracę „Gadómy po naszamu, czyli kompendium wiedzy o gwarze kociewskiej". Zawiera ona niezbędną wiedzę dotyczącą mowy Kociewia. Co jednak istotne, jest to kompendium nie tyle o charakterze encyklopedycznym, ile opracowanym pod kątem dydaktycznym, tak by mogło ono służyć nauczycielom czy edukatorom uczącym o Kociewiu i jego gwarze. Jest to dziś chyba jedyne tego typu opracowanie, mogące dać niezbędne podstawy każdemu, kto chciałby się bliżej, zwłaszcza w kontekście edukacji, zająć mową Kociewia.

Beata Graban i Katarzyna Sturmowska-Hinc opracowały „Podstawy fonetyki i ortografii kociewskiej" oraz scenariusze zajęć „Achtnóć kociewską mowę". „Podstawy fonetyki i ortografii..." mają ułatwiać działania edukacyjne związane z tekstami i wypowiedziami w gwarze kociewskiej. Ta praca



Wykład prof. Marii Pająkowskiej-Kensik podczas konferencji „Achtnóć kociewską mowę!", 29 października 2025 w Fabryce Sztuk w Tczewie (fot. Jacek Cherek)

nie tylko przedstawia charakterystykę mowy Kociewia, ale nade wszystko proponuje praktyczne działania dotyczące uczenia wymowy czy pisania w niej tekstów. Autorki wykorzystały tu swoje doświadczenia naukowe i dydaktyczne związane z opracowywaniem tekstów gwarowych, a także przygotowaniem uczestników konkursów mowy kociewskiej. Można tu nadmienić, że proponują one m.in. wprowadzenie do kociewskich tekstów gwarowych nowej literki „ý", by lepiej oddać specyfikę kociewskiej wymowy. Praktyczny wymiar tej pracy pogłębiają proponowane w osobnym opracowaniu ćwiczenia oraz scenariusze zajęć, dające możliwość praktycznego ćwiczenia kociewskiej mowy.

Dwie pierwsze prace wydaliśmy także w formie papierowej, prezentując je i rozdając uczestnikom październikowej konferencji. Zaś wszystkie trzy są do pobrania w formacie PDF ze wspomnianej powyżej strony. Natomiast ich uzupełnieniem są zamieszczone tam także materiały wideo, zawierające kilka wypowiedzi i rozmów w gwarze kociewskiej, będących swoistą ilustracją dla wspomnianych prac. Ich celem jest umożliwienie osobom np. przygotowującym uczestników konkursów gwarowych osłuchania się z prawidłową wymową w gwarze.

Ideą przewodnią tak samej konferencji w Fabryce Sztuk, jak i całego projektu, było przygotowanie materiałów i zaproponowanie działań warsztatowych, które będą elementem pewnego całościowego, strategicznego namysłu nad edukacją językową na Kociewiu. Tę inicjatywę bowiem stworzyliśmy z myślą o długofalowych działaniach mających na celu ochronę i rozwój naszej gwary. Chociaż nie brakowało i nie brakuje bardzo cennych działań związanych z kociewszczyzną, to jednak trzeba sobie uświadomić, że w porównaniu do działań innych regionalnych społeczności w Polsce brakuje nam tutaj pewnego całościowego, strategicznego właśnie podejścia. Dlatego, opracowując założenia wspomnianego na sa-



Wystąpienie Iwony Choroszewskiej-Zyśk, prezeski Związku Kurpiów, podczas konferencji w Tczewie (fot. Jacek Cherek)

mym początku „Programu dla Kociewia", uznaliśmy, w ramach środowiska zrzeszeniowego na Kociewiu, że jest to jedno z kluczowych zadań, jakie stoją przed nami w najbliższym czasie.

W tym miejscu warto wspomnieć, że z inicjatywy nieżyjącego już senatora Andrzeja Grzyba w 2012 roku podjęliśmy szereg działań mających na celu systemowe, prawne wsparcie dla działań na rzecz regionalnych odmian języka polskiego z gwarą kociewską na czele. I choć śp. Senator zainicjował zmiany prawne w Senacie, niestety jego śmierć przerwała tę inicjatywę.

Wspólnie ze Związkiem Kurpiów w ostatnich latach ponownie pochyliliśmy się nad tą sprawą, tworząc nawet kolejny projekt zmian prawnych, mający na celu skuteczniejsze i właśnie systemowe wsparcie przez instytucje państwowe ochrony i rozwoju regionalnych odmian języka polskiego. Niestety jednak w ostatnich latach nad tego typu inicjatywami cieniem kładzie się sprawa statusu mowy Ślązaków. Gorące dyskusje w tej sprawie, mające też silne przełożenie na spory polityczne, nie tylko spychają całkowicie na margines zgłaszane w tej sprawie od dawna postulaty takich społeczności jak Kurpie czy Kociewiacy, ale także powodują, że zgłaszane przez polityków różnorakie pomysły prawne w tej sferze w praktyce całkowicie ignorują nasze potrzeby. A od siebie mogę dodać, że niestety nasi parlamentarzyści z Kociewia całkowicie nie są zainteresowani tym tematem. Trudno nie uznać za swoiste kuriozum faktu, że z większą uwagą i zainteresowaniem do sprawy ochrony gwary kociewskiej podchodzą dziś członkowie Parlamentarnego Zespołu Kaszubskiego niż nasi właśni przedstawiciele różnych opcji politycznych.

Dlatego właśnie pojawił się pomysł przyjęcia pewnego długofalowego, oddolnego planu działań na rzecz gwary kociewskiej. Zeszłoroczny projekt był tu pierwszym krokiem. Jego nadrzędnym celem było stworzenie zestawu bazowych materiałów edukacyjnych, które poza podstawową rolą, czyli

wspieraniem pracy wszelkiego rodzaju edukatorów kociewskich, mają też odegrać rolę swoistego katalizatora dalszej dyskusji w gronie kociewskich regionalistów na temat potrzeb i oczekiwań w sferze edukacji językowej w naszym regionie w oparciu o dobre praktyki z innych części Polski. Ciekawym przeglądem takich procesów była marcowa konferencja na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach „Język językczkiem u wagi", gdzie pochylano się m.in. nad sytuacją i działaniami Górali, Mazurów, Kurpiów czy naturalnie nade wszystko Ślązaków. Bardzo ciekawe i odległe od politycznych emocji w sprawie śląskiej wnioski z tej konferencji można tu sprowadzić do prostej konstatacji, że ochrona i przetrwanie danej mowy zależą nade wszystko od przemyślanych i długofalowych działań danej społeczności. Zaś w skali całego kraju za pewien wzorzec takich działań dziś można uznać właśnie aktywność społeczności kurpiowskiej i warto u nas na Kociewiu dziś podjąć dyskusję, które ich inicjatywy można implementować także u nas.



Stąd jednym z owoców naszej jesiennej konferencji jest wniosek, że należy w najbliższym czasie podjąć dyskusję nad potrzebą stworzenia Rady Gwary Kociewskiej, tudzież Dialektu Kociewskiego. Na marginesie to też jest ciekawa sprawa, że w działaniach różnych instytucji widać tu dużą swobodę w nazywaniu naszej mowy i mamy tu pewien kłopot: czy powinniśmy nazywać naszą mowę tradycyjnie gwarą, czy może jednak dialektem? Nie wymyślając prochu i wzorując się tak na Kurpiach (gdzie od kilku lat działa Rada Dialektu Kurpiowskiego), jak i na bliższych nam Kaszubach (gdzie, choć kaszubski ma status osobnego języka, to jednak praktyczne działania, gdy mowa o funkcjonowaniu Rady Języka Kaszubskiego, wydają się bardzo uniwersalne), należy dogłębnie przeanalizować, na ile stworzenie tego typu społecznego bytu mogłoby pomóc nam w dalszych działaniach. Być może takie ciało byłoby najodpowiedniejszym miejscem do dyskusji nad przyjęciem pewnego standardu zapisywania kociewskich tekstów gwarowych, bo jak znów wyszło z dyskusji na naszej konferencji, dzisiejsza dowolność także stanowi spory problem z punktu widzenia edukacji.

Reasumując, można stwierdzić, że owo achtnięcie naszej mowy, którego dokonaliśmy w zeszłym roku, jest bardzo owocną inicjatywą. Tak przyniosło materialny dorobek, do korzystania z którego wszystkich serdecznie zapraszamy, jak i pobudziło dyskusję na temat dalszych działań na rzecz gwary kociewskiej, szeroko zresztą wykraczającą poza szeregi Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Jako inicjator i reżyser tych projektowych działań jestem bardzo zbudowany tymi efektami i mam nadzieję, że faktycznie był to pierwszy krok w stronę kolejnych cennych dla Kociewia i jego mowy działań. ■

AMELIA ZAKRZEWSKA, ADRIANNA ZAKRZEWSKA

KOCIEWIE W LITERATURZE… PIĘKNEJ

Pytasz sia, dzie Kociewiaki[1]... mają swoją literaturę?

Gdy patrzymy na literacką mapę Polski, to widzimy wyraźne kontury: ulice wojennej Warszawy, gwarny i piękny Kraków, mit „raju utraconego" w kontekście Kresów Wschodnich, krajobraz Kaszub czy Gdańsk – miasto jednocześnie polskie i obce. To tam literatura „małych ojczyzn" rozgościła się najmocniej. A przecież tuż obok Kaszub, często zapomniane, leży nasze Kociewie – rozległa kraina na zachodnim brzegu Wisły, rzeźbiona nurtami Wdy i Wierzycy, oddychająca powietrzem Borów Tucholskich.

Choć na tym wielkim obszarze nie zawsze łatwo doszukać się głośnych tytułów, które ukazywałyby piękno regionu, to błędem byłoby sądzić, że Kociewie milczy. Swoją opowieść snujemy inaczej – mniej krzykliwie – ale z niezwykłą pasją zapisaną między borowiackimi kniejami a nurtem naszych rzek. Nadszedł najwyższy czas, by wydobyć te słowa z cienia.

Zróbmy to jednak po naszemu, bez pośpiechu, w spokojnym, kociewskim rytmie. Nasza literatura to bowiem przestrzeń niezwykle gościnna, w której każdy czytelnik rozgości się we własnym tempie. Nie zamykamy się w jednym nurcie. Kociewie to przecież nie tylko żywa historia i tradycja, ale też wciągające powieści obyczajowe – zarówno te klasyczne, jak i te z historią w tle – kryminały z nutką paranormalną, a nawet fantastyka.

Aby się o tym przekonać, naszą wędrówkę po regionalnych ścieżkach słowa rozpocznijmy niespiesznie od literatury obyczajowej, która daje nam możliwość spojrzenia na naszą małą ojczyznę z innej perspektywy. Przyzwyczajeni do krajobrazu, zwyczajów i języka, ze zdziwieniem zauważamy, że to, co dla Kociewiaków jest oczywiste, innych dziwi.

Anna Sakowicz, autorka trzytomowej serii „Na Kociewiu", na skutek życiowych zawirowań zamieniła Stargard na Starogard Gdański. I takim samym losem obdarzyła bohaterkę swojego cyklu. Joanna, czterdziestoletnia nauczycielka,



Anna Sakowicz podczas spotkania w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie, marzec 2024 (fot. Jacek Cherek)

[1] Ks. B. Sychta, *Hymn Kociewski*.



Anna Sakowicz, cykl „Na Kociewiu": „Złodziejka marzeń", „To się da!", „Już nie uciekam", Wyd. Szara Godzina (fot. Tania Książka)

bierze roczny urlop i udaje się z córką na Kociewie, by zaopiekować się chorą ciotką. Tak zaczyna się pierwsza część sagi, czyli „Złodziejka marzeń"; kolejne to „To się da" i „Już nie uciekam". Razem z Asią przyjeżdżamy do Starogardu, obserwujemy, jak zmienia się jej życie i ona sama. A w tle, w roli drugoplanowej, występuje Kociewie.

Autorka doskonale oddała klimat kociewskiego miasteczka, atmosferę wspólnoty. Ta książka również pachnie i smakuje kociewszczyzną – szarlotką z pysznymi jabłkami, ruchankami i aromatyczną „arbatą", jak to się mówi po kociewsku. Zresztą dużą rolę odgrywa tu nasza gwara. Rodzimi bohaterowie posługują się swoim dialektem, który dla Asi jest momentami niezrozumiały. Wszędobylskie „jo", które dla nas jest nieodłącznym elementem codziennych rozmów, budzi w Lusi, córce Joanny, zdziwienie: „Tu się mówi «jo»? – nie dowierzała". Mówi się i to często – mogłybyśmy jej odpowiedzieć. W ogóle samo określenie „Kociewie" też było jej wcześniej nieznane. Z własnego doświadczenia wiemy, że nie jest to tylko odosobniony przypadek – dlatego tak ważne jest, byśmy ten nasz region reklamowali. I dlatego tak cieszy, że pisarka znana w całej Polsce umieściła akcję powieści w naszym regionie.

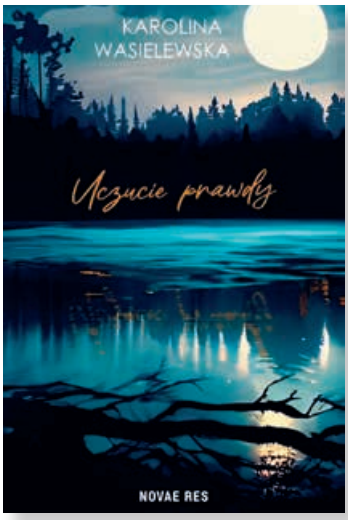
Kolejną osobą „z zewnątrz", która o nim napisała, jest Karolina Wasielewska. Choć może wyrażenie „spoza" jest trochę na wyrost – autorka ma na Kociewiu rodzinę i w młodości często spędzała tu wakacje. W powieści „Uczucie prawdy" właśnie na rodzinie i jej historii się koncentruje. Na Kociewie przyjeżdżają Justyna i Zosia, by odkryć tajemnicę swojej babci Marianny i tajemniczego mężczyzny ze zdjęcia. O samej książce więcej przeczytacie w recenzji Joanny Cieszyńskiej, która ukazała się w 110. numerze „Kociewskiego Magazynu Regionalnego". Natomiast my chcemy się skupić na kociewskich akcentach w książce.



Karolina Wasielewska, spotkanie autorskie w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie, czerwiec 2024 (fot. Jacek Cherek)

Autorka tak pięknie opisała miejsca, do których możemy się w każdej chwili wybrać. Znamy te rejony, bywałyśmy tam – ale po lekturze „Uczucia prawdy" mamy ochotę odwiedzić je ponownie. Osiek, jezioro Kałębie nazywane Morzem Kociewskim, Wycinki, Okarpiec, wschody słońca na Kociewiu... Znajdziecie je w tej książce. To swoisty przewodnik po tych terenach, obudowany solidną, piękną i bardzo bolesną opowieścią miłosną, która łączy w sobie teraźniejszość i historię. Warto byłoby tę książkę dawać w pakiecie hotelowym przyjeżdżającym tu turystom. To bardzo budujące, jak inni postrzegają nasze Kociewie, piszą o nim, chcą tu wracać i zachęcają do tego innych.

Mnóstwo elementów z języka, zwyczajów oraz bolesnej historii znajdziemy u pisarki, która jest „nasza", pochodzi z Kociewia. To Karolina Głogowska. I choć



Karolina Wasielewska, „Uczucie prawdy" Novae Res (fot. Tania Książka)

w jej serii „Kociewie" występuje fikcyjne miasteczko Turcz, to jak dobrze poszukamy na mapie – odnajdziemy jego prawdziwy odpowiednik. W cyklu do tej pory wyszły dwie książki: „Szeptanka" i „Usypianka"; trzecia jest w przygotowaniu. To propozycja mroczniejsza niż poprzednie – łączy w sobie powieść obyczajową, kryminał, historię i wątki paranormalne. Hela, piętnastolatka, wpada w kłopoty w szkole. Za karę, razem z mamą Matyldą, ma spędzić wakacje na kociewskiej wsi u babci i prababci. Ich przyjazd daje początek serii wydarzeń, które zatrzymać może rozwiązanie rodzinnej tajemnicy.

Te książki to niesamowite źródło wiedzy o Kociewiu. Lólka i Busia (czyli po polsku prababcia i babcia) posługują się gwarą, która nawet nam, rodowitym Kociewiankom, sprawiła trochę kłopotów. Czyż zdanie „I nie szlodraj tak tej sukni, bo ci się umemła" nie brzmi nieco niezrozumiale? A to przecież po kociewsku.

Obok gwary dużo miejsca autorka poświęca też zwyczajom u nas praktykowanym. Jak choćby przedstawiona w „Usypiance" „pusta noc", czyli obrzęd czuwania, modlitw i śpiewów w domu przy trumnie zmarłego przez całą noc. Choć teraz rzadko praktykowany, pojawia się w opowieściach starszych członków rodziny. Jest w tej serii sporo o historii naszego regionu – tej jeszcze świeżej, bolącej, z czasów II wojny światowej. Podczas lektury możemy dowiedzieć się, jak wyglądało wtedy życie z perspektywy „zwykłych" Kociewiaków. Nie jest to łatwa lektura, ale bardzo potrzebna.

Szukając Kociewia w beletrystyce, natrafiłyśmy na prawdziwą perełkę. To „Narzeczona z Kociewia" Konrada T. Lewandowskiego. Autor wziął na warsztat zapomniany trochę epizod z historii wsi Janowo koło Kwidzyna. Otóż wieś ta razem z czteroma przysiółkami opowiedziała się w plebiscycie z 1920 roku za przynależnością do Polski. W jego rezultacie znalazła się w granicach II Rzeczypospolitej i była stolicą tzw. Małej Polski.

Autor postanowił opowiedzieć tę historię w niekonwencjonalny sposób. Obok postaci historycznych pojawiają się tu też fikcyjni bohaterowie, a nawet stwory rodem z mitologii słowiańskiej. Tak – „Narzeczona z Kociewia" to powieść z gatunku fantastyki – pojawiają się tu utopce, słowiańskie bóstwa w towarzystwie chrześcijańskiej religii, a nawet elementy japońskiej kultury.

Czytamy tu o walce o wpływy – nawet polskie demony muszą zmierzyć się ze swymi niemieckimi wrogami. To naprawdę ciekawe spojrzenie na historię regionu, stosunki społeczne i narodowościowe, jakie panowały na tym terenie. I choć możemy się spierać, że Janowo to przecież już Powiśle, autor w tytule umieścił jednak Kociewie, więc zaciekawiony czytelnik może zechcieć dowiedzieć się czegoś więcej o naszym regionie. Jest to też przypomnienie ważnej historii, o której nie wszyscy słyszeli.

Kociewie w literaturze pojawia się w różnych kontekstach. Powyższe zestawienie to tylko kilka tytułów. Z całą pewnością jest ich więcej! Gorąco zachęcamy do własnych poszukiwań i odkryć, które pozwolą Wam na nowo zakochać się w naszym regionie. Czytajcie, poszukujcie, a także dajcie się porwać tym historiom, bo przecież Kociewie ma o czym opowiadać. ■

RENATA KOZŁOWSKA

ACH! WIĘC TU JEST KOCIEWIE!

„Ach! Więc tu jest Kociewie!" – pomyślałam, patrząc na mapę regionu znalezioną w hotelu w Tczewie. Miałam wtedy dużą nadzieję, że szybko stanie się dla mnie czymś więcej niż tylko rejonem geograficznym czy adresem nowej pracy. Zaskoczyło mnie, jak naturalnie znalazłam tu to, czego tak bardzo potrzebowałam. Przestrzeń do ruchu, bliskość natury i miejsca, w których lubię się zatrzymać. Do tego pomocni i inspirujący ludzie.

Poznawanie miasta rozpoczęłam od wizyty na Bulwarze Nadwiślańskim. To miejsce, gdzie można skierować wzrok daleko w górę i dół rzeki lub na przeciwległy brzeg. Bywają dni, gdy da się śledzić penetrującego Wisłę bielika albo wypatrzeć fokę. Wielu ludzi korzysta z tej przestrzeni. Przychodzą z dziećmi i z psami. Zatrzymują się na placach zabaw lub ławkach. Spoglądają na rzekę, kaczki i zabytkowy most, a potem na panoramę miasta.

Biegacze i rowerzyści mijają się w obie strony. Swoje miejsce znalazł tu także sobotni Parkrun, który ma już ponad 400 edycji i więcej niż dziewięć tysięcy uczestników. To znak, że dla wielu mieszkańców ruch i zdrowy tryb życia są ważne.

Po ruchu przychodzi naturalna potrzeba zatrzymania. Warto udać się więc do Plumkafki. To kawiarnia, do której nie tylko się schodzi schodami w dół, ale wchodzi trochę głębiej. Wystrój jak z domu międzywojnia, rozproszone światło i niski strop sprawiają, że głosy przycichają. Rozmowy przy stolikach toczą się nie tylko nad kawą i ciastkiem, ale i nad książką czy planszową grą. Czas tu zwalnia, pozwala odetchnąć i odpuścić pęd, który został na górze.



Renata Kozłowska, spotkanie Tczewskiego Koła Literatów, październik 2025 (fot. Jacek Cherek)

Spacerując uliczkami miasta, dojdziemy do miejskiej biblioteki. Dla wielu ludzi to nie tylko wypożyczalnia książek, ale też ważne miejsce spotkań i poszerzania horyzontów. Liczne spotkania z autorami, ciekawe warsztaty pojawiają się tu regularnie. To tutaj trafiłam na „Nowy bedeker kociewski", który opisuje historię regionu, przedstawia zabytki i znaczące postacie, dając inspirację do dalszego poznawania. Książki lokalnych autorów zachęcają do podążenia śladami bohaterów. W „Samsonie" Piotra Bolca miasto staje się barwnym tłem dyna-



400. parkrun w Tczewie, 12 kwietnia 2025 (fot. Jacek Cherek)

micznych wydarzeń. Tropem głównego bohatera Alka Jakusza podążamy od dworca kolejowego przez Stare Miasto na osiedle Suchostrzygi. W bibliotece także odbywają się spotkania Koła Literatów im. Romana Landowskiego, na które trafiłam prawie przypadkiem, ale całkowicie celowo. Starsi doświadczeniem poeci i pisarze z Zofią Daniel jako założycielką dzielą się twórczością, ale i swoim warsztatem.

Gdy pojawi się potrzeba ciszy i bliższego kontaktu z naturą, można wyjść kawałek dalej. Jeśli obierzemy kierunek w stronę Rokitek, to po drodze warto spojrzeć w górę na gniazdo sokołów na kominie ciepłowni. Admirała i Lucecitę w porze lęgowej warto podglądać kamerą on-line. Można dotrzeć aż do Jeziora Rokickiego albo zaplanować dalsze wycieczki do Arboretum Wirty czy odwiedzić zabytki Świecia, Pelplina czy Gniewu.

Ta bliska dostępność jezior, lasów i otaczające nas czyste powietrze są dla mnie bardzo cenne. Nie muszę czekać do weekendu, aby



Zamek w Gniewie (fot. Bogdan Konieczny)

z tego korzystać. Na Kociewiu to wszystko mnie po prostu otacza. Do tego spotkałam tu wielu miejscowych ludzi, którzy są dumni ze swojego regionu, a przy tym wyjątkowo pomocni dla innych, przez co sprawiają, że chce się tu zapuścić korzenie. ■

JULITA DEMBEK

POZNAJCIE KRAINĘ HAFTU KOCIEWSKIEGO

Początki rozwoju sztuki hafciarskiej w naszym regionie przypadają na lata siedemdziesiąte XX wieku. Hafciarki z Kociewia rozpoczęły żmudną pracę zbierania oraz tworzenia wzorów haftu kociewskiego. Inspiracje czerpały z kościelnych ornatów, baldachimów, a także skrzyń wianowych.

Jedną z propagatorek wzorów kociewskich była Maria Wespa pochodząca z Morzeszczyna. Wespowa bazowała na ośmiu kolorach: białym, słomkowym, żółtym, pomarańczowym, czerwonym, liliowym, ciemnoniebieskim i zielonym. Zaś wzornictwo swe oparła głównie na ornamentyce florystycznej, w której występują charakterystyczne dla regionu chabry, maki, tulipany czy stokrotki. Do dziś jej praca jest inspiracją dla kolejnego pokolenia mieszkanek i mieszkańców gminy Morzeszczyn.

Zaczęło się od murali. Budynki użyteczności publicznej przyozdobiono motywami nawiązującymi do haftu kociewskiego. Kolorowe kwiaty pojawiły się w całej gminie – na świetlicach wiejskich, szkole, budynku urzędu gminy, jak również na prywatnych posesjach mieszkańców Morzeszczyna. Charakterystyczne dla Kociewia chabry, maki i stokrotki można zobaczyć w wielu miejscach.

W 2025 roku z inicjatywy Biblioteki – Ośrodka Kultury w Morzeszczynie poczy-



Promocja wzornictwa kociewskiego w Krainie Haftu Kociewskiego (fot. Julia Rogalska)

niono kolejny krok. Dzięki dofinansowaniu ze środków Narodowego Centrum Kultury w Dzierżążnie powstała wioska tematyczna – Kraina Haftu Kociewskiego. Projekt poprzedziła wizyta studyjna we wioskach tematycznych w różnych częściach Polski, a także warsztaty z tworzenia questów – gier terenowych pozwalających poprzez rozwiązywanie zagadek poznać atuty turystyczne miejsca. Warsztaty tworzenia











Warsztaty w wiosce Kraina Haftu Kociewskiego, 5 lipca 2025 (fot. Julia Rogalska)



Kraina Haftu Kociewskiego w Morzeszczynie i Dzierżążnie, promująca dziedzictwo haftu kociewskiego w nawiązaniu do morzeszczyńskiej szkoły haftu odtworzonej przez Marię Wespę, łączy wszystkie pokolenia (fot. Julia Rogalska)

questów poprowadził specjalista w tej dziedzinie – Krzysztof Szustka. W projekcie udział wzięli mieszkanki i mieszkańcy gminy Morzeszczyn, przedstawicielki kół gospodyń wiejskich, instytucji kultury, a także członkowie organizacji pozarządowych i rękodzielnicy. Uczestnicy dowiedzieli się, czym są wioski tematyczne, a także jak wykorzystywać atuty miejsca, w którym taka atrakcja funkcjonuje. Zwieńczeniem cyklu warsztatów było stworzenie questów.

W gminie Morzeszczyn powstały aż trzy tego typu gry: „Zboża kłosy, polne kwiaty – quest w kociewski haft bogaty" prowadzący uczestnika śladami życia Marii Wespy z Morzeszczyna do Dzierżążna; „Droga Świętego Jakuba w Dzierżążnie" – quest nawiązujący do historii świątyni Świętego Jakuba Starszego oraz Pomorskiej Drogi św. Jakuba wytyczonej m.in. przez wieś; „Cysterskim szlakiem w Nowej Cerkwi" – gra terenowa stworzona w oparciu o cysterskie dziedzictwo gminy Morzeszczyn, prowadząca turystę wśród dziedzictwa, które zostawili po sobie mnisi.

Krainę Haftu Kociewskiego oficjalnie otwarto 5 lipca 2025 r. Wydarzenie połączono z festynem promującym gry terenowe, a także ideę wioski tematycznej. Tego dnia przede wszystkim mieszkańcy gminy, a także zaproszeni goście przetestowali questy i wzięli udział w licznych atrakcjach przygotowanych przez animatorów kultury z Biblioteki-Ośrodka Kultury w Morzeszczynie.

Po roku od zakończenia projektu na ulicach Morzeszczyna, Dzierżążna i Nowej Cerkwi w słoneczne dni można spotkać turystów i pasjonatów questowych wypraw, którzy chętnie korzystają z przygotowanych tras. Rozwiązują zagadki, aby na końcu drogi znaleźć skrzynkę ze skarbem i przybić pamiątkową pieczątkę. Przybądź i Ty, poznaj Krainę Haftu Kociewskiego inspirowaną twórczością hafciarki z Morzeszczyna – Marii Wespy. ■

PIĄTY KOCIEWSKI FESTIWAL ZUPY W CZARNEJ WODZIE

Piąta edycja Kociewskiego Festiwalu Zupy przyciągnęła do Czarnej Wody miłośników regionalnych smaków, dobrej muzyki i rodzinnej zabawy. W konkursie zmierzyło się aż 12 drużyn, a tytuł „Mistrza Kociewskiej Zupy 2026" zdobył Śmiechu Team za kociewską botwinkę „Młodość buraka".

Tradycyjnie w ostatnią sobotę lipca stadion w Czarnej Wodzie zamienił się w kulinarne centrum Kociewia. Piątą edycję festiwalu uroczyście otworzył burmistrz Arkadiusz Gliniecki. Do konkursu stanęło 12 drużyn, które przygotowały zarówno tradycyjne kociewskie potrawy, jak i autorskie propozycje. Na stołach pojawiły się m.in. czernina, żurek, zupy grzybowe, a także zupy: szczawiowa, porowo-serowa, brukwiowa oraz kociewska zupa z lebiody.

Jury w składzie: Lucyna Herold, Iwona Mechlińska, Barbara Kropidłowska i Agnieszka Olszowa miało trudne zadanie.

Po degustacji i burzliwych obradach najwyżej oceniono zupę „Młodość buraka" przygotowaną przez drużynę Śmiechu Team. Zwycięzcy otrzymali tytuł „Mistrza Kociewskiej Zupy 2026", okolicznościową chochlę oraz – tak jak wszystkie drużyny – atrakcyjne nagrody rzeczowe.

Swojego faworyta wybrała również publiczność. Nagrodę publiczności zdobyła Publiczna Szkoła Podstawowa w Czarnej Wodzie za zupę grzybową. Wśród uczestników głosowania rozlosowano drobne upominki oraz zestaw ogrodowy ufundowany przez lokalnego przedsiębiorcę Stanisława Mokwę. Przyznano także nagrody specjalne. Bytońska Chochla została wyróżniona przez Stowarzyszenie Kociewskie za przygotowanie kociewskiego stanowiska, a KGW Owidz otrzymało nagrodę specjalną Starostwa Powiatowego w Starogardzie Gdańskim.

Festiwal był jednak czymś więcej niż tylko konkursem kulinarnym. Uczestnicy



Z takim jury żadna zupa nie przejdzie bez echa… ani bez dokładki! (fot. MBP w Czarnej Wodzie)







Trzy ekipy, pełne gary – tu się dzieją smaczne czary! (fot. MBP w Czarnej Wodzie)



Śmiechu Team ugotował zwycięstwo – burak odmłodniał ze szczęścia, a oni zgarnęli nagrodę! (fot. MBP w Czarnej Wodzie)

mogli spróbować potraw przygotowanych przez firmę IGLOTEX, a o słodki poczęstunek zadbały panie z KGW Lubiczanki. Na miejscu działała również strefa zdrowia, w której można było bezpłatnie zmierzyć poziom cukru we krwi i ciśnienie tętnicze.

Na najmłodszych czekały dmuchańce, eurobungee, karuzela, wata cukrowa, przejażdżki konne oraz warsztaty garncarskie. Dużym zainteresowaniem cieszyło się także stanowisko Stowarzyszenia FORST z Czarnej Wody, oferujące wystawę militariów, przejażdżki motocyklami z koszem i poszukiwanie skarbów.

Nie zabrakło również muzycznych emocji. Na scenie wystąpili zespół Wene, artyści Teatru Muzycznego Hals z programem „Piosenka jest dobra na wszystko" oraz Maciej Miecznikowski z zespołem. Koncert popularnego wokalisty, pełen znanych utworów i anegdot, podczas którego artysta utrzymywał bezpośredni kontakt z publicznością, był jednym z najważniejszych punktów programu. Po występie można było zrobić sobie wspólne zdjęcie z artystą.

Wieczór zakończyła zabawa taneczna prowadzona przez Ewelinę Jurczak z zespołem oraz gościem specjalnym Giuseppe Sestito. Parkiet pozostawał pełen aż do końca imprezy.

Sponsorami wydarzenia byli: Steico SA, Bank Spółdzielczy w Skórczu, IGLOTEX, Stanisław Mokwa oraz Stowarzyszenie Kociewskie. Głównym organizatorem była Miejska Biblioteka Publiczna im. Romana Landowskiego w Czarnej Wodzie, a wydarzenie odbyło się pod patronatem burmistrza Czarnej Wody Arkadiusza Glinieckiego.

Piąty Kociewski Festiwal Zupy kolejny raz połączył regionalne smaki, muzykę i wspólną zabawę, udowadniając, że tradycja najlepiej smakuje w dobrym towarzystwie. ■



1. Świece odlane na kole w Pelplinie (fot. Seweryn Pauch)

SEWERYN PAUCH

O PELPLIŃSKIM LANIU ŚWIATŁA

Część 1. Opowieść o tym, jak zetknąłem się z tradycją lania światła

W październiku 2025 roku Rejonowe Koło Pszczelarzy z Pelplina oraz osoby zaprzyjaźnione spotkały się na wyjazdowym szkoleniu z miodosytnictwa. Dwudniowy warsztat odbywał się w Kabikiejmach Dolnych, wsi położonej na Warmii. Miałem szczęście znaleźć się wśród uczestników.

Gdy dotarliśmy na miejsce, a było to dokładnie 11 października, przywitał nas współwłaściciel miodosytni – Jakub Wilk. Zebraliśmy się w pomieszczeniu, gdzie znajdowało się wiele produktów wytwarzanych przez naszego gospodarza. Kilka osób zwróciło szczególną uwagę na grubą książkę. Ze słów Jakuba wynikało, że jest to „Śpiewnik pelpliński". Oficjalnie funkcjonował on pod nazwą „Zbiór pieśni nabożnych katolickich do użytku kościelnego i domowego". Ściślej, był to reprint drugiego wydania tej książki, której oryginał pochodził z 1886 roku. Realizacji idei współczesnego wydania podjęło się Stowarzyszenie Trójwiejska.

Drugim przedmiotem, który znajdował się w tym samym pomieszczeniu, było sporej wielkości metalowe koło. Jakub wyjaśnił, że służyło ono do odlewania świec – gromnic. Okazało się, że kilka lat wcześniej grupa osób zafascynowanych tradycyjną

metodą tworzenia świec – z Jakubem Wilkiem na czele – przeszczepiła ów zwyczaj na warmińską ziemię z obszaru Mazowsza. Z jego opowieści wynikało, że w latach dziewięćdziesiątych XX wieku ta tradycja niemal zanikła. Według niego praktykowali ją wyłącznie członkowie bractwa różańcowego ze wsi Biała (gmina Stara Biała) na Mazowszu. Ten niezaplanowany epizod spowodował, że Jakub podarował nam koło, które zabraliśmy ze sobą do Pelplina.

Nietypowy prezent został następnie wyczyszczony i pomalowany przez Damiana Kłosa z Barchnów. Chociaż nasza wizyta w miodosytni miała na celu zdobycie umiejętności wytwarzania miodów pitnych, to trwałym elementem okazało się przeniesienie do Pelplina dawnej tradycji lania świec na kole. Innym określeniem tej praktyki jest „lanie światła". Zaplanowaliśmy, że w styczniu 2026 roku spotkamy się w Pelplinie, aby ów zwyczaj zacząć kultywować na ziemi kociewskiej. Wkrótce nastąpiły przygotowania do uroczystego lania światła, które zaplanowaliśmy na dzień 10 stycznia 2026 roku.

Część 2. Krótka historia lania świec na kole

Czymże jest jednak owo lanie świec? Jest to praktyka tworzenia – odlewania świec dawną, tradycyjną metodą. Na specjalnym kole, zwykle drewnianym, zawieszano kilkadziesiąt knotów. W tym samym czasie rozgrzewano wosk, aby stał się płynny. Po jego rozpuszczeniu następowało polewanie knotów od góry do dołu, przy jednoczesnym ich obracaniu.

Po wielokrotnym polewaniu powstawała świeca, która zwykle określana jest mianem gromnicy. To ostatnie określenie związane jest z czasem, kiedy owe wyjątkowe świece wykonywano. Działo się to przed świętem Matki Boskiej Gromnicznej (obecnie Uroczystość Ofiarowania Pańskiego), które przypada corocznie na dzień 2 lutego. W wielkim uproszczeniu – tak wyglądał obrzęd lania świec w dawnych czasach. Obecnie praktykuje się go zupełnie wyjątkowo.

Początki tradycji lania świec sięgają co najmniej XVI stulecia i należy wiązać ją z funkcjonowaniem cechów. W statutach tychże organizacji zapisano informacje na temat kar wnoszonych w postaci wosku. Wydaje się, że powszechnie praktykowano zwyczaj w XIX stuleciu. Jego popularności dowodzą zachowane do dzisiaj koła, rozsiane po instytucjach kultury w Polsce. Osobiście natrafiłem na takie koło w jednym z podlaskich skansenów (Podlaskie Muzeum Kultury Ludowej w Wasilkowie koło Białegostoku). Dwa egzemplarze odnajdziemy także w Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Jeszcze zupełnie niedawno zwyczaj lania świec na kole był praktykowany w Polsce w zaledwie kilku miejscowościach: Białej, Nawsiu, Żołyni i Brzózie Stadnickiej.

Jak już wspomniałem, zwykle świece tą metodą odlewano przed dniem 2 lutego, a więc w okresie poprzedzającym święto Matki Boskiej Gromnicznej. Geneza tej uroczystości sięga czasów starożytnego chrześcijaństwa i wiąże się z izraelskim obrzędem oczyszczenia matki 40 dni po porodzie. Dlatego nazywamy je także świętem Oczyszczenia Maryi. W Polsce źródła pisane wykazują jego znajomość już w XI wieku, choć sama nazwa święta Matki Boskiej Gromnicznej zanotowana została pod koniec XIV stulecia.

Z owym czasem wiązało się bardzo dużo obrzędów. Powszechne było mniemanie o tym, że gromnicę trzeba podać osobie konającej. Świeca ta niezawodnie chronić miała domostwo przed uderzeniem pioruna – gromu (stąd nazwa gromnica). Dlatego stanowiła ona w poczuciu użytkowników doskonały apotropaion, czyli przedmiot zapewniający ochronę.

W niektórych rejonach Polski wierzono, że połknięcie gromnicznego dymu może

zapobiec bólom gardła i zębów. Popularna była wiara w to, że gromnica chroniła także przed wilkami.

Święto Matki Boskiej Gromnicznej na Kociewiu to czas, do którego należało kończyć zaloty. Jeśli ktoś po owym terminie decydował się na oświadczyny, mogło już być za późno. Powszechne było na Kociewiu używanie gromnicy w momencie śmierci. Na sąsiednich Kaszubach zaś jeszcze niedawno istniało przekonanie, że gromnica odpędza atakujące umierającego złe duchy, on sam zaś widzi w jej świetle dokładnie swoje grzechy.

Na Pomorzu ze świętem Matki Boskiej Gromnicznej wiązał się szereg wierzeń, które wyrażano w przysłowiach. Istniało powiedzenie, że „Gdy gromnice w kościele trzeszczą, to zwiastują grzmoty". Dobra pogoda w dniu 2 lutego nie była korzystnym prognostykiem na przyszłość, bo „gdy na Gromniczną roztaje – będą rzadkie urodzaje" (okolice Świecia). Mróz w tym czasie zwiastował urodzaj dla rolników: „Gdy w Gromnicę chwyci mróz – będą pola pełne zbóż" (Bory Tucholskie). Jak pisała prawie sto lat temu Bożena Stelmachowska, „lud pomorski (...) zawsze jeszcze przypisuje gromnicy duże znaczenie i siłę magiczną, uzdrawiającą, chroniącą od nieszczęść ludzi oraz ich dobytek".

Część 3. O tym, jak laliśmy światło w Pelplinie

Z niecierpliwością oczekiwałem na spotkanie z konfraternią warmińską. Pelplińskie lanie świec odbyło się 10 stycznia 2026 roku w tzw. salce kominkowej w Pelplinie. Wydarzenie to zgromadziło osoby związane z pelplińskim kołem pszczelarzy, ale także wielu sympatyków. W tym niezwykłym obrzędzie uczestniczyły więc m.in. osoby z Kociewia (Pelplin, Tczew), Kaszub (Gdańsk, Lębork) czy Żuław (Malbork). Wiele czynników spowodowało, że to popołudnie i wieczór okazały się wyjątkowe. Samo miejsce spotkania, a więc dawny „szpital" – przytułek dla mieszkańców okolicznych folwarków, to budynek pamiętający jeszcze czasy średniowieczne. Odbudowano go po pożarze na początku XVII wieku. Już ta lokalizacja nadała wydarzeniu niezwykłości. Nie mogło zabraknąć także prawdziwego ognia, który rozpaliliśmy w kominku.

Koło, które miało posłużyć nam do lania światła, było duże, stalowe i solidnie wykonane. W dniu obrzędu zostało ono podwieszone na łańcuchach do jednej z drewnianych belek pod sufitem.

Aby umiejętnie odlać świece, opuściliśmy koło do wysokości piersi dorosłego człowieka średniego wzrostu, a więc ok. 130 cm od poziomu posadzki. Gdy wszyscy zainteresowani zgromadzili się wewnątrz, rozpoczęły się przygotowania. Działo się to około godziny trzynastej. Na trzech palnikach ustawiliśmy kotły, do których następnie włożyliśmy krążki wosku. Celem było ich rozgrzanie i w konsekwencji roztopienie. Proces ten jest dość długotrwały, dlatego część osób zajęła się wtedy przywiązaniem knotów do haczyków umieszczonych na kole. Ponieważ knoty były przygotowane w jednej rolce, należało je w pierwszej kolejności poprzecinać, aby dopiero później powiązać na haczykach. Na drugim końcu knotów zawiesiliśmy kwadratowe „drewienka". Tak przygotowane elementy trafiły na koło. Haczyki więc przytwierdziliśmy do koła, a drewniane elementy zwisały do dołu, powodując, że knot się nie skręcał i był naprężony (fot. 2). W sumie było owych elementów około pięćdziesięciu, co sugerowało ulanie tyluż samo świec.

Trzy podgrzewane kotły znajdowały się bezpośrednio pod kołem, co miało ułatwić lanie wosku i odzyskiwanie materiału, który spływał na powrót do ich wnętrza.

Właściwy obrzęd rozpoczął się, gdy wosk został roztopiony.

Przed rozpoczęciem lania świec odmówiono kolejno modlitwy: „Pod Twoją obronę" i „Zdrowaś Maryjo".



2. Podwieszone koło wraz z knotami (fot. Seweryn Pauch)



3. Konfraternia Brąswałdzka z Warmii podczas wykonywania dawnych pieśni religijnych (fot. Seweryn Pauch)

Najstarszy z pszczelarzy (starosta) rozpoczął polewanie knotów roztopionym woskiem jako pierwszy. Nabrał on małą ilość wosku, którą następnie wlał w dwa małe naczynia stojące po bokach krzyża na stole. To był pierwszy wosk dla Pana Jezusa. Następnie te dwa naczynia zostały odpalone. Było to pierwsze światło zapalone z naszego – pelplińskiego koła i pierwszy wosk ulany przez miejscowe bractwo. Tym samym zapoczątkowaliśmy na kociewskiej ziemi powrót dawnej tradycji lania świec.

Od tego momentu rozpoczęło się właściwe lanie wosku na kole. Goście z Warmii zaczęli grać na dawnych instrumentach muzykę, do której śpiewaliśmy pieśni pochodzące ze „Zbioru pieśni nabożnych" (fot. 3). Oczywiście ten ostatni element jest charakterystyczny dla lania przez bractwo z Warmii, co zostało przejęte przez konfratrów z Pelplina.

Samo lanie wosku powinno odbywać się od góry. Trzeba przy tym koniecznie okręcać knot i przesuwać naczynie z gorącym woskiem od góry do dołu, aby nadać świecy odpowiedni kształt. Nasze świece lane były w trzech miejscach koła. W każdym pracę wykonywały dwie osoby. Z czasem kolejni pszczelarze i sympatycy zamieniali się w tej roli (fot. 4).

Świece, które nabrały stosownej grubości, co oznacza, że miały kilka centymetrów średnicy, zostały zdjęte z koła. Następnie powieszono je na rozciągniętym wcześniej sznurku. Po ostygnięciu świec odcięto kwadratowe drewniane elementy na spodzie i wyrównano świece.

Gdy wszystkie świece zostały zrobione, nastąpił akt poświęcenia tych świec oraz koła przez proboszcza parafii katedralnej w Pelplinie, ks. Tadeusza Brzezińskiego.

Obrzęd wraz z czynnościami wstępnymi i uprzątnięciem pomieszczenia wykonywaliśmy od południa do późnego wieczora.





4. Lanie świec od góry do dołu (fot. Seweryn Pauch)

Epilog

Nie dysponujemy bezpośrednimi świadectwami na to, że w Pelplinie czy szerzej – na Kociewiu – tworzono świece taką właśnie metodą. Jednak wydaje się to niemal pewne, gdyż w „Kronice Pelplińskiej", spisywanej na bieżąco przez tutejszych cystersów w XVII wieku, czytamy wielokrotnie o okolicznych pasiekach. Pojawiają się tam wzmianki o wosku. Jego główne przeznaczenie to właśnie świece. Stanisław Kujot pisał w drugiej połowie XIX w., że gromnice święcił sam opat pelplińskich cystersów. Opierając się na analogiach z innych obszarów Polski, należy uznać, że lanie świec na kole było powszechną onegdaj praktyką.

Pelplińskie lanie światła stało się okazją do tego, aby wspólnie zanurzyć się w dawnym rytuale, który dał uczestnikom poczucie wspólnoty. To wyjątkowe działanie stało się tunelem, który połączył teraźniejszość z przeszłością. Osoby zaangażowane miały możliwość poczuć niezwykłe emocje, jakie wywołały wszystkie elementy składające się na tę uroczystość: tradycyjna muzyka, śpiewanie dawnych pieśni i lanie światła. W konsekwencji materialnym rezultatem stały się unikatowe gromnice z najprawdziwszego wosku pszczelego. Należy tylko mieć nadzieję, że zapoczątkowany niedawno obrzęd na stałe już zagości w Pelplinie.

Bibliografia

Dowlaszewicz Wanda, *Żywa tradycja „lania świec" w Białej koło Płocka*, „Rocznik Muzeum Mazowieckiego w Płocku" 1996, t. 16; Karczmarzewski Andrzej, *Lanie światła – relikt dawnych zwyczajów rzemieślniczych*, „Materiały Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku" 2001, nr 35; Karczmarzewski Andrzej, *Obrzędy i zwyczaje doroczne wsi rzeszowskiej*, Rzeszów 1972; Landowski Roman, *Dawnych obyczajów rok cały. Między wiarą, tradycją i obrzędem*, Tczew 2024; Perszon Jan, *Na brzegu życia i śmierci. Zwyczaje, obrzędy oraz wierzenia pogrzebowe i zaduszkowe na Kaszubach*, Pelplin 1999; Stelmachowska Bożena, *Rok obrzędowy na Pomorzu*, Toruń 1933; Sychta Bernard, *Słownictwo kociewskie na tle kultury ludowej*, t. II, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1980; Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, *Etnonotatnik*, https://muzeumkolbuszowa.pl/etnonotatnik/lanie-swiatla (dostęp 12.04.26); *Lanie światła*, „Weranda Country", https://www.werandacountry.pl/weranda-country-nr-22010/lanie-swiatla (dostęp 12.04.26). ■

MAŁGORZATA PAUCH

JAK UTKANO „LOKALNE SPLOTY”

Umiejętne splatanie nici osnowy i wątku pozwala na wytworzenie tkaniny. Czasami będzie nią zgrzebne, proste płótno, a czasami pieczołowicie utkane szlachetne sukno. Zdarza się też, że splatanie dotyczyć może ludzi i sytuacji. Tak się zadziało w przypadku wydarzenia „Lokalne Sploty. Opowieści nieoczywiste”, które odbyło się w Kolsku, niewielkiej miejscowości w województwie lubuskim. Jego inicjatorkami były Wiedźmy z Kolska, czyli grupa nieformalna, działająca w sferze kulturalno-historycznej. Ich zapał, zaangażowanie i umiejętności organizacyjne pozwoliły na utkanie barwnej, zróżnicowanej materii, opartej na połączeniu pasji i energii wielu osób ze wspólną czasoprzestrzenią.

Pomysł na ten event dojrzewał kilka lat, a jego wykonanie wymagało wielu przygotowań i starań. Inicjatywa była tym bardziej cenna, gdyż została stworzona w duchu działalności non-profit. Wszystko po to, aby promować lokalną historię i tworzyć tożsamość regionalną.



Małgorzata i Seweryn Pauchowie opowiadają o „Operacji Czarny Kruk” (fot. Archiwum Wiedźmy z Kolska)

Posłużyły do tego dramatyczne wydarzenia sprzed ponad trzystu lat. Właśnie w Kolsku doszło do procesów o czary, które spowodowały śmierć niemal czterdziestu kobiet i mężczyzn. To właśnie ten wątek stanowił integralną część „Splotów” i wprawił tkacką maszynerię w ruch.

Kiedy Tomasz Zygmuntowicz odkrył akta procesowe z Kolska, zwrócił się z prośbą do doktora Adama Górskiego o naukowe opracowanie tematu. Wątek ten podchwyciła pisarka Zofia Mąkosa. Subtelnie i ciekawie przedstawiła dzieje czarownic z Kolska i okolic, opisując je w dwutomowym wydaniu „Makowej spódnicy”: „Kamień w wodę”

i „Siostry". Wiedźmy nie kryły zaskoczenia i radości, że ta niezwykle trudna historia ożyła na kartach powieści. Powoli, krok po kroku, odkrywane były szczegóły procesów i równolegle odbywały się wykłady, spotkania autorskie, warsztaty kobiece, sieciowanie, a może splatanie zwykłych i niezwykłych ludzi wokół idei.

Pewnego dnia i mój los splątał się z Wiedźmami. Pojechałam z mężem Sewerynem do Kolska, gdzie niegdyś mieszkali jego dziadkowie. Sam także przez jakiś czas tam przebywał i z sentymentem powracał tam, gdzie odkrył drogę na koniec świata. Dziwne to było zrządzenie losu, kiedy w strugach deszczu znaleźliśmy schronienie w Miodowym Spichlerzu. Po chwili rozmowy okazało się, że trafiliśmy prosto do siedziby Wiedźm. Jednak urzędujące tam kobiety, Kamila i Agnieszka, nie wyglądały jak stereotypowe czarownice. Wystarczyło kilka chwil, aby dostrzec ich niezwykłą aktywność i ogromną życiową energię. Było już tylko kwestią czasu, kiedy Wiedźmy pojawią się u nas, na Kociewiu. Stało się tak przy okazji realizacji projektu o sile kobiet i ich roli w społecznościach lokalnych. Supeł naszych relacji stał się tak zawiły, że jeszcze wielokrotnie podejmowaliśmy współpracę.

Jeszcze tej zimy otrzymaliśmy zaproszenie na „Lokalne Sploty". Zaskoczenie było wielkie, gdyż Wiedźmy wplotły w program wydarzenia prezentacje naszej twórczości, co prawda lokalnej czy mikrohistorycznej, ale zgoła z innego regionu. Okazało się, że właśnie tak ciekawe utkanie „Splotów" przesądziło o sukcesie wydarzenia.

Dwudniowy program spotkania po brzegi był wypełniony wykładami, rozmowami, opowieściami o sztuce i historii. Piątkowe popołudnie rozpoczął spektakl teatralny pt. „Nie pozwolisz żyć czarownicy" w wykonaniu Teatru Zza Boru. Po nim odbyła się sesja gry RPG. Kolejny dzień poświęcony był wykładom historycznym w wykonaniu doktora Seweryna Paucha, profesora Mateusza Wyżgi i doktora Adama Górskiego. Obok naukowców pojawiły się pisarki Zofia Mąkosa i Małgorzata Pauch – czyli ja – które w swej twórczości korzystały z opracowań naukowych i źródeł historycznych. Interesujące spojrzenie na popularyzację historii zaprezentował filmowiec Mariusz Konopka. Na koniec doświadczyliśmy śpiewu tradycyjnych pieśni ludowych, które wykonała Grupa Drewno.

Pośród tych lokalnych wątków znalazło się miejsce na ukazanie fragmentów naszej historii. To też sprawiło, że poczuliśmy się całkowicie wpleceni w sieć słów, obrazów i dźwięków. Seweryn przedstawił swoją publikację „Ku ochronie i zbawieniu. Studia nad fenomenem śladów dołkowych", która powstała jako zwieńczenie kilkuletnich badań naukowych. Choć to dość tajemnicze i niszowe zagadnienie, znajduje wielu fanów i amatorów zagadek.

Mój wkład w „Lokalne Sploty" wiązał się z powieścią historyczną „Zbrodnia w opactwie". Opowiedziałam publiczności o inspiracji prawdziwym zdarzeniem opisanym w Kronice Pelplińskiej oraz o potrzebie utrwalania takich mikrohistorii. Pelplin obfituje w niezmiernie interesujące zdarzenia; przez wieki był świadkiem wielu tragedii i ważnych dziejowo momentów. Tym bardziej należy je upamiętniać, wspominać i popularyzować.

Wśród słuchaczy znalazły się osoby, które zaplanowały przyjazd do naszego miasteczka, tym bardziej kiedy wspólnie z Sewerynem zdradziliśmy kulisy wojennych losów Biblii Gutenberga.

Znając zamiłowanie Seweryna do historii i gier, Wiedźmy poprosiły go o przeprowadzenie sesji RPG. Fabułą do niej stały się wydarzenia związane z ewakuacją wspomnianego zabytku piśmiennictwa. Uczestnicy losowo wcielili się w role obrońców Biblii i okupantów. Uważne obserwacje, inteligentna dedukcja oraz fascynująca

narracja sprawiły, że rozgrywka przybrała brawurową formę i zostawiła graczom zdrowy niedosyt.

Postaraliśmy się wypełniać sprawnie tę lukę, prezentując nasze wspólne dzieło – grę paragrafową „Operacja Czarny Kruk". Traktuje ona właśnie o niebezpiecznej ewakuacji Biblii w czasie okupacji niemieckiej. Jest to niezwykła książka, bo zarazem stanowi grę dla jednego gracza. Sam czytający może decydować o losach bohatera, w którego się wciela, wybierając odpowiedni paragraf gry. Pozwala to na wielokrotną rozgrywkę i przeżywanie opowieści z dawką adrenaliny.

Wspaniale było podzielić się z uczestnikami „Splotów" naszymi pomysłami na promowanie dawnych dziejów i lokalnych wątków. Czynimy to, jak potrafimy, ale zawsze autentycznie: poprzez badania naukowe, pisanie powieści i rozgrywanie sesji RPG opartych na faktach historycznych, spotkania, warsztaty, blogi.

Takie wydarzenia jak „Lokalne Sploty" pokazały też, że choć nasze małe ojczyzny różnią się historycznie, to pamięć, nauka, kultura i sztuka są tym, co może łączyć, scalać i tworzyć nową jakość. Chyba same Wiedźmy nie spodziewały się, że ich „splatanie" pozwoli utkać tak ciekawą, wyjątkowo piękną materię. Być może Lokalne Sploty znajdą swą kontynuację w przyszłości, a może zaowocują przeszczepieniem na grunt Kociewia? ■



Panel literacki „Lokalnych Splotów" z udziałem Małgorzaty Pauch i Zofii Mąkosy (fot. Seweryn Pauch)

Mirosław Kalkowski

Antoni Górski: Haft kociewski



Książka Mirosława Kalkowskiego „Antoni Górski: Haft kociewski" przybliża wyniki badań Antoniego Górskiego nad haftem kociewskim. Bogato ilustrowana publikacja zawiera reprodukcje rysunków przedstawiających hafty zdobiące różne przedmioty z lat 60. XX wieku oraz z późniejszego okresu.

Antoni Górski (1926–2005) był kociewskim regionalistą, gawędziarzem, plastykiem i folklorystą. Pracował jako nauczyciel oraz instruktor w Spółdzielczym Domu Kultury w Starogardzie Gdańskim.

Opracowane przez niego wzory haftu kociewskiego zachowały się w postaci kolorowych tablic przechowywanych. Przedstawiają kompozycje roślinne oparte na motywach chabrów, zwanych modrakami, margerytek, ostów i kłosów zboża. Charakterystyczna dla tych haftów paleta obejmuje sześć kolorów: żółty, fioletowy (buraczkowy), niebieski (modry), jasnoniebieski, pomarańczowy i ciemnozielony.

Książka została wydana przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim w 2026 roku. Stanowi cenny wkład w dokumentowanie i zachowanie dziedzictwa kulturowego Kociewia. ■



KAROLINA CZONSTKE-ŚWIĄTKOWSKA
BARTOSZ ŚWIĄTKOWSKI

MIĘDZY ZIEMIĄ A PAMIĘCIĄ

Jeszcze kilkanaście lat temu wielu osobom poszukiwacze z wykrywaczami metali kojarzyli się przede wszystkim z samotnym chodzeniem po polach i lasach w poszukiwaniu „skarbów". W przypadku Klubu Odkrywców Pomorza (KOP) od początku chodziło nie tylko o zabytki, ale także o historię, ratowanie śladów przeszłości i wspólną pamięć Pomorza.

Historia stowarzyszenia zaczęła się od jednego sygnału wykrywacza i fragmentu metalu wydobytego z pomorskiej ziemi. Obecnie mija 10 lat od jego założenia.

Od fragmentu napierśnika

W 2015 roku Mirosław Wójcik odkrył w Koźlinach fragment napierśnika kultury pomorskiej. Znalezisko szybko zwróciło uwagę środowiska lokalnych miłośników historii. O odkryciu Mirosław Wójcik opowiedział Łukaszowi Brządkowskiemu – społecznikowi i współtwórcy portalu „Dawny Tczew" (obecnie sprawującemu urząd prezydenta miasta Tczewa). To właśnie on zaproponował spotkanie z autorami niniejszego tekstu, aby ustalić, z czym właściwie mają do czynienia. W spotkaniu uczestniczyli również Marcin Urbański oraz Bogdan Gruchot. Z pozoru była to zwykła rozmowa kilku osób zainteresowanych historią regionu. W jej trakcie szybko zrodził się jednak pomysł stworzenia grupy, która połączyłaby pasję odkrywców z profesjonalnym podejściem archeologicznym i jasno określonymi zasadami działania. Tak narodził się Klub Odkrywców Pomorza.

Pierwszy zarząd tworzyli Mirosław Wójcik, Marcin Urbański, Bogdan Gruchot i Bartosz Świątkowski. Z czasem do grupy dołączały kolejne osoby – miłośnicy historii i wolontariusze. W latach 2020–2023

U góry wspólne zdjęcie członków stowarzyszenia w trakcie poszukiwań w Owidzu (fot. Karolina Czonstke-Świątkowska)

funkcję prezesa pełnił Marcin Urbański, a od 2023 roku stowarzyszeniu przewodzi Bartosz Świątkowski.

Więcej niż poszukiwania – budowanie wspólnoty

Najważniejszym osiągnięciem Klubu Odkrywców Pomorza nie są jednak pojedyncze odkrycia ani nawet kolejne stanowiska archeologiczne nanoszone na mapę regionu. Jest nim przede wszystkim współpraca pasjonatów historii i archeologów (fot. 1).

Relacje pomiędzy archeologami a osobami korzystającymi z wykrywaczy metali często opierały się na nieufności. Archeolodzy obawiali się niszczenia stanowisk i utraty kontekstu zabytków, a wielu pasjonatów historii miało poczucie, że traktowani są wyłącznie jako problem. W przypadku KOP-u od początku próbowano wypracować system współdziałania środowiska archeologicznego i lokalnych miłośników przeszłości. Celem było stworzenie modelu współpracy opartego na zaufaniu i odpowiedzialności za dziedzictwo kulturowe. Dlatego działalność Klubu rozwijano w ścisłym kontakcie ze środowiskiem archeologicznym. Jego członkowie uczestniczyli w badaniach prowadzonych przez archeologów, konsultowali znaleziska i uczyli się zasad ochrony zabytków.

W praktyce oznaczało to odejście od indywidualnego „poszukiwania skarbów" na rzecz badań powierzchniowych prowadzonych według określonej metodologii. Wykrywacz metali stawał się narzędziem pracy badawczej, a nie tworzenia prywatnej kolekcji. Każde wyjście w teren wymagało uzgodnień i pozwoleń. Zabytki dokumentowano, a docelowo trafią one do lokalnych jednostek muzealno-wystawienniczych.

Lubiszewo – pola pełne historii

Jednym z najważniejszych tematów badań stały się okolice Lubiszewa Tczewskiego i Tczewskich Łąk. To tutaj rozgrywały się dwie ważne dla Pomorza bitwy – starcie z 1577 roku oraz z 1627 roku z czasu wojny polsko-szwedzkiej.

Bitwa z 1577 była ważnym epizodem konfliktu Stefana Batorego z Gdańskiem. Pod Lubiszewem wojska królewskie dowodzone przez Jana Zborowskiego rozbiły siły gdańskie wspierane przez zachodnioeuropejskich najemników. Podczas wojny polsko-szwedzkiej Tczew stał się strategicznym punktem kontrolującym przeprawy przez Wisłę. W rejonie Lubiszewa działały armie Gustawa Adolfa oraz wojska Rzeczypospolitej próbujące zatrzymać szwedzką ekspansję. Dla członków KOP-u pola pod Lubiszewem stały się ogromnym archiwum ukrytym pod ziemią.

Badania prowadzono systematycznie, a lokalizację zabytków rejestrowano w systemie GIS. Dzięki temu możliwe stało się analizowanie rozmieszczenia artefaktów związanych z dawnymi starciami. To żmudna praca oparta głównie na wolontariacie (fot. 2 i 3).

Polem, lasem

Początkowo działalność Klubu koncentrowała się na polach w północnej części Tczewa oraz w Tczewskich Łąkach i Lubiszewie. Z czasem zakres badań zaczął się rozszerzać. Ważnym obszarem działań stały się również lasy podlegające Nadleśnictwu Starogard.

Członkowie Klubu wspierali archeologów także podczas badań grodziska w Owidzu i nadzorów archeologicznych w Tczewie. Dzięki prowadzonym pracom udało się odkryć wiele nowych stanowisk archeologicznych. Jednym z najciekawszych efektów tych działań było odkrycie dużej osady w zakolu Wierzycy. Z jej obszaru pozyskano liczne fragmenty ceramiki, noży, militaria oraz fragmenty monet, w tym arabskiego dirhema, świadczące o jej dalekosiężnych kontaktach handlowych. Wyjątkowym znaleziskiem było okucie pochewki noża zdo-





2 i 3. Poszukiwania na polach w rejonie Lubiszewa; obok: fragment forkietu odkrytego pod Lubiszewem (fot. Bartosz Świątkowski)

bione w stylu zwierzęcym, dla którego najbliższą analogię stanowi zabytek znany z Brześcia Kujawskiego.

Artefakty i opowieści

Przez dekadę członkowie Klubu uczestniczyli w licznych odkryciach archeologicznych. Szczególne miejsce w historii Klubu zajmują napierśniki kultury pomorskiej. To właśnie od fragmentu odnalezionego przez Mirosława Wójcika wszystko się zaczęło. W kolejnych latach następne części tych niezwykłych ozdób odkrywali m.in. Dagmara Grzeszkiewicz, Bartosz Grzeszkiewicz,

Bogdan Gruchot i Maciej Małkiewicz. Napierśniki kultury pomorskiej należą do najbardziej charakterystycznych ozdób z wczesnej epoki żelaza i są datowane na około 600–450 p.n.e.

Jednym z najgłośniejszych znalezisk ostatnich lat był tzw. magiczny paciorek odkryty przez Bogdana Gruchot na tczewskich polach. Artefakt datowany na III–IV wiek naszej ery interpretowany jest jako amulet lub tzw. paciorek mieczowy (fot. 4). Duże zainteresowanie wzbudziła również odkryta na tym samym obszarze przez Jacka Żygowskiego sprzączka z okresu wędrówek ludów. Ważnym odkryciem okazała się także niewielka moneta odnaleziona przez Macieja Małkiewicza na terenach dawnych sadów tczewskich, wybita w XIII wieku w odległym Osnabrück (fot. 5).



4. Paciorek mieczowy (fot. Bartosz Świątkowski)



5. Moneta z Osnabrück (fot. Bartosz Świątkowski)

Wyzwaniem są też wyprawy leśne, ale potrafią przynieść sporo satysfakcji, zwłaszcza gdy udaje się, jak Grzegorzowi Kruszyńskiemu, wydobyć z ziemi delikatny, skorodowany wczesnośredniowieczny grot strzały (fot. 6). Jednocześnie, jak pokazało doświadczenie, warto też czasem rozejrzeć się przed własnym domem. W trakcie wykopów prowadzonych pod instalacje Bartosz Grzeszkiewicz bez użycia sprzętu znalazł na swojej działce retuszowany odłupek, prawdopodobnie z późnego neolitu lub epoki brązu. Zdarza się, że ziemia „sama rozdaje prezenty". W dniu 8 marca tego roku Alicja Gruchot odkryła późnośredniowieczny pierścionek.

Archeologia społeczna

Działalność Klubu Odkrywców Pomorza trudno dziś sprowadzić wyłącznie do badań terenowych, bo w gruncie rzeczy jest to również opowieść o ludziach. W pewnym sensie KOP stał się przykładem tego, co współcześnie coraz częściej określa się jako archeologię społeczną. To podejście zakłada, że przeszłość nie jest wyłącznie domeną muzeów, uniwersytetów i specjalistów. Dziedzictwo kulturowe staje się dobrem wspólnym, wokół którego można budować lokalną wspólnotę, poczucie odpowiedzialności i więź z miejscem.

W przypadku Pomorza i Kociewia ma to szczególne znaczenie. Tutejszy krajobraz – pola, lasy, doliny rzeczne czy niepozorne wzniesienia – jest w rzeczywistości ogromnym archiwum pamięci. Pod warstwą ziemi



6. Wczesnośredniowieczny grot strzały (fot. Bartosz Świątkowski)

kryją się ślady dawnych osad, bitew, dróg handlowych i codziennego życia ludzi, którzy mieszkali tutaj setki, a czasem tysiące lat temu.

Przez wiele lat dostęp do tej historii mieli głównie zawodowi archeolodzy. Klub Odkrywców Pomorza próbuje pokazać, że lokalni pasjonaci również mogą stać się częścią procesu poznawania i ochrony przeszłości – pod warunkiem działania według określonych zasad i z poszanowaniem metodologii badań. To właśnie dlatego tak ważna stała się edukacja.

Nowi członkowie uczą się nie tylko obsługi wykrywacza metali czy dokumentowania zabytków. Równie istotne jest budowanie świadomości, że nawet najmniejszy przedmiot wyjęty z ziemi traci znaczną część swojej wartości poznawczej, jeśli zostanie pozbawiony kontekstu archeologicznego. W tym sensie działalność KOP-u stanowi również próbę zmiany sposobu myślenia o detektorystyce. Nie jako o hobby nastawionym na zdobywanie „fantów", ale jako o formie obywatelskiego zaangażowania w ochronę dziedzictwa. To szczególnie ważne dziś, gdy wykrywacze metali stały się łatwo dostępne, a zainteresowanie lokalną historią rośnie z roku na rok.

Członkowie Klubu wielokrotnie podkreślają, że dobrze prowadzona współpraca pomiędzy archeologami a środowiskiem poszukiwaczy może przynosić realne korzyści nauce i lokalnym społecznościom. Dzięki systematycznym badaniom powierzchniowym prowadzonym przez wolontariuszy udaje się rozpoznać nowe stanowiska archeologiczne i lepiej zrozumieć historię regionu.

Jednocześnie wokół tych działań zaczęła tworzyć się wspólnota ludzi zainteresowanych przeszłością własnego miejsca. To jeden z ważniejszych aspektów archeologii społecznej – budowanie więzi z przeszłością i między ludźmi. Wspólne wyjścia terenowe, spotkania, konsultacje z archeologami czy udział w wydarzeniach popularyzatorskich sprawiają, że historia przestaje być abstrakcyjną opowieścią z podręcznika. Staje się czymś namacalnym i bliskim.

Dla wielu uczestników to właśnie możliwość współtworzenia wiedzy o regionie okazała się najważniejsza. Nie bez znaczenia jest również fakt, że działalność KOP-u pomaga budować społeczną odpowiedzialność za krajobraz kulturowy. Członkowie Klubu reagują na przypadki nielegalnych poszukiwań i wielokrotnie podkreślają, że zabytki nie są prywatną własnością odkrywcy, lecz częścią wspólnego dziedzictwa. W tym sensie archeologia staje się nie tylko nauką o przeszłości. Staje się także sposobem budowania lokalnej tożsamości i wspólnoty. Właśnie wtedy, gdy mieszkańcy zaczynają odkrywać historię własnych pól, lasów i wsi, przeszłość przestaje być czymś odległym. Staje się częścią ich własnej opowieści.

Działalność Klubu to także popularyzacja wiedzy o historii regionu i budowanie lokalnej świadomości historycznej. Członkowie Klubu uczestniczą w Europejskich Dniach Archeologii, festynach i wydarzeniach edukacyjnych. Być może właśnie to jest najważniejszym osiągnięciem Klubu – tworzenie wspólnoty wokół lokalnego dziedzictwa. ■



fot. Emilia Laskowska

ZOFIA LISEWSKA

DWADZIEŚCIA LAT SZLAKU GRZYMISŁAWA

PIERWSZEGO SZLAKU ROWEROWEGO NA KOCIEWIU

Były to początki XXI wieku. Na terenie Kociewia działało już Stowarzyszenie Gmin Kociewsko-Borowiackich BÓR z siedzibą w Kaliskach, a działalność rozpoczynała dopiero co powołana Lokalna Organizacja Turystyczna KOCIEWIE z Tczewa. To właśnie te dwie organizacje, silnie wspierane przez samorządy terytorialne, pracowały m.in. nad utworzeniem tras rowerowych w regionie. Istniał już wówczas czarny Szlak Doliny Dolnej Wisły. Został wytyczony w 2001 roku staraniem Towarzystwa Przyjaciół Dolnej Wisły na obu brzegach królowej polskich rzek, od okolic Torunia przez Bydgoszcz, Świecie, Nowe, Gniew i Most Knybawski, a następnie drugim brzegiem Wisły przez Kwidzyn i Grudziądz z powrotem pod Toruń. Po latach śladem tego szlaku poprowadzono Wiślaną Trasę Rowerową, która w wielu miejscach zatarła ślady czarnych oznaczeń sprzed ponad dwóch dekad.

Kolejny szlak rowerowy na Kociewiu powstał dzięki działaniom Sekcji Kolarskiej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Gdańsku. Po kilkunastu tygodniach prac koncepcyjnych, konsultacji



Pelplin



Gniew

fot. Emilia Laskowska

i uzgodnień latem 2006 roku znakarz PTTK, Bogdan Gwizdek, oznakował kolorem zielonym pierwszą tego typu trasę z Tczewa do Gniewu. Sama nazwa szlaku, nadana na cześć księcia świeckiego oraz tczewsko-lubiszewskiego Grzymisława, pojawiła się nieco później za sprawą LOT KOCIEWIE. Od tego momentu datuje się rozwój szlaków rowerowych na terenie Kociewia.

Pierwotne idee organizacji BÓR po zakończeniu jej działalności zostały przejęte przez Lokalną Organizację Turystyczną KOCIEWIE i były rozwijane w ramach autorskiego programu Kociewskich Tras Rowerowych. W latach 2009–2010, z wykorzystaniem koncepcji KTR, w ramach projektu pn. „Oznakowanie turystycznych tras rowerowych w powiecie starogardzkim wraz z budową infrastruktury towarzyszącej", realizowanego przez Powiat Starogardzki ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2007–2013, powstało ponad 400 kilometrów szlaków rowerowych oraz blisko 70 obiektów rekreacyjnych wyposażonych w tablice informacyjne.

– Od samego początku chcieliśmy objąć siecią znakowanych szlaków rowerowych cały obszar Kociewia, tak aby stworzyć spójny system obejmujący oznakowanie i promocję, ale także punkty infrastruktury turystycznej, czyli tzw. PIT-stopy, drogi rowerowe w obszarach zabudowanych i miejscach szczególnie niebezpiecznych, a nawet wypożyczalnie rowerów, imprezy i wydarzenia rowerowe – wspomina Piotr Kończewski, dyrektor Lokalnej Organizacji Turystycznej KOCIEWIE. – Ważne było dla nas, aby szlakami rowerowymi można było dotrzeć do wszystkich atrakcyjnych miejsc Kociewia.

Kolejne lata przyniosły dalszy rozwój Kociewskich Tras Rowerowych i wytyczanie nowych odcinków szlaków. W 2010 roku przedłużono Szlak Grzymisława z Gniewu do Nowego, a także wyznaczono szlaki rowerowe na terenie miasta Starogard Gdański. W 2012 roku powstał Szlak Rumiankowy (Dzierżążno–Skórcz). W kolejnych latach wytyczono Szlak Jabłoniowy na terenie gminy Tczew oraz przedłużono Szlak Grzymisława z Nowego do Świecia. Tym samym w 2018 roku Szlak Grzymisława połączył średniowieczne ziemie pozostające niegdyś pod władaniem tego księcia.

– Zawsze istotna była dla nas nazwa trasy – to kluczowy element marketingu terytorialnego – podkreśla Piotr Kończewski. – Stąd nasze szlaki mają nazwy nawiązujące zarówno do uwarunkowań terenowych, jak Jeziorny, Borowiacki, Kaliski, Starogardzki czy Tczewski, jak i do historii regionu. Przykładami są Szlak Opata Wernera, związany z zakonem cystersów, Szlak Maternów, nawiązujący do legendarnych rozbójników, Szlak Napoleona czy właśnie Szlak Grzymisława.

Dziś Szlak Grzymisława to nie tylko najstarsza znakowana trasa rowerowa na Kociewiu, ale także jedna z najbardziej atrakcyjnych propozycji dla osób chcących poznać historię, krajobraz i dziedzictwo kulturowe regionu. Prowadzi przez miasta i miejscowości związane z dziejami dawnego księstwa Grzymisława, łącząc najcenniejsze zabytki z malowniczymi odcinkami doliny Wisły.

Na tej trasie na rowerzystów czekają liczne miejsca ukazujące bogate dziedzictwo kulturowe naszego regionu. Rozpoczynając wyprawę w Tczewie, miłośnicy dwóch kółek ruszają wzdłuż bulwarów wiślanych, pozostawiając za sobą charakterystyczne mosty na Wiśle. Kolejnym ważnym przystankiem jest Pelplin – miasto z duszą, słynące z dawnego opactwa cysterskiego oraz zespołu pocystersko-katedralnego. Przy wyjeździe z miasta warto zahaczyć o Górę św. Jana Pawła II, z której rozpościera się piękna panorama Pelplina i okolic. Kilkadziesiąt kilometrów dalej rowerzyści docierają do Gniewu – miasta z charakterem, znanego z zamku krzyżackiego, którym w XVII wieku zarządzał starosta gniewski Jan Sobieski, późniejszy król Jan III Sobieski. Przedostatnim dużym miastem na trasie jest malownicze Nowe, poło-

Schemat Szlaku Grzymisława



Zdjęcia Przemysław Janicki WHITEDRON

żone na wysokiej wiślanej skarpie. Wyprawa trasą liczącą około 155 kilometrów kończy się w Świeciu, gdzie warto odwiedzić rynek oraz zamek pokrzyżacki, zaliczany do tzw. twierdz nadwodnych ze względu na położenie u ujścia Wdy do Wisły.

Od wielu lat Lokalna Organizacja Turystyczna KOCIEWIE, organizując swoje tradycyjne rajdy: Kociewsko-Powiślański oraz w szczególności Borowiacki, zawsze stara się prowadzić ich trasy oznakowanymi szlakami rowerowymi, promując w ten sposób Kociewskie Trasy Rowerowe. – Pomimo dużego potencjału regionu oraz całkiem dobrze rozwiniętej sieci szlaków nie udało się dotąd stworzyć w pełni kompleksowego produktu turystyki rowerowej opartego na Kociewskich Trasach Rowerowych – mówi Piotr Kończewski z LOT KOCIEWIE. – Dzisiejsze oczekiwania turystów rowerowych to nie tylko atrakcyjne trasy, ale również bezpieczne, spójne rozwiązania infrastrukturalne w postaci dróg rowerowych. Tu, bez sporych nakładów inwestycyjnych, będziemy niestety przegrywać nie tylko z zagranicznymi ofertami dla cyklistów, ale przede wszystkim z konkurencyjnymi propozycjami województwa zachodniopomorskiego, pasa nadmorskiego z trasą R10 czy sieci tras na Dolnym Śląsku, Śląsku i w Małopolsce. Oczywiście same szlaki rowerowe cieszą się dużą popularnością i są idealną opcją dla osób łączących turystykę rowerową ze zwiedzaniem.

Wyprowadzenie tras poza obszar regionu i połączenie ich z sieciami szlaków rowerowych na sąsiednich terenach – w Trójmieście, na Kaszubach, w Borach Tucholskich, na Żuławach i na Powiślu – powoduje, że jazda na rowerze po Kociewiu i przez Kociewie jest jedną z czołowych form turystyki i rekreacji. ■

PATRYCJA ORYL

OSWOIĆ REGION NA ROWERZE

Poza miejscem zamieszkania nie miało zmienić się nic, a zmieniło się prawie wszystko. Z Gdańska do Tczewa przecież nie jest tak daleko – to miał być „tylko" dom. Życie przecież i tak toczyło się nad zatoką, a nie nad Wisłą. Chwilę później zorientowałam się, że Wisłę widzę już częściej niż Bałtyk i to zwykle z perspektywy roweru.

Do Tczewa przeprowadziłam się zimą 2024 roku – trochę z wyboru, ale bardziej z powodu znacznie niższych cen mieszkań niż te, które „obowiązywały" w wielkim mieście. Chwilę zajęło mi wicie gniazda i oswajanie miejsca oraz siebie w tym miejscu, po czym zderzyłam się z nowym wyzwaniem – rezygnacją z toksycznej pracy. Będąc „pomiędzy pracami" – jak to się dzisiaj określa bezrobocie – i w trosce o zdrowie, przede wszystkim głowy, wsiadłam na rower i pojechałam.

Po dziurach do Mikoszewa

Na pierwszy ogień wybrałam „lekką" trasę – 70 kilometrów (w dwie strony, żeby nie było) – z Tczewa do Mikoszewa. Nie byłam świadoma, że istnieje Wiślana Trasa Rowerowa EuroVelo ani że można skorzystać z innych aplikacji rowerowych niż Google Maps. Skończyło się to tak, że jechałam po najgorszych płytach, ruchliwych ulicach i prywatnych polach. Nie do końca wiedziałam, co robię i w jaki sposób dojadę do celu, ale udało się. Po 5 godzinach jazdy trasą, której pokonanie miało zająć maksymalnie 3 godziny, dotarłam do celu. Miejscowość przywitała mnie wspomnieniem szkolnych wyjazdów, ujściem Wisły, domem podcieniowym charakterystycznym dla Żuław i możliwością przedostania się promem na drugą stronę królowej rzek, a tym samym łatwiejszym powrotem do domu.

Powrót z widokami

Na drugim brzegu Wisły leży Świbno, czyli wschodnia część Wyspy Sobieszewskiej w Gdańsku, z rezerwatem Mewia Łacha – schronieniem dla różnych gatunków ptaków – i z plażą znaną z obecności fok.



Miejsce dawnego ujścia Wisły oznaczone na trasie rowerowej niebieskim kolorem – przebiegało tędy kiedyś koryto rzeki (fot. Patrycja Oryl)

Droga ze Świbna do Tczewa była miłą odmianą – cały czas prowadziła szlakiem Wiślanej Trasy Rowerowej EV9, lewym brzegiem Wisły, która nie znikała z zasięgu wzroku niemal przez całą wycieczkę.

Czas na krótką przerwę przyszedł chwilę później – w Marinie Błotnik, przystani dla łodzi położonej w odnodze Martwej Wisły, miejscu relaksu i kojących widoków.

Gdy opuszczałam marinę, zaskoczył mnie odcinek trasy rowerowej pomalowany na niebiesko. To około 100-metrowy fragment informujący o tym, że przebiegało tędy kiedyś koryto Wisły, zasypane podczas przekopu w XIX wieku.

Na trasie, około 12 km od Tczewa, zobaczyłam znak kierujący do ruin kościoła z XIV–XV w., ale tam wybrałam się kilka dni później, gdy odzyskałam siły po pierwszej wielkiej wyprawie rowerowej w życiu.

Czy na pewno ruiny?

Obniżyłam więc poprzeczkę, ale tylko w kwestii odległości, bo miejsce, do którego trafiłam po około 12 kilometrach przejażdżki, na długo zapadło mi w pamięć i wracałam do niego kilka razy.



Kaplica grobowa Wesselów w Steblewie, z napisem nad wejściem: „Jestem gościem na ziemi" (fot. Patrycja Oryl)

Chodzi o Steblewo, a dokładniej wspomniane już wcześniej ruiny kościoła ewangelickiego (1584–1945) z XIV–XV wieku, zniszczonego w 1628 roku przez Szwedów, następnie odbudowanego i... spalonego w 1945 r. Do dziś zachowały się fragmenty wieży i murów zewnętrznych. Przy kościele znajdują się nagrobki ze zdobieniami oraz wyremontowana kaplica rodziny Vessel.

W kościele nadal odbywają się wydarzenia religijne.

Czym jest ten „jaz"?

Z misją odkrywcy ruszyłam dalej. Nie tego samego dnia, żeby nie było zbyt trudno. Już wypoczęta odwiedziłam miejscowość Młynki, bo zafascynowało mnie słowo „jaz" i chciałam przekonać się, czym on właściwie jest. Jaz to budowla hydrotechniczna na rzece Szpęgawie, której głównym zadaniem jest piętrzenie wody, by utrzymać jej stały poziom i stworzyć zbiornik retencyjny. Brzmi mało atrakcyjnie, ale to miejsce okazało się idealnym punktem spacerowym dla osób ceniących spokój i wszędobylską zieleń. Młynki nie były jednak celem tej wycieczki.

Pamięć Lasu Szpęgawskiego

Mapa poprowadziła mnie do Lasu Szpęgawskiego, miejsca zbrodni hitlerowskich z lat 1939–1940. Dziś jest to miejsce upamiętniające ofiary. W 2019 r. na cmentarzu wojennym stanął pomnik autorstwa Katarzyny Ephraim. Na powierzchniach symbolizujących przekroje pni imiona i nazwiska zamordowanych osób układają się w koncentryczne kręgi, przypominające słoje drzewa. Warto się tu zatrzymać na chwilę zadumy.

Pelplin

Z Tczewa pojechałam też rowerem do Pelplina, choć nie była to trasa wymarzona. Musiałam pokonać kilka leśnych, szutrowych



Pomnik ofiar zbrodni niemieckich w Lesie Szpęgawskim (fot. Patrycja Oryl)



Ołtarz główny w bazylice katedralnej w Pelplinie (fot. Patrycja Oryl)

dróg. Dlatego lepiej było wrócić pociągiem. Raz, że doskwierał upał, a dwa – pociąg jechał zaledwie 20 minut. No ale co to za wycieczka bez zwiedzania? A w Pelplinie jest co zobaczyć – na przykład Bazylikę Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny z 23 ołtarzami, będącą częścią dawnego opactwa cysterskiego. Można ją zwiedzać z przewodnikiem lub – jak lubię najbardziej – bez niego. Nieopodal jest też Muzeum Diecezjalne, gdzie znajduje się jedyny w Polsce egzemplarz Biblii Gutenberga. A jeśli chcemy odpocząć na łonie natury, niedaleko znajdują się Ogrody Biskupie, do których dotrzemy barokowymi schodami nad Wierzycą. W ich centralnym punkcie znajduje się Pałac Biskupi, a gdy go miniemy, otworzy się przed nami zieleń: altana uchroni przed słońcem, woda przyniesie oddech, a wierzbowe labirynty zapewnią trochę rozrywki.

Pizza z jabłkiem?

Co to za wycieczki bez jedzenia? Niedaleko Tczewa, w Maleninie, można zjeść „Pizzę w sadzie". Dojedziemy tam rowerem w niespełna godzinę (można i szybciej, jak ktoś jest szybki, ale to nie o mnie), by ucztować wśród jabłoni – na leżakach i hamakach kosztować pizzy neapolitańskiej. Miejsce jest otwarte w sezonie letnim i znajduje się za Jabłoniowym Dworkiem. I na tym nie koniec (ale prawie).

Zabytkowe śluzy i pęknięta dętka

Gdy przeglądałam mapę, trafiłam na Białą Górę, niecałe 30 kilometrów od Tczewa. Tyle już przejechałam, więc co może pójść nie tak podczas kolejnej przygody? Wsiadłam na rower, który za chwilę musiałam znieść z Mostu Knybawskiego, by ruszyć dalej. Zatrzymałam się w Bystrzu, żeby zobaczyć ossuarium z gotycką polichromią (a raczej jej resztkami) i pozostałości po cmentarzu mennonickim. W ossuarium złożono szczątki ofiar wojny trzynastoletniej (1454–1466). Dziś budowla popada w ruinę.

Do Białej Góry dojechałam bez większego problemu, chociaż przez miejscowość Piekło. Biała Góra to wieś, w której znajduje się zespół śluz, jazów i wrót przeciwpowodziowych rozdzielających Wisłę (dawną Leniwkę) i Nogat. Zaporę na Nogacie (wybudowaną w latach 1852–1879) wieńczą neogotyckie wieże, dlatego śluza nazywana jest Wodnym Zamkiem. Do początku II wojny światowej śluza wyznaczała granicę między Wolnym Miastem Gdańskiem a Niemcami.

Gdy wracałam – znów przez Piekło (!) – koło zaczęło dziwnie stukać o podłoże. Niewzruszona sprawdziłam sytuację i uznałam, że zeszło powietrze – napompowałam koło i ruszyłam dalej. Za chwilę znów było to samo. Ponownie pompka poszła w ruch, ale na niewiele się to zdało. Coś tam przejechałam, więcej przeszłam i... poddałam się. Od Bystrza wędrowałam już z niedomagającym rowerem u mego boku.



Pozostałości gotyckiego ossuarium w Bystrzu (fot. Patrycja Oryl)



Młynki – miejsce spacerów wśród zieleni i spokoju (fot. Patrycja Oryl)

Szłam z nim do domu, teraz już „aż" domu, gdzie między innymi dzięki rowerowym wojażom zaczęłam zapuszczać korzenie. ■



DAMIAN DOMAŃSKI

BIBLIOTEKA JAKO INSTYTUCJA ZAUFANIA

O CZYTANIU, WSPÓLNOCIE I ODPORNOŚCI SPOŁECZNEJ

Współczesna biblioteka jest jednym z tych miejsc, które – choć pozornie niezmienne – w rzeczywistości przechodzą jedną z najgłębszych transformacji w historii polskiej kultury. Przez lata postrzegana jako instytucja stabilna, przewidywalna, zakorzeniona w tradycji, dziś staje się przestrzenią dynamiczną, reagującą na zmiany społeczne, technologiczne i kulturowe.

Zmienia się sposób, w jaki czytamy, uczymy się, spędzamy czas, budujemy relacje i uczestniczymy w życiu społecznym. Zmieniają się także nasze potrzeby: oczekujemy miejsc otwartych, przyjaznych, bezpiecznych, które nie tylko oferują dostęp do książek, lecz także wzmacniają naszą odporność na wyzwania współczesności. Biblioteka staje się jednym z ostatnich publicznych miejsc, w których można doświadczyć uważności, spokoju i wspólnoty.

Transformacja ta nie jest przypadkowa. To efekt wieloletniej pracy bibliotekarzy i bibliotekarek, świadomej polityki publicznej oraz rosnącej świadomości społecznej dotyczącej roli kultury i edukacji. Od 2009 roku Program Rozwoju Bibliotek uczy instytucje kultury, jak budować relacje ze społecznością, projektować usługi i tworzyć przestrzenie z myślą o ludziach. Pokazał, że biblioteka może być miejscem, które nie tylko udostępnia zasoby, lecz także aktywnie współtworzy lokalne życie społeczne. Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa nadał priorytet rozwijaniu kompetencji czytelniczych, podkreślając, że czytanie to fundament nowoczesnego społeczeństwa – kompetencja, która decyduje o tym, jak radzimy sobie z nadmiarem informacji, jak reagujemy na manipulację, jak budujemy własne opinie i jak uczestniczymy w życiu publicznym.

Czytanie – kompetencja przyszłości

Czytanie – często traktowane jako oczywistość – jest jedną z kluczowych kompetencji społecznych XXI wieku. W świecie, w któ-

Fot. powyżej: Spotkanie autorskie z Marleną Wittstock (po lewej) w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie, 22 września 2026 (fot. Julia Rogalska)

rym każdy z nas codziennie styka się z setkami komunikatów, umiejętność rozumienia i interpretowania treści oraz krytycznego myślenia staje się narzędziem obrony przed chaosem informacyjnym. Czytanie wzmacnia koncentrację, rozwija empatię, uczy dialogu i buduje zdolność do refleksji. Badania realizowane w latach 2021–2025 w ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0 pokazują, że osoby czytające częściej angażują się społecznie, lepiej radzą sobie zawodowo, są bardziej odporne na stres i bardziej otwarte na różnorodność. Biblioteki w Polsce od lat budują kulturę czytania w sposób systemowy. To nie są już pojedyncze akcje, lecz elementy długofalowych strategii: programy dla dzieci i rodzin, współpraca ze szkołami, kluby książki, działania animacyjne, warsztaty literackie, kampanie społeczne. Dzięki działaniom bibliotek czytanie może stać się przyjemnością, rytuałem i sposobem na rozwój. Tworzą one środowisko, w którym książka jest obecna w codzienności – nie jako obowiązek, lecz jako zaproszenie do odkrywania świata.

Biblioteka – ambasadorka czytelnictwa

Promocja czytelnictwa stała się jednym z najważniejszych zadań bibliotek. Skuteczna promocja nie polega na jednorazowych wydarzeniach, lecz na budowaniu nawyków, tworzeniu atrakcyjnych przestrzeni i angażowaniu społeczności. Biblioteki działają nowocześnie: prowadzą kampanie społeczne, współpracują z lokalnymi instytucjami, organizują wydarzenia dla mieszkańców w każdym wieku i wykorzystują media społecznościowe jako naturalne narzędzie pracy. Książka staje się pretekstem do spotkania, rozmowy i wspólnego przeżywania kultury.

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0, realizowany w latach 2021–2025, wspierał współpracę szkół, przedszkoli i bibliotek w działaniach promujących czytelnictwo. W całej Polsce biblioteki współpracują z nauczycielami, prowadzą zajęcia dla klas, organizują projekty edukacyjne i pomagają w budowaniu szkolnych kolekcji. Działania te sprzyjają kształtowaniu nawyków



Wymienialnia książek w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie – sposób na rozwijanie czytelnictwa i dawanie książkom drugiego życia (fot. Julia Rogalska)

czytelniczych młodych ludzi i rozwijaniu ich kompetencji.



Wakacyjne zajęcia dla dzieci w MBP w Tczewie – jedna z form, w jakich biblioteka odpowiada na potrzeby czytelników w różnym wieku (fot. Julia Rogalska)

Przestrzeń spotkań, rozwoju i codziennego życia

Współczesna biblioteka jest jednym z najważniejszych „trzecich miejsc" – przestrzeni pomiędzy domem a pracą, w której można po prostu być. To miejsce neutralne, otwarte i bezpieczne, w którym spotykają się różne pokolenia i różne potrzeby. Dzieci odkrywają tu pierwsze książki i uczą się świata. Młodzież znajduje przestrzeń do nauki, pracy i odpoczynku. Dorośli rozwijają swoje pasje, uczestniczą w warsztatach, spotkaniach i debatach. Seniorzy zdobywają kompetencje cyfrowe i budują relacje, które przeciwdziałają osamotnieniu.

Biblioteka pełni dziś szczególną funkcję wśród instytucji publicznych: jest przestrzenią niekomercyjną, otwartą dla wszystkich, niezależnie od wieku, statusu czy sytuacji życiowej. Można tu przyjść bez planu, bez zobowiązań, bez konieczności kupowania czegokolwiek. W świecie, który przyspiesza, biblioteka oferuje coś bezcennego: czas, spokój i przestrzeń do myślenia. To miejsce, które daje wytchnienie i poczucie przynależności.

Biblioteka jako wsparcie odporności społecznej

Odporność społeczna to zdolność wspólnoty do radzenia sobie z kryzysami – informacyjnymi, ekonomicznymi i emocjonalnymi. Biblioteki odgrywają w tym procesie rolę, której często nie doceniamy: zapewniają dostęp do rzetelnej informacji, uczą bezpiecznego korzystania z technologii, wspierają osoby zagrożone wykluczeniem i budują więzi społeczne. To miejsca, do których można przyjść bez lęku i bez wstydu; miejsca, które dają poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Odporność społeczna rodzi się z codziennych, drobnych działań – z rozmowy, edukacji i uważności. Biblioteki wzmacniają ją konsekwentnie poprzez codzienną pracę. W czasach dynamicznych zmian technologicznych, społecznych i kulturowych stają się instytucjami, które nie tylko reagują na kryzysy, lecz także budują zdolność wspólnot do ich przezwyciężania.

Przemiany te widać szczególnie wyraźnie w Tczewie, gdzie biblioteki stały się przestrzeniami łączącymi kulturę, edukację, rozwój społeczny i troskę o potrzeby mieszkańców. Każda filia pełni inną, ale równie ważną rolę: jest centrum kultury, miejscem edukacji, przestrzenią twórczą i punktem wsparcia. Tczewskie biblioteki wzmacniają kompetencje czytelnicze na każdym etapie życia – poprzez zajęcia dla najmłodszych, projekty dla młodzieży oraz działania dla dorosłych i seniorów. Książka staje się tu narzędziem budowania relacji, a biblioteka – miejscem, które rośnie razem ze społecznością. ■

Renata Kozłowska

* * * * *

patrzę w górę rzeki ku młodości
trudno zostawić zbędne bagaże
rodzinne iluzje
i się tu posadzić
ale dziś nad brzegiem Wisły na Kociewiu stoję próbuję
jak ozime jestem
coś musi najpierw we mnie umrzeć
samotnie i boleśnie
do wiosny
gdy nagle trawą wyrastam
różowym makiem zakwitam
i dalej się pnę
zadziwiona drzewem się staję
samotnym tutaj – przez chwilę myślę –
ale oto moje korzenie trafiły
na kreatywną grzybnię
i już otacza mnie las
dostrajam się
tak mi dobrze że tu trafiłam

Maria Dietrich

PRZY KOMINKU W BUJANYM FOTELU

Za oknem zima pada miękki biały śnieg
W kominku płomień pieści suche drwa
Iskry mrugają sieją w sercu błogi spokój
W bujanym fotelu bezpiecznej przystani
Wygodnie siadam otulona ciepłym szalem
Zegar nieśmiało tyka chwile dawno minione
Serce zwalnia tempo w głowie krążą myśli
Zatrzymuję się w czasie odnajdując siebie
Uchylam drzwi wspomnieniom i tęsknotom
W domu dzieciństwa słyszę śmiech i muzykę
Radosny gwar przyjaciół dobiega z podwórka
Wciąż widzę twarze których czas nie zatarł
i nie zapomniał wspólnie przeżytych chwil
Przeszłość i teraźniejszość splatają swoje nici
Które w mojej pamięci pozostaną na zawsze
W kominku dogasa blask i moje wspomnienia

Styczeń 2026

Zofia Daniel

W MOIM ŚWIECIE

Smutno drzewom
Smutno ptakom
Mglisty las opuszczony
Nocne mosty
Myśli nie łączą –
Czas się zatrzymał
Zdumiony

Nagle tak cicho
Nagle tak pusto
Zrobiło się w moim
Świecie bez ciebie
Kwiaty nie kwitną
Żółknące liście
Utworzyły złocisty kobierzec

Skąd one wiedzą
Że zniknęłaś
Z tej ziemskiej przestrzeni?
Nawet tańczą
Dla mnie zabawnie –
Chyba by mnie
Rozweselić

Jesteś już tam
Spokojna
Pewnie gdzieś niedaleko
W kolejnej dalszej podróży…
Tu kwitną wspomnienia
Wciąż żyje pamięć
I miłość na ziemi
– widzę Ciebie Mamo
w tym białym locie gołębim…

Tczew, 12.11.2025

Patrycja Oryl

LAS

Szumisz mi czasem
jak matka w tunelu,
stary telewizor,
głos
cegłami kładziony do głowy
rój wlatujący gęsiego
przez dziurkę od klucza,
komar czuwający nad brakiem snu.

Zostań mi lasem,
jak matka w ziemi
stary bór
głos
ptasim śpiewem głaszczący brzuch
rój – paź królowej zawracający
z dalekiego końca kałuży,
świetlik czuwający nad ciemnością.

Zaszum mi lasem.

Nina Cichocka

POCIĄG ŻYCIA

Wsiadłam na pierwszym peronie.
Pognałam pociągiem przez życie,
przyglądałam się sama sobie,
a i innym z ukrycia.

Czy mieli lepiej ode mnie?
Czy świat był im bardziej łaskawy?
Czy mieli sny i marzenia,
czy czas też był pełen obawy?

Skulona teraz nad książką
czekam na jasny świt,
by z rana przetrzeć oczy,
ruszyć w życie i być.

Emocje się czają z ukrycia,
tak jak łzy kurzem wytarte.
Wspomnienia nas ciągle gonią,
w życiowych zakrętach buty zdarte.

Już zapomniałam wszystko, co było,
czuję tylko od zimna dreszcze.
Chciałabym znowu marzyć
i barwą tęczy cieszyć się jeszcze.

Czy to jest purpura życia?

10.02.2025

Lidia Zygmunt

SZEPTUSZKI ZALIPIAŃSKIE

Czarnobrewko ty moja,
kruki we włosach budzą się,
by znów poderwać cię do lotu.
Nie zasypiaj, leć nad jaskółczą wieżą,
leć, póki jeszcze tli się nadwątlone życie.
Nie bój się śmierci, to tylko noc plecie
twoje czornyje warkocze bladym świtem.
Jeszcze tli się życie, nie zasypiaj,
mała, nie zasypiaj, kot ma przecież siedem żyć.
Uleć z wiatrem, uleć, czarnuszko ty moja.
Póki nie stanie się ciemność, pozwól mi śnić

Mirosława Janiszewska

NAD BRZEGIEM WISŁY NA KOCIEWIU

Malownicza kraina
obraz tak bardzo mi znany
sosnowe lasy, pola, łąki
potoki rwące, strumyki szumiące.
Kraina ma rodzima
gdzie babów, chłopów, dzieciów gwara.
Gdzie przed chatą drewnianą
z bierwoń ciosanych
chlebem i solą gości witanych
gdzie Bóg w dom tam pokój i zgoda
gdzie noc świętojańska
kolęda pańska.
Tu nad brzegiem Wisły
wiosną topielica spływa
Tu kociewskie zapusty
ruchadło w czwartek tłusty
tu andrzejkowe wróżby.
Izby wystrojone, piękne wycinanki,
wstążki kolorowe,
rwią się do tańca
busie i knapy
a przygrywają im burczybasy.
Kociewskie przyśpiewki, tradycje, zwyczaje
w tej łagodnej krainie niech nie ustają.
Tu w kolebce Kociewia
gdzie się urodziłam
tu nad Wisłą Ziemia ma miła.

Barbara Alicja Korpak

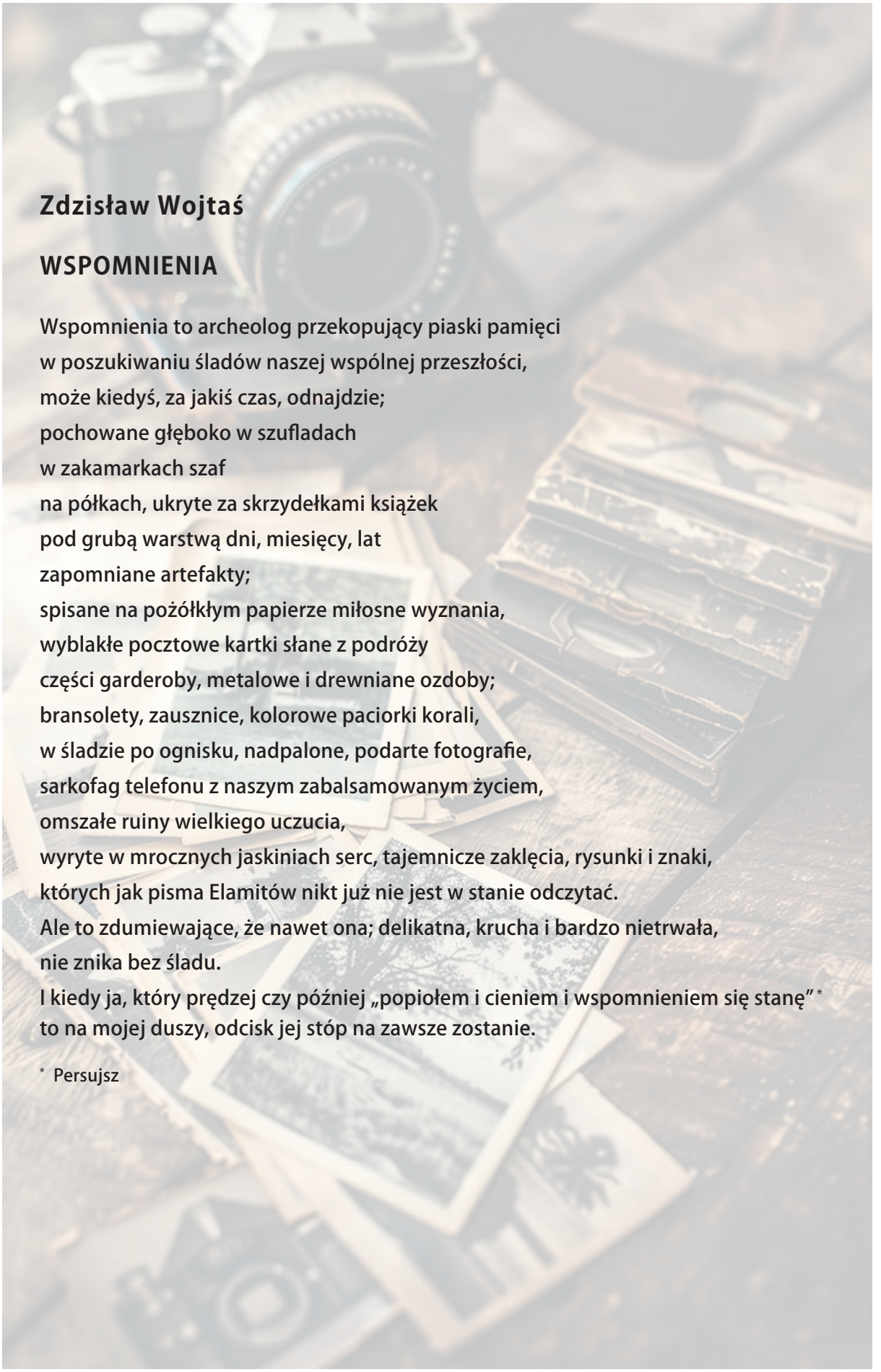
KRĄGŁOŚĆ BRZUCHA

Krągłość brzucha rośnie powoli
Lecz serce wypełnione miłością
Pomieścić nie może tkliwości

Strachy pierzchną
Tak lekko rozproszone malusieńką dłonią
Której jeszcze
Nie można uściskać

Tylko pulsujący lekko obraz
Na ekranie monitora
Przekonuje że jesteś

I myśl jedna
Jestem mamą
Ważniejsza
Niż wszystkie cuda świata



Zdzisław Wojtaś

WSPOMNIENIA

Wspomnienia to archeolog przekopujący piaski pamięci
w poszukiwaniu śladów naszej wspólnej przeszłości,
może kiedyś, za jakiś czas, odnajdzie;
pochowane głęboko w szufladach
w zakamarkach szaf
na półkach, ukryte za skrzydełkami książek
pod grubą warstwą dni, miesięcy, lat
zapomniane artefakty;
spisane na pożółkłym papierze miłosne wyznania,
wyblakłe pocztowe kartki słane z podróży
części garderoby, metalowe i drewniane ozdoby;
bransolety, zausznice, kolorowe paciorki korali,
w śladzie po ognisku, nadpalone, podarte fotografie,
sarkofag telefonu z naszym zabalsamowanym życiem,
omszałe ruiny wielkiego uczucia,
wyryte w mrocznych jaskiniach serc, tajemnicze zaklęcia, rysunki i znaki,
których jak pisma Elamitów nikt już nie jest w stanie odczytać.
Ale to zdumiewające, że nawet ona; delikatna, krucha i bardzo nietrwała,
nie znika bez śladu.
I kiedy ja, który prędzej czy później „popiołem i cieniem i wspomnieniem się stanę”*
to na mojej duszy, odcisk jej stóp na zawsze zostanie.

* Persujsz



MARTA MURAWSKA

RZEŹBIARSKIE TRELE

O PRACOWNI I MUZEUM ZYGMUNTA PASCHILKE W OSIECZNEJ

W Osiecznej, wsi położonej na pograniczu Kociewia i Borów Tucholskich, znajduje się miejsce szczególne – pracownia rzeźbiarska oraz prywatne muzeum Zygmunta Paschilke, mieszczące się w budynku dawnej stacji kolejowej.

Zygmunt Paschilke urodził się 18 stycznia 1944 roku w Kasparusie jako najstarszy z trojga dzieci Alfonsa i Marianny z domu Urban. Jego ojciec od 1943 roku prowadził tam własny warsztat szewski. W 1959 roku rodzina Paschilków zamieszkała w Smętowie Granicznym.

W młodości Zygmunt chciał zostać elektrykiem lub ogrodnikiem. Ostatecznie wyuczył się zawodu blacharza naczyniowego. W szkole wyrabiał wiadra, konewki, wanny i misy. Nauczył się także spawać, a do powierzonych mu prac podchodził z dużą dokładnością i starannością. Większość swojej drogi zawodowej związał jednak z koleją. Wraz z rodziną – żoną Czesławą i trzema synami – zamieszkał w Osiecznej.

Rzeźbiarstwem na dobre zainteresował się po przejściu na emeryturę. Zamiłowanie do tej dziedziny sztuki i talent odziedziczył po swoim ojcu Alfonsie (1919–1996), znanym i zasłużonym kociewskim rzeźbiarzu. Alfons czerpał inspiracje z otaczającej go przyrody oraz literatury. Tworzył kompozycje wielopostaciowe, rzeźby i płaskorzeźby. Podejmował różnorodną tematykę, jednak szczególne miejsce w jego twórczości zajmowały wątki religijne. Wykonał dwie repliki fragmentu ołtarza Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie. Pierwszą z nich zakupił jeden z kościołów w Norymberdze. Druga, która w zamyśle autora miała pozostać w kościele parafialnym w Smętowie Granicznym, została w 2013 roku podarowana parafii św. Mikołaja w Powitnie na Ukrainie[1].

Przygoda Zygmunta Paschilke z rzeźbiarstwem rozpoczęła się, gdy od znajomego mieszkającego w okolicy otrzymał dwa niewielkie, rzeźbione ptaki. Przyglądając się im, pomyślał, że sam również byłby w stanie zrobić coś podobnego.

[1] I. Czogała, *Alfons Paschilke ludowy rzeźbiarz Kociewia. Życie i twórczość*, Saarbrücken 2014, s. 25, 29, 38, 50, 55 i 61.



Zygmunt Paschilke – rzeźbiarz pasjonata i regionalista z Osiecznej



Nad swoim pierwszym drewnianym ptakiem pracował przez dwa lata, posługując się odziedziczonym po ojcu nożem szewskim. Wydawało mu się wówczas, że jest to najlepsze narzędzie do tego rodzaju pracy. Z czasem, zdobywając coraz większą wiedzę o rzeźbiarstwie, odkrył inne rodzaje noży i dłut, które znacznie ułatwiały i przyspieszały pracę.

Pierwszą rzeźbą miała być sójka. Jak sam przyznaje, powstało jednak coś zupełnie innego. Rzeźba miała jeszcze ludowy charakter, a ptak – jak sam przyznaje – miał zbyt dużą głowę. Z czasem celem Zygmunta stało się rzeźbienie ptaków w taki sposób, aby jak najwierniej oddawały wygląd swoich odpowiedników występujących w naturze.

Dzisiaj do rzeźbienia ptaków Zygmunt wykorzystuje przygotowane wcześniej szablony z grubych desek oraz zwykłe nożyki do tapet. Wykonanie jednej rzeźby zajmuje mu przeciętnie od godziny do nieco ponad godziny.

Za ptaka najtrudniejszego do wyrzeźbienia uważa dudka, przede wszystkim ze względu na jego charakterystyczny czub. Szczegóły właściwe poszczególnym gatunkom najpierw zaznacza rysunkiem, a następnie starannie wycina i nacina nożykiem. Gotowe rzeźby maluje, dobierając barwy właściwe dla danego gatunku i posiłkując się przy tym podręcznikiem o ptakach.

Dlaczego właśnie ptaki stały się ulubionym tematem rzeźbiarskim Zygmunta? Być może dlatego, że jego ojciec hodował niegdyś kanarki, a on sam od dzieciństwa darzył te zwierzęta szczególną sympatią.



Zabudowania dawnej stacji PKP w Osiecznej, wsi pogranicza borowiacko-kociewskiego

Rzeźbiarz ma rozległą wiedzę o ptakach, zna wiele ich gatunków i jest uważnym obserwatorem przyrody. Wykonuje również budki lęgowe, które zawiesza na okolicznych drzewach.

Jak sam mówi, przy pracy rzeźbiarskiej wypoczywa. Największą satysfakcję sprawia mu radość innych, zwłaszcza tych, których może obdarować swoimi niewielkimi drewnianymi rzeźbami.

Za sprawą jednego z synów kociewskie ptaki z Osiecznej trafiły także w daleki świat. Podróżując na statkach, dotarły m.in. na Wyspy Owcze, do Chin i Ekwadoru.

Zygmunt Paschilke podejmuje również inne tematy. Wykonuje m.in. płaskorzeźby o tematyce religijnej i historycznej. Jego pracami interesują się także odbiorcy w kraju. Do Osiecznej przyjeżdżają ludzie z różnych zakątków Polski, a wielu z nich powraca nawet kilkakrotnie. W ten sposób rzeźbione na Kociewiu ptaki trafiają do najodleglejszych zakątków kraju.

Za swoją działalność artystyczną Zygmunt Paschilke otrzymał w 2018 roku nagrodę „Kociewskie Pióro" w kategorii animacja kultury. Jest także laureatem wielu innych nagród i wyróżnień. Wśród nich znalazły się m.in. dyplom Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za popularyzowanie tradycji Kociewia i znaczący wkład w rozwój kultury ludowej oraz wyróżnienie Marszałka Województwa Pomorskiego.



Rzeźbiarz od lat współpracuje z lokalną społecznością, wspierając różnego rodzaju inicjatywy, m.in. gminne „Święto Grzyba u Lasaków" czy „Kociewskie Śpiewogry" Lokalnej Grupy Działania „Chata Kociewia".

Kolejną pasją Zygmunta jest kolekcjonowanie pamiątek z przeszłości. Jego bogate zbiory stały się podstawą utworzonego w lipcu 2007 roku prywatnego muzeum, mieszczącego się w dawnym budynku stacji kolejowej w Osiecznej. Zgromadzono w nim niemały zbiór eksponatów, wśród których znajdują się liczne przedmioty o charakte-



Eksponaty zebrane przez osieckiego regionalistę

rze etnograficznym: szuńdy, cepy, sierpy, brony, stare heble i strugi, niemiecka ręczna kosiarka do trawy z czterema ostrzami, kierzanka do masła czy różnego rodzaju wafelnice. W muzeum znajdują się również stare meble, obrazy, radioodbiorniki, adaptery, żelazka z duszą oraz inne przedmioty należące niegdyś do wyposażenia kociewskich domostw.

Osobną grupę tworzą pamiątki dokumentujące życie codzienne mieszkańców regionu. Wśród nich znajduje się m.in. zeszyt do języka polskiego należący do Klemensa Urbana z Kasparusa z roku szkolnego 1937/1938, a także liczne stare gazety, fotografie i dokumenty.

Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni zgromadzono również przedmioty związane z koleją. Wśród nich znajdują się m.in. centralka telefoniczna, dźwignia zwrotnicowa, stare rozkłady jazdy, wskaźniki kolejowe, tarcze sygnałowe oraz inne akcesoria używane niegdyś przez dyżurnych ruchu.

Do bardziej nietypowych eksponatów w zbiorach należy butelka oranżady. Nie byłoby w niej nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że do dziś pozostaje napełniona oryginalną zawartością. Oranżada pochodzi z restauracji „Pod Lipą" w Smętowie Granicznym. Jak opowiada Zygmunt, jeden z dociekliwych turystów odważył się spróbować napoju po kilkudziesięciu latach. Dzięki tej próbie wiadomo, że oranżada nadal zachowała słodki smak.

Osiecki rzeźbiarz chętnie dzieli się swoimi pasjami i wiedzą. Pragnie zaszczepiać w młodych ludziach miłość do przyrody, dlatego z dużym zaangażowaniem uczy rzeźbienia ptaków zarówno dzieci i młodzież, jak i dorosłych. Jego pracownia oraz muzeum są zawsze otwarte dla odwiedzających.

Wizyta w budynku dawnej stacji kolejowej w Osiecznej staje się niezwykłą podróżą do świata Zygmunta Paschilke – świata, w którym ważne miejsce zajmują przyroda, rzeźbiarstwo, pamięć o przeszłości oraz opowieści gospodarza.

Dzięki takim pasjonatom pamięć o dawnym Kociewiu ma swój konkretny kształt – w drewnianych ptakach, starych przedmiotach i opowieściach, które wciąż znajdują nowych słuchaczy. ■



BOGUMIŁA FIAŁKOWSKA

DOPÓKI TRWA PAMIĘĆ...

Jestem lubichowianką od urodzenia, a Kociewianką od pokoleń. Kociewie to dla mnie przede wszystkim moja rodzina, mój dom, bliscy mi ludzie, otaczająca przyroda, zwyczaje i tradycje, a także piękne dzieciństwo i związane z nim wspomnienia...

Z zawodu jestem nauczycielką z ponad 40-letnim stażem pracy. Z dumą mogę powiedzieć, że niemal całe swoje życie zawodowe, które zawsze było dla mnie również pasją, spędziłam w swojej szkole – lubichowskiej podstawówce.

W 1990 roku, pod patronatem Gminnego Ośrodka Kultury w Lubichowie, z którym od ponad 30 lat współpracuję społecznie, założyłam zespół regionalny „Lubichowskie Kociewiaki". Całym sercem pragnę, aby młodzi ludzie aktywnie uczestniczyli w życiu kulturalnym Kociewia, a folklor kociewski wciąż zyskiwał na popularności. Chciałabym, by poprzez gwarę, muzykę, taniec i śpiew trafiał do serc wszystkich, którzy kochają nie tylko polską tradycję, lecz także kulturę i obyczaje naszej małej ojczyzny.

W swojej działalności realizujemy także projekty pod wspólnym hasłem „Ocalić od zapomnienia", w ramach których przypominamy sylwetki dawnych kociewskich artystów i twórców. Pragnę w ten sposób przybliżać młodzieży ludzi, którzy żyli przed nami, mieszkali tak blisko i swoją działalnością współtworzyli piękną historię naszego regionu. Młodzi ludzie często niewiele o nich wiedzą – bo i skąd mieliby czerpać tę wiedzę, jeśli my im jej nie przekażemy?

Wierzę, że dopóki pamięć o tych twórcach pozostaje żywa, dopóty oni sami są w pewien sposób obecni wśród nas – poprzez swoje dzieła, działalność i osiągnięcia. Dzięki nim jesteśmy bogatsi o ważną część naszego dziedzictwa i mamy jeszcze więcej powodów do dumy z Kociewia.

Zamysł ocalenia czegoś od zapomnienia zawsze rodzi się najpierw w sercu. Potem dojrzewa, nabiera kształtu i w pewnym momencie nie ma już odwrotu – wciąż powraca w myślach niczym zadanie, które koniecznie trzeba wykonać. Wtedy zaczynamy szukać sprzymierzeńców i, co niezwykle budujące, zawsze znajdujemy życzliwych ludzi, gotowych ofiarować swoją pomoc i wsparcie.

Jeden z naszych projektów „Ocalić od zapomnienia" poświęciliśmy pamięci wybitnego artysty ludowego Alojzego Stawowego – rzeźbiarza z Bietowa, miejscowości położonej w gminie Lubichowo. Od dawna



Alojzy Stawowy (1904–1994), rzeźbiarz z Bietowa (fot. Edmund Zieliński)

nosiłam się z zamiarem przybliżenia jego twórczości. Pamiętam, że jako dziecko kilkakrotnie odwiedzałam jego pracownię i być może właśnie tamte chwile pozostawiły we mnie trwały ślad.

Alojzy Stawowy był człowiekiem zacnym i niezwykle zasłużonym dla kultury ludowej Kociewia. Nasz projekt miał nie tylko przywołać wspomnienia o artyście, lecz także przypomnieć i należycie docenić jego wkład w kulturę regionu, z którym tak mocno się utożsamiał i dla którego tworzył z pasją, radością oraz ogromnym zaangażowaniem. Brał udział w licznych konkursach i wystawach sztuki ludowej zarówno w kraju, jak i za granicą – m.in. w Finlandii, Niemczech, Bułgarii, Czechosłowacji i na Węgrzech. Jego rzeźby do dziś znajdują się w zbiorach muzealnych, przypominając o talencie, wrażliwości i dorobku tego wyjątkowego kociewskiego twórcy.

Alojzy Stawowy urodził się w 1904 roku, a rzeźbiarstwem zainteresował się jeszcze przed II wojną światową. Początkowo wykonywał postacie historyczne, m.in. Tadeusza Kościuszki, Kazimierza Pułaskiego i Józefa Hallera. Z czasem coraz częściej sięgał po tematykę związaną z życiem codziennym wsi.

Źródłem inspiracji były dla niego również przeżycia religijne.

Jego rzeźby wyróżniały się dobrym wyczuciem proporcji, formy i detalu. Szczególne wrażenie robiła m.in. rzeźba Chrystusa Frasobliwego, a także wykonywane przez artystę łyżki i widelce, których zakończenia zdobiły rzeźbione głowy osób bliskich jego sercu.

Stawowy posiadał niezwykły dar obserwacji natury. Potrafił trafnie oddać zarówno kształt i proporcje postaci, jak i gest, ruch oraz charakter przedstawianych osób. Dzięki temu jego prace zachowywały naturalność i wyrazistość, a jednocześnie nosiły bardzo osobisty ślad twórcy.

W latach 70. i 80. XX wieku jego twórczość cieszyła się dużym zainteresowaniem. Był już wówczas uznanym i wysoko cenionym przedstawicielem kociewskiej sztuki ludowej. Osoby zainteresowane lokalną twórczością często kierowano właśnie do niego – jako jednego z najważniejszych reprezentantów artystów ludowych naszej gminy. Pracownia Stawowego w Bietowie była prawdziwym przytuliskiem dla artystycznej duszy – miejscem szczególnym, pełnym rzeźb, pomysłów i twórczej atmosfery.

W wolnych chwilach Alojzy Stawowy pisał również poezję. Nie publikował swoich utworów, tworzył raczej „do szuflady". Niektóre z jego wierszy udało nam się jednak odnaleźć i włączyć do scenariusza przygotowanego w ramach naszego projektu.

Jeden z nich – utwór „Matka – stał się nam szczególnie bliski. Do wiersza Stawowego nasza utalentowana solistka Marysia Gosz skomponowała muzykę i wykonała go podczas uroczystej gali im. Romana Landowskiego w 2024 roku, wzbudzając zachwyt publiczności.

Artysta zmarł w 1994 roku i spoczywa na lubichowskim cmentarzu.

Zwieńczeniem naszego projektu „Ocalić od zapomnienia" było wydanie w 2020 roku



Matka

Świętością jest matka wśród ludzi
Choć czasem skarci, pouczy.
Miłości jej nikt nie ostudzi,
Nawet, gdy ktoś jej dokuczy.

Oczy jej z pereł kamieni
Oblicze pełne dobroci.
Wśród burzy, wichru i cieni,
Płomieniem serca ozłoci.

Matka to źródło miłości
To cichy codzienny paciorek.
To pokój całej ludzkości,
To szczęście synów i córek.

/Alojzy Stawowy/



biuletynu „Alojzy Stawowy: rzeźbiarz z Bietowa, talent sam z siebie 1904–1994”.

Z tej okazji w niedzielę 16 sierpnia 2020 roku, przygotowaliśmy wernisaż prac artysty w sali widowiskowej miejscowego ośrodka kultury, a następnie uroczyste spotkanie w plenerze. Sylwetkę Alojzego Stawowego oraz jego drugą wielką pasję – poezję – zaprezentowały w swoim artystycznym wystąpieniu „Lubichowskie Kociewiaki”. W wydarzeniu uczestniczyli również licznie zgromadzeni goście, wśród których nie zabrakło osób pamiętających artystę i jego twórczość.

Jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam współpracować z ludźmi, którzy znali Alojzego Stawowego osobiście i z wielką życzliwością oraz satysfakcją pomogli oddać mu należny hołd.

Naszym kolejnym zamierzeniem jest wydanie albumu prezentującego liczne prace Alojzego Stawowego. Część materiałów została już przygotowana. To nasze następne marzenie, a przecież – jak mówią – marzenia się spełniają. ■

fot. ze zbiorów rodziny



Od góry: Alojzy Stawowy w swojej pracowni w Bietowie w latach 80. XX wieku; prezentacja poezji Alojzego Stawowego w wykonaniu „Lubichowskich Kociewiaków”, sierpień 2020 (zbiory Bogumiły Fiałkowskiej)



ALEKSANDRA BRZOZOWSKA

NAGLE WYHAMOWAŁAM*

Rozmowa z Anną Sakowicz

fot. Katarzyna Gapska

Czasem jedna głoska, choćby niepozorna samogłoska, potrafi namieszać w życiu bardziej niż mogłoby się komukolwiek wydawać i w sposób wręcz szamański odmienić jego nurt. Okrąglutkie, niczego nieświadome „o" zatoczyło krąg, po czym zmieniło bieg wydarzeń w życiu Anny Sakowicz – pisarki i blogerki. Stało się kołem zamachowym wielkiej zmiany. Przyczyniło się do domknięcia rozmaitych życiowych procesów i spełnienia marzeń.

Z Anną Sakowicz spotykamy się w bezpośrednim sąsiedztwie grodziska w Owidzu, na pomoście nad rzeką Wierzycą. To tutaj uwielbia przyjeżdżać na spacery z mężem.

Zza trzcin wyłania się nieprzejęty naszą obecnością żuraw. Kaczki wzbijają się w powietrze, a my zamieniamy się w słuch.

– Tutaj czuję się Starogardzianką – mówi nasza rozmówczyni, która przeprowadziła się do stolicy Kociewia w wieku czterdziestu lat. – Ale kiedy jadę do Stargardu[1], też jestem u siebie: czuję się Stargardzianką, bo to tam mam korzenie i znajomych, z którymi dorastałam i dojrzewałam. Kiedy tam przyjeżdżam, jestem trochę jak we śnie. Jakby na moment znikało moje obecne życie. Opanowuje mnie wtedy niepokój, bo nie wyobrażam sobie swojego istnienia bez tych wszystkich doświadczeń, które pośrednio lub bezpośrednio są konsekwencją przeprowadzki na Kociewie.

Do Starogardu przeniosła się z powodu życiowych zawirowań. Można by stwierdzić, że została „odcięta od korzeni", ale podkreśla, że przede wszystkim była to jej decyzja.

* * *

Pisanie zawsze było jej bliskie. Jak większość początkujących twórców, długo pisała „do szuflady". Obawiała się negatywnej informacji zwrotnej. Czuła, że wtedy największe marzenie jej życia zostanie... zrujnowane.

We wczesnych latach nastoletnich zaczęła wraz z bratem tworzyć powieść pod tytułem „Dżuma", po czym wspólnie odkryli, że Albert Camus już ich ubiegł. Motywacja do dalszego pisania prysła.

Wybierając się na studia polonistyczne, była przekonana, że zostanie dziennikarką. Już wtedy dorabiała, pisząc teksty do gazet, ale nienormowany czas pracy i dyżury do późnych godzin nocnych skutecznie ostudziły jej zapał.

Została nauczycielką. Przez siedemnaście lat uczyła języka polskiego i etyki. Zawsze aktywna, brała na siebie dodatkowe zadania: była redaktorką naczelną pisma pedagogicznego, doradcą metodycznym, szkoliła i egzaminowała kandydatów na egzaminatorów.

– Wydawało mi się, że gdy przeprowadzę się do Starogardu, szkoły będą na mnie czekać z otwartymi ramionami. Niestety, myliłam się – wspomina.

Podczas jednej, zresztą niezwykle sympatycznej, rozmowy kwalifikacyjnej pani dyrektor pokiwała smutno głową i powiedziała jej: „Bardzo mi przykro, ale z takimi papierami nie znajdzie pani pracy".

– Zdziwiłam się – opowiada Anna Sakowicz. – Czego mi jeszcze brakuje w tych dokumentach?

Okazało się, że nie chodziło o braki, lecz o nadmiar. Osoba z takimi kwalifikacjami była postrzegana jako zagrożenie i potencjalna rywalka w ubieganiu się o stanowisko dyrektora.

– Zarządzanie nigdy nie leżało w mojej naturze. Jestem raczej osobą introwertyczną i wolę pozostawać „gdzieś z tyłu". Niemniej pracy faktycznie nie znalazłam, a coś przecież musiałam robić – opowiada.

– To było ekstremalnie trudne doświadczenie. Wcześniej byłam bardzo aktywną osobą, a tu zderzyłam się ze ścianą i nagle

* Tekst ukazał się w książce: A. Brzozowska, *Inner-Regio – wewnętrzne połączenia. Reportaże utkane z rozmów z kobietami z Kociewia*, *Poezja* – Aleksandra Brzozowska, *Fotografie* – Katarzyna Gapska, Pelplin 2026, ss. 149–154.

[1] Od 2016 roku oficjalna nazwa miasta w województwie zachodniopomorskim to Stargard, a jedynie zwyczajowo – Stargard Szczeciński.

wyhamowałam. Właśnie kończyłam czterdzieści lat i zaczęłam myśleć, że nie jestem już nikomu potrzebna.

Poranne wstawanie z łóżka tylko po to, by porządkować dom po remoncie, było mało motywujące i urastało do rangi wyzwania. Wkrótce wpadła jednak na pomysł, żeby założyć bloga. Udała się po pomoc do szesnastoletniej córki i poprosiła, aby pomogła jej powołać do życia ten niematerialny byt. Jeszcze wtedy nic nie wiedziała o blogowaniu.

– No dobra, mamuś, a o czym ty będziesz pisać? – zapytała zaciekawiona nastolatka.

– O tym, jak zostać „kurą domową". Właśnie nią zostałam i jestem fachowcem w tej dziedzinie – odparła niezrażona.

– Mamo, dzisiaj kobiety mają być samodzielne, powinny prowadzić własne biznesy, latać w kosmos, a ty będziesz pisać o tym, jak zostać „kurą domową"? – popukała się w głowę, ale bloga założyła.

Wszystkim w szkole rozpowiedziała o planach matki, więc pierwszymi czytelnikami były zapewne koleżanki i koledzy córki. Świeżo upieczona blogerka chciała pozostać anonimowa. Nie ujawniała swoich danych osobowych. Córka na potrzeby blogowych wpisów otrzymała wdzięczny pseudonim „Jajo". Później Anna chciała ją przemianować na „Kurczaka", ale zarówno sama zainteresowana, jak i jej znajomi orzekli, że „Jajo" jest lepsze, więc tak zostało.

– Był październik 2012 roku. Mój pierwszy blogowy post nawiązywał do mycia okien gazetami i rajstopami tak, żeby nie było smug. Nawet nie miałam pewności, czy udało mi się go prawidłowo zamieścić. Po prostu „wrzuciłam" go do sieci i dopiero po tygodniu przypomniałam sobie, że przecież jestem blogerką. Wypadałoby sprawdzić, ile jest odsłon, i odpowiedzieć na ewentualne komentarze! – opowiada ze śmiechem. – Ku mojemu zaskoczeniu było tam siedem i pół tysiąca odsłon. To mnie zmotywowało. Całe szczęście, jeszcze wtedy nie wiedziałam, że można zaplanować publikację posta na kolejny dzień. Dzięki temu codziennie wstawałam o siódmej rano i publikowałam nowy tekst.

Kilka tygodni później mąż Anny znalazł informację o organizowanym przez am-



basadę Szwajcarii konkursie dla blogerów pod hasłem „Zakochaj się w Szwajcarii". Sakowicz napisała nieco przewrotny tekst o Szwajcarii Kaszubskiej, stylizowany na „Rozmowę liryczną" Gałczyńskiego. Wygrała! Nagrodą był ekskluzywny wyjazd do Szwajcarii.



– To była przygoda życia – wspomina Anna. – Oprócz mnie poleciało tam jeszcze troje innych blogerów. Po raz pierwszy podróżowałam klasą biznes, spaliśmy w ekskluzywnym hotelu, jadaliśmy w restauracji wyróżnionej gwiazdkami Michelin. Z nauczycielskiej pensji nie mogłabym sobie na to pozwolić – stwierdza.

Krótko przed wyjazdem usłyszała od koleżanki: „Kiedyś byłaś panią profesor, a teraz jesteś blogerką". Zabolało, ale kiedy rozsiadła się wygodnie w luksusowym samolocie, stwierdziła, że być może nie ma co się tak bardzo przejmować słowami koleżanki. Przecież jako nauczycielka nie poleciałaby na tak wyjątkową wycieczkę. Nagroda w konkursie dała jej odwagę do realizacji marzenia o napisaniu książki.

Po powrocie z wyjazdu okazało się, że blog zyskał na popularności, a ona sama zaczęła coraz śmielej wychodzić do świata. Wiedziała, że tam są jej potencjalni czytelnicy. W ciągu dwóch lat uzyskała pięć milionów odwiedzin. To było naprawdę duże osiągnięcie.

Z drugiej strony sporo nerwów kosztował ją wiążący się z popularnością hejt, a nawet stalking. Były momenty, że obawiała się... otworzyć laptopa. Wspomniany stalker przez dwa miesiące przysyłał jej groźby. Prokurator umorzył jednak postępowanie, wskazując, że stalking trwał... zbyt krótko. Podczas trzymiesięcznych czynności sprawdzających nikt nie kontaktował się z poszkodowaną, aby ustalić, czy proceder nadal trwa. Takie podejście służb do sprawy nie wpływało pozytywnie na jej poczucie bezpieczeństwa. Na szczęście stalker wkrótce sam zerwał kontakt.

Pierwszą książką, którą wydała, był zbiór opowiadań i humoresek pod tytułem „Żółta tabletka", inspirowany blogowymi wpisami. Potem napisała powieść. Niestety została odrzucona przez kilka wydawnictw. Początkowo pojawiła się rozpacz, ale Anna nie poddała się i za namową męża napisała kolejną – wszystkie trzy wydawnictwa, do których ją przesłała, chciały ją wydać! Twierdzi, że z perspektywy czasu dostrzega w niej elementy, które teraz ujęłaby inaczej, ale nie wstydzi się tego. Jest to przecież świadectwo tego, że człowiek „odrabia lekcje", pracuje nad sobą i nad swoim warsztatem.

– Wcześniej zarzekałam się, że nie będę pisać książek dla dzieci – kontynuuje opowieść – ale stało się tak, że bohaterka mojej pierwszej powieści, Joanna, charytatywnie tworzyła bajki dla dzieci. Była nauczycielką, a po godzinach udzielała się w hospicjum. Wymyślałam więc dla niej różne opowiastki. W ten sposób powstały „Leniusiołki". Skoro już zaistniały, postanowiłam je wydać, a honorarium przeznaczyć tak, jak zrobiłaby to Joanna, na leczenie dzieci z oddziału onkologicznego w Szczecinie. Wybrałam się z książką do podopiecznych szpitala. Uszyłam też dla nich Leniusiołki. Obecnie książki dla dzieci są ważnym elementem mojej twórczości – śmieje się Anna.

Coraz mniej przyjemności sprawia jej pisanie współczesnych obyczajówek. Woli te z tłem historycznym. Pociąga ją poszukiwanie

informacji, „grzebanie" w dokumentach. W ten sposób powstały „Jaśminowa saga", której akcja rozpoczyna się w 1916 roku w Gdańsku, oraz powieść o osiemnastowiecznym Gdańsku – „Kamienica Schopenhauerów".

Na pytanie, dlaczego na miejsce akcji swojej powieści wybrała akurat osiemnastowieczny Gdańsk, odpowiada:

– Już sam fakt, że Schopenhauer chadzał tymi uliczkami albo raczej był po nich wożony w jakimś dziecięcym wózeczku, jest dla mnie niesamowity. To, że oddychamy tym samym powietrzem, porusza moją wyobraźnię. Pociąga mnie też pesymizm obecny w jego filozofii. Ja również mam melancholijną naturę. Nie jestem typem zabawowym – przyznaje.

Anna Sakowicz wskazuje, że pisanie ma moc terapeutyczną. Trochę żartobliwie mówi, że wszystkie swoje życiowe problemy „pozałatwiała" w książkach i zamknęła pomiędzy okładkami. Już wtedy, gdy była nastolatką i pisała dziennik, była to dla niej forma autoterapii, element „odsamotniania" swoich przeżyć.

– Widzę też duże podobieństwo między moją pracą a pracą aktora – opowiada. – Kiedy tworzę postać, obdarzam ją własnymi emocjami. „Grzebię" w swojej przeszłości, w doświadczeniach. Dla autora bywa to bolesne, ale czytelnicy to doceniają. Dostrzegają w tym autentyczność – zauważa.

– W jednej ze swoich książek wykorzystałam na przykład wątek własnego, bardzo traumatycznego poronienia – dodaje po chwili. – Wydawało mi się, że mam to przerobione, lecz kiedy usiadłam do pisania, byłam przerażona, jak bardzo wciąż mnie to dotyka. Musiałam ponownie wejść w swoje dawne emocje. Ciało dziwnie reagowało, cała się spinałam. To było paraliżujące.

Zastanawia nas, jak Anna – będąc introwertyczką – znosi dzielenie się swoimi emocjami ze światem.

– Kiedy tworzę postać, jestem z nią tu i teraz. Nie widzę czytelnika – tłumaczy. – Nie myślę o tym, co się będzie z tym działo później. Na spotkaniach z czytelnikami pojawiają się oczywiście pytania o to, „ile jest mnie w danej postaci", ale potrafię o tym tak mówić, aby „nie sięgać do trzewi" – wyjaśnia.

Dzisiaj pisanie jest jej pracą. Umowy i terminy dają poczucie bezpieczeństwa, ale pojawia się też presja. Obecnie musi wydać dwie książki rocznie, żeby się z tego utrzymać.

– Powiedzenie, że „jeśli praca jest twoim hobby, to tak jakbyś nie przepracował ani jednego dnia", nie do końca jest prawdą – dementuje popularny pogląd.

* * *

– Mamy z mężem piękny czas – uśmiecha się wpatrzona w dal. – Dzieci są dorosłe. Mieszkają „na swoim". Bardzo je kochamy, lecz dobrze jest nam we dwoje. Jesteśmy dla siebie. Czego chcieć więcej? Mam poczucie życiowej i zawodowej stabilizacji. Daje mi to niesamowity komfort. Tu, na Kociewiu, mam dom, męża i nasze koty. To moje miejsce na ziemi – mówi z pewnością w głosie. – Brak tego, co mam tutaj, byłby dla mnie nie do przeżycia. To moje spełnienie marzeń, choć dwadzieścia lat temu nawet bym sobie tego wszystkiego nie wymarzyła – przyznaje Anna Sakowicz.

Suma trudnych decyzji, zwątpień, ale też odwagi doprowadziła ją do miejsca, które dziś nazywa swoim spełnieniem. Bo życie potrafi pisać własne scenariusze – często odważniejsze i piękniejsze niż te, które sami odważylibyśmy się dla siebie wymyślić.

Wkrótce żegnamy się z pisarką, wsiadamy do auta i obie pogrążamy się w milczeniu. Chyba każda z nas ma ochotę pozostać jeszcze chwilę pod wpływem niezwykłej aury, którą pozostawiła po sobie nasza rozmówczyni. ■



ALEKSANDRA BRZOZOWSKA

PIZZA W „PARASOLCE" I „BOLERO" RAVELA*
Rozmowa z Magdaleną Kubicką-Netką

fot. Katarzyna Gapska

Magdalena Kubicka-Netka swoje wspomnienia zaczyna od wyznania, które może zaskoczyć: – Miałam jedenaście lat. Byłam ambitna. Graliśmy wtedy „Lekką kawalerię" i „Choral and Rock-out". Nie mogłam nadążyć. Obok mnie siedziała koleżanka, która co chwilę pokazywała mi palcem, co teraz gramy. Początki w orkiestrze były strasznie trudne, a teraz, z punktu widzenia osoby doświadczonej muzycznie, to wszystko wydaje się takie proste – śmieje się.

Historia Harcerskiej Orkiestry Dętej w Tczewie to nie tylko opowieść o muzyce, lecz także o wspólnocie i wzajemnym wsparciu. Liczy się tam dobra współpraca. To jedna drużyna, w której obok siebie siedzą absolwent drugiej klasy szkoły podstawowej, nastolatek i dorosły – grają ramię w ramię. Nie mają znaczenia wiek, życiowe role ani tytuły, lecz to, jak kto gra.

Jesteśmy na Placu Świętego Grzegorza, obok Domu Organizacji Pozarządowych, gdzie odbywają się próby HOD-u.

– Czy to dla pani ważne miejsce? – pytamy.

– Lubię je, ale ważniejsi są dla mnie ludzie. Miejsce ma znaczenie tylko wtedy, gdy są w nim ludzie – odpowiada Magdalena. – Orkiestra to dla mnie druga rodzina – mówi kobieta i widać, że nie ma w tym przesady. – Odkąd pamiętam, chodziliśmy z bratem na próby. Mieliśmy ze trzy, cztery, a może pięć lat, kiedy tata zabierał nas ze sobą i gdzieś tam się pałętaliśmy. Orkiestra była dla nas czymś oczywistym.

Kubicka-Netka w orkiestrze poznała przyjaciół i swojego przyszłego męża. Ich córki również są zaangażowane w HOD. W naturalny sposób sprawy potoczyły się tak, że została także dyrygentką.

– To był mój wybór – widziałam w tym siebie – opowiada Magda. – Tata nigdy na to nie naciskał. Uczył nas przede wszystkim dyscypliny wewnętrznej i tego, że jeśli coś się robi, trzeba to robić porządnie.

– Zastanawiam się, czy istnieje jakaś zawodowa alternatywa dla osoby, która wychowała się w rodzinie o tak silnych tradycjach muzycznych? – pytam.

– W młodości nie zastanawiałam się nad przyszłością. Wyszłam z założenia, że chcę robić to, co lubię. Z rozsądku podjęłam studia na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego i te studia też mi się przydają w życiu – przyznaje nasza rozmówczyni.

Mam jednak wrażenie, że studia z zarządzania to nie tylko głos rozsądku, lecz także przejaw naturalnych predyspozycji. Sądzę, że ten, kto miał okazję obserwować Kubicką-Netkę z batutą w dłoni, podziela moje odczucia.

* * *

Kiedy Jerzy Kubicki przekazał córce batutę, miała dwadzieścia pięć lat.

– Byłam uparta – przyznaje. – Nieraz sprzeczaliśmy się z tatą o kwestie muzyczne. Wiele spraw organizacyjnych załatwiał wtedy on, ale w tym, co dotyczyło muzyki, chciałam robić wszystko po swojemu – wspomina.

– Lubię pracę z młodzieżą – kontynuuje po chwili. – To wspaniali ludzie. Współpraca z nimi daje dużo energii, ale nie czarujmy się – potrafią też czasem zaleźć za skórę. Na szczęście opanowali również

* Tekst ukazał się w książce: A. Brzozowska, *Inner-Regio – wewnętrzne połączenia. Reportaże utkane z rozmów z kobietami z Kociewia, Poezja* – Aleksandra Brzozowska, *Fotografie* – Katarzyna Gapska, Pelplin 2026, ss. 155–158.

do perfekcji nieprzeciętną umiejętność mobilizacji w ostatnim momencie! – zapewnia z uśmiechem. – Fajnie jest też, kiedy na horyzoncie pojawia się jakiś festiwal, a nam udaje się wspólnie zmobilizować do pracy, a potem osiągnąć sukces.

We wspomnieniach z dzieciństwa Magdaleny Kubickiej-Netki pojawiają się także obozy harcerskie w Olpuchu, które odbywają się po dziś dzień.

– To był inny świat, taki dziecięco-młodzieżowy. Rodzice byli tam pochłonięci sprawami organizacyjnymi, więc mieli nad nami mniejszą kontrolę. Dzięki temu cieszyliśmy się większą swobodą – snuje opowieść dyrygentka.

Głęboko w pamięć zapadło jej też wspomnienie, jak po jednym z licznych egzaminów w szkole muzycznej mama zabrała ją do „Parasolki". Było to prawdziwe świętowanie w czasach, gdy chodzenie do restauracji nie należało do powszechnych zwyczajów.

* * *

– Jaka jest „wewnętrzna muzyka" naszego miasta? – powtarza moje pytanie.

– Ja tu słyszę orkiestrę dętą – śmieje się. – A nad Wisłą Ravela. Moje muzyczne rejony to przede wszystkim klasyka. Na tym się wychowałam. Kiedy miałam dwanaście lat, w dniu Pierwszej Komunii św. brata, w telewizji usłyszałam „Bolero" Ravela. Stałam oczarowana. Muzyka zawsze mnie poruszała, choć nauka gry na instrumencie nie zawsze przychodziła łatwo. Trzeba było włożyć w nią sporo wysiłku i samozaparcia. Za pierwszym razem nie dostałam się do średniej szkoły muzycznej – relacjonuje – ale się nie poddałam. Rok później spróbowałam ponownie. Wierzę, że nie ma prawdziwego artyzmu bez rzemiosła, choć czasem trzeba odpuścić perfekcję i zaakceptować, że nie we wszystkim jest się prymusem.

Na pytanie o chwile zwątpienia odpowiada szczerze:

– W dalekiej przeszłości były momenty, w których niektórzy wróżyli upadek orkiestry, ale nie odpuściłam. Na to, czy mamy poczucie sukcesu, składa się wiele elementów: nie tylko wewnętrzna motywacja, ale też korzystne warunki zewnętrzne, wsparcie instytucji czy zaangażowanie członków. Zdarzają się gorsze dni, gdy nikomu nic się nie chce. Spotykamy się w środę wieczorem – po szkole lub po pracy – więc często wkrada się zmęczenie, ale kiedy coś się uda, satysfakcja jest ogromna. Ważne jest to, że ciągle otwierają się nowe drzwi i perspektywy rozwoju.

Przygoda Tczewa z Harcerską Orkiestrą Dętą rozpoczęła się w 1947 roku, kiedy do dziadka Magdaleny – Jana Kubickiego – przyszli miejscowi działacze społeczni: Władysław Einbacher[2] oraz Willibald Stock. Zwrócili się do niego z inicjatywą założenia młodzieżowego zespołu muzycznego. Wymagało to sporo determinacji, aby wcielić w życie i utrzymać ten artystyczny projekt – po wojnie zasobów było niewiele. Członkowie pierwszego składu podkreślali, że sukcesem było już to, że na występach mieli... podobne ubrania. Brakowało instrumentów i jednolitych strojów, ale nigdy nie brakowało chęci. W 1958 roku Jan Kubicki przekazał batutę synowi Jerzemu, a następnie on swojej córce Magdzie.

Przez całą rozmowę towarzyszą nam rozmaite dźwięki: przejeżdżające pociągi, skrzypiące przęsła Mostu Tczewskiego i porywisty wiatr, a kry na Wiśle zdają się płynąć w takt utworu „Bolero" Ravela. ■

[2] Urzędnik Ubezpieczalni Społecznej w Tczewie.



JAN SKERKA

Z TCZEWA DO MEKSYKU PO ZŁOTO

Kociewie ma powody do dumy

To jeden z największych sukcesów w historii tczewskiej kultury. Harcerska Orkiestra Dęta im. Stanisława Moniuszki wróciła z medalami zdobytymi podczas odbywających się 9–12 lipca br. w meksykańskiej Puebli World Championships for Marching Show Bands – Mistrzostw Świata Orkiestr Marszowych i Widowiskowych WAMSB.

Tczewscy muzycy zdobyli trzy tytuły mistrzowskie, tytuł wicemistrzowski oraz nagrodę indywidualną. Zespół triumfował w kategorii Koncert, uzyskując 97,17 pkt, a także w kategorii Show Camp z wynikiem 91,71 pkt. Kolejne mistrzostwo świata orkiestra wywalczyła w kategorii Traditional Band. W Paradzie Marszowej Tczewianie zdobyli 90,30 pkt, co dało im tytuł wicemistrzów świata. Sukces zespołowy uzupełniło indywidualne zwycięstwo trębacza Jakuba Liebrechta w kategorii Face to Face.

Wyjazd do Meksyku był zwieńczeniem wielu miesięcy przygotowań i lat konsekwentnej pracy. Prawo startu w mistrzostwach świata orkiestra wywalczyła 12–13 lipca 2025 roku podczas IV Otwartych Mistrzostw Polski Orkiestr Dętych w Radomiu. Zespół zdobył wówczas m.in. tytuł wicemistrza Polski w paradzie marszowej oraz miejsce na podium w kategorii koncertowej, kwalifikując się do światowego czempionatu orkiestr marszowych i show bandów.

Harcerska Orkiestra Dęta im. Stanisława Moniuszki działa w Tczewie nieprzerwa-



Dyrygentka Magdalena Kubicka-Netka z nagrodą za zdobycie mistrzostwa świata w kategorii Koncert, niżej: zwycięska orkiestra z Tczewa (fot. zbiory Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie)



nie od 1947 roku. Przez blisko osiem dekad wychowała kolejne pokolenia muzyków, z których wielu związało później swoje życie zawodowe z muzyką. Zespół ma w repertuarze utwory od muzyki klasycznej po filmową i rozrywkową. Regularnie koncertuje, uczestniczy w paradach oraz reprezentuje Tczew podczas ważnych wydarzeń w kraju i za granicą.

Historia orkiestry od początku związana jest z rodziną Kubickich. Jej współzałożycielem i pierwszym kapelmistrzem był Jan Kubicki, który w 1947 roku podjął się stworzenia i wyszkolenia zespołu. Po nim batutę przejął jego syn Jerzy Kubicki, prowadzący orkiestrę do 2002 roku.

Od 2002 roku dyrygentką Harcerskiej Orkiestry Dętej w Tczewie jest podharcmistrzyni Magdalena Kubicka-Netka, absolwentka Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku, córka Jerzego i wnuczka Jana Kubickiego.



Członkowie tczewskiej Harcerskiej Orkiestry Dętej podczas mistrzostw świata WAMSB w Puebli w Meksyku (fot. zbiory Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie)

Jako przedstawicielka trzeciego pokolenia rodziny kontynuuje muzyczne tradycje i od lat umacnia pozycję orkiestry na ogólnopolskiej scenie orkiestr dętych. Sukces odniesiony w Puebli jest także zwieńczeniem jej wieloletniej pracy artystycznej, pedagogicznej i organizacyjnej oraz konsekwentnego rozwijania zespołu.

Sukces w Meksyku ma również wymiar lokalny. W przygotowanie wyjazdu zaangażowali się mieszkańcy, przedsiębiorcy, samorząd oraz sympatycy orkiestry, wspierając organizację podróży blisko 60-osobowej grupy i transport instrumentów. Dziś wiadomo, że wspólny wysiłek przyniósł historyczny rezultat. Dwa tytuły mistrzowskie, wicemistrzostwo świata oraz indywidualna nagroda dla tczewskiego muzyka sprawiły, że o Tczewie usłyszano na międzynarodowej scenie orkiestr marszowych. Sukces odniesiony podczas jednego z najważniejszych światowych konkursów tej branży stał się jednocześnie wyjątkową promocją miasta. ■



JOANNA MURZYDŁO, PATRYCJA KUSSOWSKA
MAŁGORZATA GĄDEK

ŚLADAMI WSPOMNIEŃ
Dwa projekty

Joanna Murzydło: Projekt Wspomnienia

Moment, w którym zdałam sobie sprawę, że niewiele pamiętam o swoich przodkach, był dla mnie przełomowy. Nie dlatego, że w domu się o nich nie mówiło. Wręcz przeciwnie – każda rodzinna uroczystość kończyła się leżeniem na kanapie i słuchaniem opowieści o babci, dziadku i o tym, jacy byli. Zrozumiałam jednak, jak łatwo pamięć się zaciera. Własne wspomnienia z czasem bledną, a te przekazywane przez innych mogą zmieniać się jeszcze bardziej. Myślę o tym trochę jak o starym zdjęciu. Jeśli się o nie odpowiednio nie zadba, będzie przekazywane z rąk do rąk, aż zacznie blaknąć, niszczeć, a w końcu może się zgubić.

Z potrzeby ocalenia wspomnień przed zapomnieniem stworzyłam Projekt Wspomnienia. Jego celem jest uhonorowanie seniorów – ich życia i doświadczeń, które nierzadko są niezrozumiałe dla kolejnych pokoleń. Projekt Wspomnienia tworzy przestrzeń do dialogu międzypokoleniowego, lepszego zrozumienia tego, co istotne i ulotne, a także do stworzenia rodzinnego archiwum i zachowania pamięci o tym, jacy są ci, których kochamy.

Coraz bardziej widzę też, jak mocno nasze własne historie łączą się z historiami wcześniejszych pokoleń. To, jak żyli nasi rodzice, dziadkowie czy pradziadkowie, jakie podejmowali decyzje i z czym musieli się mierzyć, często pomaga lepiej zrozumieć także siebie – swoje przyzwyczajenia, sposób myślenia czy podejście do życia. Dlatego tak ważni są dla mnie sami seniorzy. Wielu z nich dorastało w rzeczywistości zupełnie innej od tej, którą znamy dzisiaj – w czasie wojny, powojennej biedy czy komunizmu. W czasach, gdy wyjazd za granicę wiązał się ze staraniem o paszport, wiele rzeczy było trudno dostępnych, a codzienne życie wymagało ogromu pracy i zaradności. Bywało, że na stole pojawiały się tylko ziemniaki z cebulą i chleb, a mimo to przy jednym stole spotykało się kilkanaście osób wracających po całym dniu pracy w polu.

Właśnie takich historii chcę słuchać i je zachowywać – nie po to, by idealizować przeszłość, ale żeby ocalić doświadczenia ludzi, którzy ją pamiętają.

Projekt Wspomnienia jest inicjatywą społeczną, którą

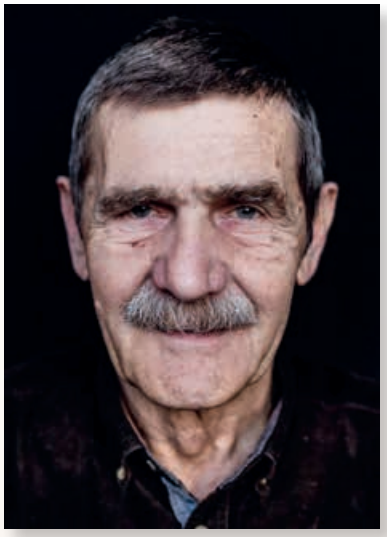
stworzyłam w 2019 roku z pasji do historii, rozmów i fotografii. Interesowało mnie też to, jak osobiste historie splatają się z historią miejsca i kraju, a przez to stają się częścią naszej tożsamości.

Na początku skupiłam się na temacie migracji wewnętrznych. Chciałam zrozumieć, dlaczego pokolenie moich dziadków przeprowadziło się z przepięknej Małopolski na równie piękne, choć zupełnie inne Kociewie. To pytanie stało się punktem wyjścia do pierwszych rozmów. Z czasem zaczęłam sięgać także po historie regionalne, a później również podróżnicze.

To zainteresowanie doprowadziło mnie m.in. do rozmów ze Zdzisławem Bodzionym i Ireną Ukleją, którzy zostali bohaterami serii „Echo migracji" Projektu Wspomnienia. Poniżej przytaczam fragmenty obu rozmów.

Zdzisław Bodziony

„Cała wieś się zgromadziła, kiedy wyjeżdżaliśmy. Załadowali nas na wozy i odprowadzili na dworzec towarowy do Nowego Sącza. Zabraliśmy ze sobą wszystko. Nawet krowy! Jedną prowadziłem ja, drugą babcia i tak z nimi szliśmy, piętnaście kilometrów, przez pół dnia, prosto na dworzec. Po czterech dobach jazdy pociągiem byliśmy w Subkowach..."



Zdzisław Bodziony
(fot. Joanna Murzydło)

Irena Ukleja

„Młodzież w dzisiejszych czasach niestety niewiele wie o prawdziwej historii, a zwłaszcza o Kresach. A przecież Ukraina przez wiele, wiele lat była Polską. Juliusz Słowacki, Aleksander Fredro, Maria Konopnicka. Proszę popatrzeć..."



Irena Ukleja
(fot. Joanna Murzydło)

„Ilu to patriotów było. A teraz? Teraz to wszystko jakoś tak się podzieliło... Stanisławowa już nie ma, ale żyją jego ludzie i on żyje w sercach Kresowian". Niestety, wraz z początkiem pandemii w 2020 roku musiałam na jakiś czas wstrzymać Projekt Wspomnienia. Spotkania z seniorami wiązały się wtedy ze zbyt dużym ryzykiem, a obostrzenia nie pozwalały prowadzić rozmów w dotychczasowej formie. Do projektu wróciłam pod koniec 2025 roku.

GMINA SUBKOWY DAWNIEJ – WSPOMNIENIA MIESZKAŃCÓW

Z lokalnej inicjatywy Patrycji Kussowskiej i Małgorzaty Gądek powstała seria „Gmina Subkowy dawniej – wspomnienia mieszkańców". Niedługo później nawiązałyśmy współpracę, łącząc siły w pracy nad oboma projektami. Połączyła nas ciekawość ludzkich historii, szacunek do mieszkańców oraz przywiązanie do naszej małej ojczyzny".

PATRYCJA KUSSOWSKA

W dzisiejszym świecie coraz rzadziej zatrzymujemy się, by docenić siebie nawzajem. Coraz mniej uwagi poświęcamy drugiemu człowiekowi, a szczególnie osobom starszym, które są cennym źródłem doświadczenia, wiedzy i życiowej mądrości. To właśnie z tej refleksji zrodził się nasz pomysł,

mój i Małgorzaty Gądek, na stworzenie serii rozmów z mieszkańcami Gminy Subkowy. Chciałam pokazać lokalnej społeczności, jak wyjątkowi ludzie żyją tuż obok nas i jak wiele możemy się od nich nauczyć.

Pomysł był prosty, a zarazem niezwykle ważny – po prostu rozmawiać. Słuchać historii, doświadczeń i wspomnień mieszkańców. Oddać głos tym, którzy przez lata współtworzyli lokalną społeczność i mogą dziś inspirować kolejne pokolenia. Tak powstała seria rozmów „Gmina Subkowy dawniej – wspomnienia mieszkańców". Ich historie pokazują, że siła często tkwi w prostocie, uczciwości, pracy, rodzinie i wzajemnym szacunku.

Początkowo kamera czy mikrofon budziły u rozmówców lekkie zakłopotanie, jednak już po chwili – często przy wspólnej kawie – bariery znikały. Spotkania szybko zamieniały się w szczere, pełne ciepła rozmowy, podczas których uczestnicy zapominali o nagraniu i z otwartością dzielili się historiami swojego życia.

Ważnym momentem w realizacji tej inicjatywy było dla nas dołączenie Joanny Murzydło z „Projektem Wspomnienia". Jej obecność wniosła do naszych działań dodatkowy wymiar artystyczny i emocjonalny.

Już od momentu publikacji pierwszego materiału wideo i pierwszych zdjęć projekt spotkał się z ogromnym zainteresowaniem oraz życzliwym odbiorem mieszkańców. Bardzo cieszyło mnie, że rozmowy, które przygotowywałam i prowadziłam z ogromnym zaangażowaniem, wzbudzały tak wiele pozytywnych emocji. Z czasem kolejne osoby same zaczęły zgłaszać chęć udziału w projekcie.

Do dziś materiały wideo realizowane przez Małgorzatę Gądek i publikowane na profilu „Gmina Subkowy – Mieszkańcy" oraz na kanale YouTube, a także portrety autorstwa Joanny Murzydło i spisywane przez nią wspomnienia, udostępniane w ramach „Projektu Wspomnienia", cieszą się dużą sympatią lokalnej społeczności. Rozmowy z dawnymi nauczycielami, sąsiadami czy znajomymi pozwalają mieszkańcom wracać myślami do minionych lat, przypominać sobie ważne chwile i jeszcze mocniej doceniać ludzi, którzy współtworzą historię naszej gminy.

Maria Nędza

„Gdybym miała coś powiedzieć młodym ludziom, to jedno: bądźcie dobrzy dla innych. Nie chowajcie urazy. Ja zawsze pierwsza wyciągam rękę do zgody, bo życie w zgodzie daje spokój w sercu. Zdrowie jest najważniejsze, a reszta – jakoś się ułoży".



Maria Nędza
(fot. Joanna Murzydło)

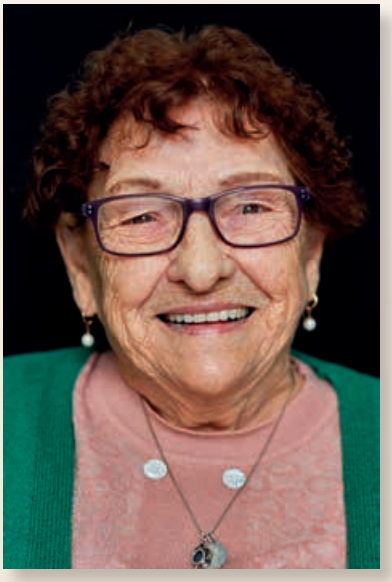
W Subkowach najbardziej ceni ludzi i Kościół. Jest bardzo związana z tutejszą parafią. Jak sama mówi, troje jej dzieci brało tu ślub, a dobre relacje sąsiedzkie są dla niej ważną częścią codzienności. Wspomina też o ich małej tradycji – codziennych spotkaniach przy kawie.

„Zawsze lubiłam śpiewać i czytać. Śpiewałam już jako młoda dziewczyna, znałam przyśpiewki rzeszowskie. A od szesnastu lat należę do zespołu «Kociewiaki». To są piękne czasy. Jedna z najfajniejszych rzeczy, jakie mnie spotkały. Pamiętam jak wstąpiłam do zespołu. Podczas ślubu mojego syna podeszła do mnie pani, której spodobał się mój śpiew, zaprosiła mnie do zespołu. Dwa tygodnie później były dożynki w Subkowach. Piosenek musiałam nauczyć się na pamięć, a przecież kociewska gwara nie była

mi znana. Często pytałam się pani Halinki, co dane wyrazy oznaczają. Co to są te bómbómy? Śpiewałyśmy bez notatek, były próby, występy, ludzie. Bardzo to pokochałam".

Halina Sielska

„Kiedyś stosunek dzieci do rodziców i rodziców do dzieci był zupełnie inny. W domu rodzinnym nauczono mnie pracowitości, obowiązkowości i czystości. Zawsze musiałam być na czas i do dzisiaj mam taki charakter. Tego nauczyli mnie moi rodzice. To właśnie te wartości pozwoliły mi działać społecznie i się w tym spełniać" – wspomina nasza bohaterka.



Halina Sielska
(fot. Joanna Murzydło)

„Pamiętam, jak mama chowała gęsi i jak jako dziecko musiałam te gęsi paść. Niezależnie od tego, czy były wakacje, czy ferie. Nie było tak, żebym sobie pospała, bo były wakacje. Musiałam budzić się o szóstej i iść paść gęsi. Takie były obowiązki. Miałam wyznaczone godziny i w tych godzinach musiałam to zrobić, nie było możliwości powiedzenia «nie». Nawet to mi do głowy nie przyszło".

Teresa Tucholska

„Na stacji kolejowej w Subkowach pracowałam dwadzieścia dwa lata. Byłam zwrotniczą przy obsłudze bocznych torów – czyściłam i smarowałam ręczne rozjazdy oraz kierowałam wagony na bocznicę do GS-u. Przez dworzec przejeżdżało wtedy wszystko – węgiel, nawozy, zboże. Nie wożono tych towarów samochodami, więc trzeba było ręcznie ustawiać tory i organizować rozładunek.

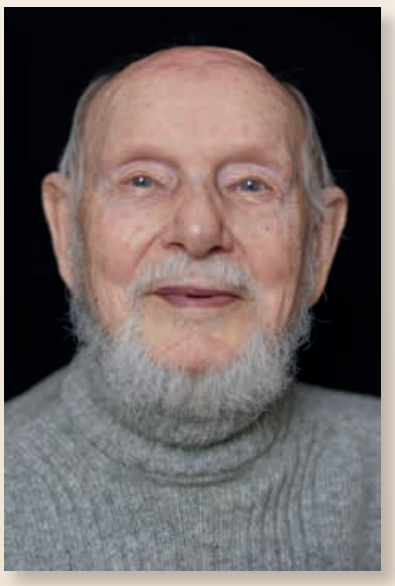


Teresa Tucholska
(fot. Joanna Murzydło)

Już jako dziecko pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Doiłam krowy, zbierałam ziemniaki na wykopkach. Gdy mama poszła do pracy, już jako dziewczynka gotowałam obiady – bigos, grochówkę, fasolową czy kiszoną kapustę. Bawiłam się też z rówieśnikami, ale to nie były jakieś specjalne gry. Siedziało się głównie na świeżym powietrzu i grało w piłkę" – mówi nasza bohaterka. „Do szkoły podstawowej chodziłam w Rajkowach. Zawsze dobrze się uczyłam".

Antoni Rudnik

„Najwcześniejsze wspomnienie, jakie noszę w sobie, sięga wybuchu II wojny światowej. Miałem zaledwie trzy lata, gdy we wrześniu 1939 roku uciekaliśmy z rodziną przed wkraczającymi Niemcami do sąsiedniej wioski. Mama niosła najmłodszą siostrę zawiniętą w chustę, a mnie prowadziła za rękę starsza siostra. Zapamiętałem głównie



Antoni Rudnik
(fot. Joanna Murzydło)

intensywne ciepło tego dnia i sam marsz. Tego, co było dalej, już nie pamiętam.

W 1969 roku sprowadziłem się do gminy Subkowy. Dostałem mieszkanie służbowe z Wojewódzkiego Zarządu Melioracji. Miałem do wyboru Tczew albo Subkowy. Wybrałem więc wieś. Przyjęto nas tu niezwykle ciepło: sąsiedzi przynieśli kury, tulipany, ziemniaki na działkę. Byliśmy mile zaskoczeni.

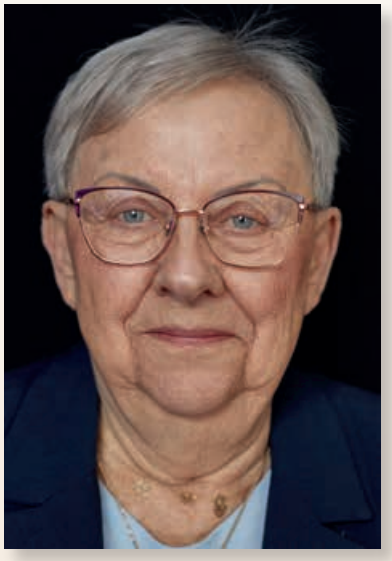
Mieszkam tu już 57 lat. Bardzo szybko wciągnąłem się w pracę społeczną. Startowałem do rady i od razu zostałem wybrany na przewodniczącego. Pierwsza kadencja była skrócona – dwa lata. Potem kolejne dwa lata. Gdy zmienił się ustrój, celowo zrobiłem czteroletnią przerwę – nie chciałem, żeby ludzie mówili, że ktoś z tamtego systemu od razu się przekręcił. Po czterech latach znów przyszli i znów startowałem. W sumie byłem przewodniczącym rady przez dziesięć lat. Wspominam tę pracę bardzo dobrze. Z dawnym wójtem jeździliśmy razem po pieniądze do województwa – trudne czasy, nigdy nie było za dużo środków. Znałem wicewojewodę jeszcze z dawnych lat zawodowych – pracowałem kiedyś na terenie całego powiatu i z wieloma ludźmi miałem dobre relacje. W pracy terenowej też tak to wyglądało. Jak kończyliśmy robotę u jakiegoś rolnika – odwodnienie, melioracja, budowa stawu – to gospodarz zapraszał na obiad.

Jednym z momentów, które najbardziej wspominam z pracy w radzie, było otwarcie szkoły w Subkowach. Przyjechali goście z województwa, był ksiądz, były przemówienia. Szkoła była wtedy jedną z ładniejszych w okolicy. Potem dobudowano drugie skrzydło – przepiękne. Wójt zaprosił mnie, już na emeryturze, żebym zobaczył tę rozbudowę. Byłem bardzo zadowolony.

Jeździliśmy też po wsiach na zebrania wiejskie. Nie po to, żeby wszystkich głaskać – bywały kłótnie, pretensje, ludzie mieli żal, że u nich nie zrobiono tego czy tamtego. Trzeba było tłumaczyć, uzasadniać, przekonywać. Trudniej było przy likwidacji małych szkół – w niektórych wsiach chodziło do nich zaledwie kilkoro dzieci. Rozumiałem pretensje ludzi, ale ze względów ekonomicznych nie było innego wyjścia. Dobry radny musi być przede wszystkim obiektywny. Nawet jeśli należy do jakiejś partii, musi pamiętać, że jest człowiekiem. Jest sprawiedliwy. I musi umieć wytłumaczyć ludziom, że nie ma pieniędzy – mówić prawdę wprost, choć to niełatwe. Ludzie w końcu tę prawdę przyjmują".

Maria

„Urodziłam się kilka lat po wojnie, ale dobrze pamiętam atmosferę tamtych lat z opowieści rodziców. Tata słuchał Radia Wolna Europa. Choć audycje były zagłuszane, ludzie chcieli wiedzieć, co naprawdę dzieje się na świecie. Słuchało się po cichu, z uchem przy radiu, zawsze czujnie, czy ktoś nie stoi pod oknem. Strach przed podsłuchem był czymś normalnym.



Maria
(fot. Joanna Murzydło)

Najbardziej cenię w Subkowach to, że wszystko jest na miejscu: ośrodek zdrowia, urząd gminy, sklepy, poczta, bank. Miejscem szczególnie bliskim mojemu sercu jest stara i nowa szkoła – spędziłam tam znaczną część życia. Mimo wszystko Subkowy to dobre miejsce do życia. Jest tu kościół, szkoła, ośrodek zdrowia, są połączenia kolejowe – szybki dojazd do Gdańska bardzo ułatwia życie. Dzięki

temu wiele osób może pracować w mieście, a mieszkać na wsi, mieć dom i ogród".

Wanda Lipska

„Do czwartego roku życia wychowywała mnie babcia. W Tur Piaskach podczas II wojny światowej Polacy nierzadko musieli się chować po stodołach. Bardzo częstą praktyką było przymusowe wysyłanie Polaków do Niemiec, aby pracowali u gospodarza, tzw. Bauera. Tak właśnie stało się i z moimi rodzicami, którzy na szczęście trafili do bardzo dobrych ludzi".



Wanda Lipska
(fot. Joanna Murzydło)

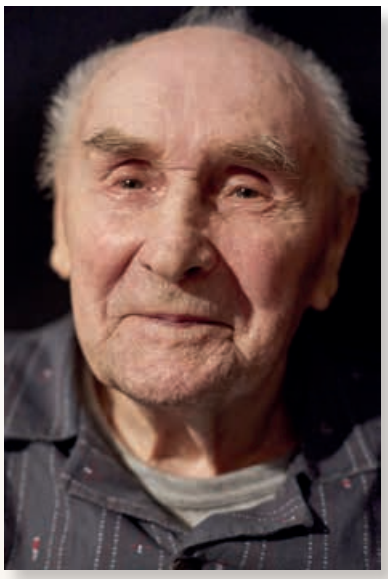
Wanda chętnie wspomina spacery do lasu, zbieranie grzybów, sadzenie drzew oraz chodzenie do kościoła w Brzuścach, który powstał dzięki czynowi społecznemu.

„Każdy coś dał od siebie, a fundamenty kościoła powstały dzięki społecznej woli i pracy. Każdy dołożył swoją «cegiełkę» – jedni udostępniali prąd, inni sprzęt, na przykład betoniarkę, a my na przykład gotowaliśmy również obiady. Utrudnieniem był fakt, że przecież była «komuna» i nic nie można było kupić. Każdy rezygnował z remontu swoich posiadłości tylko po to, aby zakupić coś do budowy kościoła. Cegły na przykład były kupione z Kaszub. Jak tylko ktoś usłyszał, że w konkretnym sklepie będą kafle, to od razu staraliśmy się je dostać".

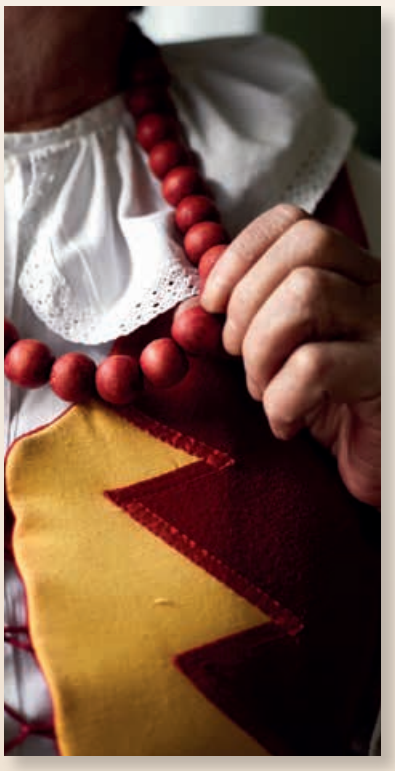
Piotr Lipski

Uczęszczał do szkoły w Radostowie oraz w Brzuścach. Choć nauka nie należała do łatwych, zapisała się w jego pamięci jako ważny etap życia. Był świadkiem wojny, a później także trudnych lat powojennych i okresu komunizmu, który z perspektywy czasu traktował jako zamknięty rozdział historii. Z czasem Piotr Lipski zaangażował się w życie społeczne wsi. Przez cztery kadencje pełnił funkcję sołtysa, ciesząc się zaufaniem mieszkańców, a także działał w strukturach gminnych, m.in. w Radzie Narodowej w Subkowach. Z funkcjami tymi wiązało się wiele obowiązków i duża odpowiedzialność, często przy ograniczonym wsparciu.

W tamtym czasie we wsi działały m.in. ochotnicza straż pożarna i koło gospodyń wiejskich, a mieszkańcy wspólnie angażowali się w ważne przedsięwzięcia. Jednym z nich była społeczna budowa kościoła, powstającego dzięki pracy i zaangażowaniu całej wspólnoty – „cegiełka po cegiełce". ■



Piotr Lipski
(fot. Joanna Murzydło)



(fot. Joanna Murzydło)

GRAŻYNA GIEŁDON

PO DROGACH JEDNEGO ŻYCIA

WSPOMNIENIA Z GĘTOMIA

Gętomie leży na Kociewiu, we wschodniej części Pojezierza Starogardzkiego. Należy do gminy Morzeszczyn w powiecie tczewskim i znajduje się w pobliżu Pelplina i Gniewa. Przez obszar sołectwa przepływa Wierzyca, wyznaczająca część jego północnej granicy, oraz jej dopływ – Janka, stanowiąca granicę wschodnią. Z pozostałych stron granice mają charakter otwarty. Od południa sołectwo graniczy z sołectwem Morzeszczyn, od zachodu z sołectwem Nowa Cerkiew, a od północy z sołectwem Kulice, należącym do gminy Pelplin.

Wanda, urodzona w 1941 roku w Gąsiorkach, to moja mama, w szkole nazywana Glazianką. Myślę, że jej wspomnienia, a nawet ich szkice, warto spisać jako świadectwo dawnych czasów na Kociewiu.

Na początek jedno wydarzenie z czasu wojny. Stała przytulona do mamy i sióstr podczas nalotu i pamięta słowa: „Jak nas zabije, to wszystkie". Potem parę dobrych lat z mamą i dwiema siostrami spędziła w miejscowości Gętomie.

W życiu miejscowych, mimo panującego ustroju, ważne miejsce zajmowały Kościół i religijność. Parafia znajdowała się w sąsiedniej miejscowości – Nowej Cerkwi. Mieszkańcy uczestniczyli w niedzielnej Mszy św. oraz w rekolekcjach. Najpierw proboszczem był tam ks. Józef Ruchniewicz (1946–1952), a po jego śmierci przybył z Tczewa ks. Alfons Groszkowski (1952–1962). Wielu mieszkańców, w tym mama z siostrą, angażowało się w remont kościoła.



Wanda Krużycka z d. Dembicka (1941–2026)

Ważnym wydarzeniem w życiu rodzin była Pierwsza Komunia Święta. Mama przystąpiła do niej 1 lipca, gdy miała 10 lat. Dzieci stały przez całą Mszę, co mama źle wspominała, zwłaszcza że już w następnym roku mogły wygodnie siedzieć w ławkach. Po uroczystości w salce podano poczęstunek i herbatę. W domach raczej już nie świętowano.

Gdy we wsi umarło małe dziecko, zwyczajem było, że trumnę na cmentarz niosły na długich ręcznikach dziewczynki po Pierwszej Komunii Świętej, gdyż miały białe sukienki. Mama wspomina także ciekawy

i dyskretny „akt dobroci" księdza proboszcza Groszkowskiego. Podczas kolędy, gdy nie otrzymał ofiary, sam zostawiał pieniądze pod talerzykiem ze święconą wodą na potrzeby danej rodziny.

We wsi widoczne były symbole religijne: przy jeziorze stał drewniany krzyż misyjny, a po drugiej stronie wioski – okazała figura Matki Bożej.

W szkole obowiązywał system siedmioklasowy, a zajęcia rozpoczynały się o godzinie ósmej. Kierownikiem szkoły był Józef Wałaszewski, który uczył różnych przedmiotów, m.in. historii, geografii i religii. Do pozostałych nauczanych przedmiotów należały język polski, przyroda, chemia, gimnastyka oraz przedmiot o najwyższej wówczas randze – nauka o Polsce i świecie współczesnym, z obowiązującym hasłem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!". Podczas lekcji uczniowie śpiewali również piosenki, m.in. piosenkę „O wielkim Stalinie" Lucyny Krzemienieckiej: „Józef Stalin – już to imię znacie. / Ludowej Polski – wielki przyjaciel. / Jego armia, jego wola wzniosła / krwi ofiarą wolność nam przyniosła".

Mama pamięta nazwiska jeszcze trojga nauczycieli: pani Wojtaszewskiej, która czesała się w kok i uczyła mamę „wszystkiego" w klasie pierwszej, pani Andrasiewicz od chemii oraz pana Wesołowskiego, specjalisty od gimnastyki i zajęć ruchowych. Mama nie lubiła lekcji historii, szczególnie zagadnień dotyczących wojny, a od klasy piątej miała egzaminy podsumowujące zdobytą wiedzę. Nauczyciele omawiali poszczególne zagadnienia oraz odpowiedzi na konkretne pytania. Mama wspomina trudne zadanie matematyczne związane z objętością i kroplami wody – i właśnie je wylosowała. Nie pamięta szczegółów, ale widocznie sobie poradziła, bo zdała do następnej klasy.

Z codzienności szkolnej mama pamięta także, że za brak pracy domowej czy inne przewinienia dostawało się po dłoni, czasem trzeba było zostać po lekcjach, by odrabiać zaległości, a pisało się piórem maczanym w atramencie. Dzieci otrzymywały tran do picia. Częste i niespodziewane były wizyty higienistki szkolnej, która sprawdzała czystość, w tym czystość głowy, a jeśli „coś" znalazła, posypywała włosy białym proszkiem. W drodze do szkoły dzieci hartowały się naturalnie, ponieważ większość, w tym mama, aż do pierwszych przymrozków chodziła boso.

Dlaczego dzieci nie odrabiały prac domowych? Z relacji mamy wynika, że nie były do tego zbytnio motywowane, ponieważ dorośli mieli „swoje realne problemy". Wieczorem świeciła lampa naftowa, a gdy w „izbie" posprzątano, lekcje trzeba było odrabiać na przykład na parapecie okna, żeby nie pognieść i nie poplamić obrusa. Mama mimo tych warunków wytrwale i z entuzjazmem realizowała swoje pasje, a mianowicie robienie na drutach, które sama wykonała, oraz rysowanie. Bywało, że w szkole nauczyciel długo porównywał na przykład królika w szkicowniku mamy z tym w książce – były niemal identyczne.

Wracając do szkoły, największą trudność sprawiały dzieciom obowiązkowe lektury, nauka i pisanie dłuższych wypowiedzi, a także egzaminy podsumowujące naukę na koniec roku, z matematyką na czele. Rozrywką wywołującą pozytywne emocje były natomiast zajęcia ruchowe na boisku czy w terenie. Mamę nazywano „pajacem", bo była wyjątkowo szybka i zwinna, bez trudu robiła mostki i przewroty. Chłopcy zaś zimą przybijali do butów miedziany drut i na „tych łyżwach" pędzili po zamarzniętym jeziorze.

Atrakcją były też wyjścia na pola w celu zbierania stonki oraz uroczystości i święta, w tym święto pierwszomajowe. Towarzyszyła mu m.in. piosenka: „Słonko rano wstało, / Odetchnąć powietrzem, / U bramy chorągwie łopocą na wietrze, / Poszło sobie dalej w poranne ulice. / Hej! Chorągwie mają wszystkie kamienice! / O, jakże by było



tego nie pamiętać: / Dziś pierwszego maja dzień wielkiego święta!"

Na obchody 1 Maja wyjeżdżano także poza swoje miejscowości. Bogaci gospodarze przystrajali wozy drabiniaste girlandami kwiatów, dzięki czemu wszyscy chętni mogli dotrzeć na pochód i spotkanie z ówczesnymi władzami, np. w Morzeszczynie.

Wśród tych samodzielnych „bogatych gospodarzy", zwanych wtedy gburami, posiadających duże obszary ziemi, budynki oraz tzw. sprzężaj, czyli zwierzęta pociągowe, mama wymienia takie nazwiska: Kamrowski, Hildebrandt, Gregorkiewicz oraz Drozdowski.

Mama z babcią i siostrami mieszkały u jednego z tych gospodarzy. Budynek dzieliły cztery rodziny. Na środku znajdował się duży piec do pieczenia chleba czy ciasta – najczęściej drożdżowego. Każdy w swoim czasie i wedle potrzeby z niego korzystał. Każda rodzina miała także wannę używaną do prania lub kąpieli.

Większość mieszkańców Gętomia pracowała u gospodarzy, ale miała także możliwość uprawy warzyw na własne potrzeby. Mama z sentymentem wspomina łuczek, czyli drobny szczypiorek, który doskonale smakował, także w niedzielnym rosole. Pożywienia dostarczało również jezioro, zwane po prostu Gętomskim. Babcia i inni mieszkańcy kupowali od wędkarzy leszcze czy okonie, smażyli je lub gotowali zupę rybną.

Gospodarz wypłacał należność zatrudnionym pracownikom po odliczeniu opłat za mieszkanie, narzędzia czy transport, np. wynajęcie furmanki do lekarza.

Jedno zaskakujące zdarzenie z kategorii „figle i psoty" szczególnie zapadło mamie w pamięć. Jak wspomina, chyba na Nowy Rok jeden z gospodarzy, najprawdopodobniej pan Hildebrandt, zauważył na dachu stodoły wielki konar drzewa i zastanawiał się, kto go tam umieścił. Podejrzenie padło na Feliksa Hejnowskiego, ponieważ był najsilniejszy w okolicy.



Wanda Krużycka (ze zbiorów Grażyny Giełdon)

Okazało się, że rzeczywiście to zrobił, a później zresztą został moim wujkiem.

W Gętomiu można było się także zabawić i potańczyć. Mama wspomina, że na środku wioski stał duży budynek, w którym po wojnie uczono czytać i pisać, aby zwalczać analfabetyzm, ale trwało to stosunkowo krótko. Potem na schodach tego budynku zbierała się młodzież, a wieczorami odbywały się potańcówki. Jedynym instrumentem była „ruska" harmoszka, na której przygrywał pan Pawłowski. Rytmiczne dźwięki – „putata, putata" – musiały wystarczyć. Ponieważ łowił on także ryby, rozbawieni uczestnicy wyśpiewywali w jego stronę przyśpiewkę: „Złap karpia, złap karpia, złap karpia – już go mam!". Mama i inne dzieci także chciały uczestniczyć w tych radosnych wydarzeniach, niestety często były przeganiane przez dorosłych. Warto nadmienić, że w budynku tym mieszkało na stałe kilka rodzin, które widocznie w okresie letnim czy przy dobrej pogodzie musiały tolerować w pobliżu rozbawione towarzystwo.

Mimo pozornego spokoju władze komunistyczne wprowadzały w życie plan inwigilacji społeczeństwa. W każdym gospodarstwie domowym zamontowano głośniki do przekazywania wybiórczych treści, potocznie nazywane kołchoźnikami. Mama pamięta obszerne relacje ze Światowego Kongresu Pokoju oraz to, że zastanawiała się, o czym będzie mowa w przyszłości. Później pojawiły się niepokojące informacje dotyczące powstania węgierskiego w 1956 roku. We wsi nastąpiło poruszenie. Mama pamięta, że osoby zmotoryzowane miały udać się na Węgry. Jeden z mieszkańców pojechał własną ciężarówką. Zapewne chodziło o pomoc dla „braci Węgrów".

W kontekście oddziaływania władzy na społeczeństwo mama wspomina także, że po wiosce chodzili parami panowie z SB. Często zagadywali młode dziewczęta, pozorując zaloty. Mieszkańcy oczywiście dobrze orientowali się w celu tych wizyt.

Mama po ukończeniu siódmej klasy chciała kontynuować naukę. Babcia jeździła do różnych miast, w tym do Gdańska, by pomóc córce, niestety wszędzie jej odmawiano, tłumacząc się kompletem uczniów. Mama napisała także do gazety „Przyjaciółka", wymieniając swoje liczne talenty, w tym talent plastyczny. Ku zaskoczeniu wszystkich nadeszła odpowiedź, w której polecano mamie dalszą naukę artystyczną w Gdańsku. Była to piękna perspektywa, ale z różnych powodów pozostała w sferze marzeń.

Kolejne trzy lata mama spędziła w Sztutowie, gdzie mieszkała jej siostra. Pracowała tam w domu dziecka jako wychowawczyni, była ceniona i lubiana. W tym okresie kilkakrotnie odwiedzali placówkę przedstawiciele Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i proponowali mamie „świetlaną przyszłość" – naukę i pracę. Zapewniali, że wszystkim się zajmą, prosili jedynie o złożenie podpisu na dokumentach. Mama była w rozterce, potrzebowała – jak twierdzi – rady, a sama chciała trzymać się jak najdalej od partii i władzy. Fakt, że była osobą wierzącą, utwierdzał ją w tym przekonaniu.

Po powrocie do domu wszystko było niejako przesądzone. Mama podzieliła los wielu dziewcząt – małżeństwo, dzieci, rodzina. I oto jestem. Wiele bym jednak dała, żeby zobaczyć – jak na filmie – inne życie tej wyjątkowo utalentowanej kobiety, mojej mamy Wandy: spełnionej także zawodowo, po szkołach i studiach, uczestniczącej w plenerach, aż do gwiazd, do gwiazd.

Na koniec ze smutkiem informuję, że 7 czerwca 2026 roku mama, Wanda Krużycka z d. Dembicka, zmarła. Pisanie tego artykułu stało się dla niej okazją do wspomnień, które wzbogaciły ostatni rok jej życia i pozwalały zapominać o trwającej chorobie płuc. Dziękuję zespołowi „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" oraz Kantorowi Edytorskiemu za tę możliwość – powód, by mama mogła znowu przechadzać się po dróżkach swojego dzieciństwa w Gętomiu. ■



Agnieszka Pawłowska-Mainville, Ryszard Walkowski, „Kociewiak na wyginięciu?" (Gdynia 2026, Wydawnictwo Region)

„Kociewiak na wyginięciu?" to dwujęzyczna opowieść o kociewskiej mowie, lokalnej pamięci i żywym dziedzictwie regionu.

Autorzy pokazują, że zachowanie języka wymaga czegoś więcej niż zapisywania słów – przede wszystkim podtrzymywania jego obecności w codziennym życiu, rodzinnych relacjach i tradycjach przekazywanych kolejnym pokoleniom.

Publikacja łączy refleksję nad zanikaniem języków ze wspomnieniami, humorem i doświadczeniami mieszkańców Kociewia. Zawiera historie o dawnych pracach gospodarskich, kuchni, obyczajach, podróżach i spotkaniach. Tradycyjne przepisy, regionalne określenia, dialogi i zabawy słowne przybliżają bogactwo miejscowej mowy oraz świat, który znajduje w niej swój wyraz.

Tekstom towarzyszą ilustracje dokumentujące dawne narzędzia, krajobrazy i zwyczaje. Kody QR prowadzą do nagrań wybranych opowieści w kociewskiej mowie, pozwalając poznać nie tylko znaczenie słów, lecz także ich brzmienie.

W opiniach zamieszczonych przy publikacji prof. Tomasz Wicherkiewicz podkreśla jej wartość kulturową i dokumentacyjną, autentyczność oraz potencjał dla edukacji regionalnej. Dr Artur Jabłoński zwraca uwagę, że książka sama uczestniczy w podtrzymywaniu języka, którego trwanie zależy od relacji, pamięci i wspólnotowego doświadczenia.

To propozycja dla miłośników Kociewia, regionalistów, nauczycieli, językoznawców i wszystkich zainteresowanych dziedzictwem kulturowym. Dokumentuje lokalną tradycję, zachęca do jej odkrywania i przypomina, że mowa pozostaje żywa wtedy, gdy jest używana, słuchana i przekazywana dalej.

Źródło informacji: CZEC.PL



Emanuel Wilk z żoną Niną (fot. Zofia Daniel)

ZOFIA DANIEL

PERełKA W OAZIE ZIELENI

– Nigdy nie przypuszczałem, że zostanę sołtysem. Jednak sytuacja w naszej wsi skłoniła mnie do kandydowania. Chciałem, by coś zmieniło się na lepsze – mówi Emanuel Wilk, sołtys.

Stara wieś położona w sąsiedztwie kompleksu leśnego. Pierwsze wzmianki o tym terenie pojawiły się około 1245 roku i dotyczyły brodu, czyli możliwości przeprawy przez Wierzycę.

Trafiłam w to magiczne miejsce, gdy usłyszałam od córki, że gdzieś niedaleko od Tczewa dwoje ludzi z pasją robi coś dobrego dla mieszkańców własnej wsi. W tak małej miejscowości jak Brody Pomorskie, liczącej około 200 osób, gdzie kontakty międzyludzkie w dzisiejszych czasach stają się niestety coraz mniej ważne, oni zapragnęli coś zmienić. Sołtys i mocno wspierająca go żona. W szczególnym dniu, jakim jest „Dzień Książki i Praw Autorskich", odwiedziłam to szczególne miejsce i wyjątkowych, życzliwych ludzi, pełnych pasji społeczników. To znak, by koniecznie o nich napisać.

– Jak mieszkam tu od 12 lat, to miałem odczucie, że tu nie ma w ogóle sołtysa, pomimo że ktoś był. Przez ostatnie lata nic się w tej wsi nie działo. Rozwój

wsi stał w miejscu. Bardzo mnie to irytowało, że tu się nic nie dzieje, i postanowiłem kandydować. Przyszło bardzo dużo mieszkańców uprawnionych do głosowania. Z 86 głosów tylko 18 było przeciw mojej kandydaturze. 9 października 2025 roku zostałem zaprzysiężony na stanowisko sołtysa i minęło właśnie pół roku mojej pracy – wyznaje sołtys wsi Brody Pomorskie, Emanuel Wilk.

Przyznał, że żona – rodowita mieszkanka wsi, znająca wszystkich – z początku była sceptyczna, czy mąż pochodzący z Wielkopolski zdobędzie zaufanie mieszkańców. Widząc jednak jego determinację i duże zaangażowanie, daje mu ogromne wsparcie. Jest jego podporą w życiu codziennym i w pełnieniu funkcji sołtysa. Mieszkańcom mającym dość stagnacji również mocno zaimponował.

Dokonania młodego człowieka, bardzo zaangażowanego w to, co robi, są imponujące i godne naśladowania. Jest estetą, lubi porządek – nawet na spacerze schyla się i zbiera to, co powinno znaleźć się w koszu, a nie na ziemi. Gdy trzeba coś zrobić wspólnie z mieszkańcami, działa na równi z nimi, jednocześnie będąc dobrym liderem.

Nigdy nie odsyła nikogo z przysłowiowym kwitkiem, zawsze jest pomocny.





Wyremontowana świetlica w Brodach Pomorskich (fot. Zofia Daniel)

Chociaż ludzie przychodzą z różnymi problemami, małżonkowie zawsze starają się pomóc. Emanuel Wilk przyznaje, że trudno byłoby mu się w pełni zaangażować, gdyby nie pomoc żony Niny. To doskonały duet.

Ona – skromna osoba z wielkim sercem, uzdolniona artystycznie i mająca mnóstwo pomysłów – usuwa się w cień, chociaż wykonuje dużo pracy, bez której sołtysowi trudno byłoby w pełni funkcjonować. Tworzy fotorelacje, pisze relacje i informacje na Facebooku, dzięki czemu mieszkańcy są na bieżąco, wysyła SMS-y do starszych osób niekorzystających z mediów społecznościowych, odbiera telefony, pisze pisma i e-maile, dekoruje salę na imprezy itp.

Pierwsze działania

Kiedy objął sołectwo, fundusz sołecki był już rozdysponowany, granty również, a jego czekał ogrom pracy. Zastał świetlicę wiejską w bardzo złym stanie. Była jesień,

a przeciekający dach wymagał pilnego zabezpieczenia przed dalszą degradacją.

Kolejnym ważnym zadaniem była wymiana podłogi na nową. Poprzednia nie nadawała się do naprawy – była spróchniała i uszkodzona przez szczury. Kuchnia i wnętrze świetlicy były zaniedbane. Drewno niezbędne do ogrzewania świetlicy kominkiem niszczało, pozostawione bez zabezpieczenia.

Dziś na całej powierzchni położone są nowe deski, a dach został zabezpieczony papą termozgrzewalną pozyskaną od Szkoły Podstawowej nr 1 w Gniewie, która sprawuje opiekę nad świetlicą. Było to możliwe dzięki przychylności dyrektora szkoły Mirosława Narlocha. Po raz pierwszy odwiedził on Brody Pomorskie – wcześniej nie był tam zapraszany i nie znał sytuacji.

Powstała również nowa drewutnia, do której materiały – deski, słupki, membranę i blachę – pozyskano dzięki zaangażowaniu mieszkańców. W świetlicy zamontowano nowe fronty szafek kuchennych oraz skrzynkę na router Wi-Fi, a znajdującą się w jej pobliżu altanę, grożącą zawaleniem, rozebrano. Dzięki jednogłośnej decyzji mieszkańców pozostała należność za podłogę w świetlicy zostanie spłacona z funduszu sołeckiego na 2026 rok.



Zadbana, klimatyczna alejka lipowo-grabowa (fot. Zofia Daniel)

Wykonanie tych najpilniejszych prac otworzyło drogę do organizowania spotkań, integracji mieszkańców i wspólnych działań. Odnowiona świetlica, wyposażona w książki, zabawki i wszystko, co potrzebne do przyjemnego spędzania czasu, stała się też miejscem szczególnie lubianym przez dzieci.

Dla każdego coś miłego

By nie czekać bezczynnie, Emanuel Wilk szukał sponsorów i przy pomocy mieszkańców zorganizował po raz pierwszy od 31 lat Mikołajki dla dzieci. Każde dziecko otrzymało wartościową paczkę od Mikołaja, a zaproszeni goście – poetka i zespół teatralny – urozmaicili spotkanie i sprawili radość wszystkim zebranym. Nie zabrakło również słodkiego poczęstunku.

Na tym nie koniec, bowiem już trzy tygodnie później mieszkańcy Brodów Pomorskich, jak jedna wielka rodzina, bawili się w noc sylwestrową i śpiewali „Mój jest ten kawałek podłogi...", wspólnie witając rok 2026.

Każde miłe słowo i każdy uśmiech zadowolenia uczestników organizowanych imprez są największą motywacją do planowania następnych wspólnych wydarzeń. Dzień Kobiet zorganizowany dla mieszkanek gminy Gniew stał się wspaniałą okazją do świętowania w miłej atmosferze. O słodki poczęstunek zadbały same uczestniczki, przygotowując pyszne, domowe ciasta. Co ważne, udział w spotkaniu był całkowicie bezpłatny, co sprzyjało wysokiej frekwencji. Program artystyczny obejmujący poezję dla dorosłych oraz ballady rockowe w wykonaniu gitarzysty-wokalisty uświetnił ten wyjątkowy dzień, a obecność burmistrza Macieja Czarneckiego podkreśliła rangę uroczystości.

Niezwykle ważne jest to, żeby się wspierać i żyć ze sobą dobrze, a takie właśnie imprezy dają oddech od codzienności, są wspaniałą okazją by dać drugiemu człowiekowi coś od serca.



Wierzyca – sercem lokalnej rekreacji (fot. Nina H. Wilk)

Razem możemy wszystko!

Mieszkańcy tej małej kociewskiej wsi, zarażeni pozytywnym nastawieniem sołtysa i jego żony, jak obudzeni z letargu, chętnie wspomagają ich działania. Dzieje się tak wiele w krótkim czasie.

Koło Gospodyń Wiejskich „Brody nad Wierzycą" jest na etapie tworzenia – zostało powołane 9 kwietnia 2026 roku. Liczy 14 członków, wybrano zarząd, uchwalono statut i złożono niezbędną dokumentację do rejestracji. Członkowie KGW już uczestniczą w kursie haftu kociewskiego w Gniewie.

– Mówią, że marzenia nie spełniają się same – trzeba je realizować. Dawniej nasz park tętnił życiem. Starsi mieszkańcy wspominają radosne festyny, piękny plac zabaw i alejki, którymi aż chciało się spacerować. Z czasem jednak natura i zapomnienie wzięły górę. Park zarósł, a potężne pomniki przyrody zniknęły w gąszczu, przez który trudno było się przedrzeć – wspomina Nina Wilk.

Sołtys zmienił marzenia w czyn. Zwołał tych, którzy nie bali się potu i wysiłku – ekipę nieformalnej grupy „Modraki Brodzkie", niedawno powstałej i wspomagającej sołtysa w jego działalności. Jako świetny organizator zjednoczył ludzi wokół wspólnego celu. Po raz kolejny pokazał, że prawdziwy lider sam

zakasuje rękawy i rusza do najcięższej pracy. Udowodnił, że dobra energia i wspólny wysiłek potrafią zdziałać cuda. Efekty tych prac zapierają dech w piersiach, bowiem park jest po prostu cudny. Jego sercem jest stara, niezwykle klimatyczna alejka lipowo-grabowa, która zaprasza na długie spacery w cieniu wiekowych drzew. Spacerując nią, warto zwrócić uwagę na detale – drzewa w parku zostały niegdyś skatalogowane i każde z nich ma własny numer. Pośród nich znajdziemy wspaniałe pomniki przyrody, w tym ogromny, ponad pięćsetletni dąb. Ciekawostką jest fakt, że pod numerem 30, w zacisznej dziupli jednego z drzew, schronienie znalazła sowa.

Działania te wsparły władze oraz lokalna firma dysponująca niezbędną maszyną, a fachowe doradztwo dotyczące pielęgnacji zieleni pozwoliło prowadzić prace w zgodzie z naturą i przepisami. Kolejny etap prac zaplanowano na przyszły rok.

Nowe oblicze wypoczynku

Chociaż dawne atrakcje przy leśniczówce przeszły już do historii, okolica Brodów Pomorskich nie straciła swojego uroku. Wręcz przeciwnie – dziś sercem lokalnej rekreacji stała się przystań kajakowa, która otwiera przed mieszkańcami i turystami zupełnie nowe możliwości kontaktu z naturą. To właśnie tutaj, nad brzegiem malowniczej Wierzycy, znajduje się centrum aktywności. Przystań to nie tylko punkt startowy dla pasjonatów wiosłowania, ale przede wszystkim miejsce, które pozwala spojrzeć na ukochaną ziemię z zupełnie innej perspektywy – z poziomu lustra wody.



Komoda z papierowej wikliny wykonana przez Ninę (fot. Nina H. Wilk)

Miejscowi społecznicy nie ustają w działaniach i już planują. Dzień Dziecka organizuje grupa nieformalna „Modraki Brodzkie", w której działają sołtys, dwie osoby z rady sołeckiej oraz dwoje mieszkańców. Na zakończenie wakacji Dzień Pieczonego Ziemniaka przygotowała kolejna grupa nieformalna – „Ogniki Brodzkie", której przewodzi Nina.

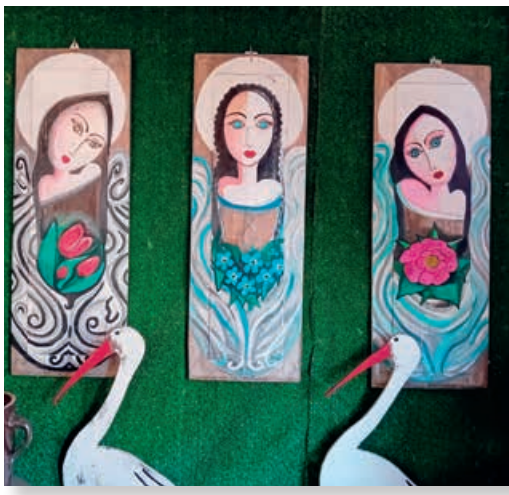
Artystyczna dusza

„Póki ta iskra wciąż w nas drzemie / Brody Pomorskie – teraz na nas czas / by zmienić tę kochaną ziemię!" (Nina Helena Wilk).

Grzechem byłoby pominąć talent i działania Niny H. Wilk – niezwykle pomysłowej i kreatywnej osoby,







Betonowe jajo Niny i stare dachówki w nowej roli (fot. Nina H. Wilk)

pełnej wyczucia i smaku, o artystycznej duszy, a przy tym wielkiej podpory swojego męża, kochającej ludzi i ich towarzystwo.

Nina nie tylko kocha swoją małą ojczyznę, lecz także aktywnie ją wspiera na różne sposoby, działając u boku męża. Jej zaangażowanie widać m.in. przy społecznej rewitalizacji parku, na potrzeby której napisała nawet tekst piosenki, a muzykę skomponował zaprzyjaźniony z nimi muzyk.

To artystyczna dusza, dostrzegająca w starych przedmiotach ukryty potencjał. Jej pasją są prace manualne – obecnie wraz z chętnymi osobami z KGW uczęszcza na kurs haftu kociewskiego.

Ma rzadką umiejętność ratowania zapomnianych rzeczy. Stare dachówki wykorzystała do namalowania kwiatów i Zamku Gniewskiego, a na elementach wiekowych drzwi wykonała piękne anioły. Prawdziwym świadectwem jej cierpliwości jest komoda, którą od podstaw, łącznie z całą konstrukcją, stworzyła z papierowej wikliny. Tę samą misterną technikę wykorzystała do stworzenia niezwykłej, ogromnej osy zdobiącej wejście do domu. Całości tego artystycznego świata dopełniają dom i ogród, gdzie z wielką miłością pielęgnuje morze kwiatów i ziół.

Pragnie, jak mąż, rozwoju wsi – chce, by była piękna. Bardzo cieszy się, że dzięki działaniom sołtysa spełniają się także jej marzenia. Lubi słuchać opowieści starszych ludzi – mieszkańców ich wsi, którzy mają w zanadrzu wiele historycznych przekazów. Zapisuje je, aby nie umknęły z pamięci. Wie dużo o swojej ukochanej miejscowości i bierze czynny udział we wszystkich przedsięwzięciach męża. Jest dumna z męża i mieszkańców. Podkreśla: „Ludzie wspierają sołtysa, mimo różnic i odmiennych zdań potrafią rozmawiać

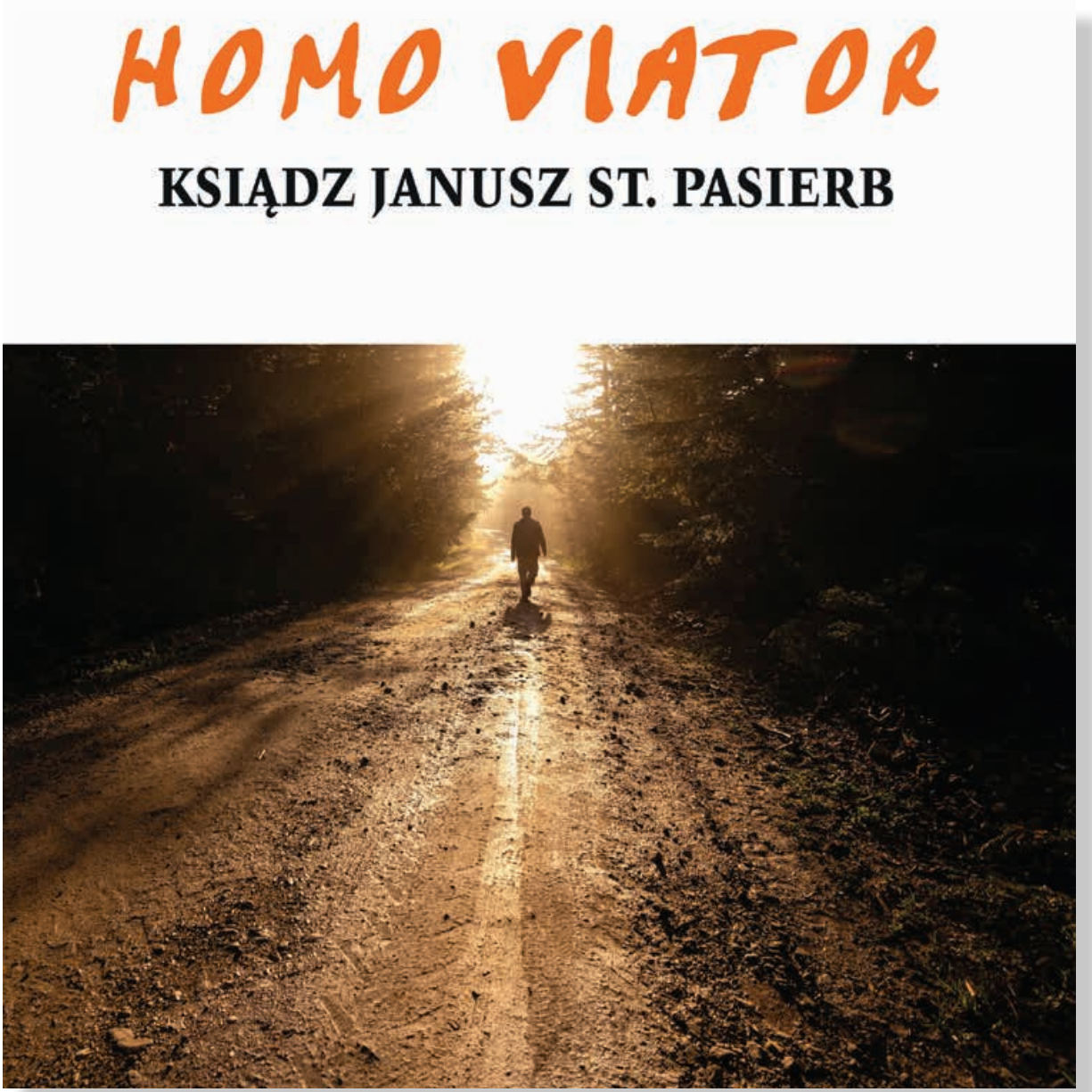


Anioły namalowane na fragmentach starych drzwi i osa zrobiona z papierowej wikliny - dzieła Niny (fot. Zofia Daniel)

i jednogłośnie zagłosować w ważnej sprawie".

Oboje dodają: „Tworzymy dobro i chcielibyśmy, by ono rozkwitało i wracało". Podkreślają, że nie liczą na wdzięczność, tylko robią swoje, a takie podejście przyczyniło się do zdobycia zaufania mieszkańców.

Sołtys jest dla ludzi. Działając razem, mieszkańcy pomału przywracają blask miejscu, które znów staje się wizytówką ich miejscowości. ■



JERZY CISEWSKI

„KSIĄDZ JANUSZ ST. PASIERB. HOMO VIATOR”

ODNOWA

Niniejszy tekst jest próbą przybliżenia czytelnikowi wyjątkowej publikacji pt. „Ksiądz Janusz St. Pasierb. Homo Viator”, wydanej w 2023 roku przez Zespół Szkół Ekonomicznych w Tczewie, a zarazem zaproszeniem do jej lektury. Ta licząca blisko 400 stron i bogato ilustrowana książka zdecydowanie wykracza poza ramy tradycyjnej biografii czy zbioru tekstów. Ukazuje ks. Janusza St. Pasierba w całym bogactwie jego osobowości i dorobku, prowadząc czytelnika przez świat jego duchowości, myśli naukowej, twórczości literackiej oraz fascynacji sztuką. Dzięki temu publikacja

staje się wielowymiarowym przewodnikiem po życiu i dziele jednego z najwybitniejszych polskich humanistów XX wieku.



Ksiądz Janusz St. Pasierb w Rzymie, lata 60. XX w. (fot. arch. Fundacji im. ks. Janusza St. Pasierba w Warszawie)

Homo viator – człowiek wędrowiec żyje w każdym z nas

Motywem przewodnim, spajającym całą publikację, jest idea *homo viator* – człowieka w drodze, wędrowca i pielgrzyma, dla którego przemieszczanie się oznacza nie tylko pokonywanie przestrzeni, lecz także nieustanne poszukiwanie sensu, prawdy i własnego miejsca w świecie. We wstępie do publikacji, którą redagowałem, wskazuję, że droga jest wpisana w ludzką egzystencję – bez niej życie łatwo mogłoby zostać sprowadzone jedynie do trwania i wegetacji.

Ksiądz Janusz Stanisław Pasierb (1929–1993) w szczególny sposób uosabiał ideę *homo viator*. Jego życie było nieustanną wędrówką – zarówno w sensie dosłownym, geograficznym, czego świadectwem były liczne podróże na niemal wszystkie kontynenty, jak i w wymiarze wewnętrznym. Była to wędrówka intelektualna, duchowa i egzystencjalna, a zarazem wertykalna – prowadząca ku Bogu.

Pasierb był człowiekiem nieustannego poszukiwania: przekraczał granice państw, kultur i dyscyplin, a jednocześnie zgłębiał sens ludzkiego istnienia, wiary, sztuki i kultury. W jego życiu podróż stawała się czymś więcej niż przemieszczaniem się w przestrzeni – była sposobem poznawania świata, drugiego człowieka i samego siebie, a ostatecznie także drogą ku transcendencji.

Książka pozwala czytelnikowi dostrzec, że bycie *homo viator* oznacza znacznie więcej niż samo przemieszczanie się w przestrzeni. To przede wszystkim nieustanne kształtowanie własnej tożsamości poprzez dokonywane wybory i podejmowane decyzje. Człowiek jest bowiem istotą „sobie daną i sobie zadaną", a każda przebyta droga nabiera pełnego sensu dopiero wówczas, gdy prowadzi do spotkania – z drugim człowiekiem, z samym sobą, a ostatecznie także z Absolutem.

Wielowymiarowość postaci: kapłan, poeta, uczony

Publikacja ukazuje niezwykłą wszechstronność ks. Janusza Stanisława Pasierba i pozwala spojrzeć na jego dorobek z kilku wzajemnie dopełniających się perspektyw.

Jako historyk sztuki Pasierb jawi się jako wybitny badacz poloników watykańskich, znawca sztuki baroku oraz twórczości Hermana Hana. Jako poeta – jako autor, który stosunkowo późno, bo dopiero po czterdziestym roku życia, zaczął publikować własne

wiersze, a mimo to od początku stworzył poetykę dojrzałą, oszczędną i skupioną na doświadczeniu *sacrum*, opartą na swoistej „ascezie słowa". Jako duszpasterz i kaznodzieja potrafił natomiast mówić o Bogu językiem bliskim współczesnemu człowiekowi – bez nadmiernego patosu i „namaszczenia", które mogłyby tworzyć dystans między słowem a jego odbiorcą.

Szczególną wartość publikacji stanowią również wspomnienia osób, które znały go osobiście, między innymi abp. Henryka Muszyńskiego i bp. Wiesława Meringa. Wyłania się z nich obraz człowieka niezwykle pracowitego, a zarazem pełnego humoru, skromności i wewnętrznej pokory.

Jednym z najbardziej sugestywnych obrazów pozostaje wspomnienie Pasierba, który swoim czerwonym NSU Prinz, dwudrzwiowy sedanem, niejako „wwoził Europę" do Pelplina lat sześćdziesiątych – miasta wówczas prowincjonalnego i zaniedbanego, a dzięki niemu coraz szerzej otwierającego się na kulturę, sztukę i świat.

Małe Ojczyzny jako klucz do świata

Jednym z najpiękniejszych i najbardziej osobistych wątków książki jest koncepcja małych ojczyzn. ks. Janusz St. Pasierb był przekonany, że aby naprawdę zasłużyć na miano Europejczyka, trzeba najpierw wiedzieć, skąd się pochodzi, rozumieć własne korzenie i zachować więź z miejscami, które nas ukształtowały. Publikacja z dużą uwagą przywołuje te przestrzenie, które odegrały szczególną rolę w jego życiu.

Lubawa była miejscem urodzenia i pozostała w jego pamięci jako kraina dzieciństwa, pierwszych fascynacji światem i dziecięcych „podróży w garażu", odbywanych w starym samochodzie sąsiadów. Tczew stał się miastem lat szkolnych i wczesnej młodości; tutaj mieszkała jego rodzina, a ojciec przyszłego poety i uczonego pracował jako nauczyciel łaciny. Szczególne miejsce zajmowało także Żabno, które Pasierb nazywał swoją „drugą małą ojczyzną". To właśnie tam jego rodzina znalazła schronienie podczas II wojny światowej, tam młody Janusz został ministrantem i tam, w cieniu miejscowego kościoła, zaczęło dojrzewać jego powołanie kapłańskie. Pelplin natomiast stał się miejscem studiów, pracy naukowej i wieloletniej działalności duszpasterskiej. Z miastem tym Pasierb związany był przez dziesięciolecia i określał je przewrotnie jako swoją „miłość i neurozę".

Z tych różnych miejsc powstaje swoista mapa jego życia – mapa pamięci, doświadczeń i duchowego dojrzewania. Książka przypomina zarazem, że przywiązanie do tego, co bliskie, lokalne i pozornie niewielkie, nie zamyka człowieka na świat. Przeciwnie – może stać się początkiem prawdziwej otwartości. To właśnie zakorzenienie daje bowiem pewność, że „starczy nam serca", by objąć nim także to, co dalekie i odmienne.

Dialog z kulturą i z drugim człowiekiem

Równie ważnym wymiarem osobowości ks. Pasierba była jego niezwykła otwartość na dialog. Publikacja przywołuje jego spotkania i rozmowy z wybitnymi postaciami polskiej kultury, między innymi z Witoldem Gombrowiczem w Argentynie oraz Czesławem Miłoszem w Paryżu. Ukazują one Pasierba jako człowieka ciekawego innych, gotowego do rozmowy ponad różnicami światopoglądowymi, środowiskowymi czy pokoleniowymi. Nie chodziło mu o łatwe ocenianie rozmówcy, lecz o próbę zrozumienia jego sposobu myślenia i odnalezienia przestrzeni wspólnej.

Interesującą część książki stanowią również teksty poświęcone filmom, między innymi „Milczeniu owiec", „Kevinowi samemu w domu" czy „Fisher Kingowi". Pasierb potrafił dostrzegać w dziełach kultury popularnej treści znacznie głębsze, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka – odnajdywał w nich pytania o dobro i zło, samot-

ność, odpowiedzialność, wychowanie, cierpienie czy potrzebę zbawienia.

Pokazuje to szerokość jego humanistycznego spojrzenia. Dla Pasierba kultura nie dzieliła się na obszary „godne" i „niegodne" refleksji. Każde autentyczne dzieło człowieka mogło stać się punktem wyjścia do rozmowy o najważniejszych sprawach – o człowieku, jego kondycji, jego relacji z innymi i z Bogiem.

Praktyczny przewodnik: „Polska z ks. Januszem St. Pasierbem"

Ostatnią część publikacji pomyślałem jako swoisty przewodnik turystyczno-kulturowy śladami ks. Janusza St. Pasierba. Przygotowałem w niej zestawienie miejsc w Polsce szczególnie ważnych w jego biografii, a także tych, które opisywał w swoim podręczniku przeznaczonym dla konserwatorów zabytków. Chciałem w ten sposób zaprosić czytelnika do rzeczywistej podróży – do odwiedzenia miejsc związanych z życiem, działalnością i zainteresowaniami Pasierba, a zarazem do spojrzenia na nie przez pryzmat jego myśli i wrażliwości.

Zaproponowane przeze mnie trasy prowadzą przez Pomorze – Kociewie, Trójmiasto, Kaszuby, Ziemię Lubawską, Grudziądz i ziemię kamieńską – a także przez Mazowsze, Lubelszczyznę i Roztocze, Małopolskę, między innymi Tarnów, Żabno i Kraków, oraz inne ważne miejsca, takie jak Częstochowa, Gniezno, Poznań czy Włocławek. Każde z tych miejsc potraktowałem nie tylko jako punkt na mapie, lecz także jako przestrzeń spotkania z historią, sztuką i duchowym dziedzictwem, które było bliskie Pasierbowi.

Nie chciałem jednak tworzyć przewodnika w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Zależało mi na tym, aby zwiedzanie kościołów, zabytków, muzeów i miejsc związanych z historią stawało się jednocześnie okazją do spotkania z myślą ks. Pasierba. Podróż w przestrzeni łączy się tutaj z podróżą intelektualną i duchową. Czytelnik może więc sam wejść w rolę homo viator – człowieka, który poznając świat, nieustannie poznaje również samego siebie.

Dlaczego warto sięgnąć po tę książkę?

„Ksiądz Janusz St. Pasierb. Homo viator" jest książką dla każdego, kto w swoim życiu czuje się wędrowcem – poszukującym sensu, własnych korzeni, piękna i spotkania z drugim człowiekiem. Publikacja nie tylko ocala od zapomnienia postać wybitnego polskiego humanisty, lecz także przybliża bogactwo jego myśli, twórczości i duchowości.

Inspiruje do rozwoju wewnętrznego, uczy dostrzegania piękna w codzienności i zachęca do otwartości na drugiego człowieka, także tego, który myśli, wierzy czy żyje inaczej. Przypomina zarazem ważną dla Pasierba prawdę, że autentyczne spotkanie nie wymaga zacierania różnic, lecz ich przyjęcia i poszanowania. Wyraża to przywoływana w książce myśl: „kochać to znaczy mówić: dobrze, że jesteś inny".

Publikacja jest również bogatym źródłem wiedzy o polskiej kulturze, sztuce, historii i duchowości. Łączy biografię, wspomnienie, refleksję humanistyczną, historię sztuki i literaturę z zaproszeniem do rzeczywistej podróży po miejscach związanych z życiem i zainteresowaniami Pasierba.

W świecie, w którym łatwo utracić poczucie zakorzenienia i więzi z miejscem własnego pochodzenia, książka ta przypomina, jak ważna jest pamięć o własnych źródłach. Pokazuje jednocześnie, że zakorzenienie nie musi oznaczać zamknięcia – przeciwnie, może stać się punktem wyjścia do otwarcia się na świat, kulturę i drugiego człowieka.

Jak pisał ks. Janusz St. Pasierb: „Prawdziwe podróże odbywają się w środku, w samym sobie". Chciałbym, aby lektura „Homo viator" stała się właśnie taką podróżą – prowadzącą śladami niezwykłego człowieka, a zarazem skłaniającą każdego czytelnika do refleksji nad jego własną drogą. ■



Program słowno-muzyczny w wykonaniu uczniów III LO w Gdańsku (fot. Roman Hudzik)

BOGDAN WIŚNIEWSKI

TRZYDZIEŚCI LAT PASIERBOWEGO ŚWIĘTOWANIA

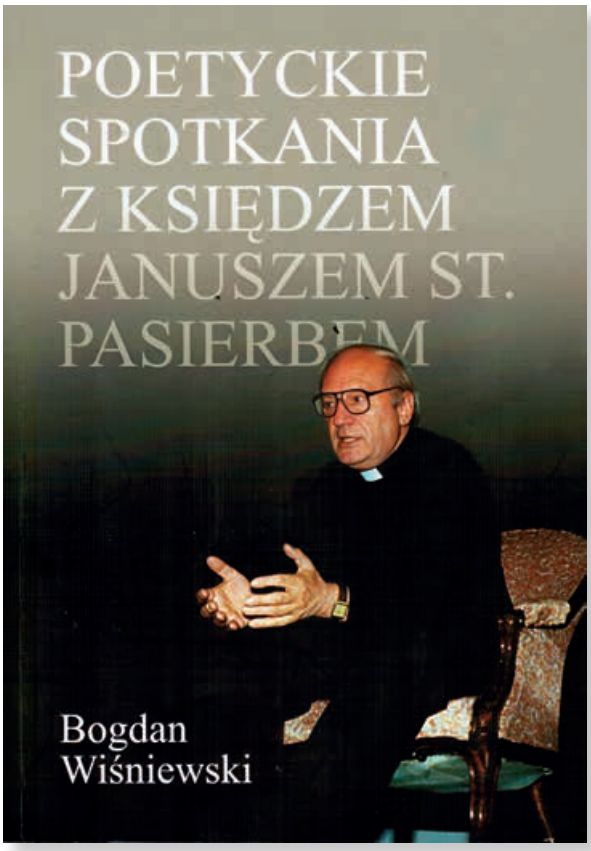
„Czcimy tutaj księdza Pasierba jako poetę. Będziemy mówić i słuchać jego poezji, ale nie zapomnijmy, że jest wśród nas. To, że tutaj jesteśmy, świadczy o tym, że on żyje w naszych sercach" – te słowa wypowiedziane przez Marię Wilczek – prezes Fundacji im. Ks. Janusza St. Pasierba – niech będą wstępem do szkicowego zaprezentowania wydarzenia niezwykłego, jakim jest Pomorski Festiwal Poetycki im. ks. Janusza St. Pasierba. Jego patron to zmarły w 1993 roku poeta, eseista, historyk sztuki, który po wielokroć przyznawał się do swojej pomorskiej, w tym kociewskiej, małej Ojczyzny.

Geneza

Umieszczona w holu pelplińskiego Liceum Ogólnokształcącego sentencja „Pisarz umarł, a więc żyć zaczyna" mobilizowała do działań, które stały się powinnością i przywilejem dyrekcji, nauczycieli i uczniów od momentu nadania tej szkole imienia ks. Janusza St. Pasierba, co nastąpiło 14 grudnia 1994 roku. Wśród tych działań były liczne wyjazdy uczniów z programami artystycznymi prezentującymi poezję pelplińskiego Poety, m.in. do Warszawy, Lubawy, Tarnowa, Brodnicy, Gniezna, Tczewa, Brus. W końcu pojawił się pomysł konkursu recytatorskiego.

Kiedy 11 stycznia 1996 roku zorganizowano go po raz pierwszy, nikt zapewne nie przypuszczał, że z biegiem lat rozrośnie

się do dwudniowego Pomorskiego Festiwalu Poetyckiego – jednego z najważniejszych wydarzeń kulturalnych w regionie.



Celem tego wydarzenia o charakterze kulturalnym, artystycznym i edukacyjnym było od samego początku przede wszystkim przybliżenie dorobku i osoby ks. Janusza St. Pasierba. Wśród innych celów warto wymienić m.in.: popularyzację kultury żywego słowa, inspirowanie i promocję twórczości artystycznej młodych ludzi, kształtowanie aktywnej postawy młodzieży wobec zjawisk kultury. Niebagatelne było (i jest) propagowanie wartości kultury Pomorza, zgodnie ze słowami ks. Janusza St. Pasierba: „Małe ojczyzny uczą żyć w ojczyznach wielkich, w wielkiej ojczyźnie ludzi" oraz ukazywanie wartości wypływających z chrześcijańskich źródeł kultury europejskiej.

Uczestnicy

W ciągu trzydziestu lat w pelplińskim Festiwalu wzięło udział ponad cztery tysiące uczestników z około dwustu szkół, głównie z Pomorza: od Gdańska, Gdyni, Wejherowa i Władysławowa po Chojnice, Słupsk, Lębork, Bytów, Kwidzyn, Świecie i Toruń. Najczęściej jednak reprezentowane były szkoły z Tczewa, Starogardu Gdańskiego, Malborka i Pelplina. Rekordzistami są tutaj – poza gospodarzem, czyli pelplińskim LO – II Liceum Ogólnokształcące w Malborku, Zespół Szkół Ekonomicznych w Tczewie, Collegium Marianum Liceum Katolickie w Pelplinie oraz I Liceum Ogólnokształcące w Starogardzie Gd. Młodzież z tych szkół jest obecna nieprzerwanie od 1997 roku. Co więcej – zawsze jest dobrze przygotowana i zajmuje czołowe miejsca w wielu kategoriach konkursowych. Kilkanaście lat temu dołączyła do tej grupy ekipa Starogardzkiego Centrum Kultury. Wielka w tym zasługa nauczycielek. Wymienię tylko jedno nazwisko. Dorota Szymańska-Jankiewicz przyjeżdża ze swoimi uczennicami i uczniami z II LO w Malborku od 25 lat. W swojej szkole prowadzi zespół teatralny „Pigmalion", a pierwsze spektakle inspirowane były twórczością ks. Pasierba.

Oprócz uczniów ze szkół województwa pomorskiego do Pelplina przyjeżdżała młodzież m.in. z Augustowa, Białegostoku, Nowego Sącza, Tarnowa, Warszawy, Włocławka, a także z dwóch miasteczek związanych z ks. Pasierbem: z Lubawy, gdzie poeta się urodził, oraz z małopolskiego Żabna, skąd pochodzili jego rodzice i gdzie istnieje Zespół Szkół Ponadpodstawowych im. ks. Janusza St. Pasierba, kultywujący pamięć o swoim patronie.

Rekordowe pod względem liczby uczestników były lata 2001 (213 osób) oraz 2005 (252 osoby). Najmniej uczestników było w roku 2021 (42 osoby), kiedy ze względu na pandemię COVID-19 Festiwal zorganizowano w formie hybrydowej. Od kilku lat na Pasierbowe świętowanie przyjeżdża około 100 młodych ludzi.

Kategorie konkursowe

W 1996 roku w konkursie w Pelplinie wzięła udział grupa 44 uczennic i uczniów klas ósmych szkół podstawowych z dwóch ówczesnych województw: gdańskiego i bydgoskiego. Każdy z uczestników prezentował dwa wiersze lub wiersz i fragment prozy. W roku 2000 – ze względu na zwiększenie liczby kategorii konkursowych – recytatorzy prezentowali tylko jeden tekst. Po kilku latach wrócono jednak do pierwotnej zasady. Zmieniali się adresaci recytatorskich szranków. Od 1997 roku była to młodzież licealna. W 2011 roku wprowadzono dwie kategorie wiekowe: dla uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Obecnie wiersze prezentują uczennice i uczniowie klas siódmych i ósmych szkół podstawowych oraz uczennice i uczniowie szkół ponadpodstawowych. Kilka lat temu wprowadzono kategorię dorosłych. Od tego roku (2026) zrezygnowano z niej, ponieważ nie cieszyła się zbyt wielkim zainteresowaniem.

W 1999 roku pojawiły się dwie nowe kategorie konkursowe: programy poetycko-muzyczne i juwenilia poetyckie. Ta pierwsza wymagała napisania oryginalnego scenariusza w oparciu o teksty ks. Pasierba z wykorzystaniem muzyki, często specjalnie skomponowanej do programu. Pokazano tych programów około 120 (od monodramów poprzez spektakle rapsodyczne, widowiska poetycko-choreograficzne, koncerty poezji śpiewanej po spektakle z zastosowaniem multimediów). W pierwszym okresie kilka prezentacji przygotowali uczniowie szkół białostockich pod kierunkiem poety i reżysera Jerzego Binkowskiego, w ostatnich latach zaś młodzież ze Starogardzkiego Centrum Kultury kierowana przez Aleksandrę Miczek i wspomniana już grupa teatralna „Pigmalion" z II LO w Malborku.

Sporym zainteresowaniem cieszy się kategoria przeznaczona dla młodych poetów. Corocznie zgłasza się ich od około 15–20 do 30 osób. I trzeba powiedzieć, że z zasady te pierwsze próby mierzenia się z poetyckim słowem są bardzo udane. W pierwszych latach pracami jury oceniającego nadesłane juwenilia kierował Roman Landowski – jeden z najwybitniejszych poetów Kociewia. Czynił to niezwykle profesjonalnie, wnikliwie oceniając i komentując nadesłane wiersze. W książce „Poetyckie spo-



Skupiona publiczność, 2016 (fot. archiwum Festiwalu)





Od lewej: Dobra dusza Festiwalu – prezes Maria Wilczek, 2024 (fot. UMiG Pelplin); uczennice ZSE w Tczewie ze swoim dyrektorem Jerzym Cisewskim, 2023 (fot. Roman Hudzik)

tkania z księdzem Januszem St. Pasierbem", dokumentującej pierwsze dziesięć edycji pelplińskiego festiwalu, pisał: „Organizatorom juweniliów należy się wielka pochwała. Dzięki tym turniejom ujawniono wiele młodych twórców, odkryto dowody ich autentycznych talentów. Wiersze opuściły dna szuflad, wyszły z brulionów, by zamienić się wartość powszechną". W ostatnich latach wśród oceniających są także poeci: Alina Rzepecka i Mateusz Brucki.

W 2000 roku pojawiła się kolejna, czwarta kategoria. Adresowana została (podobnie jak juwenilia poetyckie) także do studentów, z czego skwapliwie skorzystali m.in. klerycy Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie – macierzystej uczelni autora „Czarnej skrzynki" oraz „Gałęzi i liści". Napisanie eseju lub interpretacji wiersza (wierszy) ks. Pasierba wymagało nie lada umiejętności. Niemniej poradziło sobie z tą formą literacką ponad 250 uczestników.



Festiwalowi goście, 2024 (fot. UMiG Pelplin)

Wiele z tych prac jest niezwykle dojrzałych, a jednocześnie są wyrazem autentycznego zainteresowania twórczością ks. Pasierba. Niektóre z nich noszą cechy prac naukowych, inne felietonów i szkiców. W wielu z nich widać wiedzę o literaturze, filozofii, różnych dziedzinach sztuki. Mikołaj Baranow z Prabut – obecnie student Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, który od kilku lat przygotowuje na Festiwal wiersze i eseje – tak pisze: „Ksiądz Janusz St. Pasierb w wielu swoich tekstach poetyckich jako ów nieznośny brat kieruje do nas zachętę: zatrzymaj się obejrzyj / obejrzyj się / obejrzyj siebie. Pasierb pisze z doświadczeń, które nabywa i które go kształtują. Nie zadowala się płyciznę intelektualną, wówczas i dziś także pokutującą, ale szuka głębi, w którą wprowadza również czytelnika".

W 2003 roku organizatorzy zaprosili wszystkich tych, którzy lubią śpiewać poezję. I był to strzał w dziesiątkę. Okazało się, że wielu młodym ta forma ekspresji odpowiada. Do tej pory zaprezentowano na festiwalowej scenie około dwustu propozycji wokalno-muzycznych interpretacji wierszy ks. Pasierba. Wokalistom towarzyszyli akompaniatorzy, czasami nawet zespół muzyczny, kiedy indziej posługiwali się podkładem muzycznym. Korzystali z istniejących kompozycji (głównie niezastąpionego starogardzkiego barda Sławomira Hodunia, jednego z najlepszych interpretatorów wierszy ks. Pasierba), często tworzyli je sami. Warto nadmienić, że na pelplińskiej scenie debiutowali znani dzisiaj wykonawcy poezji śpiewanej: Marcin Skrzypczak ze Starogardu Gd. i Piotr Szauer z Lubawy – rodzinnego miasta ks. Pasierba. Z lubawską młodzieżą przyjeżdżał Tomasz Gul – kompozytor muzyki do wierszy patrona Festiwalu.

W 2017 roku – we współpracy z Instytutem Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika – zorganizowano kategorię zatytułowaną „Pamięć o dziedzictwie narodowym", kierowaną do licealistów i studentów. Po trzech edycjach zrezygnowano z niej ze względu na małe zainteresowanie.

Imprezy towarzyszące

Festiwal to nie tylko konkursowa rywalizacja. Co roku proponowano festiwalowym gościom wydarzenia towarzyszące, głównie artystyczne. Były więc koncerty muzyczne (m.in. w katedrze oraz w parafialnej sali kominkowej), spektakle teatralne (na scenie Miejskiego Ośrodka Kultury), monodramy (także w auli Biblioteki Diecezjalnej), minikonferencje naukowe, prelekcje (w tym każdorazowe wystąpienie Marii Wilczek – wspomnianej już prezes Fundacji im. Ks. Janusza St. Pasierba), projekcje filmów, wystawy („Pasierbowa Europa Ducha", „Galilejska uroda Kociewia i Kaszub"), kiermasze książek, a także warsztaty dla recytatorów (prowadzone przez aktorów). Zawsze była możliwość zwiedzania katedry i dawnego opactwa cysterskiego oraz modlitewnego spotkania przy grobie ks. Pasierba na pelplińskim cmentarzu.

Zupełnie odrębną i bardzo znaczącą część Pasierbowego świętowania stanowią od 2006 roku spotkania z poetami. Są wśród nich wszyscy laureaci nagród Fundacji im. Ks. Janusza St. Pasierba i poeci skupieni wokół jednego z najlepszych pism literackich, jakim jest „Topos". W Pelplinie gościli: Szymon Babuchowski, Jerzy Binkowski, Mateusz Brucki, Ernest Bryll, ks. Tomasz Czapiewski, Przemysław Dakowicz, Jarosław Jakubowski, ks. Franciszek Kamecki, Wojciech Kass, Krzysztof Koehler, Krzysztof Kuczkowski, Wojciech Kudyba, ks. Bartłomiej Kuźnik, Michał Muszalik, Artur Nowaczewski, Kazimierz Nowosielski, Alina Rzepecka, Wojciech Wencel i Jarosław Zalesiński.

Jury

O wadze każdego konkursu świadczą także jurorzy. Organizatorzy pelplińskiego Festiwalu zapraszali i zapraszają do składu

jury aktorów, poetów, muzyków, dziennikarzy, polonistów. Zasadniczy trzon stanowią: Maria Wilczek (od 1996 roku), Jerzy Kiszkis (od 1997 roku), Elżbieta Goetel (od 1998 roku) oraz ks. Mirosław Kreczmański (od 2011 roku) – polonista, proboszcz parafii pw. św. Teresy na warszawskiej Tamce, gdzie ks. Pasierb głosił kazania. Wiele razy w składzie jury zasiadali m.in. poeta ks. Franciszek Kamecki, felietonista i pisarz śp. Paweł Dzianisz, wspomniany już śp. Roman Landowski, polonistki: Martyna Manuszewska, Anna Mazurek-Klein, Taida Sylka, Jolanta Synak i wiele innych.

Festiwalowa rodzina

Nie będzie przesadne stwierdzenie, że Pomorski Festiwal Poetycki im. ks. Janusza St. Pasierba w ciągu minionych trzech dekad stworzył specyficzną społeczność. Wielu młodych ludzi przyjeżdżało do Pelplina wielokrotnie, dając świadectwo, że nie są tu przypadkowo, że ks. Pasierb ma im coś ważnego do przekazania. I w końcu wielu z nich od Pasierbowego Festiwalu rozpoczynało swoją drogę życiową naznaczoną umiłowaniem piękna. Zdarzało się, że mobilizowali swoje dzieci do udziału w recytacjach czy literackich konkurencjach.

Do tej rodziny należy zaliczyć spore grono instytucji i osób, które w różny sposób wspierały i wspierają pelplińskie święto poezji. Są wśród darczyńców władze samorządowe wszystkich szczebli. Laureaci poszczególnych kategorii konkursowych otrzymują nagrody: Marszałka Województwa Pomorskiego, Starosty Tczewskiego, Burmistrza Pelplina i przewodniczącego Rady Miejskiej. Wsparcie finansowe od samego początku systematycznie płynie z Banku Spółdzielczego w Skórczu, który zasługuje na miano mecenasa kultury. Wśród czyniących dobro są władze rektorskie Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, liczni pelplińscy przedsiębiorcy. Wśród tych ostatnich należy wymienić Barbarę Pruszyńską



Autor podczas XXI Pomorskiego Festiwalu Poetyckiego im. ks. Janusza St. Pasierba, 2016 (fot. Roman Hudzik)

i jej śp. męża Romana, którzy obdarowywali przez ponad dwadzieścia lat wszystkich laureatów i jurorów bukietami ze swojej kwiaciarni. Diecezjalne Radio „Głos" z jego dyrektorem ks. Ireneuszem Smaglińskim ma niepoliczalne zasługi w promocji Festiwalu. Relacje ukazywały się również w TVP Gdańsk, TV Pelplin, „Dzienniku Bałtyckim", „Gazecie Tczewskiej", „Informatorze Pelplińskim" i innych mediach, także elektronicznych. Nie można zapominać o Zespole Kształcenia i Wychowania nr 1, Collegium Marianum oraz Kociewskim Centrum Kultury (wcześniej: Diecezjalnym Centrum Informacji Turystycznej).

Pomorski Festiwal Poetycki im. Ks. Janusza St. Pasierba, organizowany przez pelplińskie Liceum Ogólnokształcące wchodzące w skład Zespołu Szkół Ponadpodstawowych przy niezwykle znaczącym udziale Miejskiego Domu Kultury oraz (od kilku lat) Miejskiej Biblioteki Publicznej, spełnia zapewne swoje zadanie. Zadanie przybliżania młodemu pokoleniu twórczości autora „Czarnej skrzynki", który był tak bardzo blisko młodych ludzi, których cenił i szanował, o których zabiegał i o których się troszczył. ■

JERZY CISEWSKI

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ
KOCIEWIE – TRADYCJA, TOŻSAMOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Kociewie – drugi co do wielkości region Pomorza – może poszczycić się długą, burzliwą i bogatą historią, językiem przodków oraz wyjątkowym dziedzictwem kulturowym. Dorobek materialny i duchowy mieszkańców, piękno tradycji, obrzędowości oraz walory przyrodnicze i architektoniczne sprawiły, że Kociewiacy przez pokolenia wnosili istotny wkład w rozwój Pomorza i całej Polski.

Na przełomie XX i XXI wieku szczególnie ważne stało się uświadomienie mieszkańcom oraz kolejnym pokoleniom wartości tego dziedzictwa. Równie istotne jest docenienie wszystkich tych, którzy przez lata byli ambasadorami Kociewia – zarówno w regionie, jak i poza jego granicami.

Czy współczesne działania pozwolą skutecznie połączyć ochronę dziedzictwa kulturowego z nowoczesnym i zrównoważonym rozwojem regionu?

Od I do III Kongresu Kociewskiego

Etos pracy organicznej Kociewiaków zaowocował zorganizowaniem w 1995 roku I Kongresu Kociewskiego. Jego celem było zintegrowanie mieszkańców oraz zachęcenie ich do wspólnego działania na rzecz rozwoju i promocji Kociewia. Ważnym efektem Kongresu była idea powołania Federacji Stowarzyszeń i Związków „Kociewska Więźba", która rozpoczęła działalność w 1999 r.

Pierwszym zadaniem Federacji była organizacja II Kongresu Kociewskiego w 2000 r. Kongres stał się wyrazem troski o przyszłość regionu oraz impulsem do współpracy samorządów, organizacji pozarządowych i mieszkańców na rzecz rozwoju społecznego, gospodarczego i kulturalnego.



Kolejnym ważnym krokiem było ogłoszenie przez Sejmik Województwa Pomorskiego roku 2005 Rokiem Kociewskim. Decyzja ta miała ogromne znaczenie dla budowania świadomości regionalnej i promocji Kociewia w Polsce.

Najważniejsze cele Roku Kociewskiego obejmowały:

- umacnianie tożsamości regionalnej mieszkańców,
- promocję historii, kultury i gwary kociewskiej,
- rozwój współpracy samorządów trzech powiatów: tczewskiego, starogardzkiego i świeckiego,
- przygotowanie wspólnej strategii rozwoju regionu.

W ramach obchodów odbyły się konferencje naukowe, wystawy, koncerty i wydarzenia edukacyjne oraz ukazały się liczne publikacje popularyzujące historię i kulturę Kociewia.

Kulminacją obchodów był III Kongres Kociewski, który odbył się w dniach



III Kongres Kociewski, sala Centrum Kultury i Sztuki, Tczew 2005. Od lewej: Marek Modrzejewski – starosta powiatu tczewskiego, Zenon Odya – prezydent Tczewa, Jerzy Cisewski – prezes Federacji Stowarzyszeń i Związków „Kociewska Więźba" (fot. Stanisław Zaczyński / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

20–22 października 2005 r., jednocześnie w Starogardzie Gdańskim, Świeciu i Tczewie. Poszczególne miasta poświęciły obrady odpowiednio gospodarce, kulturze i edukacji oraz turystyce i ochronie środowiska.

Wnioski III Kongresu Kociewskiego

Uczestnicy podsumowali dotychczasowe osiągnięcia i wyznaczyli kierunki dalszego rozwoju regionu. Za najważniejsze cele uznano:

- zwiększenie potencjału turystyki regionalnej,
- ochronę środowiska naturalnego,
- doskonalenie edukacji regionalnej,
- wspieranie i wzmacnianie kultury ludowej i gwary kociewskiej,
- zacieśnianie współpracy samorządów, organizacji społecznych i mieszkańców.

Podkreślono również potrzebę budowania nowoczesnej tożsamości regionalnej, która harmonijnie łączy pielęgnowanie tradycji z rozwojem gospodarczym oraz wykorzystaniem możliwości wynikających z członkostwa Polski w Unii Europejskiej.

Rok Kociewski 2005 oraz III Kongres Kociewski stały się przełomowym momentem odrodzenia regionalizmu kociewskiego. Ich efektem były m.in. obchody Światowego Dnia Kociewia, rozwój edukacji regionalnej, nowe inicjatywy kulturalne, promocja turystyczna oraz wzrost aktywności organizacji społecznych.

Najważniejsze wyzwania i kierunki rozwoju Kociewia

Choć Kociewie nie posiada jednego dokumentu wyznaczającego strategię rozwoju



III Kongres Kociewski, sala widowiskowa Centrum Kultury i Sztuki, Tczew 2005 (fot. Stanisław Zaczyński / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

całego regionu, samorządy, organizacje społeczne oraz lokalne grupy działania konsekwentnie realizują wspólne cele wypracowane podczas III Kongresu Kociewskiego.

Najważniejsze myśli dotyczące przyszłości Kociewia

1. **Zachowanie tożsamości regionalnej**

Największym kapitałem Kociewia pozostają jego mieszkańcy, historia, gwara i kultura. Ochrona dziedzictwa regionalnego powinna być fundamentem wszystkich działań rozwojowych.

2. **Rozwój gospodarczy oparty na lokalnym potencjale**

Przyszłość regionu zależy od wspierania przedsiębiorczości, rolnictwa, lokalnych produktów oraz nowoczesnych usług, przy jednoczesnym zachowaniu wyjątkowego charakteru Kociewia.

3. **Silna marka „Kociewie”**

Budowanie silnej i rozpoznawalnej marki Kociewia powinno opierać się na promocji turystyki przyrodniczej, kulturowej i aktywnej oraz wykorzystaniu bogatego dziedzictwa historycznego.

4. **Nowoczesna infrastruktura**

Rozwój dróg, transportu publicznego, cyfryzacji usług oraz inwestycji w odnawialne źródła energii ma bezpośredni wpływ na jakość życia mieszkańców i atrakcyjność regionu.

5. **Ochrona środowiska jako warunek rozwoju**

Lasy, jeziora i dolina Wisły stanowią jedno z największych bogactw Kociewia. Ich ochrona powinna iść w parze z rozwojem turystyki i gospodarki przyjaznej środowisku.

6. **Edukacja regionalna i aktywność młodego pokolenia**

Przyszłość Kociewia zależy od młodych mieszkańców. Edukacja regionalna, rozwój organizacji społecznych i zaangażowanie młodzieży są warunkiem trwałości kociewskiej tożsamości.

7. **Współpraca ponad podziałami**

Największe sukcesy region osiągał wtedy, gdy samorządy, organizacje społeczne, przedsiębiorcy i mieszkańcy dzia-

łali wspólnie. Taki model współpracy powinien pozostać podstawą dalszego rozwoju.

Dwadzieścia lat po III Kongresie Kociewskim można stwierdzić, że wiele z jego postulatów zostało zrealizowanych. Jednocześnie przed regionem stoją nowe wyzwania związane z depopulacją, zmianami klimatycznymi, transformacją energetyczną, cyfryzacją oraz koniecznością zwiększania konkurencyjności gospodarczej.

Obchody Roku Kociewskiego 2005 i III Kongres Kociewski zapoczątkowały nowy etap rozwoju regionalizmu kociewskiego. Dzięki współpracy samorządów, organizacji społecznych i mieszkańców udało się stworzyć trwałe podstawy rozwoju gospodarczego, społecznego i kulturalnego regionu.

Przyszłość Kociewia powinna opierać się na czterech filarach: zachowaniu tożsamości regionalnej, nowoczesnej gospodarce, wysokiej jakości życia mieszkańców oraz zrównoważonym wykorzystaniu walorów przyrodniczych.

Najważniejszym wyzwaniem kolejnych lat będzie przekazanie młodemu pokoleniu odpowiedzialności za dalszy rozwój Kociewia, tak aby region pozostał miejscem nowoczesnym, atrakcyjnym oraz wiernym swoim korzeniom.

BIBLIOGRAFIA

Landowski R., *Nowy bedeker kociewski*, Tczew.

Księga Pamiątkowa I Kongresu Kociewskiego, 1997; Księga Pamiątkowa II Kongresu Kociewskiego, 2002; Księga Pamiątkowa III Kongresu Kociewskiego, 2010. Materiały pokongresowe III Kongresu Kociewskiego, Federacja Stowarzyszeń i Związków „Kociewska Więźba", 2005.

Uchwała Sejmiku Województwa Pomorskiego w sprawie ogłoszenia Roku Kociewskiego 2005.

Materiały promocyjne i edukacyjne Lokalnej Grupy Działania „Wstęga Kociewia".

Publikacje i materiały Regionalnej Izby Gospodarczej Pomorza oraz organizacji kociewskich.

Materiały własne.

Uchwała III Kongresu Kociewskiego

(fragmenty)

My Kociewiacy, świadomi ponadczasowej wartości dziedzictwa kulturowego i gospodarczego naszego Regionu, przekazanego przez poprzednie pokolenia; przekonani o konieczności ochrony kociewskiego dziedzictwa, a przede wszystkim jego rozwoju; jesteśmy zdecydowani podejmować działania zmierzające do nieustannego przypominania i utrwalania tradycyjnych wartości oraz ubogacania ducha i materii Ziemi Kociewskiej. Pragniemy zachować dla kolejnych pokoleń kociewski obszar kulturowy i owoce pracy naszych poprzedników.

Nasza społeczność lokalna, w poczuciu swej godności zainicjowała z nową, dotychczas nieznaną siłą, ruchy społeczne skierowane na przywracanie tradycyjnych dla nas wartości, by oprzeć na nich nasze działania. Właśnie ten rodzaj aktywności, poczucie wpływu, oparcie na rodzimych wartościach, działanie w swoim własnym interesie stanowi o podmiotowości kulturotwórczej obywateli naszej Małej Ojczyzny - Kociewia. (…)

My Kociewiacy, mamy obowiązek pomnażania dorobku Naszych Przodków i przekazania go potomnym. Mamy obowiązek głosić dojrzałość, wyrazistość i bogactwo Kociewia. Postanawiamy dobro to - tak w wymiarze duchowym, jak i świetności materialnej - rozwijać, by Region Kociewia silnie wpisał się w organizacyjno-gospodarcze struktury europejskie. Jesteśmy nowocześni szanując tradycje.

Tczew, 22 października 2005 r.



Zdzisław Wojtaś

OWOC

Jest taka pora, w której owoc
osiąga najpełniejszą dojrzałość:
poznał już mowę ptaków, owadów, wiatru.
Za nim próby opisania tego, co niewidzialne,
objęcia sercem tego, co nieobjęte,
rozumem tego, co niepojęte.
Za nim czas liczenia gwiazd.
Teraz bez trwogi patrzy na zachodzące
za horyzont światło.
Nieomylnie pod stopami rozpoznaje
grudki własnej drogi.
Woli słuchać.
Coraz częściej do świata odwraca się plecami.
Jego skóra jeszcze napięta, lśniąca,
choć gdzieniegdzie pojawiły się
brunatne znamiona jesieni.
Miąższ wciąż twardy, jędrny,
tylko bardziej już uległy.
Dojrzały niecierpliwie czeka, ale nikt
w jego stronę nie wyciąga ręki.
Obojętnie nie ominie go tylko Ogrodniczka,
która z pasją składa dojrzałe owoce
do drewnianych skrzynek.

fot. Magnific



fot. Józef Golicki

JÓZEF GOLICKI

POMENNONICKA CHAŁUPA W CHRYSTKOWIE

Niniejszy tekst jest zapowiedzią mojej najnowszej publikacji pt. „Niecodzienne fascynujące Kociewie". Książka ukaże się w 2027 roku. Będzie to opowieść o Kociewiu nieoczywistym – pełnym ciekawych miejsc, zaskakujących wydarzeń, które niejednokrotnie umykają uwadze mieszkańców regionu.

Skąd mennonici w Chrystkowie koło Świecia? Mennonici to protestancki związek wyznaniowy, który powstał w Holandii w czasach reformacji religijnej w XVI wieku. Nazwa pochodzi od Menno Simonsa, byłego księdza katolickiego i jednego z najważniejszych przywódców tego ruchu w Niderlandach. Z powodu prześladowań religijnych, które w XVI wieku dotknęły protestantów, mennonici szukali w Polsce schronienia oraz możliwości swobodnego praktykowania swojej wiary. Rzeczpospolita słynęła wówczas z tolerancji religijnej i stwarzała dogodne warunki do osiedlania się uchodźców i kolonistów. Osadnictwo przybyszów z Niderlandów rozpoczęło się pod koniec XVI wieku od północnej części Żuław Gdańskich, a z czasem objęło także pozostałe części Żuław Wiślanych i Doliny Dolnej Wisły.

Właściciele ziemscy i zarządcy, znając umiejętności mennonitów w zakresie osuszania podmokłych terenów i ich późniejszego zagospodarowania rolniczego, zawierali z nimi wieloletnie kontrakty osadnicze.

W zamian za coroczny czynsz koloniści zobowiązywali się rolniczo użytkować powierzoną im ziemię, co wymagało wcześniejszego przeprowadzenia wielu uciążliwych i pracochłonnych zabiegów melioracyjnych.

Mennonici na ziemiach polskich stworzyli własny, charakterystyczny typ zabudowy.





Północno-zachodnia część chałupy podcieniowej w Chrystkowie; obok – wnętrze jednej z izb (fot. Józef Golicki)

Zagrody miały formę zespoloną – dom mieszkalny, obora i stodoła były połączone ze sobą, tworząc jeden zwarty budynek. Między jego poszczególnymi częściami znajdowały się przejścia umożliwiające wewnętrzną komunikację, dzięki czemu z części mieszkalnej można było dostać się do części gospodarczej bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. Zabudowania w zagrodach mennonickich wznoszono początkowo głównie w konstrukcji zrębowej (wieńcowej). Od XVIII wieku przy budowie domów coraz częściej stosowano również konstrukcję ryglową, w której drewniany szkielet wypełniano m.in. cegłą.

Zabytkowa chata w Chrystkowie jest pozostałością dawnej zespolonej zagrody mennonickiej, wzniesionej w drugiej połowie XVIII wieku. To dwukondygnacyjny budynek z podcieniem frontowym, wykonany z drewna w konstrukcji zrębowej i nakryty dachem krytym grubą warstwą trzciny. Układ i wnętrze domu uległy jedynie niewielkim przekształceniom. Pierwotnie od strony zachodniej do chaty przylegały obora i stodoła, tworząc wraz z nią jedną całość. Po pożarze, do którego doszło pod koniec XIX wieku, w skład siedliska wchodzą wolnostojący drewniany dom podcieniowy, wolnostojąca murowana obora oraz suszarnia z przechowalnią owoców.

Od 1995 roku chata pełni funkcję Ośrodka Dydaktyczno-Muzealnego Zespołu Parków Krajobrazowych nad Dolną Wisłą. W jej wnętrzu znajdują się eksponaty związane z życiem mieszkańców Chrystkowa i okolicznych wsi. W pobliżu utworzono także szkółkę z kolekcją ponad 80 starych odmian jabłoni. ■

PIOTR ZYGMUNT KOWALSKI

ARCHITEKTURA TCZEWA OK. 1910 ROKU: MIĘDZY HISTORIĄ A NOWOCZESNOŚCIĄ

Niniejszy artykuł stanowi część szerszych badań autora nad architekturą modernistyczną Tczewa, których zwieńczeniem ma być obszerna monografia poświęcona temu zagadnieniu. Jej celem jest ukazanie wysokich wartości artystycznych i historycznych powstałych wówczas budynków, a zarazem wydobycie z zapomnienia sylwetek ich twórców – architektów, budowniczych, inwestorów i rzemieślników, którzy nadali miastu nowoczesne oblicze. Prezentowane tu studia przypadków – wybrane realizacje publiczne i mieszkalne – mają unaocznić, że Tczew początku XX wieku nie pozostawał na uboczu przemian architektonicznych swojej epoki, lecz świadomie i twórczo w nich uczestniczył.

Miasto w budowie

Na początku XX wieku Tczew przeżywał intensywny rozkwit budowlany. Miasto liczące około siedemnastu tysięcy mieszkańców, położone na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych oraz linii kolejowych Bydgoszcz–Gdańsk i Berlin–Królewiec, otwierało się na nowe wyzwania gospodarcze i kulturalne. Od około 1908 roku powstawały elektrownia miejska, wodociągi, sieć gazowa, park miejski, kamienice, osiedla -ogrody, szkoły i wille. Zdecydowana większość nowych budynków wyrastała z konwencjonalnej praktyki architektonicznej końca XIX i początku XX wieku na terenie Cesarstwa Niemieckiego – reprezentowane były wszystkie formacje historyczne, od neogotyku, przez neorenesans, po nurt krajobrazowy – Landhausstil, czyli swobodnie komponowane, malownicze budownictwo willowe i podmiejskie, czerpiące z wiejskiej tradycji budowlanej i z angielskiego wzorca domu mieszkalnego.

W tym dynamicznym kontekście kluczową rolę odegrali dwaj ludzie, którzy w sposób decydujący ukształtowali oblicze architektoniczno-urbanistyczne miasta. Burmistrz Ludwig Eichhart (1850–1918; do 1904 roku nosił nazwisko Dembski), obejmując urząd w 1889 roku, zapowiedział, że jego „serce i praca należą do tego miasta", i konsekwentnie realizował ambitny program modernizacji Tczewa. Plany rozbudowy powierzył stosunkowo młodemu, lecz doświadczonemu Ottonowi Spechtowi (1876–1944), mianowanemu budowniczym miejskim w styczniu 1908 roku (il. 1).



1. Otto Specht, 1940
(fot. zbiory prywatne, Hamburg)

Pochodzący z Dessau Specht, wykształcony w Królewskiej Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie-Charlottenburgu i zahartowany praktyką w Berlinie oraz Elblągu, był człowiekiem z zewnątrz – znającym wiodące ośrodki architektoniczne epoki i świadomie wprowadzającym do niewielkiego nadwiślańskiego miasta nowe trendy estetyczne i technologiczne. Tczew był dla niego wyzwaniem: niewielkim, lecz dynamicznie rozwijającym się ośrodkiem, w którym mógł od podstaw kształtować nowoczesny program budowlany, dysponując zarazem zaufaniem władz miejskich i znaczącymi środkami inwestycyjnymi. Dzięki licznym realizacjom Specht cieszył się wśród Tczewian dużym szacunkiem i uznaniem.

Gmach starostwa (1908–1909) – historyzm zmodernizowany

Pierwszą realizacją tej fali rozbudowy, szczególnie wyraźnie zaznaczającą się w panoramie architektonicznej Tczewa, był nowy gmach starostwa, ukończony pod koniec 1909 roku za sumę 206 tysięcy marek – dziś siedziba Urzędu Miejskiego (il. 2). Gmach zajął eksponowane miejsce w śródmieściu – na skrzyżowaniu głównych dróg, przy ówczesnym Przedmieściu Berlińskim – i swoją charakterystyczną, strojną sylwetą stał się jednym z rozpoznawalnych symboli miasta, obok kratownicowych mostów i wiatraka. Do jego zaprojektowania Specht zaangażował architekta Curta Hempla z Drezna, cenionego twórcę, znanego już z dwóch monumentalnych realizacji w Gdańsku – gmachu Krajowego Zakładu Ubezpieczeń Prus Zachodnich z 1903 roku (przy obecnej ulicy Okopowej) oraz elewacji Banku Ziemskiego z 1905 roku (przy obecnej ulicy Bogusławskiego). Hempel był wówczas jednym z pierwszych członków gdańskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych i Rzemiosła Artystycznego, powołanego w 1905 roku, które aktywnie propagowało nowe tendencje artystyczne w środowisku dotąd dość konserwatywnym i pozbawionym stałego kontaktu z europejskimi centrami sztuki.



2. Gmach starostwa od strony wschodnio-południowej, ok. 1910 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Architektura tczewskiego gmachu stanowi interesujący i nieoczywisty konglomerat form. Hempel posłużył się tu świadomie trzema odmiennymi tradycjami stylistycznymi, podporządkowując każdą z nich innej funkcji i innej części budynku. Dominantą fasady frontowej jest neogotyk z charakterystyczną triadą schodkowych szczytów, nawiązujących do późnogotyckiej tradycji szczytów kościołów Pomorza i Warmii – wybór ten miał wymowę nie tylko estetyczną, ale i ideową; neogotyk pełnił bowiem wówczas rolę narzędzia polityki kulturowej Cesarstwa, podkreślając tradycje krzyżackie na Wschodzie. Sąsiadujący ryzalit, zwieńczony szczytem nawiązującym do neomanieryzmu niderlandzkiego, odsyła do tradycji budownictwa gdańskiego, uznanej wówczas za oficjalną formułę dla gmachów publicznych w prowincjach pruskich. Część mieszkalna, usytuowana od strony wschodniej i północnej, odwołuje się natomiast do Landhausstil[1]. Wzniesiona w konstrukcji szkieletowej (fachwerkowej, tzw. mur pruski), z werandą i szerokimi oknami, nawiązuje do tradycyjnej architektury angielskiej, spopularyzowanej przez prekursora modernizmu Hermanna Muthesiusa.

Tym, co w tczewskiej realizacji Hempla najcenniejsze, są jednak detale wyraźnie odbiegające od konwencji historycznych. Na elewacjach pojawiają się zmodernizowane, oszczędne w formie motywy dekoracyjne. Najlepiej widoczne są wykute w piaskowcu kompozycje kwadratów i prostokątów, utrzymane w kolorystyce czerwieni i granatu, rozmieszczone w dwóch pasach na cylindrycznych wykuszach (il. 3). Uwagę przyciąga także opływowa wieżyczka-latarnia z rzędem okrągłych otworów, a na ganku elewacji wschodniej i zachodniej – geometryczny detal złożony z kwadratów i prostokątów, zakomponowany na drewnianych słupach i balustradzie. Całości dopełniają wirtuozerskie kraty okien oraz nadświetla drzwi. We wnętrzach zaś



3. Widok elewacji mieszkalnej części starostwa z detalem w formie kwadratów i prostokątów (fot. Piotr Zygmunt Kowalski)



4. Witraże klatki schodowej gmachu starostwa (fot. Piotr Zygmunt Kowalski)

– witraże klatek schodowych o abstrakcyjnej geometrii (il. 4) oraz żelazna balustrada z motywem owalnego pierścienia i faliście giętym prętem. Detale te zdradzają inspirację secesją wiedeńską i tzw. Quadratstil – stylem kwadratu upowszechnionym przez wiedeńskich architektów. Witraże z kolei przywołują estetykę bliską szkockiemu architektowi i projektantowi Charlesowi Renniemu Mackintoshowi z Glasgow, którego prace pokazywano na wystawach w Wiedniu i w Dreźnie – rodzinnym mieście Hempla.

Hempel jako pierwszy wprowadził tym samym na grunt tczewski wczesnomodernistyczny, zgeometryzowany detal, który stał się wzorem dla późniejszych realizacji w mieście.

Hala miejska (1910–1911) – ku wczesnemu modernizmowi

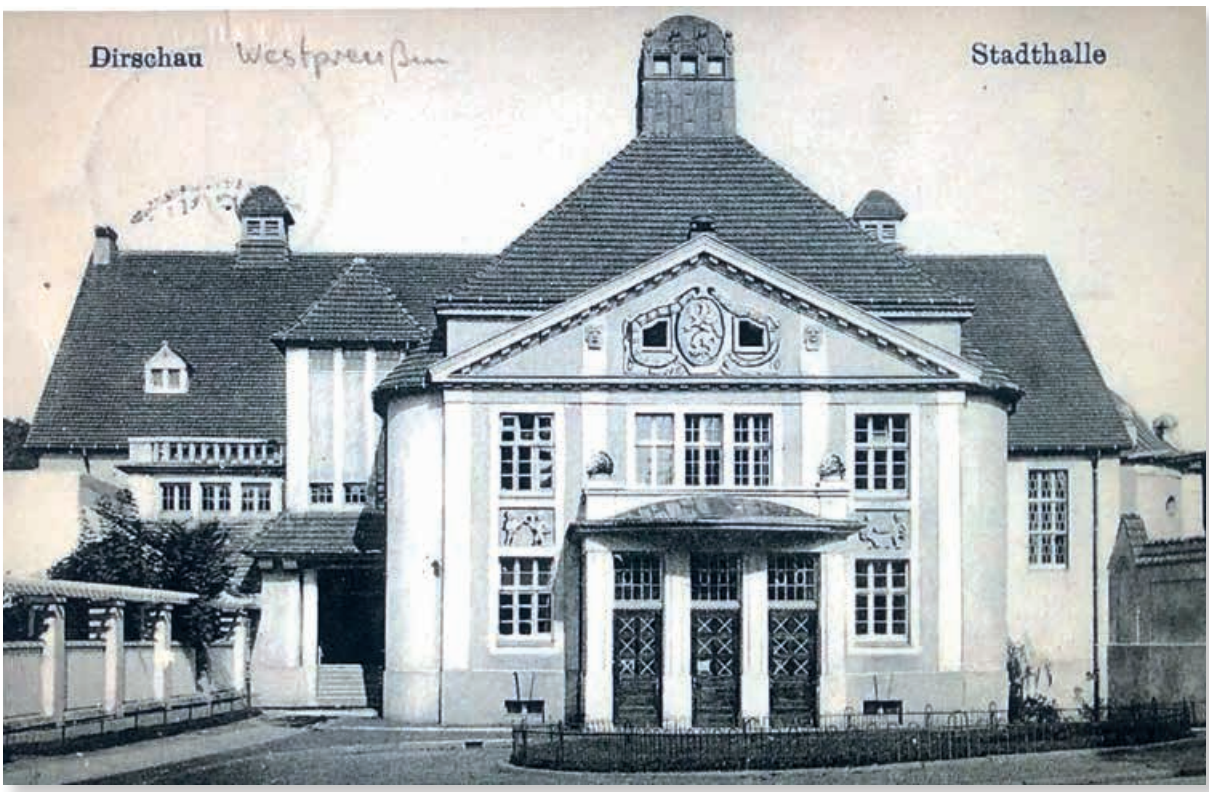
Zaledwie rok po ukończeniu gmachu starostwa Tczew stanął przed kolejnym wyzwaniem architektonicznym. W 1910 roku miasto obchodziło jubileusz 650-lecia nadania praw miejskich, a spragnieni kultury mieszczanie tczewscy dotkliwie odczuwali brak odpowiedniej sali na wydarzenia artystyczne wyższej rangi – najbliższe teatry i sale koncertowe znajdowały się w Gdańsku i Elblągu. Z inicjatywy zawiązanego Towarzystwa Hali Miejskiej, ze środków rządowych, samorządowych i prywatnych, sfinansowano budowę Stadthalle za sumę 240 tysięcy marek (il. 5). Zadanie projektowe powierzono tym razem Spechtowi, który sporządził projekt w czerwcu 1910 roku, angażując do zaprojektowania wnętrz Wilhelma Meyera z Hildesheim, pracującego przy budowie od maja 1910 do lutego 1911 roku.

O ile gmach starostwa łączył jeszcze silnie zakorzeniony historyzm z pierwszymi modernistycznymi akcentami, o tyle hala miejska poczyniła w tym procesie znaczący krok dalej. Fasada budynku, utrzymana w duchu neoklasycyzmu – z frontonem zdobionym herbem miasta w tympanonie, lizenami, girlandami i sztukateriami – odpowiadała wprawdzie oczekiwaniom mieszczańskiego inwestora, spragnionego reprezentacyjnej oprawy. Wnętrza natomiast opowiadały zupełnie inną historię. Meyer posłużył się

zgeometryzowaną, uproszczoną formą detalu – motyw kwadratu pojawiał się w balustradach empor i kasetonach stropu holu, a całość kompozycji cechowały rytmika powtarzających się elementów, dyscyplina proporcji i świadoma gra światłem. Było to napięcie charakterystyczne dla całej europejskiej architektury około 1910 roku – momentu, w którym style historyczne ulegały stopniowemu upraszczaniu i geometryzacji, torując drogę modernizmowi.

Szczególnie wymowne było oświetlenie sali widowiskowej, zakomponowanej na rzucie prostokąta o wymiarach 30 na 18 metrów i wysokości 11 metrów, przeznaczonej dla 560 osób siedzących i 300 stojących. Dwa wielkie żyrandole o geometrycznych formach, wykonane ze szlifowanego szkła i metalu, zapowiadały nadchodzący styl art déco – ukoronowany na wystawie światowej w Paryżu w 1925 roku (il. 6). Niestety, oryginalne wnętrza i detale hali nie przetrwały do naszych czasów, ulegając stopniowej degradacji wskutek kolejnych remontów i przebudów.

Równie przełomowy był materiał konstrukcyjny. Specht zdecydował się na zastosowanie żelbetu, który upowszechnił się w budownictwie dopiero dwie dekady później. Dzięki temu obiekt należy do najwcześniejszych realizacji żelbetowych na Pomorzu. Prace powierzono sprowadzonej z Brunszwiku renomowanej firmie Drenckhahn & Sudhop, specjalizującej się w konstrukcjach żelbetowych i należącej do pionierów tej technologii w Niemczech. Miała ona wówczas na koncie ponad 200 mostów. Warto zaznaczyć, że to samo przedsiębiorstwo uczestniczyło również w budowie innych ważnych tczewskich gmachów – domu opieki nad ubogimi (obecnie Hospicjum Stacjonarne) przy ulicy Paderewskiego, wzniesionego w 1912 roku, oraz łaźni miejskiej przy ulicy Łaziennej z 1913 roku, noszącej imię swego fundatora, dr. H. Schefflera – obu projektu O. Spechta. Świadczy to o konsekwentnej polityce technicznej architekta, który świadomie sięgał po najnowocześniejsze dostępne rozwiązania.

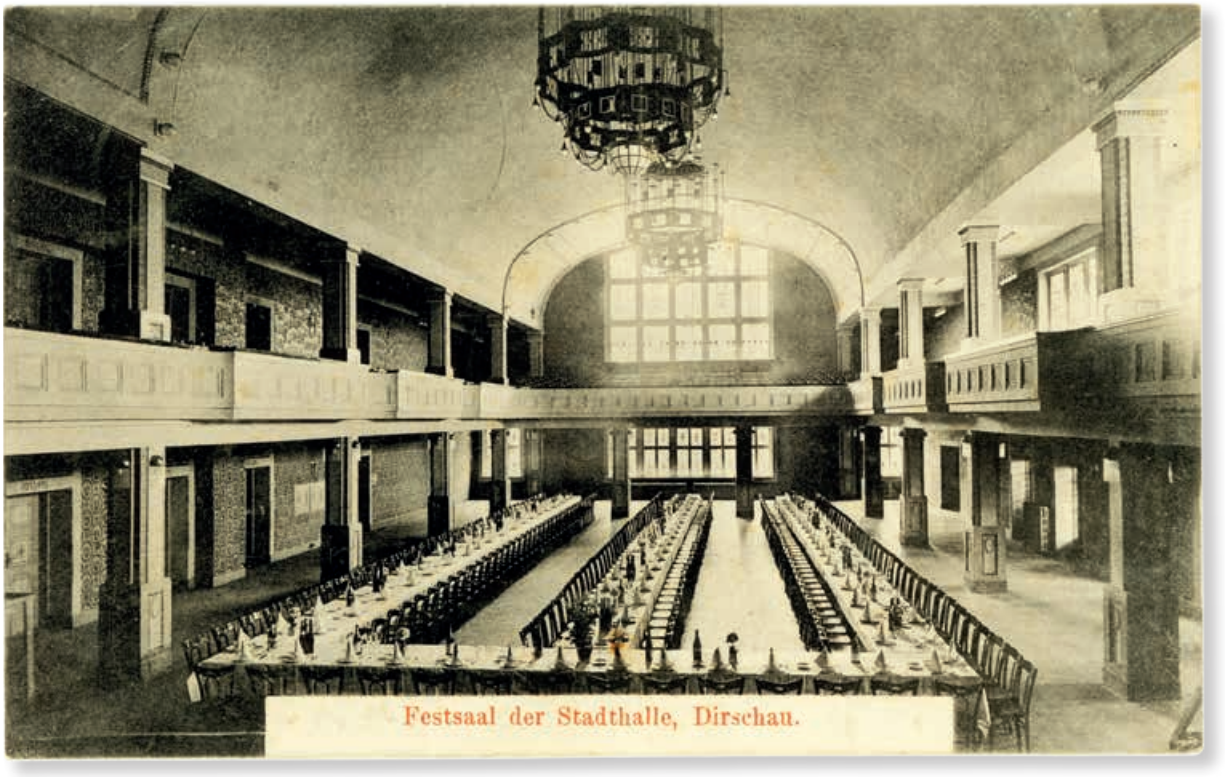


5. Hala miejska – widok ogólny, ok. 1912 (archiwum własne)

Nowatorstwo tczewskiej hali doceniono daleko poza Pomorzem. Jak zanotowano we wspomnieniowej relacji, budynkiem tym Specht osiągnął coś, co przyniosło mu najwyższe uznanie w kręgach fachowych i wielkie zaszczyty. Eksperci z całej Rzeszy Niemieckiej przybywali licznie, aby obejrzeć to rewolucyjne dzieło, którego koncepcja nie straciła aktualności nawet po wielu latach. Ślady tego zainteresowania zachowały się w aktach przechowywanych w Tajnym Archiwum Państwowym Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego w Berlinie. Za projekt i realizację hali Specht otrzymał od cesarza Wilhelma II (1859–1941) Order Korony – jedno z najważniejszych odznaczeń pruskich, ustanowione w 1861 roku przez Wilhelma I i nadawane za zasługi cywilne.

Szkoła żeńska (1908–1912) – detal geometryczny w pełni

Równolegle z budową hali miejskiej, bo już od 1908 roku, Hempel i Specht współpracowali przy kolejnej znaczącej realizacji – okazałym gmachu szkoły żeńskiej (Neue Altstädtische Mädchenvolksschule) przy ulicy 30 Stycznia 3, oddanym do użytku w 1912 roku (il. 7). O ile gmach starostwa łączył jeszcze historyzm z pierwszymi modernistycznymi akcentami, a hala miejska zawieszała wnętrza między tradycją a nowoczesnością, o tyle szkoła żeńska stanowiła kolejny, wyraźny krok w stronę wczesnego modernizmu. Budynek wzniesiono już w oparciu o formy wczesnomodernistyczne – otynkowano go i pomalowano jasnymi barwami, a fasady wschodnią i zachodnią oraz salę gimnastyczną ozdobiono geometrycznymi pasami między oknami. Zgeometryzowany detal, który Hempel zaledwie kilka lat wcześniej wprowadził do tczewskiej panoramy architektonicznej nieśmiało, jako akcent na tle historyzmu starostwa, pojawił się tu jako świadomy i konsekwentny program estetyczny. Realizacja ta zapowiadała już wyraźnie zmierzch neostylów i potwierdzała, że Tczew podążał śmiało za przemianami, które równolegle zachodziły w najważniejszych ośrodkach architektonicznych Europy.



6. Sala widowiskowa hali miejskiej, 1911 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Willa Müllera (1912) – wczesny modernizm w budownictwie willowym

Obok reprezentacyjnych gmachów publicznych szczególne miejsce w architekturze Tczewa tego okresu zajmuje budownictwo willowe. Wraz z rozwojem gospodarczym miasta i powstaniem pierwszych osiedli-ogrodów na obrzeżach śródmieścia – w sąsiedztwie Parku Miejskiego i wzdłuż nowo wytyczanych ulic – zamożna inteligencja oraz przedstawiciele wolnych zawodów wznosili okazałe, indywidualnie projektowane siedziby. Architekci sięgali w nich po formy zaczerpnięte z minionych epok, mocno jednak przetworzone i wzbogacone elementami regionalnymi: wysokimi, łamanymi dachami, szczytami o konstrukcji szkieletowej, werandami oraz detalem o gdańskim rodowodzie. Budownictwo to, łączące malowniczość krajobrazowego Landhausstil z nowoczesną dyspozycją wnętrz, najlepiej oddaje atmosferę Tczewa – małego miasta, lecz otwartego na nowe wzorce ośrodka mieszczańskiego.

Na skraju Parku Miejskiego w 1912 roku wzniesiono willę sędziego Johannesa Müllera przy obecnej ulicy Zielonej 5 (il. 8)[2], w malowniczej wówczas i prestiżowej okolicy. Projektantem tej okazałej rezydencji był gdański architekt Paul Kadereit (1877–1958), wykształcony w Królewskiej Szkole Rzemiosł Budowlanych w Wałczu, a prawdopodobnie także w Berlinie[3]. Willa Müllera stanowi wyśmienity przykład wczesnomodernistycznego domu mieszkalnego, czytelnie nawiązującego do wzorów angielskich. Swobodnie skomponowana bryła, malownicza sylweta z wysokim, łamanym dachem oraz oszczędny, zgeometryzowany detal sytuują ją w kręgu reformatorskiego budownictwa willowego spod znaku Hermanna Muthesiusa – tego samego nurtu, który zaznaczył się już w mieszkalnym skrzydle gmachu starostwa. To, co w realizacjach publicznych Hempla i Spechta pojawiało się jeszcze jako akcent na tle historyzmu, w willi Müllera stało się zasadą kompozycyjną całego domu: rezygnacją z historycznego



7. Szkoła żeńska, ok. 1912 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)



8. Willa Johannesa Müllera przy ul. Zielonej 5, 1912
(za: Paul Kadereit Architekt B.D.A. Danzig, [Berlin ok. 1928])

kostiumu na rzecz wygody, funkcjonalnego rozplanowania wnętrz i związku z otaczającym krajobrazem. Dzięki temu willa Müllera nie jest jedynie lokalną ciekawostką, lecz cennym świadectwem żywej recepcji najnowszych europejskich tendencji w tutejszej architekturze.

Tczew jako dokument epoki

Przedstawione wyżej realizacje układają się w spójną i logiczną opowieść o mieście, które aktywnie uczestniczyło w głównym nurcie przemian architektury europejskiej przełomu wieków. Chronologia jest tu znacząca i wymowna. Zgeometryzowany modernistyczny detal pojawił się w Tczewie po raz pierwszy nieśmiało, jako akcent na tle historyzmu gmachu starostwa, by znaleźć rozwinięcie we wnętrzach hali miejskiej, a wreszcie stać się świadomym i konsekwentnym programem estetycznym szkoły żeńskiej. Te trzy budowle tworzą czytelną mapę przemian stylowych – od historyzmu wzbogaconego pierwszymi modernistycznymi akcentami, przez napięcie między tradycją a nowoczesnością, po wczesny modernizm wyrażony już pełną składnią form geometrycznych. Wraz z domem opieki nad ubogimi (1912) i łaźnią miejską (1913), również projektu Spechta, tworzą one zespół pięciu gmachów publicznych, które w ciągu zaledwie kilku lat odmieniły architektoniczne oblicze miasta. Willa Müllera dopełnia ten obraz od strony budownictwa mieszkalnego, przenosząc tę samą reformatorską wrażliwość w sferę prywatną.

Za tą ewolucją stali konkretni ludzie: Curt Hempel, który jako pierwszy wprowadził do panoramy architektonicznej Tczewa nową estetykę detalu, oraz Otto Specht, który jako budowniczy miejski nie tylko zaakceptował i wspierał te impulsy, lecz sam je rozwijał – zarówno we współpracy z Hemplem przy szkole żeńskiej, jak i samodzielnie przy hali miejskiej. Wykształceni na Zachodzie, świadomi przemian zachodzących w wiodących ośrodkach architektonicznych, obaj wnieśli do małego grodu nad Wisłą estetyczne impulsy, których źródłem były Wiedeń, Glasgow, Drezno i Berlin.

Tczew około 1910 roku jawi się zatem jako miasto wyjątkowe: oddalone od wielkich metropolii, lecz zaskakująco otwarte na nowoczesność. Napięcie między historyzmem a rodzącą się estetyką modernizmu, konsekwentnie widoczne w kolejnych realizacjach Hempla i Spechta, czyni z tczewskiej architektury tego okresu świadectwo epoki o znaczeniu wykraczającym poza granice Pomorza Gdańskiego. ■

Przypisy

1 Podobne rozwiązanie architekt zastosował, projektując gmach starostwa powiatowego w Chełmnie w 1910 roku, zob.: A. Soborska-Zielińska, *Chełmno i jego mieszkańcy na starej fotografii*, Bydgoszcz 2014, s. 109.

2 Obiekt zachowany jest w dobrym stanie, mieści obecnie niepubliczne przedszkole.

3 Więcej o twórczości architekta zob. W. Szymański, E. Barylewska-Szymańska, *Marzenia a rzeczywistość. Architekt Paul Kadereit (1877–1958)*, Gdańsk 2026.

KAROL PLATA-NALBORSKI

DWOREK MODRZEWIOWY W SZTEKLINIE

SIEDZIBA POLSKIEJ SZLACHTY CZY REZYDENCJA NIEMIECKIEGO ZIEMIAŃSTWA?

Szteklin (niem. Stecklin), dawniej Steklno, to wieś kociewska położona w powiecie starogardzkim, w gminie Lubichowo. Najstarsze wzmianki o miejscowości pochodzą z czasów krzyżackich. W XV w. była wymieniana w źródłach jako własność rycerska, jednak nie są znani jej właściciele z tego okresu. Po 1466 roku, przez następne stulecia, znajdowała się w rękach szlachty polskiej.

Od drugiej połowy XVI w. kolejno posiadali ją: Aleksander Stekliński vel Alexander de Steklin (1558); Fabian von Rautenberg Kliński herbu Junosza (1570); Jerzy Kliński i Jan Kliński (1605); Andrzej Brant z Rokocina (1648), a po nim jego syn Jerzy Brant; Jan Wiecki i jego żona Jadwiga z d. Kossowska (1654); Kazimierz Rembowski (1670); Krzysztof Czerwiński i jego żona Hanna z d. Górska (1682); Konstancja Rembowska z d. Bystram (1703); Ignacy Rembowski (1720); Jakub Rembowski (1740); Tomasz Grąbczewski (1742); Kazimierz Grąbczewski (1758).

W połowie XVIII w., a być może jeszcze w poprzednim stuleciu, Szteklin oraz pobliskie wsie Rokocin, Owidz i Radziejewo miały jednego właściciela. Po śmierci podkomorzego pomorskiego i kasztelana chełmińskiego Tomasza Grąbczewskiego doszło do podziału tak rozległego majątku. Owidz



Fot. 1. Podwórze dawnych dóbr rycerskich w Szteklinie. Od prawej: dworek modrzewiowy, dawny spichlerz, obora. Źródło: kadr z filmu pt. „Lubichowska Noc Muzeów 2021 – Modrzewiowy Dworek w Szteklinie"



Fot. 2. Zabytkowy dworek w Szteklinie – fotografia współczesna przedstawiająca ścianę zachodnią z wejściem głównym (archiwum prywatne Krzysztofa Szefera)

i Steklno odziedziczył syn Kazimierz, Rokocin – Aleksander, Radziejewo – Józef, a ich siostry otrzymały rekompensatę w gotówce. Kazimierz, regent ziemski pomorski i klanic chełmiński, odkupił w 1759 roku od swego brata Rokocin, a także nabył Sucumin od Barbary Czarlińskiej. W ten sposób utworzył tzw. klucz dóbr z główną siedzibą w Rokocinie, natomiast folwarki szlacheckie Szteklin, Owidz i Sucumin były wydzierżawiane.

Kazimierz zmarł przed 1773 rokiem, a schedę po nim przejęła tymczasowo wdowa, Balbina z d. Bnińska. W wyniku ugody spadkobierców jedynym właścicielem został w 1777 syn Ignacy Makary Grąbczewski, który w kolejnych dziesięcioleciach coraz bardziej zadłużał odziedziczone posiadłości, nie spłacając ciążących na nich zobowiązań hipotecznych. Owidz musiał sprzedać już w 1789 roku. W końcu jego matka, którą wysiedlił z dóbr, oskarżyła go o rozrzutność. W wyniku zawartego porozumienia Szteklin, Rokocin i Sucumin nabył w 1797 roku Jakub Halk-Łebiński za kwotę 96.000 talarów. Ten, nie spłaciwszy całości długów ciążących na majątku, sprzedał w 1804 klucz rokociński Janowi Wincentemu Felden-Wybczyńskiemu i jego małżonce, Barbarze Agnieszce z d. Pawłowskiej, za sumę 103.000 talarów. Oni również nie uregulowali wszystkich zobowiązań, a ponadto obciążyli nieruchomości kolejnymi zastawami. Ostatecznie Rokocin, Szteklin i Sucumin trafiły w 1815 roku na licytację publiczną.

Walenty Łebiński (4.02.1764–13.10.1843), syn Jakuba, złożył zwycięską ofertę w wysokości 52.050 talarów. Utrzymywał dobre relacje zarówno z administracją pruską, jak i z wojskami napoleońskimi. Pełnił funkcję starogardzkiego landrata do ok. 1818 roku, kiedy sprzedał majątek Sucumin Friedrichowi Wilhelmowi von Schlieben.

Nie udało mu się jednak oddłużyć pozostałych dóbr. Do rozpadu resztek klucza doszło ostatecznie pod koniec lat 20. XIX w. Rokocin został przejęty za długi już w 1827 roku, a Szteklin niespełna dwa lata później przejął wierzyciel Stanisław Kalkstein z Klonówki. Johann Alsen nabył od niego folwark sztekliński na mocy kontraktu z 12 lipca 1829 roku za kwotę 6.030 talarów. Tym samym zakończyła się epoka polskiej szlachty w tym majątku.

Materialnym świadectwem wspomnianych wydarzeń z lat 20. XIX w. jest klasycystyczny dworek przy ul. Radziejewskiej 24, usytuowany na krawędzi wzniesienia nad obniżeniem pomiędzy jeziorami Szteklin i Sumińskim. który przetrwał do czasów obecnych i jest jedynym tego rodzaju zachowanym zabytkiem na Kociewiu. Parterowy obiekt na kamiennej podmurówce wzniesiono na planie prostokąta. Wieńcowy korpus budowli wykonano z bali modrzewiowych, natomiast ściany boczne poddasza – w konstrukcji szkieletowej, pierwotnie wypełnionej cegłą. Budynek nakrywa charakterystyczny dach naczółkowy z „wolimi oczkami". Skromne ozdoby architektoniczne, takie jak gzymsy, obicia naroży i okiennice, wykonano w drewnie. Polska Wikipedia zalicza go do przykładów polskiego dworku szlacheckiego, choć architektonicznie nie odbiega on od wzorców architektury niemieckiej, dominującej na Pomorzu Gdańskim, i różni się od siedzib szlachty polskiej z Polski centralnej i wschodniej.

Istnieją rozbieżności i niejasności co do datowania obiektu. W obszernej dokumentacji konserwatorskiej zespołu dworsko-parkowego w Szteklinie, sporządzonej w połowie lat 70. XX w., nie podano konkretnej daty budowy, a jedynie przedział czasowy: wskazywano albo początek XIX w., albo jego pierwszą połowę, zawężaną w niektórych opracowaniach do drugiej ćwierci stulecia. Z kolei na belce podciągu w kuchni wygrawerowano datę 1823. Sama belka jest jednak współczesna i została wykonana podczas generalnego remontu w latach 80. XX w. W tzw. karcie zielonej zabytku podano natomiast rok 1827, bez powołania się na źródło. Niewykluczone, że inskrypcja na belce nawiązywała właśnie do daty widniejącej w karcie, a „trójkę" zamiast „sió-



Fot. 3. Belka podciągu kuchennego z prawdopodobnie błędną inskrypcją „1823". Źródło: kadr z filmu pt. „Lubichowska Noc Muzeów 2021…"

demki" wyryto omyłkowo. Obecnie nie ma możliwości zweryfikowania tej kwestii, gdyż nie żyją już osoby, które zlecały lub wykonywały remont obiektu.

Jeśli dworek faktycznie został zbudowany w 1823 lub 1827 roku, oznaczałoby to, że powstał z inicjatywy landrata Walentego Łebińskiego. Niekoniecznie wzniesiono go jednak dla niego samego, lecz – co bardziej prawdopodobne – dla dzierżawcy szteklińskiego folwarku, gdyż Łebiński posiadał również inne majątki, w tym rodzinne Kielno na Kaszubach. Nie można zarazem wykluczyć, że dworek wznieśli już nowi niemieccy właściciele. Należy zwrócić uwagę, że na tzw. mapie Schröttera z przełomu XVIII i XIX w. podwórze folwarczno-dworskie było zlokalizowane na zachód od obecnego, tuż przy trakcie prowadzącym z Radziejewa, na łuku ul. Radziejewskiej, w pobliżu skrzyżowania z ul. Za Bocianami.

Gdy w 1829 roku Johann Alsen obejmował dobra, nie były już one dzierżawione ani



Fot. 4. Stary folwark w Szteklinie na mapie sporządzonej w latach 1796–1802. Źródło: Staatsbibliothek zu Berlin, „Karte von den Provinzen Litthauen, Ost und West Preussen und dem Netz Distrikte" sygn. Kart. N 1020-93, [Schöneck], 1800 (oprac. Yumepik)

nie stanowiły części klucza rokocińskiego. Nabycie nowego, niezależnego majątku mogło stanowić impuls do wzniesienia nowej siedziby i reorganizacji podwórza folwarcznego. Być może dylemat – czy był to polski dwór szlachecki, czy niemiecka siedziba ziemiańska? – udałoby się rozstrzygnąć dzięki badaniom dendrochronologicznym najstarszych drewnianych elementów konstrukcyjnych obiektu. Pozwoliłyby one określić czas pozyskania drewna użytego do budowy, a tym samym ustalić, czy dworek powstał przed, czy po 1829 roku.

Alsen rozpoczął spłatę zadłużenia zakupionego Szteklina. Zmarł jednak już w 1831 roku, a gospodarowanie majątkiem przejęła po nim wdowa, Christine Friederike z d. Sippold. Dwa lata później majątek sztekliński został zakwalifikowany przez władze pruskie do tzw. dóbr rycerskich (niem. Rittergut), co dawało jego posiadaczom pewne przywileje podatkowe.

Istotna zmiana nastąpiła w 1850 roku. Wieś Szteklin nabył wówczas za 28.000 talarów Carl Theodor Sigismund Rehefeld (1800–1869) wraz z żoną Auguste z d. Naebershaus (1811–1856). Po jego śmierci, w 1873, doszło do podziału liczącego blisko 715 ha majątku na dwa ośrodki. Pierwszy stanowiły dobra rycerskie (Stecklin I) z modrzewiowym dworkiem, tworzące obszar dworski o powierzchni ok. 573 ha, z którym wiązało się wyłączne prawo do polowań. Pozostałe ok. 142 ha gruntów stały się zalążkiem późniejszego Stecklin II (Szteklinka), z siedzibą przy rozwidleniu dróg koło Płaczewa (ob. Szteklin nr 1).

Zespół folwarczno-dworski odziedziczyli po zmarłym ojcu syn Oswald Nathanael Sigismund (1849–1897) i córka Minna Louise Charlotte. Oswald posiadał stopień podporucznika i to on zarządzał gospodarstwem, aż w 1884 roku przejął je na wyłączną własność. W 1874 otrzymał nominację na urzędnika stanu cywilnego dla wójtostwa Sumin, a sześć lat później został zastępcą wójta. Prawdopodobnie z jego inicjatywy wykonano ozdobną żeliwną balustradę przy głównym wejściu do dworu, a do południowej ściany budynku dostawiono ceglaną dobudówkę z ustępami. Wzniesiono także nowy murowany spichlerz oraz przebudowano oborę w północnej części podwórza.

Zadłużone dobra rycerskie trafiły w 1896 roku na licytację sądową. Blisko



Fot. 5. Dworek modrzewiowy w latach 30. XX w. – ujęcie od strony południowo-zachodniej (archiwum prywatne Adama Węsierskiego, koloryzacja Yumepik)

150,5 ha gruntów nabyła spółdzielnia melioracyjna w Bietau. Zespół dworsko-folwarczny o łącznej powierzchni 422,5 ha kupił szczeciński bank hipoteczny, który na przełomie wieków rozpoczął parcelację, tworząc kilka nowych gospodarstw oraz przeznaczając 5.000 marek na fundusz budowy szkoły. Główna posiadłość z dworkiem modrzewiowym i areałem ok. 221,12 ha została sprzedana w 1897 roku Teofilowi Bieleckiemu (1865–1951) z Bobowa, który przeprowadził nowe inwestycje w dworku, dostawiając m.in. prowizoryczny ganek przy głównym wejściu. W 1902 wybudował nowy gmach szkolny na terenie obecnej posesji przy ul. Zielonogórskiej 13 (dziś ośrodek wczasowy). Sporych rozmiarów majątek w rękach polskiego ziemianina nie uszedł uwadze pruskiej komisji kolonizacyjnej, która w tym samym roku ogłosiła zamiar jego wykupu. Nie doszło jednak do tego, gdyż Bielecki na własną rękę rozpoczął parcelację części swych dóbr, w wyniku czego do 1911 roku areał związany z dworkiem zmalał do ok. 30,55 ha.

Kolejnymi właścicielami resztówki z dworkiem byli: Jan i Anastazja Krefft (1913), Juliusz Ossowski ze Śliwic i jego żona Konstancja z d. Rytlewska (1918) oraz Johannes i Bertha Rose (1927). W międzyczasie doszło do likwidacji obszaru dworskiego i przejęcia budynku szkolnego przez nowo utworzoną gminę wiejską Szteklin, gdyż subwencje skończyły się wraz z końcem zaboru pruskiego, a posiadacz resztówki nie był w stanie sprostać kosztom utrzymania szkoły.

W 1935 roku posiadłość nabyli Józef Michałowski i jego żona Helena z d. Palacz. Po wybuchu wojny Michałowscy wraz z córkami, Krystyną Antonią i Marią, zostali wysiedleni przez miejscowego rolnika i folksdojcza Bertholda Friedmanna – komisarycznego sołtysa Szteklina, który jednak nie później niż latem 1940 roku został usunięty z dworku. Na stanowisku kierownika gospodarstwa (niem. Betriebsleiter) zastąpił go rolnik z Borzechowa Hermann



Fot. 6. Rodzina Michałowskich na tle dawnej werandy dworku, przed 1939 (archiwum prywatne Adama Węsierskiego, oprac. Yumepik)



Fot. 7. Widok dworku po remoncie kapitalnym – ściana wschodnia, czerwiec 1993 (archiwum prywatne Piotra Kowalskiego)

Ziemer (1883–1956) wraz z żoną Selmą z d. Meyer (1887–1953). Ich córka Luise, po mężu Witte, pełniła w czasie II wojny światowej funkcję przedstawiciela wsi Szteklin (niem. *Ortsvertrauensmann*).

W 1944 roku formalnie dwór wraz z resztówką przejęła III Rzesza. Helena Michałowska decyzją sądu odzyskała w 1945 majątek, a 11 lat później nabyła przez zasiedzenie także udział zmarłego męża. Po jej śmierci w 1959 roku spadek otrzymała córka Krystyna, która wraz z mężem, Konradem Węsierskim, pomagała wcześniej matce w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Czasy były trudne z uwagi na antykułacką propagandę i przymusową kolektywizację. Nie mając środków na remont, Krystyna Węsierska przekazała w 1974 roku gospodarstwo Skarbowi Państwa w zamian za rentę. Rok później zarówno dwór, jak i spichlerz, oborę/stajnię oraz stodołę wpisano do rejestru zabytków, lecz z różnych względów,



Fot. 8. Ganek kolumnowy przed głównym wejściem do modrzewiowego dworku, ok. 1993 (archiwum prywatne rodziny Listewnik, oprac. Yumepik)



Fot. 9. Masywna arkada przy południowej ścianie dworku, czerwiec 1993 (archiwum prywatne Piotra Kowalskiego)

m.in. z powodu rabunkowej gospodarki, nie doszło do ich przejęcia przez gdański Ośrodek Ochrony Dóbr Kultury.

Gmina postanowiła wyodrębnić z majątku zabytkowe obiekty oraz przyległe grunty o łącznej powierzchni 2,32 ha. W 1981 roku sprzedano je Tomaszowi Padlewskiemu i jego żonie, którzy wyemigrowali do Kanady. W tym samym roku wichura zniszczyła stodołę. Nieruchomościami zaopiekowali się rodzice właściciela – Włodzimierz i Janina Padlewscy. Ojciec, profesor ASP w Gdańsku, postarał się o dotację i przeprowadził generalny remont dworku, ratując go przed ruiną. Jedną z ważniejszych zmian było zastąpienie lekkiej konstrukcji ganku portykiem kolumnowym oraz budowa tarasu z masywną arkadą od strony południowej.

W 1994 roku zespół dworsko-parkowy, powiększony do areału 5,66 ha, nabył Albin Ossowski (1922–2018), dawny żołnierz AK i londyński przedsiębiorca. Za jego czasów pobielone drewniane elewacje dworu otrzymały obecną biało-brązową kolorystykę. Spadkobiercy Albina sprzedali w 2022 roku posiadłość obecnym właścicielom, Krzysztofowi i Ewie Szeferom z Lubichowa. Zespół zabytkowy służy dziś celom turystyczno-wypoczynkowym. Jest także miejscem spotkań rodzinnych i biznesowych, warsztatów oraz imprez okolicznościowych. Trwa kolejny etap rewitalizacji dworku.

Źródła

K. Plata-Nalborski, *Dworek modrzewiowy w Szteklinie – badania historyczne*, 2024, Zasoby Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Gdańsku, s. 8–31.

Archiwum Państwowe w Gdańsku, Powiatowe Biuro Geodezji i Urządzeń Rolnych w Starogardzie Gdańskim, sygn. 1868/430, Kreis Preussisch Stargard, Gemarkung Stecklin [Szteklin] nr 129, Gemarkungskarte in 6 Blättern, 1892–1911.

R. Pernak, *Zespół dworski z zabudowaniami i ogrodem*, b.m., 2006, Narodowy Instytut Dziedzictwa, karta biała nr 2117, b.p., https://zabytek.pl/pl/obiekty/g-227658/dokumenty/PL.1.9.ZIPOZ.NID_N_22_EN.373379. ■

ADAM MURAWSKI

ROKOCIŃSKI SZLAK KAPLICZEK PRZYDROŻNYCH

Rokocin to niewielka kociewska wieś położona nieopodal Starogardu Gdańskiego. Jej charakterystycznym zabytkiem jest neoklasycystyczny pałac, wzniesiony w pierwszej połowie XIX wieku. Budowla składa się z trzech brył o zróżnicowanej wysokości i liczbie kondygnacji. W elewacjach zachowały się klasycystyczne detale architektoniczne, m.in. dekoracyjne gzymsy, zdwojone kolumny i ozdobne pilastry, natomiast w dawnym salonie przetrwała stiukowa dekoracja sufitu. Rezydencję otacza zabytkowy park z cennym starodrzewem liściastym. W 1988 roku cały zespół dworsko-pałacowy wraz z parkiem został wpisany do rejestru zabytków.

Po II wojnie światowej obiekt zyskał nową funkcję. W 1946 roku utworzono w nim Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dorosłych, którego pierwszą dyrektorką była Maria Aszyk (do 1970). W wyniku zmian organizacyjnych w 1970 roku placówkę przekształcono w Dom Pomocy Społecznej dla osób z niepełnosprawnością intelektualną. W latach 1970–1990 kierował nim Marian Wittstock, a w latach 1991–2020 Irena Macińska. Od 2020 roku funkcję dyrektorki pełni Berenika Gliniecka. Obecnie z opieki medycznej i rehabilitacyjnej korzysta tu blisko 90 mężczyzn.

Jednym z pracowników placówki jest Tomasz Bednarczyk ze Starogardu Gdańskiego – ceniony kociewski rzeźbiarz i terapeuta zajęciowy. W DPS w Rokocinie prowadzi pracownię rzeźbiarską, w której w ramach terapii zajęciowej rozwija artystyczne zainteresowania swoich podopiecznych i zachęca ich do twórczej aktywności.

W 2023 roku z inicjatywy Tomasza Bednarczyka zrodziła się idea utworzenia na terenie zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego Rokocińskiego Szlaku Kapliczek Przydrożnych. Przedsięwzięcie powstało z myślą o pielęgnowaniu tradycji rzeźby ludowej oraz dawnego zwyczaju wznoszenia kapliczek przydrożnych, określanych tradycyjnie mianem Bożych Mąk.

W realizację tego pomysłu zaangażowali się również Berenika Gliniecka, dyrektorka DPS w Rokocinie, oraz Marek Pawelec, rzeźbiarz ze Zblewa. Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych został uroczyście otwarty 25 października 2023 roku na terenie zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego Domu Pomocy Społecznej w Rokocinie. W marcu 2026 roku Tomasz Bednarczyk został uhonorowany Kociewskim Gryfem za 2025 rok w dziedzinie kultury – wyróżnieniem przyznawanym przez Starostę Starogardzkiego.

Pierwsze trzy kapliczki Rokocińskiego Szlaku Kapliczek Przydrożnych ustawiono w parku w 2023 roku. Powstały one przy wsparciu Nadleśnictwa Kaliska oraz kociewskich rzeźbiarzy i ich rodzin, w szczególności rodziny Leszka Baczkowskiego.

Autorem pierwszej kapliczki, zatytułowanej „W objęciach Matki", jest Tomasz Bednarczyk. Rzeźba przedstawia zdjętego z krzyża Jezusa spoczywającego w ramionach Maryi i nawiązuje do watykańskiej „Piety" Michała Anioła. Symbolika dzieła,



Kapliczki Tomasza Bednarczyka: „W objęciach Matki" oraz „Święta Rodzina" (fot. Adam Murawski)

związana z miłością, współczuciem i oddaniem drugiemu człowiekowi, koresponduje z charakterem pracy personelu Domu Pomocy Społecznej w Rokocinie. Drugą kapliczkę wykonał nieżyjący już Leszek Baczkowski (1959–2023). Umieszczona w niej rzeźba przedstawia św. Ambrożego, patrona pszczelarzy. Autorem trzeciej kapliczki, zatytułowanej „Serce Jezusa", jest Marek Pawelec, rzeźbiarz ze Zblewa. Znaczący wkład w wykonanie kapliczek miał również Zdzisław Tichonow, mieszkaniec DPS w Rokocinie. Kapliczki poświęcił ks. Ryszard Wiśniewski, proboszcz parafii NMP Matki Kościoła w Starogardzie Gdańskim.

W 2024 roku Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych wzbogacił się o pięć kolejnych kapliczek. Ich powstanie było możliwe dzięki wsparciu Banku Spółdzielczego w Starogardzie Gdańskim, Stowarzyszenia Pomocy Społecznej „Rokicińskie Anioły" oraz rodzin zmarłych rzeźbiarzy. Uroczyste odsłonięcie nowych obiektów odbyło się 22 października 2024 roku. Kapliczki, podobnie jak rok wcześniej, poświęcił ks. Ryszard Wiśniewski.

Autorem pierwszej z nich, zatytułowanej „Święta Rodzina", jest Tomasz Bednarczyk. Praca przedstawia scenę narodzenia Jezusa. Wykonane do kapliczki figury zostały wcześniej nagrodzone w ogólnopolskim konkursie na najciekawszą szopkę bożonarodzeniową, organizowanym przez OPP w Starogardzie Gdańskim. Powstały z drewna lipowego i zostały pomalowane farbami akrylowymi w stylistyce ludowej. Tomasz Bednarczyk jest również autorem drugiej kapliczki, poświęconej św. Tomaszowi Apostołowi. W trzeciej umieszczono figurę św. Jakuba autorstwa nieżyjącego już Jerzego Kamińskiego (1947–2016), rzeźbiarza z Barłożna. Rzeźbę przekazała Maria Kamińska



Kapliczka „Św. Huberta" autorstwa Marka Zagórskiego, rzeźbiarza z Rokocina. Obok od lewej: Tomasz Bednarczyk i Ignacy Stawicki przy kapliczce „Św. Jakuba", wykonanej przez Jerzego Kamińskiego z Barłożna (fot. Adam Murawski)

z d. Murawska, wdowa po artyście. Wykonaną z drewna lipowego figurę zabezpieczono bezbarwnym preparatem ochronnym oraz olejem. Kapliczka ma formę słupową, a skrzynkę, w której umieszczono rzeźbę, bezinteresownie wykonał Marek Pawelec. Do czwartej kapliczki trafiła figura „Świątka Kociewskiego" autorstwa nieżyjącego już Edmunda Zielińskiego (1940–2022), honorowego prezesa Gdańskiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Artysta urodził się w Białachowie koło Zblewa, a choć w późniejszych latach mieszkał w Gdańsku, przez całe życie pozostawał związany z Kociewiem i propagował jego sztukę ludową. Uchwałą Rady Gminy Zblewo nadano mu tytuł Honorowego Obywatela Gminy Zblewo. Figurę z rodzinnej kolekcji przekazał jego syn, Wojciech Zieliński. Autorem piątej kapliczki, zatytułowanej „Matka Boża Niepokalana", jest Marek Pawelec. Znaczący wkład w wykonanie wszystkich pięciu obiektów miał również Zdzisław Tichonow, mieszkaniec DPS w Rokocinie. Ceglane i betonowe postumenty przygotowali Zbigniew Szwarcbard i Tomasz Ratajko, konserwatorzy-czeladnicy zatrudnieni w DPS w Rokocinie. Anna Mierzejewska-Otta wykonała natomiast akwarelę, która posłużyła jako wzór graficzny podziękowań przygotowanych dla twórców ludowych i ich rodzin.

W 2025 roku Rokociński Szlak wzbogacił się o cztery kolejne obiekty. Ich uroczyste odsłonięcie odbyło się 6 listopada 2025 roku. Nowe kapliczki poświęcił ks. Marcin Sikorski, wikariusz parafii NMP Matki Kościoła w Starogardzie Gdańskim.

Autorem pierwszego obiektu jest Marek Pawelec, który wykonał przydrożny krucyfiks. Ustawiono go na terenie dawnego cmentarza rodowego rodziny Grąbczewskich, założonego w XIX wieku w obrębie rokocińskiego parku. Dwie kolejne kapliczki są dziełem Marka Zagórskiego, rzeźbiarza z Rokocina. Przedstawiają „Świętą Rodzinę" oraz „Świętego Huberta". W czwartej kapliczce umieszczono figurę „Mojżesza" autorstwa nieżyjącego już Jerzego Kamińskiego (1947–2016), rzeźbiarza z Barłożna. Rzeźbę przekazała Maria Kamińska z d. Murawska, wdowa po artyście, natomiast jej obudowę wykonał Marek Pawelec.

Otwarcie 3. edycji Rokocińskiego Szlaku Kapliczek Przydrożnych zgromadziło wielu gości. Wśród nich była m.in. Maria Kamińska. Obecni byli również artyści ludowi: Ma-





Marek Pawelec, twórca ludowy ze Zblewa, wraz z żoną Bożeną przy wykonanym przez siebie krzyżu „Chrystus Ukrzyżowany". Obok kapliczka „św. Tomasza Apostoła" autorstwa Tomasza Bednarczyka oraz „Świątek Kociewski" Edmunda Zielińskiego (fot. Adam Murawski)

rek Pawelec ze Zblewa wraz z żoną Bożeną oraz Marek Zagórski z Rokocina. Starostwo Powiatowe w Starogardzie Gdańskim reprezentowali starosta Wioleta Strzemkowska -Konkolewska, wicestarosta Witold Sykutera oraz Lucyna Herold, etatowy członek Zarządu Powiatu. Na uroczystość przybyli także Mariusz Brodnicki, dyrektor Muzeum Ziemi Kociewskiej, oraz Ignacy Stawicki z Tczewa, wicemistrz Bractwa Świętego Huberta w Śliwicach. W gronie gości znalazłem się również ja – regionalista i uczestnik licznych konkursów fotograficznych i faktograficznych poświęconych kapliczkom przydrożnym. W swoich zbiorach zgromadziłem około 500 własnych fotografii, opatrzonych opisami, dokumentujących kapliczki, krzyże i figury przydrożne Kociewia. Obecni byli ponadto ks. Marcin Sikorski, Berenika Gliniecka, dyrektorka Domu Pomocy Społecznej w Rokocinie, Zdzisław Tichonow, mieszkaniec placówki, oraz inni zaproszeni goście.

Goście przeszli cały Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych przy pięknej, słonecznej pogodzie. Złota polska jesień podkreślała urok parku i nowych kapliczek. To wyjątkowe miejsce łączy chrześcijańską tradycję, kociewską sztukę ludową, piękno przyrody oraz historię dawnego zespołu dworsko-pałacowego.

Ideę Tomasza Bednarczyka można uznać za odpowiedź na ogólnopolski apel wystosowany w 1999 roku przez śp. Edmunda Zielińskiego, który zachęcał rzeźbiarzy do wykonania 2000 figur przeznaczonych do przydrożnych kapliczek z okazji jubileuszu 2000-lecia chrześcijaństwa. Apel ten nie stracił na aktualności – do dziś twórcy wykonują figury i krzyże, które trafiają do kapliczek wznoszonych przy drogach oraz w miejscach o znaczeniu historycznym.

Przemierzając Kociewie z aparatem fotograficznym, szczególnie cenię kapliczki, w których znajdują się oryginalne figury wykonane przez twórców ludowych, a nie seryjne odlewy. Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych jest więc swoistym żywym pomnikiem kociewskich rzeźbiarzy – zarówno tych, którzy już odeszli, jak i tych, którzy nadal tworzą.

Ze względu na roczny cykl wydawniczy „Kociewskiego Magazynu" już dziś mogę zdradzić, że w listopadzie 2026 roku odbędzie się 4. edycja Rokocińskiego Szlaku



Stoją od prawej: Tomasz Bednarczyk – inicjator Rokocińskiego Szlaku Kapliczek; Berenika Gliniecka – dyrektorka Domu Pomocy Społecznej w Rokocinie; ks. Marcin Sikorski; Wioleta Strzemkowska-Konkolewska – starosta starogardzki; Witold Sykutera – wicestarosta; Adam Murawski z Tczewa oraz rzeźbiarz Marek Pawelec z żoną Bożeną (fot. Magdalena Kamińska)

Kapliczek Przydrożnych, podczas której ustawione zostaną kolejne kapliczki. Zbiegnie się ona z 80-leciem utworzenia w Rokocinie Państwowego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych.

Według uzyskanych przeze mnie informacji znajdą się wśród nich: kapliczka z rzeźbą „Świętego Franciszka" autorstwa Tomasza Bednarczyka, kapliczka z polichromowaną rzeźbą „Błogosławionej Siostry Marty Wieckiej" autorstwa Marka Pawelca, kapliczka z rzeźbą „Świętego Rocha" autorstwa Romana Samorowskiego, rzeźbiarza z Wycinek, oraz kapliczka z „Jezusem Ukrzyżowanym" autorstwa Szymona Wojaka ze Starogardu Gdańskiego. Szlak wzbogacą również kapliczki z płaskorzeźbami „Świętej Rodziny" Reginy Matuszewskiej (1929–2022) z Czarnegolasu oraz „Chrystusa Cierpiącego" Jerzego Kamińskiego (1947–2016) z Barłożna.

Obudowy do obu płaskorzeźb – w formie skrzynek i słupów, do których zostaną przymocowane – wykonał niezawodny Marek Pawelec. W rozmowie ze mną podkreślił, że podjął się tego z wielką przyjemnością, ponieważ osobiście znał zarówno Reginę Matuszewską z Czarnegolasu, jak i Jerzego Kamińskiego z Barłożna. W jego opinii oboje należą do grona najwybitniejszych twórców ludowych Kociewia.

Zapewne Tomasz Bednarczyk jeszcze niejednokrotnie nas zaskoczy, a Rokociński Szlak Kapliczek Przydrożnych będzie wzbogacał się o kolejne niewielkie dzieła architektury sakralnej. W planach jest m.in. utworzenie w parku drugiej ścieżki – pętli kapliczek poświęconej twórcom ludowym spoza Kociewia. Swoje prace mogliby tam prezentować rzeźbiarze z Borów Tucholskich, Kaszub, Powiśla i innych regionów Pomorza Gdańskiego.

Czytelników „Kociewskiego Magazynu Regionalnego" serdecznie zachęcam do przyjazdu do tej niewielkiej kociewskiej wsi, zwiedzenia Rokocińskiego Szlaku Kapliczek Przydrożnych oraz spaceru po zabytkowym parku otaczającym neoklasycystyczny pałac. Warto zatrzymać się przy kolejnych kapliczkach, poznać ich twórców, a przy okazji odkryć mniej znany, lecz niezwykle ciekawy zakątek Kociewia. ■

ALICJA SŁYSZEWSKA-SZYBOWSKA*

750. ROCZNICA PRZYBYCIA CYSTERSÓW DO PELPLINA

W roku 2026 przypada 750. rocznica przybycia szarych mnichów do Pelplina. Warto zatem przypomnieć, co skłoniło członków zakonu cystersów do wyboru właśnie tego miejsca na budowę klasztoru, zwanego pierwotnie „Nowym Doberanem". Jakie były początki funkcjonowania pelplińskiego konwentu cysterskiego oraz jaką rolę szarzy mnisi odegrali w rozwoju szeroko pojętej kultury Kociewia i Pomorza?

Powstanie i rozwój zakonu cystersów

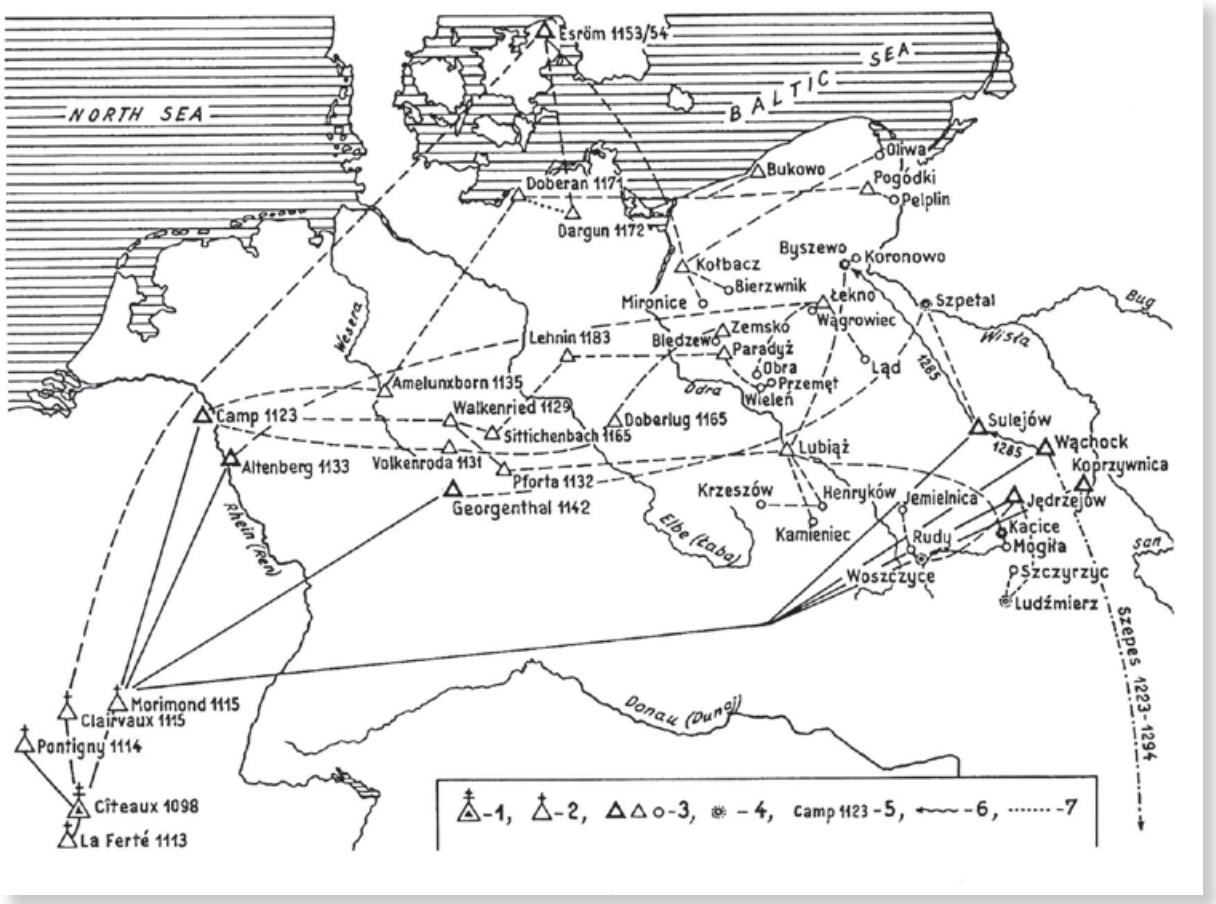
Zakon cysterski (łac. *Ordo Cisterciensis*) powstał w XI wieku we Francji w wyniku reformy mnichów benedyktyńskich. Pierwszym ośrodkiem nowej wspólnoty było Cîteaux (pramacierz), założone w 1098 r. z inicjatywy Roberta z Molesme, pierwszego opata klasztoru i jednego z twórców reformy, z której wyłonił się zakon cysterski. Jego czterema pierwszymi filiami, założonymi w XII wieku, były La Ferté, Pontigny, Clairvaux i Morimond (protoopactwa), które stały się ośrodkami czterech głównych linii filiacyjnych zakonu, obejmujących z czasem klasztory w całej średniowiecznej Europie. Szybkie rozprzestrzenianie się wpływów cysterskich nastąpiło na początku lat dwudziestych XII wieku. W ciągu 50 lat na terenie Europy powstały 343 klasztory. Był to okres działalności papieża Eugeniusza III (cystersa) i Bernarda z Clairvaux (głównego duchowego twórcy zakonu cysterskiego). Spowolnienie tego procesu nastąpiło wraz z rozszerzaniem się wpływów zakonu na Europę Północną i Środkową, obszary zamieszkane przez Słowian połabskich oraz ziemie polskie. Do końca XV wieku na terenie Europy powstało około 730 opactw.



Założyciele cysterskiego opactwa w Cîteaux: Robert z Molesme – pierwszy opat i inicjator nowej wspólnoty; Alberyk – drugi opat, który umocnił jej podstawy; Stefan Harding – trzeci opat, główny twórca „Carta Caritatis", dokumentu określającego zasady organizacji i funkcjonowania zakonu cysterskiego

Reforma mnichów benedyktyńskich wynikała z dążenia do właściwego odczytania Reguły św. Benedykta i powrotu do pierwotnego ideału monastycznego. Podstawowe

* Autorka w latach 2001–2022 przewodniczyła Komitetowi Organizacyjnemu Jarmarku Cysterskiego w Pelplinie. Od 2012 r. jest prezeską Stowarzyszenia Szlaki Kulturowe.



Ryc. Powiązania filiacyjne polskich klasztorów cysterskich linii męskiej, oprac. A.M. Wyrwa, rys. L. Fijał. 1 – pramacierz, 2 – protoopactwa, 3 – klasztory cysterskie – filie I, II, III i dalszego stopnia, 4 – klasztory istniejące okresowo (translokowane), 5 – daty fundacji, 6 – przeniesienia konwentu, 7 – inne zależności filiacyjne. Źródło: A.M. Wyrwa, „Podróże Cystersów oraz idea, organizacja i promocja Szlaku Cysterskiego w Polsce", „Studia Periegetica" 2008, nr 2, s. 97

zasady życia cysterskiego zostały wyłożone w *Exordium Parvum* i *Charta Caritatis* oraz w pismach Bernarda z Clairvaux, a następnie konkretyzowane w statutach kapituł generalnych zakonu.



Bernard z Clairvaux – główny duchowy współtwórca zakonu cysterskiego, uznawany za jego „drugiego założyciela". To przede wszystkim dzięki jego działalności niewielka wspólnota cysterska, przeżywająca początkowo trudności, przekształciła się w jeden z najważniejszych zakonów średniowiecznej Europy; fragm. obrazu: Filippino Lippi, „Apparition of The Virgin to St. Bernard", 1486, Badia Fiorentina, Florencja

Szarzy mnisi w Polsce

Zakonnicy cysterscy, zwani szarymi mnichami (ich pierwotne habity były tego koloru), przybyli do Polski w latach czterdziestych XII wieku, czyli w okresie największej świetności zakonu. Polskie klasztory męskie należały do rodzin wywodzących się z pramacierzy Clairvaux i Morimond, których filiami były pierwsze opactwa cysterskie w wielkopolskim Łeknie i małopolskim Jędrzejowie. Do końca XIII wieku założono łącznie 26 klasztorów męskich, rozmieszczonych we wszystkich historycznych dzielnicach Polski, w tym sześć na Pomorzu: w Kołbaczu, Oliwie, Bierzwniku, Mironi-



Bazylika katedralna Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Pelplinie, ok. 1908 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

cach, Bukowie Morskim i Pelplinie. Klasztor w Oliwie pochodzi z linii filiacyjnej Clairvaux, natomiast Pelplin należy do rodziny wywodzącej się z protoopactwa Morimond.

Cystersi w Pelplinie

Pierwotnie, od 1258 roku, mnisi pochodzący z cysterskiego klasztoru w Dargun (Meklemburgia) zamieszkiwali Pogódki, położone nad górnym biegiem Wierzycy, w pobliżu wczesnośredniowiecznego grodziska. Fundatorem tego założenia był książę tczewski Sambor II wraz z żoną i córkami. Dopiero na mocy nadania księcia Mściwoja II z 1274 r. doszło około 1276 r. do translokacji konwentu z Pogódek do Pelplina, w celu założenia jego właściwej siedziby. „Nowy Doberan", jak pierwotnie zwano pelpliński klasztor (gdyż zasadnicza grupa cystersów przybyła z meklemburskiego Doberanu), usytuowano na lewym brzegu dolnej Wierzycy, w niewielkiej dolinie, około 50 km od Gdańska i 12 km od Starogardu Gdańskiego. Ziemie w tym miejscu były bardzo żyzne, co miało duże znaczenie dla cystersów, których działalność obejmowała również gospodarcze zagospodarowanie dóbr klasztornych.

Szarzy mnisi zastali zapewne w Pelplinie zabudowania, w których mogli tymczasowo zamieszkać, przechowywać święte księgi oraz sprawować liturgię, lecz niezwłocznie zabrali się do budowy założenia klasztornego, którego pierwszą budowlą było oratorium. Jeszcze w XIII w. rozpoczęli budowę kompleksu świątynno-klasztornego. Prace trwały aż do XVI wieku. Świątynia powstawała prawie przez 250 lat. Znajdują się w niej 23 ołtarze, w tym ołtarz główny, uchodzący za najwyższy w Europie, w którym znajdują się obrazy Hermana Hahna, m.in. wykonane w duchu Soboru Trydenckiego „Wizja św. Bernarda" i „Koronacja Najświętszej Marii Panny". Niezwykle cenne są również pelplińskie stalle z bogactwem programów ikonograficznych, a także wspaniałe barokowe organy i ambona.

Od południa dobudowano do świątyni klasztor ze skrzydłami skupionymi wokół prostokątnego wirydarza, otoczonego

krużgankami. Poza murami klasztornymi na początku XIV w. wzniesiono „kaplicę przed bramą", przeznaczoną dla konwersów i ludności świeckiej (dziś kościół filialny Bożego Ciała). W XIV w. powstały też zabudowania gospodarcze, bowiem opactwo pelplińskie rozwijało się dzięki kolejnym nadaniom ziemskim pochodzącym od książąt oraz królów polskich.

Wskutek najazdu husytów w 1433 r., podczas wojny trzynastoletniej (1454–1466), a następnie w XVII w., w czasie wojen polsko-szwedzkich, opactwo zostało spustoszone. Po tych zniszczeniach nastąpił jednak jego intensywny rozwój, głównie dzięki licznym fundacjom.

W 1823 r. król pruski Fryderyk Wilhelm III wydał dekret o kasacie opactwa. W 1824 r. do Pelplina została przeniesiona stolica diecezji chełmińskiej, założonej w 1243 r. (od 1992 r. noszącej nazwę diecezji pelplińskiej). Dotychczasowa bazylika klasztorna zaczęła pełnić funkcję katedry. W pozostałych budynkach dawnego opactwa kontynuowano tradycję monastyczną. W 1829 r. przeniesiono z Chełmna seminarium duchowne, a w 1836 r. utworzono szkołę katedralną i śpiewaczą (od 1860 r. Collegium Marianum), która podjęła cysterskie tradycje muzyczne. Rozwój tych placówek spowodował konieczność przebudowy klasztoru.

Przeniesienie stolicy diecezjalnej do Pelplina stało się impulsem do dynamicznego rozwoju wsi, która w 1936 r. otrzymała prawa miejskie. Pelplin stał się znaczącym ośrodkiem intelektualnym.

Gospodarze kociewskiej ziemi

Istotę funkcjonowania poszczególnych opactw cysterskich stanowiła niezależność gospodarcza i pełne zaspokajanie potrzeb społeczności klasztornej. Tak było również w przypadku opactwa pelplińskiego. W epoce średniowiecza i w okresie nowożytnym podstawę ekonomiczną opactw stanowiła szeroko rozumiana gospodarka rolna, prowadzona przede wszystkim przez konwersów: uprawa ziemi, hodowla zwierząt, gospodarka rybna oraz przetwórstwo rolne. W razie braku własnej siły roboczej korzystano także z pracy najemnej. Dodatkowych dochodów dostarczały produkcja rzemieślnicza i rękodzielnicza, handel oraz dziesięciny.

Cystersi przekazywali swoją wiedzę i doświadczenie mieszkańcom ziem pomorskich, przyczyniając się tym samym do rozwoju gospodarczego regionu. Wspomnieć należy choćby o wprowadzeniu przez nich trójpolówki, zakładaniu sadów z jabłoniami odmiany „szara reneta" oraz stawów hodowlanych z karpiami.

Jak funkcjonował klasztor w Pelplinie?

Charyzmatem zakonu cystersów jest służba Bogu i człowiekowi przez modlitwę i pracę, co stanowi bezpośrednie odzwierciedlenie hasła „ora et labora" (módl się i pracuj). Temu też podporządkowane były układ dnia mnichów, sposób zarządzania klasztorem i prowadzenia gospodarki. Na czele klasztoru stał opat, którego bezpośrednio zastępował przeor, jego zaś – podprzeor. Czuwali oni nad prawidłowym rozwojem duchowym klasztoru i sprawowali nadzór nad pracami fizycznymi, a ponadto zwoływali mnichów na kapitułę. Ważną funkcję pełnił *cellerarius* – ekonom klasztorny, do którego zadań należała dbałość o gospodarkę opactwa i ekonomiczne utrzymanie konwentu. Istotne funkcje pełnili również mistrz nowicjatu, kantor – kierujący śpiewami liturgicznymi i opiekujący się biblioteką, *brusarius* – dbający o szaty zakonne, infirmeriarz (aptekarz) oraz furtian – witający gości w bramie klasztornej.

Cystersi przywiązywali dużą wagę do rozwoju intelektualnego. Świadczą o tym m.in. zachowane do dziś zabytki piśmiennictwa, choćby księga zmarłych, w której zapisywano dane zakonników i dobrodziejów z lat 1258–1402, a którą później przepisano

i uzupełniono do 1679 roku. Innym dziełem z tego kręgu piśmiennictwa jest *Nekrolog*[2] z przełomu XVII i XVIII w., autorstwa Szymona Bernarda Tadeusza Aechtsnitta.

Opactwo doczekało się także w XVI–XVII w. własnej kroniki, *Chronica Monasterii Sacri Ordinis Cisterciensis Pelplini*, ukazującej dzieje pelplińskiego konwentu w latach 1258–1688, autorstwa Georga Kletnera. Dzieło to nie jest jednolite, a niektóre jego fragmenty były pisane co najmniej przez czterech zakonników.



W zbiorach pelplińskich zachowało się ok. 2000 rękopisów, starodruków i inkunabułów, m.in. bogato iluminowany pergaminowy psałterz z początku XIV w., pergaminowy graduał z XIV w., dzieło Petrusa Lombardusa *Commentaria in epistole beati Pauli cum tekstu eiusdem* z XIII w., tabulatura pelplińska z XVI w. i bogato ilustrowane graduały. W chwili kasaty zakonu biblioteka mnichów cysterskich liczyła przypuszczalnie kilka tysięcy woluminów: rękopisów, inkunabułów i starodruków. Była zapewne jedną z największych książnic zakonnych na Pomorzu.

Najstarsze kodeksy opatrzone są notami własnościowymi: *Venerabilis monasteri in Doberan, Liber Sancte Marie perpetue in Doberan*. Najprawdopodobniej to one dotarły do Pelplina wraz z pierwszymi mnichami. Uzupełnieniem omawianych dzieł były dwa kopiariusze opactwa, do których wpisywano nadania czynione na rzecz Pelplina.

Niezależnie od uprawiania w klasztorach cystersów i cysterek różnego rodzaju piśmiennictwa społeczność klasztorna dbała o rozwój bibliotek zgodnie z nakazami wyłożonymi już w Regule św. Benedykta. Kult słowa pisanego był niejako wpisany w tradycję życia zakonnego, a konkretniej – życia monastycznego. W związku z tym klasztor dbał o właściwe przechowywanie woluminów zarówno w nim wytworzonych, jak i nabytych lub otrzymanych od możnych tego świata. Do opieki nad księgozbiorami w poszczególnych opactwach wyznaczano zakonników zwanych bibliotekarzami (bibliotecarius, librarius, armarius). Wielopokoleniowe gromadzenie ksiąg sprawiało, że księgozbiory liczyły wiele setek woluminów. Ich tematyka nie ograniczała się jedynie do dziejów opactw czy ksiąg liturgicznych, ale obejmowała także tematykę teologiczną, literaturę duszpasterską, a nawet literaturę świecką. Biblioteka pelplińskiego konwentu uchodziła za jedną z bogatszych w środowisku szarych mnichów na ziemiach polskich.

Kronika klasztorna, kopiariusze i inne liczne księgi opisujące dawne opactwo cysterskie przybliżają nam wydarzenia burzliwe, ciekawe i nadzwyczajne. Obok życia stałych mieszkańców klasztoru prezentują także królów, możnowładców i inne postaci znane z historii Polski i Europy. Ukazują związek ziemi pelplińskiej z wydarzeniami wpisującymi się w dzieje powszechne oraz obrazują wkład jej mieszkańców w rozwój kultury chrześcijańskiej naszego kontynentu. Dlatego też o bogactwie lokalnego dziedzictwa i sile turystyki kulturowej w Pelplinie stanowią nie tylko wspaniale zachowane obiekty gotyckie i ich wyposażenie, lecz także ludzie oraz ich działania oparte na wielowiekowym dziedzictwie pelplińskich szarych mnichów. ■

[1] Pełna nazwa dzieła: *Necrologium Provinciale seu Codex nomina continens Fratrum in Domino defunctorum pro Monasterio Pelplinensi Sacri Ordinis Cisterciensis.*

KS. WOJCIECH GLINIECKI

DUCHOWE DZIEDZICTWO TCZEWSKIEJ FARY

Tczewska fara Podwyższenia Krzyża Świętego to jeden z najstarszych zabytków Pomorza i ważny świadek dziejów miasta. Świątynia, górująca nad Tczewem, zachwyca architekturą i bogactwem artystycznego wystroju, a zarazem od stuleci pozostaje miejscem modlitwy i życia religijnego kolejnych pokoleń mieszkańców. Obrazy, rzeźby, freski i ołtarze świadczą o kunszcie artystów i rzemieślników, którzy na przestrzeni wieków współtworzyli jej wyjątkowy charakter. Dzieła te mają jednak nie tylko wartość artystyczną – współtworzą sakralny wymiar świątyni, kierując uwagę człowieka ku rzeczywistości transcendentnej, ku Bogu.

Nie znamy dokładnej daty konsekracji świątyni. Skromna baza źródłowa sprawia, że wiele szczegółów dotyczących najdawniejszych dziejów kościoła pozostaje niepewnych, a część ustaleń musi opierać się na hipotezach i pośrednich przesłankach. Do takich ustaleń należy m.in. wiązanie początków tczewskiej fary z okresem, na który niemieccy badacze datowali początki osady Trsow, czyli z latami 1198–1226. Można przyjąć, że wraz z rozwojem osady i kształtowaniem się lokalnej wspólnoty rosło również znaczenie życia religijnego. Kościół stawał się jednym z najważniejszych miejsc życia zbiorowego – religijnego, społecznego i kulturowego. W tym sensie tczewska fara jest nie tylko zabytkiem architektury, lecz także świadkiem historii miasta i Pomorza.

Jej wnętrze skrywa dzieła sztuki pochodzące z różnych epok i związane z wydarzeniami z przeszłości. Dla kolejnych pokoleń miały one znaczenie artystyczne i historyczne, ale przede wszystkim religijne. Świątynia pozostawała miejscem modlitwy, sprawowania liturgii oraz przeżywania i przekazywania wiary. Duchowe dziedzictwo fary tworzą więc nie tylko materialne świadectwa minionych stuleci, lecz także związane z nimi formy pobożności, pamięć religijna i wartości przekazywane kolejnym pokoleniom. Właśnie na ten wymiar tczewskiej świątyni warto zwrócić szczególną uwagę.

Jednym z podstawowych doświadczeń ludzkiej egzystencji jest cierpienie, które w różnych formach towarzyszy człowiekowi przez całe życie. Do tej prawdy odwołuje się obraz znajdujący się w ołtarzu głównym fary. Dzieło pochodzi z XVII wieku i wiązane jest ze szkołą flamandzko-niderlandzką. Jego autorstwo przypisywano artystom związanym z pracownią Petera Paula Rubensa. Obraz przedstawia Chrystusa umierającego na krzyżu. U jego stóp znajdują się Matka Boża, św. Maria Magdalena i św. Jan. Jasna postać Chrystusa silnie kontrastuje z ciemnością otaczającą scenę. Twarz Jezusa jest spokojna, niemal wyciszona, podczas gdy postacie zgromadzone pod krzyżem wyrażają smutek, ból i żal.

Ważną rolę w kompozycji odgrywa niemal całkowity brak rozbudowanego tła Widoczny jest jedynie niewielki fragment horyzontu, natomiast znaczną część przestrzeni wypełnia głęboka czerń. Zabieg ten skupia uwagę na postaciach i wzmacnia dramatyzm przedstawienia. Ciemność można zarazem odczytać symbolicznie jako odnie-



Wnętrze kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w Tczewie, ok. 1910 (na podst. pocztówki z zasobów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

sienie do doświadczenia lęku, bezsilności i cierpienia. Na jej tle szczególnie wyraźnie ukazana zostaje postać Chrystusa, którego spokój nadaje scenie wymiar wykraczający poza sam dramat śmierci. W perspektywie chrześcijańskiej Ukrzyżowany staje się tym, który nie usuwa cierpienia z ludzkiego życia, lecz pozostaje blisko człowieka i nadaje jego doświadczeniu nowy sens.

Także postacie znajdujące się pod krzyżem mogą być interpretowane symbolicznie. Maria Magdalena przywołuje doświadczenie ludzkiej słabości i nawrócenia, natomiast gest podniesionych rąk św. Jana może wyrażać zaufanie oraz zawierzenie Chrystusowi. W ten sposób scena Ukrzyżowania staje się nie tylko przedstawieniem wydarzenia biblijnego, lecz także obrazem różnych ludzkich postaw wobec cierpienia i wiary.

Szczególne znaczenie ma sposób ukazania Chrystusa. Mimo dramatu śmierci dominują w Jego postaci spokój i skupienie. Taki sposób przedstawienia kieruje uwagę ku teologicznemu znaczeniu męki. Śmierć Jezusa nie jest tutaj jedynie końcem ziemskiego życia, ale wypełnieniem Jego misji i woli Ojca. Obraz łączy więc dramat Ukrzyżowania z chrześcijańską nadzieją, wskazując, że cierpienie i śmierć nie stanowią ostatecznego kresu ludzkiego doświadczenia. Dzieło obecne przez pokolenia w przestrzeni liturgicznej fary kierowało uwagę wiernych ku tajemnicy męki Chrystusa i w ten sposób stał się częścią duchowego dziedzictwa miejscowej wspólnoty.

Kolejnym ważnym wymiarem życia religijnego mieszkańców Tczewa jest pobożność maryjna. Jej szczególnym świadectwem jest znajdująca się w tczewskiej farze Pieta – jedno z najcenniejszych dzieł średniowiecznej rzeźby sakralnej na Pomorzu. Powstała w pierwszej połowie XV wieku i przedstawia Maryję podtrzymującą martwe ciało Chrystusa.

Przez wiele lat rzeźba była przechowywana na parafialnej plebanii i nie wiadomo, z jakich powodów znalazła się poza świątynią. W 1939 r. proboszcz fary, ks. Aleksander



Tczewska Pieta – Mater Dolorosa z I poł. XV wieku (fot. Jan Skerka)

Kupczyński, miał wspominać: „myśmy ją znaleźli na strychu". Po odnalezieniu Pietę poddano konserwacji i ponownie umieszczono w farze – najpierw w kaplicy Matki Bożej Bolesnej, a następnie w kaplicy Świętych Niewiast.

Tczewska rzeźba zaliczana jest do grupy tzw. Pięknych Piet, wyróżniających się powściągliwym sposobem ukazania dramatu śmierci. Ciało Chrystusa spoczywa niemal poziomo na kolanach Maryi, dzięki czemu kompozycja zyskuje szczególną równowagę. Przedstawienie koncentruje uwagę na więzi łączącej Matkę z Synem, ale równocześnie odsyła do teologicznego znaczenia śmierci Chrystusa.

Mater Dolorosa ukazuje cierpienie Maryi i Jej obecność przy Chrystusie. Maryja trwa przy Synu w chwili Jego śmierci i z macierzyńskim bólem jednoczy się z Jego ofiarą składaną Ojcu. Pieta skupia uwagę na samotności Maryi w Jej bólu. Ukazuje zarazem Jej wierne trwanie przy Synu, dlatego może być odczytywana jako obraz współcierpienia i obecności przy drugim człowieku w chwili próby. Ten wymiar przedstawienia ma znaczenie uniwersalne. Towarzyszenie osobie cierpiącej nie zawsze oznacza możliwość usunięcia jej bólu. Niekiedy najważniejsze stają się obecność, dobre słowo, gest bliskości czy gotowość do dzielenia ciężaru trudnego doświadczenia. Pieta przypomina w ten sposób o wartości solidarności z człowiekiem znajdującym się w sytuacji kryzysu, choroby, straty czy osamotnienia.

Drugim istotnym motywem duchowym jest ofiarność rozumiana jako gotowość do przekraczania własnego egoizmu i otwarcia się na dobro drugiej osoby. W perspektywie chrześcijańskiej zarówno postać Chrystusa, jak i Maryi wskazują na postawę zawierzenia Bogu. Śmierć Jezusa odczytywana jest jako wypełnienie Jego misji, natomiast obecność Maryi przy Synu staje się znakiem wierności i zaufania również w doświadczeniu głębokiego cierpienia.

Tak rozumiana ofiarność nie oznacza rezygnacji z własnej wartości, lecz zdolność do odpowiedzialnego daru z siebie. Może urzeczywistniać się w życiu rodzinnym, społecznym, zawodowym i religijnym: w trosce o drugiego człowieka, wierności zobowiązaniom, przekazywaniu wartości oraz budowaniu trwałych więzi. Tczewska Pieta łączy zatem wysoką wartość artystyczną z przesłaniem duchowym. Jest równocześnie świadectwem pobożności maryjnej, która przez stulecia współtworzyła religijną tożsamość miejscowej wspólnoty.

W tczewskiej farze znajduje się również miejsce, które łączy wymiar religijny z pamięcią historyczną i patriotyczną. Jest nim dawna kaplica Trzech Króli, pełniąca obecnie funkcję kaplicy chrzcielnej. Znajduje się w niej m.in. jedna z najstarszych pamiątek związanych z dziejami świątyni – wykuta w granicie chrzcielnica – a także liczne tablice upamiętniające osoby i wydarzenia ważne dla historii Tczewa, Pomorza i Polski.

Wśród nich znajdują się tablice poświęcone m.in. Słudze Bożemu ks. Pawłowi Prabuckiemu, bł. kard. Stefanowi Wyszyńskiemu oraz św. Janowi Pawłowi II. Inne upamiętniają bohaterów II wojny światowej, ofiary zbrodni katyńskiej, a także postacie i wydarzenia, które zapisały się w pamięci lokalnej i narodowej.

Zgromadzone w kaplicy świadectwa przeszłości przypominają o doświadczeniach wcześniejszych pokoleń, ich poświęceniu, odpowiedzialności za wspólnotę oraz przywiązaniu do ojczyzny. W tym sensie miejsce to sprzyja nie tylko refleksji religijnej, lecz także kształtowaniu postawy patriotycznej rozumianej jako troska o dobro wspólne oraz szacunek dla historii, języka, kultury i dziedzictwa.

Patriotyzm należy do wartości obecnych w tradycji chrześcijańskiej. Wiąże się z odpowiedzialnością za wspólnotę, do której człowiek należy, gotowością do służby na jej rzecz oraz troską o zachowanie jej dziedzictwa. Pamięć o osobach i wydarzeniach upamiętnionych na tablicach w kaplicy chrzcielnej może zatem skłaniać do refleksji nad więzią z ojczyzną i odpowiedzialnością za przekazywanie jej dziedzictwa kolejnym pokoleniom. Kaplica staje się dzięki temu nie tylko miejscem pamięci, lecz także przestrzenią, w której pamięć historyczna zostaje włączona w szersze duchowe dziedzictwo fary.

Tczewska fara jest miejscem, w którym historia łączy się z duchowością. Przez stulecia była świadkiem wydarzeń zarówno radosnych, jak i trudnych, wpisujących się w dzieje miasta i jego mieszkańców. Niezależnie od zmieniających się okoliczności pozostawała przestrzenią modlitwy, refleksji i poszukiwania duchowego umocnienia.

Obecne w jej wnętrzu obrazy, rzeźby i inne dzieła sztuki mogą być odczytywane nie tylko jako świadectwa minionych epok i artystycznego kunsztu, lecz także jako nośniki treści religijnych i egzystencjalnych. Obraz Ukrzyżowania przypomina o cierpieniu i chrześcijańskiej nadziei, Pieta – o współcierpieniu, wierności i zawierzeniu, natomiast kaplica chrzcielna wraz z tablicami pamiątkowymi wskazuje na znaczenie pamięci, wspólnoty i odpowiedzialności za odziedziczone wartości.

Duchowe dziedzictwo tczewskiej fary tworzą zatem nie tylko zachowane w niej dzieła sztuki, lecz także wiara, pamięć i wartości przekazywane przez kolejne pokolenia. Ludzkie życie nie sprowadza się bowiem wyłącznie do wymiaru materialnego. Tworzą je również więzi z drugim człowiekiem, rodzina, wspólnota, ojczyzna, wyznawane wartości i relacja z Bogiem. Tczewska fara od ośmiu stuleci pozostaje miejscem, w którym te wymiary ludzkiego życia znajdują swoje szczególne odzwierciedlenie, a odziedziczone po poprzednich pokoleniach treści mogą być na nowo odczytywane i przekazywane następnym. ■

MAREK KORDOWSKI

BITWA POD GNIEWEM – 1626 ROK

W 1626 roku wojska szwedzkie, pod osobistym dowództwem króla Gustawa II Adolfa, wylądowały w Piławie. Był to początek nowego etapu wojny polsko-szwedzkiej – kampanii, która wkrótce przeniosła się na teren Prus Królewskich. W krótkim czasie Szwedzi zajęli szereg miast, między innymi Braniewo, Elbląg, Malbork i Tczew, a następnie zagrozili Gdańskowi. W ich ręce dostał się również Gniew. Opanowane miasta i pozostawione w nich garnizony stały się bazą do dalszych działań przeciwko Rzeczypospolitej. Tak rozpoczynał się pruski etap trzyletniego konfliktu, który przeszedł do historii jako „wojna o ujście Wisły".

Warto w tym miejscu zadać pytanie: co większość z nas zapamiętała z lekcji historii o tej wojnie? Zapewne przede wszystkim zwycięskie bitwy pod Oliwą i Trzcianą. Ich sława przesłoniła jednak inne, nie mniej istotne starcia – pod Gniewem, Hammerstein (Czarnem) i Tczewem. Dziś batalie te pozostają nieco w cieniu, choć każda z nich miała wpływ na przebieg wojny i sytuację obu walczących stron. Ich rezultaty, podobnie jak sytuacja militarna całej kampanii, oddziaływały również na prowadzone równolegle rokowania dyplomatyczne.

Trzeba przy tym pamiętać, że zmagania polsko-szwedzkie w Prusach nie rozgrywały się w politycznej próżni. Były ściśle związane z układem sił w Europie w czasie wojny trzydziestoletniej. Rzeczpospolita nie brała w niej bezpośredniego udziału, jednak szwedzki atak zmusił ją do obrony własnych interesów politycznych i gospodarczych. Jednym z najważniejszych była swoboda handlu wiślanego, którego kluczowym punktem pozostawało ujście Wisły i Gdańsk.

Aby zrozumieć sytuację, w jakiej znalazła się Rzeczpospolita u progu konfliktu ze Szwecją, trzeba cofnąć się o kilka lat. Pod koniec 1618 roku zawarto rozejm w Dywilinie, kończący kolejny etap zmagań z państwem moskiewskim. Rzeczpospolita odzyskała między innymi Smoleńszczyznę, Czernihowszczyznę i Siewierszczyznę, osiągając tym samym największy zasięg terytorialny w swoich dziejach. Na mapie wyglądała imponująco. Łatwo było więc uznać, że państwo znalazło się również u szczytu swojej potęgi.

Takie spojrzenie może być jednak mylące. Potęgi państwa nie powinno się mierzyć wyłącznie przebiegiem granic na mapie. Dobrym przykładem pozostaje samo Wielkie Księstwo Litewskie. Największy zasięg terytorialny osiągnęło jeszcze w pierwszej połowie XV wieku, na długo przed powstaniem Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Później zaczęło stopniowo tracić część ziem na wschodzie, a okresowe sukcesy nie zdołały trwale zahamować ekspansji Moskwy prowadzonej pod hasłem „zbierania ziem ruskich"[1].

Pierwsze dwie dekady XVII wieku upłynęły Rzeczypospolitej pod znakiem niemal nieustannych konfliktów. W pamięci najmocniej zapisały się miejsca wielkich sukcesów jej oręża: Kircholm, Kłuszyn czy Chocim. Takie zwycięstwa sprzyjały później

[1] K. Janicki, *Warcholstwo*, Poznań 2023, s. 268.



Król Szwecji Gustaw II Adolf (1594–1632), portret z 1624 (Wikipedia, domena publiczna)



Król Polski Zygmunt III Waza (1587–1632), portret z 1624 (Wikipedia, domena publiczna)

powstaniu mitu husarii, a szerzej polsko-litewskiej jazdy, jako niemal niezwyciężonej siły na polu bitwy.

Jeśli jednak wyjdziemy poza sam opis bitew, obraz staje się bardziej złożony. Spektakularne zwycięstwo taktyczne nie zawsze dawało równie spektakularny rezultat polityczny. Armie Rzeczypospolitej potrafiły rozbijać przeciwnika w polu, lecz znacznie trudniej było przekuć te sukcesy w trwałe zdobycze, korzystny pokój czy długofalową przewagę. I właśnie ta różnica między sukcesem na polu bitwy a wykorzystaniem go w skali całej wojny będzie miała duże znaczenie także podczas zmagań ze Szwecją w Prusach.

Instytucja pospolitego ruszenia dawała szlachcie doskonały pretekst, by ograniczać do minimum rozmiar stałej armii i utrudniać zwoływanie większych sił w razie napaści. Od przełomu XV i XVI wieku podstawę regularnego wojska Rzeczypospolitej stanowiła tzw. obrona potoczna. Służyła przede wszystkim do zabezpieczenia rubieży południowo-wschodnich przed czambułami tatarskimi. W II połowie XVI wieku zastąpiono ją wojskiem kwarcianym. Stałe wojska finansowano z kwarty, czyli z jednej czwartej dochodów płynących z posiadłości królewskich. W efekcie oddziały te liczyły około 3 tysięcy jazdy i tysiąca żołnierzy piechoty. Liczniejsze wojska powoływano doraźnie. Nie był to jednak proces szybki ani łatwy do przeprowadzenia. Kiedy następowała powszechna mobilizacja, łączna liczba zebranych wojsk mogła wynosić od dziesięciu do dwudziestu kilku, a w skrajnych przypadkach przeszło trzydzieści tysięcy żołnierzy.

Szlachta była zobowiązana do służby wojskowej. Na podstawie badań naukowych przyjmuje się, że co piąty albo co szósty szlachcic zdolny do noszenia broni miał za sobą jakąkolwiek służbę wojskową. Oznaczałoby to zaledwie 15–20% tej grupy, podczas gdy pozostali nie mieli z wojskiem bezpośredniej styczności, mimo że należeli do warstwy szczycącej się tradycją orężną i nieustanną gotowością do walki. Jeżeli podejmowali służbę, zwykle nie pozostawali w niej długo. Rotacja była ogromna. Połowa pozostawała na żołdzie w wojsku

regularnym tylko przez kilka miesięcy lub najwyżej rok, po czym wracała do prywatnych zajęć. Z kolei około 8% służyło dłużej niż pięć lat. Z ogromnej rzeszy szlachty jedynie niewielką grupę można zatem zaliczyć do grona w pełni zawodowych żołnierzy[2].

Podstawowy polski system walki po 1621 roku zaczyna przeżywać kryzys. Zreformowana armia szwedzka wchodzi do boju i wkracza do Inflant, stopniowo zajmując je w ciągu kilku kolejnych lat. Hetmani litewscy Jan Karol Chodkiewicz, a później Krzysztof II Radziwiłł, którzy mieli doświadczenie w walkach ze Szwedami, sprzyjali zmianom. Z kolei w Koronie większą uwagę poświęcano zagrożeniu tatarskiemu i tureckiemu. Stanisław Żółkiewski, a po jego śmierci w 1620 roku Stanisław Koniecpolski, skupieni na walkach na południowo-wschodnich rubieżach, zdawali się nie doceniać ani szwedzkiego niebezpieczeństwa, ani zmian zachodzących w zachodnioeuropejskiej sztuce wojennej. Duże i ciągłe zagrożenie najazdami tatarskimi skłoniło dowódców do skoncentrowania znacznych sił, aby odeprzeć ataki wroga na południowo-wschodnich rubieżach kraju. Tak też uczyniono w 1626 roku, w przeddzień lądowania Szwedów w Piławie. Nie zmienia to jednak faktu, że w rzeczywistości nie istniał plan skutecznej obrony polskiego wybrzeża Bałtyku[3].

Dwa miesiące po wylądowaniu wojsk szwedzkich w Piławie, we wrześniu 1626 roku, armia polska skoncentrowała się w Toruniu. Później, przez Grudziądz, wyruszyła w kierunku Gniewu. Należy rozróżnić poszczególne oddziały, które przybyły na miejsce: 18 rot husarii w sile 2930 koni, 2 roty rajtarii w sile 400 koni, chorągiew 150 kozaków zaciężnych, 300 lisowczyków, 27 rot kozackich magnackich i wolontariackich w sile 3000 koni, dragonia i piechota królewska oraz prywatna cudzoziemskiego autoramentu – 2050 ludzi, piechota polska zaciężna królewska – 800 ludzi, piechota węgierska królewska – 600 ludzi oraz piechota polska magnacka – 980 ludzi. Zatem zgromadzona armia liczyła 6780 jazdy i 4430 piechoty. W sumie około 11.210 ludzi i 20 dział[4].

Znaczny udział w armii miała husaria, która zgromadziła prawie 3 tysiące kopii. Tymczasem niezmiernie trudną taktykę tej jazdy, a więc władanie bronią, zawracanie w miejscu, zjeżdżanie i rozluźnianie szeregów w biegu, mogli opanować tylko żołnierze zawodowi. Przy tak pokaźnej liczbie husarzy nie każdy z nich spełniał powyższe warunki. W związku z tym tylko 550 żołnierzy należało do grupy elitarnej. Poza nią znalazła się chorągiew dworska Zygmunta III Wazy, służąca przede wszystkim do parad i uroczystości. Chorągwie powiatowe, choć zawodowe, pełniły głównie funkcje policyjne i do wielkich bitew w otwartym polu mogły się nie nadawać. Reszta, poza nielicznymi wyjątkami, była zaciągnięta pospiesznie, niezgrana i służyła raczej do podnoszenia splendoru magnata niż do boju.

Chociaż nieliczna, dobrze prezentowała się odpowiednio uzbrojona polska rajtaria. Wielką skutecznością odznaczały się oddziały lisowczyków, niezrównane w rozpoznaniu oraz walce zarówno w szyku rozproszonym, jak i zwartym. Chorągwie kozackie prywatne lub wolontariackiego zaciągu, zebrane pospiesznie i niezgrane, a w części także niekompletnie uzbrojone, przedstawiały bardzo zróżnicowaną wartość bojową. Polska piechota cudzoziemskiego autoramentu prezentowała się dobrze, a większa część oddziałów miała już doświadczenie bojowe. Najgorzej przed-

[2] Szwedzka ocena Kircholmu: H. Lindqvist, *Przez Bałtyk. 1000 lat polsko-szwedzkich wojen i miłości*, Poznań 2022, s. 152.

[3] P. Skworoda, *Hammerstein* 1627, Warszawa 2006, s. 68.

[4] J. Teodorczyk, *Bitwa pod Gniewem (22 IX–29 IX–1 X 1626). Pierwsza porażka husarii*, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości" 1966, t. 12, cz. 2, s. 92–95.

stawiała się sytuacja artylerii, która ustępowała szwedzkiej zarówno pod względem liczby dział, jak i ich wagomiaru[5].

Nad tym konglomeratem różnych rodzajów wojsk armia szwedzka niewątpliwie górowała wyszkoleniem, siłą ognia i przede wszystkim doświadczeniem bojowym. Rajtarzy Gustawa II Adolfa, choć ustępowali jeździe polskiej pod względem jakości koni czy uzbrojenia, mieli w większości za sobą wiele lat służby. Piechota szwedzka składała się z regimentów zaciężnych i narodowych, przy czym te ostatnie rekrutowano głównie spośród chłopów. Służba w regimentach narodowych miała charakter wieloletni i zgodnie z systemem poboru mogła trwać 20 lat.

W pierwszej fazie bitwy pod Gniewem trzon szwedzkiej piechoty stanowiły regimenty narodowe, z lekceważeniem opisywane przez polskiego kronikarza: „Gustaw (...) nie więcej jak sześć tysięcy piechoty do kopaczów bardziej niż do żołnierzy podobniejszej przyprowadził". Pikinierzy szwedzcy, oprócz pik, rapierów i uzbrojenia ochronnego, nosili także rydel, siekierę lub piłę do wznoszenia umocnień polowych. Muszkieterzy uzbrojeni w muszkiety holenderskie mogli razić jazdę polską z odległości przekraczającej 200 metrów, choć skuteczność ognia szybko rosła wraz ze zmniejszaniem dystansu. Dobrze wyszkolony muszkieter mógł w sprzyjających warunkach oddać 2–3 strzały na minutę. Przy strzelaniu kontrmarszem niemal uzyskiwano efekt ognia ciągłego. Niewiarygodna, jak na prostotę ówczesnej broni, szybkostrzelność muszkieterów świadczyła o niezwykłej sprawności wojsk zawodowych oraz o roli, jaką odgrywały rutyna i doświadczenie bojowe. Należy przy tym pamiętać o odległości od przeciwnika – im była mniejsza, tym większa była skuteczność ognia. Salwę muszkietową oddawano nieraz dopiero z odległości około 40 metrów od pierwszego szeregu szarżującej jazdy[6].

Gustaw II Adolf prowadził do bitwy rdzeń swoich sił zbrojnych. W zestawieniach armii szwedzkiej rajtaria i dragonia liczyły 14 kompanii o łącznej sile 1738 koni. Piechota składała się z 56 kompanii o łącznej sile około 8150 ludzi. Silna artyleria wysłana do Prus liczyła 74 działa różnych wagomiarów oraz pewną liczbę lekkich dział 3-funtowych. Te ostatnie nie były jeszcze słynnymi działami regimentowymi, które pojawiły się dopiero w 1629 roku. Chodziło o wcześniejsze typy lekkich armat polowych. Ogółem więc siły zgromadzone przez Szwedów liczyły blisko 10 tysięcy ludzi i dysponowały bardzo silnym parkiem artyleryjskim. Nie oznacza to jednak, że cała ta artyleria znalazła się na polu bitwy pod Gniewem.

Do sił szwedzkich należy jeszcze dopisać garnizon Gniewu, liczący w trakcie oblężenia około 450 ludzi pod dowództwem podpułkownika Johana Kinnemonda. Niestety czynimy smutną powinność, dopisując do tego stanu mieszczan wspomagających żołnierzy wroga. Bynajmniej część z nich robiła to bardzo chętnie i w szeregach stanęło 60 młodych rzemieślników.

O wartości wojska świadczą dowódcy, ich wiedza, a przede wszystkim doświadczenie, zdolności i umiejętności. Należy jeszcze uwzględnić talent i trochę szczęścia w podejmowaniu decyzji i wydawaniu rozkazów. Dodajmy do tego intuicję. Podobnie jak w przypadku pospolitego ruszenia, także wyżsi polscy dowódcy z różną częstotliwością brali udział w wyprawach wojennych. Zygmunt III Waza i królewicz Władysław mogli wcześniej liczyć na wsparcie hetmanów Stanisława Żółkiewskiego i Jana Karola

[5] P. Skworoda, *Hammerstein...*, s. 96–97.

[6] *Kronika Pawła Piaseckiego biskupa przemyślskiego*, wyd. J. Bartoszewicz, Kraków 1870; *Podróż królewicza Władysława Wazy do krajów Europy Zachodniej w latach 1624–1625 w świetle ówczesnych relacji*, oprac. A. Przyboś, Kraków 1977, s. 324.

Chodkiewicza, ale oni już w tym czasie nie żyli[7]. Nie przybył jeszcze hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski.

Z innych dowódców wojewoda kijowski Tomasz Zamoyski miał dość powierzchowne przygotowanie wojskowe. W 1612 roku osobiście dowodził przeciw Tatarom, jednak wyprawa nie zakończyła się większym sukcesem. Brał również udział w walkach z Kozakami w 1625 roku. Był słabego zdrowia i cierpiał na podagrę. Z kolei wojewoda brzeski Eustachy Tyszkiewicz bił się na czele własnych zaciągów pod Kokenhausen w 1601 roku i pod Chocimiem w 1621 roku. Podkreślano także jego niezwykłą siłę fizyczną. Starosta sochaczewski Konstanty Plichta brał udział w wojnie z Rosją oraz w bitwie pod Chocimiem w 1621 roku. Zapisał się również próbą wprowadzenia w wojsku surowych obyczajów moralnych, co naraziło go na konflikt z królewiczem Władysławem.

Król Gustaw II Adolf dla odmiany posiadał doświadczone grono dowódców z wieloletnim stażem oficerskim, m.in. Johana Banéra, Larsa Kagga, Nilsa Ribbinga, pułkownika Thomasa Muschampa, Aleksandra von Essena, hrabiego Franza Bernharda von Thurna i feldmarszałka Hermana Wrangla.

Zygmunt III i jego dowódcy, przygotowując się do działań zaczepnych, brali pod uwagę dwa kierunki natarcia. Pierwszy prowadził na linie komunikacyjne do Piławy, czyli zakładał opanowanie terenu Żuław, a później Warmii. Jednak wykonanie tego planu byłoby trudne, a nawet niemożliwe ze względu na silnie rozbudowane fortyfikacje. Należało też uwzględnić ówczesne możliwości Gdańska, który miał słabe punkty obrony i liczono się nawet z utratą miasta.

Dlatego po przekroczeniu Wisły armia polska ruszyła szlakiem wzdłuż jej lewego brzegu w kierunku północnym. Marsz na Pelplin i dążenie do walnej bitwy w otwartym polu otwierały Zygmuntowi III możliwość wykorzystania przewagi jazdy. Bój obronno-zaczepny był zgodny z tradycją staropolskiej sztuki wojennej i na szczeblu taktycznym odpowiadał charakterowi zgromadzonych sił.

Ostateczne decyzje polskie dowództwo podjęło 12 września 1626 roku podczas narady wojennej w Grudziądzu. Wówczas podzielono armię na pułki i wyznaczono ich dowódców. Zamierzeniem Zygmunta III było stoczenie ze Szwedami bitwy obronnej, z uwzględnieniem działań zaczepnych na przedpolach Gniewu. Król liczył, że oblężenie miasta przez armię polską zmusi Szwedów do wyjścia poza fortyfikacje i natarcia na pozycje wybrane przez Polaków.

Istotne było położenie Gniewu, gdyż miasto strzegło ważnej przeprawy na Wiśle, a jego opanowanie groziłoby Szwedom równoczesnymi uderzeniami na Malbork i Braniewo. Gustaw II Adolf nie dysponował wtedy wystarczającymi siłami do zabezpieczenia wszystkich zagrożonych kierunków. W takiej sytuacji musiałby przyjść z odsieczą załodze Gniewu. Gdyby tego nie zrobił, siły polskie mogłyby wykonać atak kawalerii na Żuławę Malborską i nie dopuścić głównych sił przeciwnika do Gdańska. Jednocześnie Zygmunt III czekał na nadejście hetmana polnego koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Wymarsz armii z Grudziądza zaplanowano na 13 września.

Armia polska przeprawiła się przez Wisłę. Polscy dowódcy i żołnierze przyjęli królewskie plany z aprobatą i liczyli na sukces, gdyż: „Pogarda nieprzyjaciela dla świątyń boskich wzbudziła w nas żądzę zemsty; powszechnie wołano: «Odpędźmy do Szwecji tego śledzia»". Kiedy doszło do starć, Szwedzi z ironią wspominali ten incydent: „Zwali niektórzy Gustawa śledziem, i z wielką ochotą przeciw niemu idąc (...), obawiali się, żeby snadź przestraszony wstecz do słonych swoich krajów nie upłynął. Aliści ten

[7] J. Teodorczyk, *Bitwa pod Gniewem*..., s. 107.

śledź obrócił się w wieloryba”[8]. Lekceważony przeciwnik był znacznie groźniejszy, niż Polacy przypuszczali.

Tymczasem Gustaw II Adolf, nie wiedząc, co dzieje się z armią polską, wydał rozkaz wymarszu i jego oddziały wyruszyły 14 września z Tczewa w stronę Gdańska z zamiarem jego zdobycia. Następnego dnia Szwedzi zbliżyli się do miasta i zajęli stanowiska. Nieoczekiwanie, podczas narady wojennej 17 września, nadeszła informacja, że Polacy zbliżają się do Gniewu.

Król Szwecji odczytał zamiary Polaków dokładnie tak, jak tego oczekiwało polskie dowództwo. Obawiał się uderzenia na Sztum, Malbork i Warmię oraz przecięcia przez polską jazdę linii komunikacyjnych na Żuławie Wielkiej. Postanowił więc nie oddawać Gniewu. Liczył się też z możliwością walnej bitwy i wcale nie był pewien jej wyniku. Zrezygnował z planowanego uderzenia na Gdańsk i w nocy z 17 na 18 września wojska szwedzkie pozostawiły zapalone na kijach knoty, aby stworzyć pozory nadal obsadzonych posterunków muszkieterskich, po czym wyruszyły pospiesznym marszem do Tczewa.

Oddziały polskie z Zygmuntem III Wazą dotarły do Gniewu 18 września. Wysłano trębacza z wezwaniem do kapitulacji, które pozostało bez odpowiedzi. Wieczorem Polacy rozpoznawali teren i stan umocnień miasta. Schwytano trzech jeńców, którzy zgodnie zeznali, że załoga liczy 150 żołnierzy. W nocy za mury udało się jednak przedostać dalszym 300 Szwedom, co stanowiło znaczne wzmocnienie obrońców. Były to dwie kompanie piechoty z załogi Nowego Stawu, które przepłynęły łodziami Nogatem i Wisłą.

Do 20 września wszystkie polskie siły przeprawiły się na północny brzeg Wierzycy. Polacy zbudowali dwa obozy, zaczęli sypać szańce i rozpoczęli oblężenie. Pod wieczór zatoczono pierwsze cztery armaty oblężnicze i natychmiast otworzono ogień do zamku. W nocy ustawiono kolejne działa.

Tak rozpoczął się dzień 21 września. Szwedzi wyruszyli z Tczewa i około godziny 14.00 zajęli Walichnowy oraz obsadzili Cypel Mątowski. Wykopali okopy i oczekiwali na atak. Osiem polskich chorągwi kozackich kontrolowało ruch sił szwedzkich, ale do poważniejszych walk nie doszło.

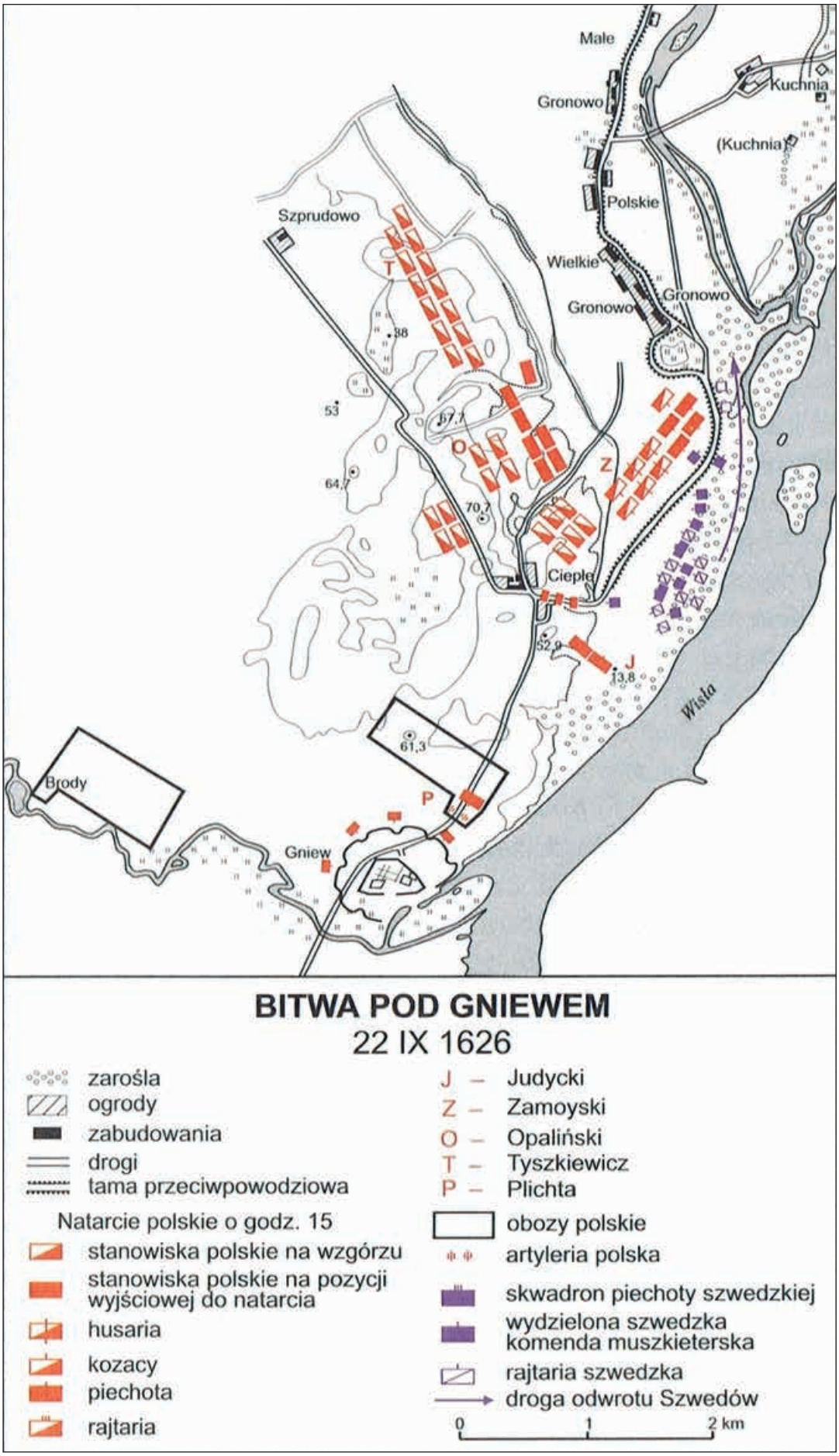
O świcie 22 września z Walichnów ruszyła szwedzka grupa uderzeniowa, złożona z całej rajtarii oraz około 2 tysięcy piechoty. Część oddziałów płynęła na ośmiu barkach. To właśnie żołnierze transportowani rzeką jako pierwsi zostali ostrzelani na północ od Gronowa, w łuku Brawy, pod wsią Kuchnia, przez cztery polskie chorągwie kozackie. Obustronna wymiana ognia nie przyniosła rozstrzygnięcia i wobec przewagi przeciwnika Polacy wycofali się.

Następnie pod główne pozycje polskie zaczęły podchodzić wydzielone oddziały feldmarszałka Hermana Wrangla. Jego żołnierze dotarli pod szaniec obsadzony przez muszkieterów Judyckiego. Polacy odparli atak salwą muszkietową i artyleryjską, a kontratak polskiej piechoty zmusił przeciwnika do odwrotu.

Z kolei druga grupa szwedzka, licząca 200 muszkieterów pod dowództwem pułkownika Tomasza Muschampa, została rozstawiona naprzeciw osady Kotło. Po otrzymaniu rozkazu muszkieterzy zajęli stanowiska u wejścia do środkowego parowu, u podnóża wzgórza. Pod wpływem polskich salw muszkietowych musieli się jednak wycofać. W pościg ruszyła polska jazda, która następnie rozproszyła szwedzką rajtarię.

Nadszedł krytyczny moment bitwy, w którym zagrożone było także życie samego Gustawa II Adolfa. Król starł się z polskim husarzem, ale zdołał zastrzelić go z pistoletu. Następnie, dając przykład osobistego męstwa i posługując się groźbami, zawrócił rozproszone kompanie rajtarów

[8] *Ibidem*, s. 85.


Male
Gronowo
Kuchnia
(Kuchnia)
Polskie
Szprudowo
Wielkie
Gronowo
Gronowo
T
38
53
57,1
O
64,7
Z
70,2
Ciepła
52,9
J
13,8
Wisła
61,3
P
Brody
Gniew
BITWA POD GNIEWEM
22 IX 1626
zarośla
ogrody
zabudowania
drogi
tama przeciwpowodziowa
Natarcie polskie o godz. 15
stanowiska polskie na wzgórzu
stanowiska polskie na pozycji wyjściowej do natarcia
husaria
kozacy
piechota
rajtaria
J – Judycki
Z – Zamoyski
O – Opaliński
T – Tyszkiewicz
P – Plichta
obozy polskie
artyleria polska
skwadron piechoty szwedzkiej
wydzielona szwedzka komenda muszkieterska
rajtaria szwedzka
droga odwrotu Szwedów
0
1
2 km



Bitwa pod Gniewem – ilustr. poglądowa

i skierował je do przeciwnatarcia. Jednocześnie piechota pułkownika Muschampa oddała salwy muszkietowe, które zmusiły polskie chorągwie do wycofania się. Po tym starciu walki na pewien czas ustały[9].

Obie strony wykorzystały przerwę na przegrupowanie sił. Wojska szwedzkie zajęły pozycje nad brzegiem Wisły, na wysokości połowy wału między Gronowem a Ciepłem, na południe od osady Kotło.

Około godziny 15.00 polska piechota i jazda ponownie przystąpiły do ataku, jednak natarcie zakończyło się niepowodzeniem. Nieskuteczne okazały się także kilkakrotne szarże husarii. Po pierwszej salwie szwedzkiej Polacy wycofywali się, aby przegrupować szyki, a następnie wysyłali do przodu kozaków uzbrojonych w broń palną, którzy mieli osłabić obronę przeciwnika. Kozacy nie byli jednak w stanie przeciwstawić się atakującej rajtarii szwedzkiej, dlatego ponownie wspierali ich husarze.

W czasie tych manewrów szwedzka piechota zdążała przeładować muszkiety i przygotować się do oddania kolejnej salwy. Następne polskie ataki przebiegały więc według podobnego schematu i nie przynosiły rezultatu. Po kilku nieudanych próbach Polacy zrezygnowali z dalszych szarż kawaleryjskich. Dodatkowym

[9] *Ibidem*, s. 116.

utrudnieniem był gęsty dym prochowy, który zasnuł pole bitwy. Po stronie polskiej zginęło około 50 husarzy i rajtarów, a wielu innych żołnierzy odniosło rany.

Poważniejszy sukces odniosła natomiast piechota pod dowództwem angielskiego oficera Arthura Astona, najemnika w służbie Rzeczypospolitej. Jego żołnierze uchwycili i utrzymali groblę pomiędzy Kotłem a Gronowem, zmuszając Szwedów do wycofania się z całego odcinka. W rezultacie polska piechota stłoczyła przeciwnika na przestrzeni długiej na około kilometr i szerokiej na 250 metrów, ograniczając mu swobodę manewru w kierunku Walichnów[10]. Zdobycie grobli dało więc Polakom przewagę taktyczną na tym odcinku bitwy.

Piechota polska obsadziła cały wał od Ciepłego do Gronowa, a następnie przekroczyła go. Polska jazda rozpoczęła manewr oskrzydlający, lecz posuwała się powoli, ponieważ teren przecinały liczne koryta Brawy, rowy melioracyjne, opłotki i zabudowania chłopskie. Przewlekła walka ogniowa była nowością dla polskiego dowództwa. Po sześciu godzinach intensywnej wymiany ognia muszkieterom Astona zaczynało brakować prochu.

Gdy zapadł zmrok, z obozu pod Gniewem nadjechał wóz z dwiema beczkami prochu. Muszkieterzy podbiegali do niego grupami i pojedynczo, nabierając proch do kapeluszy, nie gasząc nawet zapalonych lontów. W pewnym momencie jeden z nich padł na rozsypany proch i obie beczki eksplodowały. Muszkieterzy Wrangla wykorzystali powstałe zamieszanie i zajęli polskie pozycje. Zanim Polacy zdołali uporządkować szyki i przejść do przeciwnatarcia, główne siły szwedzkie minęły zagrożony przesmyk i rozwinęły pod Gronowem regularny szyk do prowadzenia ognia w marszu. Oddziały feldmarszałka Hermana Wrangla osłaniały odwrót, dzięki czemu główne siły szwedzkie bez większych przeszkód dotarły do Walichnów.

Przerwa w walkach trwała do 29 września. W tym czasie obie armie wzmacniały swoje siły. Armia polska liczyła około 15 tysięcy ludzi, natomiast szwedzka miała około 2,5 tysiąca żołnierzy mniej.

Po wymarszu z Walichnów Szwedzi dotarli do Gronowa. Gustaw II Adolf zatrzymał tam swoją armię i oparł jej pozycje na wale przeciwpowodziowym, korycie Brawy oraz usypanych szańcach. Obie armie rozwijały szyki do około godziny 14.00.

Następnie polska piechota ruszyła wzdłuż brzegu Wisły i dotarła do lasku przy zakręcie tamy. Tam Polacy starli się z muszkieterami dowodzonymi przez hrabiego Franza Bernharda von Thurna. Początkowo „muszkieterowie jedni na drugich mocny ogień dali". Szwedzi nie mogli jednak sprostać wyraźnej przewadze Polaków. Przez pewien czas bronili swoich pozycji, aż w końcu rzucili się do ucieczki[11]. Druga faza bitwy rozpoczęła się około godziny 15.00. Wówczas do ataku ruszyła polska jazda, która w pogoni za szwedzkimi rajtarami dotarła do grobli. Tam przywitała ją tak potężna salwa, że w jednej chwili zniszczyła cały pierwszy szereg jazdy. Polacy musieli się wycofać. Wtedy do frontalnego przeciwnatarcia na polską piechotę ruszyły oddziały von Thurna. Wspierały je załogi siedmiu łodzi, które dobiły do kępy wiślanej znajdującej się na tyłach Polaków. Szwedzi kilkakrotnie ponawiali kontrataki, jednak Polacy utrzymali pozycję[12].

Po krótkiej przerwie król Zygmunt III Waza wydał rozkaz ataku na Gronowo i podpalenia wsi. Do akcji ruszyły dwie chorągwie lisowczyków, liczące łącznie 700 ludzi. Lisowczycy starli się z piechotą Muschampa i wykonali zadanie, podpalając wieś. Na pomoc szwedzkiej piechocie przybyła rajtaria.

[10] *Ibidem*, s. 117.

[11] J. Teodorczyk, Bitwa pod Gniewem..., s. 130–131.

[12] *Ibidem*, s. 131.

Lisowczycy znaleźli się w trudnej sytuacji, gdyż ogólne polskie natarcie nie nastąpiło.

Widząc przewagę wroga, osamotniony Moczarski chwycił się fortelu. Nakazał części swoich ludzi opuścić wieś i ukryć się w rowie odwadniającym. Pozostali nadal walczyli, po czym rozpoczęli odwrót. Ścigający ich pierwszy rzut szwedzkiej rajtarii wpadł w przygotowaną zasadzkę. Ukryci Polacy oddali salwę, po której Szwedzi odskoczyli, a lisowczycy ruszyli do kontrataku.

Sytuacja ponownie się odwróciła, gdy do walki wszedł drugi rzut szwedzkiej rajtarii. Wtedy na pomoc lisowczykom przybyły trzy polskie chorągwie rajtarskie oraz kilka chorągwi kozackich pod dowództwem Abrahamowicza. Niebawem w pobliżu pojawili się również muszkieterzy lub dragoni Judyckiego. Wzmocnieni Polacy wyparli z Gronowa rajtarię oraz piechotę Muschampa.

Po tym sukcesie ożywiły się działania na prawym skrzydle polskim. Piechota ruszyła do ataku na pozycje von Thurna, a zaraz za nią uderzyła jazda „z wielkim krzykiem, ale i w wielkim nieporządku". Również to natarcie nie przyniosło Polakom powodzenia.

Gdy zapadły ciemności, jako pierwszy został odrzucony Abrahamowicz, który nadaremnie domagał się wsparcia piechoty. Nieco dłużej trwały walki na skrzydle Zamoyskiego. Około godziny 22.00 Zygmunt III nakazał wojskom wycofać się do obozu[13].

Trzeci i ostatni dzień bitwy przypadł na 1 października. Widząc przewagę Szwedów w sile ognia, Polacy zajęli pozycje na szczycie wzniesień w rejonie wsi Ciepłe. Jako pierwsza odezwała się polska artyleria.

Gustaw II Adolf postanowił przeprowadzić trzy uderzenia, które miały służyć silnemu rozpoznaniu walką polskiego ugrupowania. Między godziną 10.00 a 11.00 przez luki w szyku szwedzkim wyszły w pole trzy grupy piechoty. Szwedzi kilkakrotnie atakowali polskie pozycje, jednak ich natarcia nie przyniosły powodzenia, mimo że walki trwały dość długo i prowadzono je na różne sposoby.

Około godziny 15.00 do natarcia ruszyła ukryta dotąd piechota szwedzka. Polacy nadal bronili swoich pozycji, ale na jednym z odcinków popełnili błąd, który drogo ich kosztował. Stojący na szczycie skarpy muszkieterowie Gryma i Kitha oraz wspierający ich hajducy nie otworzyli ognia do nadchodzących w dymie żołnierzy szwedzkich. Słyszeli odgłosy walki dobiegające od szańca Judyckiego i wzięli Szwedów za wycofujących się żołnierzy polskich, „bo między obiema piechotami cudzoziemskimi trudno było w tumulcie rozeznać wroga". Po wejściu na szczyt skarpy Szwedzi oddali salwę muszkietową w stronę zaskoczonych obrońców.

Ogarnięta paniką polska piechota rzuciła się do ucieczki, aż pod stanowiska jazdy Zamoyskiego. Muszkieterowie von Thurna zaczęli tymczasem kopać szaniec przed frontem wojsk polskich. Wkrótce wsparli ich pikinierzy, dwa dywizjony muszkieterów oraz kilka dział[14].

Zygmunt III Waza i królewicz Władysław próbowali nakłonić husarzy do szarży prośbami, nawoływaniami, a nawet obietnicą upominków. Husarze jednak nie ruszyli do ataku. W tej sytuacji król nakazał kontratak tej samej piechocie, która wcześniej tak niefortunnie wpuściła przeciwnika na wzgórze. Polscy piechurzy mieli uderzyć czołowo na szyki von Thurna.

Chcąc zapewne zrehabilitować się w oczach króla, piechota natarła z wielką zaciekłością i „podeszła pod Szwedów tak blisko, iż nic innego nie mogło się stać, jak tylko to, że jedna albo druga strona z góry na łeb na szyję zwalić się musiała". Kontratak załamał się, ponieważ na wzgórze wdarło się już przeszło 1,5 tysiąca żołnierzy szwedzkich. Wobec przewagi przeciwnika cała polska piechota zaczęła stopniowo wycofywać się

[13] Ibidem, s. 133.

[14] Ibidem, s. 145.

ze swoich pozycji, opuszczając szańce nad środkowym wąwozem i nad Wisłą[15].

Po niepowodzeniu piechoty husaria Zamoyskiego ruszyła na przeciwnika i „jakby wściekli i oszaleli na hrabiego Thurna spadli". Muszkieterowie po wcześniejszej walce z polską piechotą mieli w większości nienabitą broń i jedynie kilkudziesięciu zdołało oddać salwę. Tak słaby ogień nie mógł powstrzymać husarii. Wystarczającą osłoną dla Szwedów nie okazały się również piki i „świńskie pióra". W ich szeregach pojawiły się oznaki lęku i paniki. Większość żołnierzy pozostała jednak w okopach, a tylko nieliczni zaczęli się wycofywać.

Gustaw II Adolf przewidział taki rozwój sytuacji i wcześniej przesunął duży oddział muszkieterów do doliny u podnóża wzgórza. Żołnierze mieli celować w górną krawędź wzniesienia i otworzyć ogień, gdy pojawią się tam Polacy. Przewidywania szwedzkiego monarchy sprawdziły się. Jego muszkieterowie, „którzy pod górą bezpiecznie leżeli i nic więcej nie robili, jak tylko w ukazujące się głowy swoje muszkiety salwami raz po raz wystrzeliwali", otworzyli ogień do husarii.

Husarze zawrócili, lecz wpadli na nią nadciągający z tyłu polscy rajtarzy i kozacy. Do stłoczonej polskiej jazdy szwedzcy muszkieterowie oddali salwę. Wkrótce kolejny oddział muszkieterów, dowodzony przez pułkownika Tomasza Muschampa, przedostał się na płaskowyż i dodatkowo ostrzelał pomieszane chorągwie. Polacy wycofali się pod folwark Ciepłe. Ich front ciągnął się teraz linią łamaną, a część szańców znajdowała się już w rękach szwedzkich. Polacy nie stracili jednak armat i nadal skutecznie odpierali ataki przeciwnika, choć ich sytuacja stawała się coraz trudniejsza[16].

Zygmunt III Waza zorganizował kontratak piechoty cudzoziemskiego autoramentu oraz kilku chorągwi piechoty polskiej, łącznie w sile około 2 tysięcy ludzi. Po drugiej stronie stanęła podobna liczba żołnierzy szwedzkich i, jak zauważono, „strzelano się więc z obu stron więcej niż dwie godziny, a gdy prochów nie stało, i nasza piechota, i Gustawa przestali strzelać, tylko na siebie, każdy w swym miejscu stojąc, patrzyli".

W tym czasie polskie dowództwo ściągnęło na ten odcinek część chorągwi jazdy. Ich bierna postawa wobec rozkazów króla była jednak wyraźnym znakiem braku woli do dalszej walki. Szwedzi również nie nacierali, gdyż także w ich szeregach wyczerpanie fizyczne osiągnęło kres. Wieczorem obie armie stały naprzeciw siebie w odległości zaledwie około 250 metrów, nieco poza skutecznym zasięgiem ognia muszkietowego. Na polu walki zapanowała głęboka cisza.

Zygmunt III Waza stracił nadzieję na wyparcie Szwedów ze wzgórza. Jeszcze tej samej nocy wydał zgodę na ogólny odwrót.

Straty obu stron były porównywalne, a obie armie zachowały zdolność bojową do dalszych działań. Przy ocenie wyniku bitwy trzeba jednak uwzględnić cele, jakie stawiały sobie obie strony. Polacy zamierzali zdobyć Gniew, ale jednocześnie chcieli odciągnąć armię szwedzką od Gdańska. Cel ten częściowo osiągnięto, ponieważ marsz armii polskiej na Gniew odciągnął Gustawa II Adolfa od Gdańska.

Historycy różnie oceniają jej wynik. Część uznaje bitwę za porażkę strony polskiej, inni wskazują na jej nierozstrzygnięty charakter. Polakom nie udało się zdobyć Gniewu, natomiast Szwedzi utrzymali miasto i swoje pozycje. Z drugiej strony Gustaw II Adolf zrezygnował wówczas z działań przeciwko Gdańskowi, a miasto pozostało w rękach Rzeczypospolitej przez cały okres wojny o ujście Wisły. Jeden z ważnych celów polskiej operacji został więc osiągnięty, choć sam Gniew pozostał jeszcze w rękach szwedzkich. Polacy odzyskali go dopiero 12 lipca 1627 roku. ■

15 Ibidem, s. 146.
16 *Ibidem*, s. 147.

GRZEGORZ ROGOWSKI

RELIKWIARZ OŁTARZOWY Z KOŚCIOŁA FARNEGO W NOWEM N. WISŁĄ

Wcześni chrześcijanie przywiązywali dużą wagę do rytuału towarzyszącego grzebaniu ludzkiego ciała. Wszystkie zabiegi z nim związane miały przypominać o najważniejszej nagrodzie – zmartwychwstaniu. Jeżeli ktoś zginął śmiercią męczeńską, to członkowie gminy chrześcijańskiej spotykali się przy jego grobie i oddawali się wspólnej modlitwie. Do IV wieku uważano, że świętymi mogą zostać tylko osoby, które zginęły śmiercią męczeńską w obronie wiary lub nie wyrzekały się jej w obliczu śmierci. Osoby te złożyły ofiarę życia jako świadkowie Chrystusa. Uznanie chrześcijaństwa za religię państwową (za sprawą Teodozjusza I Wielkiego, pod koniec IV wieku, chrześcijaństwo oficjalnie stało się religią panującą w Cesarstwie Rzymskim) skutkowało zakończeniem prześladowań wyznawców Chrystusa, zaowocowało drastycznym zmniejszeniem liczby męczenników. Tym samym obok tak zwanego męczeństwa krwi (zwanego czerwonym) pojawiła się koncepcja męczeństwa białego, czyli życia ascetycznego, pełnego wyrzeczeń, które mogło doprowadzić do świętości. (W kościele irlandzkim obok koloru czerwonego i białego wyszczególnia się także kolor zielono-niebieski. Ten rodzaj męczeństwa dotyczy grzeszników, którzy wykazywali żal za grzechy i podejmują życie pełne pokuty i wyrzeczeń).

Kult świętych, a szczególnie męczenników, jest jedną z najpopularniejszych praktyk kościelnych. Wyjątkowość kultu relikwii polega zaś na tym, że daje wiernym możliwość fizycznego obcowania ze świętością, a nawet umożliwia „dotknięcie" *sacrum*, którym zachowane szczątki emanują.

Powszechnie wierzono, że dusza świętego przebywa w niebie, ale równocześnie pozostaje w szczególnej łączności z pozostawionym na ziemi jego ciałem. Uważano, że modląc się w miejscu, gdzie ciało spoczywa, dotykając trumny czy grobu, można uzyskać bezpośredni kontakt ze świętym, wyprosić łaski dla siebie oraz skłonić go do pozytywnego działania na rzecz wspólnoty.

Przekonanie o godności ciała ludzkiego oraz o obecności siły tkwiącej w jego szczątkach wyrażano w szacunku dla grobu. Z powyższych przyczyn ołtarze wznoszono nad grobami męczenników. Bliskość ołtarza i relikwii symbolizowała naśladowanie Chrystusa przez męczenników oraz przebywanie z Nim w niebie. Jeszcze w IV wieku oczywistością był podział na strefę żyjących, czyli miasto, i strefę zmarłych, czyli cmentarz. Bez specjalnych zezwoleń nie mogło być mowy o przenoszeniu pogrzebanych czy dzieleniu ciała na relikwie.

W pewnym okresie pojawił się obyczaj umieszczania relikwii bezpośrednio w ołtarzu. Czyniono to w myśl zasady „żadne relikwie świętych bez ołtarza". Umieszczanie stołu ofiarnego nad grobem męczennika do IV wieku nie stanowiło problemu, ponieważ kościoły wznoszono głównie we Włoszech, a tam relikwii świętych męczenników nie brakowało. Kłopoty z uzyskaniem dostępu do relikwii męczenników za wiarę pojawiły się wraz z rozszerzaniem

się wpływów chrześcijaństwa poza Półwysep Apeniński.

Powszechnie w Kościele Zachodnim obowiązywała zasada, że ciała nie wolno rozdzielać, ponieważ byłoby to sprzeczne z teologiczną myślą o zmartwychwstaniu. Papieże nie zgadzali się na wywożenie ciał świętych z Rzymu, gdyż mógł przez to ucierpieć prestiż papiestwa coraz bardziej bazujący na potędze relikwii. Powyższy problem rozwiązano, wyrażając zgodę na rozdzielanie przedmiotów, których święty dotykał. Dotyczyło to również narzędzi męki stykających się z jego ciałem. Przykładem ilustrującym tę praktykę może być rozdawanie przez papieży ogniw łańcucha, który, jak wierzono, stanowił okowy św. Piotra.

Wśród osób wierzących potrzeba obcowania z relikwiami wzrastała coraz bardziej. Ludzie masowo pielgrzymowali do grobów świętych, chcąc uzyskać ich wstawiennictwo. Z tego powodu pojawił się nowy rodzaj relikwii. Relikwiami stawały się przedmioty lub substancje, które miały fizyczny kontakt z grobem lub ciałem świętego. Na przykład kładziono na grobie tkaniny, które tym samym stawały się relikwią.

Od około VII wieku coraz częściej zagrażały światu chrześcijańskiemu najazdy barbarzyńców z północy. Uciekający przed zagładą zabierali ze sobą rzeczy najcenniejsze. Dla zakonów i całych społeczności były to między innymi relikwie patrona. Zauważono, że skoro już i tak zaczęto je przenosić z miejsca na miejsce, łatwiej było pogodzić się z przekazywaniem relikwii nawet do innego kraju. Oczywiste było, że na terenach niedawno pozyskanych dla chrześcijaństwa nie każdy ołtarz mógł być wzniesiony nad grobem męczennika, zaczęto więc rozdzielać ciała świętych. Początkowo oddzielano tylko te fragmenty, które nie naruszały integralności ciała: zęby, włosy, paznokcie. Jednak rosnące potrzeby spowodowały, że zaczęto rozczłonkowywać ciała świętych na coraz mniejsze kawałki.

Popyt na relikwie, które miały cudowną moc, nieprzerwanie wzrastał. Problemem stawało się odnajdowanie właściwych grobów. Trudność identyfikacji miejsca spoczynku świętego rozwiązywała praktyka inwencji, związana z objawieniami we śnie, w których święty udzielał wskazówek niezbędnych do ustalenia jego tożsamości i miejsca spoczynku. Dzięki nim odnaleziono między innymi narzędzia Męki Pańskiej. Przy weryfikacji autentyczności relikwii posługiwano się też sądami Bożymi oraz cudami zdziałanymi przez szczątki świętych. Należy zauważyć, że kryteria odróżnienia falsyfikatu od autentyku były rażąco niewystarczające.

Okresem rozwoju kultu relikwii był czas wypraw krzyżowych. W tym okresie trafiło do Europy wiele relikwii związanych z Chrystusem, na przykład kolumna biczowania, korona cierniowa, gwoździe z krzyża i inne, których autentyczność pozostawiała wiele do życzenia. (O pomysłowości w tym zakresie warto przeczytać, sięgając do opracowań wymienionych w bibliografii).

Wątpliwym sposobem pozyskania relikwii był ich zakup. Najważniejszym kryterium ich prawdziwości była wiara nabywców. Sobór Laterański IV zabronił wreszcie handlu świętościami, wprowadził wymóg papieskiego zatwierdzenia kultu nowych relikwii oraz zakazał ich prezentacji poza relikwiarzem. Dalsze uregulowanie spraw związanych z *sacrum* nastąpiło na Soborze Trydenckim. Lecz mimo to zdarzały się liczne nadużycia. Rosnące zapotrzebowanie, także wśród osób świeckich, sprzyjało rozpowszechnianiu coraz większej liczby relikwii bez względu na ich autentyczność.

Do 2017 roku relikwie dzielono według trzystopniowej skali:

- I stopnia – pozostałości ciała świętego, np. krew, kości, skóra, włosy, paznokcie;
- II stopnia – przedmioty związane z osobą świętego za jego ziemskiego życia, którymi się posługiwał, mające bezpośredni

kontakt ze świętym: jego ubrania, modlitewnik, różaniec i inne przedmioty codziennego użytku;

- III stopnia – przedmioty, które stały się relikwiami przez dotknięcie właściwych relikwii pierwszego lub drugiego stopnia. Mogą to być na przykład rzeczy potarte o części ciała zmarłego świętego lub dotknięte przez samego świętego w trakcie życia.

W 2017 roku Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych zniosła relikwie III stopnia, wprowadzając dwustopniową skalę klasyfikacji relikwii:

- I stopnia – wyjątkowe: ciała lub ich znaczne części, a także cała zawartość urny z prochami zachowanymi po kremacji;
- II stopnia – potoczne: małe cząstki ciała lub kości oraz przedmioty używane przez świętych i błogosławionych.

Obydwa typy relikwii muszą być przechowywane w opieczętowanych kapsułach.

Przeprowadzając rekonesans przed oprowadzaniem osób zainteresowanych historią kościoła pod wezwaniem św. Mateusza Apostoła i Ewangelisty podczas nowskiej Nocy Muzeów, wraz z proboszczem księdzem Grzegorzem Kaiserem dyskutowaliśmy na tematy związane z nowską farą. W trakcie rozmowy zapytałem o kościelne relikwiarze. Ksiądz proboszcz odrzekł, że takowe znajdują się w nowskiej plebanii.

Jednym z nich jest relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego (*Lignum Crucis*), którego cząstkę pięknie wyeksponowano w centralnej części metalowego krzyża. Drugi relikwiarz skrywa się w niepozornej drewnianej osłonie o wymiarach 38 × 38 × 4 cm, która zaskakuje swoim ciężarem wynoszącym 6 kg. Jest to typowy relikwiarz ołtarzowy i to on stał się „przedmiotem" naszego zainteresowania.

Ołtarze pierwszych chrześcijan początkowo nie miały charakteru stołu ofiarnego, lecz zwykłego drewnianego stołu służącego



Relikwiarz zawierający relikwie Drzewa Krzyża Świętego (łac. Lignum Crucis) z nowskiej fary (fot. Marta Rogowska-Reszke)

zgromadzonym do sprawowania kultu, stąd najstarsza ich nazwa: *mensa* (stół). Wraz ze stabilizacją sytuacji chrześcijaństwa ołtarz drewniany zaczął ustępować miejsca kamiennemu. Uzasadniano to faktem, że ołtarz nie powinien zmieniać miejsca i, co najważniejsze, jest symbolem grobu Pańskiego oraz samego Jezusa Chrystusa, który jest żywym kamieniem, kamieniem węgielnym Kościoła.

Związek ołtarza z ofiarą Chrystusa połączył go w symbolicznym wymiarze z grobami męczenników, którzy przez swoją śmierć włączyli się w ofiarę Zbawiciela. Ta symbolika znalazła wyraz w postaci stołu ofiarnego połączonego z grobem męczennika. W ołtarzach niewykonanych z kamienia, czyli drewnianych mensach spoczywających na ceglanej konstrukcji, sporządzano *sepulcrum*. Było to czworokątne zagłębienie, znajdujące się pośrodku mensy, w które biskup podczas uroczystej konsekracji ołtarza wkładał przenośny kamień ołtarzowy z marmuru lub alabastru (ołtarz powinien

mieć przynajmniej jakąś część z kamienia) oprawiony w drewno, zwany portatylem. Przedmiot taki zawierał relikwie szczelnie zamknięte i opieczętowane przez biskupa.

Zasadniczo tylko na takim ołtarzu, zawierającym relikwie męczennika, wolno było do soborowej reformy liturgii odprawiać Eucharystii. Odprawianie Mszy Świętej na mensie ołtarzowej zawierającej portatyl wyrażało szczególny szacunek dla Eucharystii, ponieważ jej sprawowanie miało dokonywać się w miejscu poświęconym. Gdy Msza Święta odbywała się poza miejscem świętym – kościołem, kładziono portatyl pod korporałem (kwadratowa, biała chusta stanowiąca element bielizny kielichowej).

Zwyczaj składania relikwii w portatylu w miejscu, które nazywano *sepulcrum*, pochodzi, zdaniem niektórych znawców tematu, prawdopodobnie z Afryki i powstał tam około IV wieku. Nawiązuje do wznoszenia ołtarzy nad grobami męczenników, ponieważ istniało przekonanie, że jest to miejsce szczególnej łączności ziemi z niebem. Drugim czynnikiem, który wpłynął na zwyczaj składania relikwii w portatylu, było ukazywanie przez Ojców Kościoła na przełomie IV i V wieku związku między męczennikami a ofiarą Chrystusa. Pierwszym męczennikiem jest Jezus, a na ołtarzu dokonuje się Jego bezkrwawa ofiara. Męczennik staje się więc obrazem Chrystusa cierpiącego i zwycięskiego.

Ksiądz proboszcz Grzegorz Kaiser nie zna okoliczności, w jakich relikwiarz trafił na plebanię, gdyż podczas prac renowacyjnych ołtarza i retabulum (lata 2011–2012) nie był jeszcze proboszczem w nowskiej parafii. Ja natomiast poczułem niesamowitą ciekawość, a zarazem pełen szacunek do swoistego *sacrum*. Tym bardziej, że dzisiaj nieczęsto zdarza się okazja obcowania z tak wyjątkowym przedmiotem.

Po uzyskaniu zgody księdza proboszcza przystąpiłem do bliższych oględzin. Po usunięciu warstwy kurzu okazało się, że jest to portatyl. Kurz skrywał też informacje, które zapisano po łacinie na drewnianej, dębowej obudowie. Odczytanie napisu wykonanego ołówkiem wymagało poświęcenia mu więcej czasu. W oczy rzucały się jedynie zapisany rok 1874 oraz pieczęcie zamykające ruchomą część relikwiarza. Sygnatury umieszczone w miejscach stycznych pióra nakrywającego bezpośrednio relikwię z drewnianą obudową nosiły ślady naruszenia. Trudno dzisiaj stwierdzić, czy powstały one wskutek upływającego czasu, czy spowodowała je świadoma działalność człowieka.

Za zgodą księdza proboszcza, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, zdjęliśmy okrywające relikwię pióro. Naszym oczom ukazał się akuratnie zawinięty w skrawek materiału jeden „pakuneczek" obwiązany starannie sznurkiem. Po wykonaniu zdjęć i zabezpieczeniu relikwii pożegnałem niezwykle przychylnego mojej dociekliwości historycznej gospodarza i z niecierpliwością oczekiwałem momentu, kiedy przy pomocy komputera będę mógł przeczytać wiadomość zostawioną przez XIX-wiecznego człowieka Kościoła.

Napis wykonany ołówkiem (nadmienić należy, że upływ 150 lat znacznie osłabił jego czytelność), umieszczony na przedniej drewnianej osłonie portatylu, został zawarty w czterech linijkach:

„ANNO 1874 DIE 23TIA APRILIS GEORGIUS
JESCHKE, EPISCOPUS DIOCAESARIENSIS,
SUFFRAGANEUS ET PRAEPOSITUS
[CAPITULI] CULMENSIS, HOC ALTARE
PORTATILE CONSECRAVIT
ET IN EO RELIQVIAS
SS. MM. SCREPTICIANI
ET VENANTIAE V. INCLUSIT".

Zastosowane w inskrypcji skróty najprawdopodobniej oznaczają: SS. – *sanctorum* („świętych"), MM. – *martyrum* („męczenników") oraz V. – virginis („dziewicy"). Po rozwinięciu skrótów treść napisu można przetłumaczyć następująco: „W roku 1874 dnia 23 kwietnia Jerzy Jeschke, biskup dio-



Portatyl z 1874 roku z kościoła farnego w Nowem nad Wisłą konsekrowany przez biskupa Jerzego Jeschke (fot. Marta Rogowska-Reszke)

cezarejski[1], sufragan i prepozyt [kapituły] chełmińskiej, ten ołtarz przenośny [portytal] konsekrował i w nim zamknął relikwie świętych męczenników: [imię nieczytelne] oraz Wenancji, dziewicy".

W dolnej części drewnianej obudowy, po prawej stronie, widoczna jest odręczna adnotacja „S. BARBARA". Dopisek ten, naniesiony w bliżej nieokreślonym czasie, prawdopodobnie służył identyfikacji relikwiarza i może wskazywać, że portatyl był przeznaczony do ołtarza bocznego św. Barbary.

Pieczęcie umiejscowione w punktach stycznych pióra nakrywającego relikwiarz z drewnianą skrzynką (*sigillum* osłaniające *sepulcrum*) zawierały napis: „EPISCOPUS CULMENSIS CASIMIRUS JOSEPH KOWALSKI" [„Biskup chełmiński Kazimierz Józef Kowalski"].

Poszukując informacji dotyczących osób, których nazwiska pojawiają się na osłonie relikwiarza, dotarłem do wiadomości, które pozwoliły ustalić ich tożsamość. Przytaczane wzmianki są znacznie okrojone.

Jerzy Jeschke: urodzony 25 marca 1808 roku, zmarł 7 listopada 1881 roku. Ksiądz katolicki, kanonik katedralny kapituły chełmińskiej, biskup pomocniczy diecezji chełmińskiej w latach 1856–1881.

Kazimierz Józef Kowalski: urodzony 2 marca 1896 roku, zmarł 6 maja 1972 roku. Polski duchowny rzymskokatolicki, biskup diecezjalny chełmiński w latach 1946–1972.

Zestawienie dat pozwala przypuszczać, że relikwiarz został otwarty między 1881 rokiem (po śmierci biskupa Jeschkego) a 1972 rokiem (przed śmiercią biskupa Kowalskiego). Wskazuje na to ponowne

[1] Diocezarejski, ponieważ był biskupem tytularnym Dio Cezarei (dawniej: Seforis w Palestynie), której ruiny znajdują się obecnie w Parku Narodowym Zippori, w północnym Izraelu.

opieczętowanie *sacrum* w okresie, gdy urząd biskupa pomocniczego chełmińskiego sprawował Kazimierz J. Kowalski.

Ślady naruszenia pieczęci bpa Kowalskiego świadczą o tym, że relikwiarz otwierano również później, choć dokładnych dat tych otwarć nie można ustalić. Po ostatnim z nich relikwiarz pozostawał zamknięty do 10 czerwca 2022 roku, kiedy został otwarty w obecności księdza proboszcza Grzegorza Kaisera i autora opracowania.

Ołtarz Świętego Mateusza nazywany jest ołtarzem głównym. Zajmuje centralne miejsce w świątyni. Umiejscowiony jest w prezbiterium, które zostało zbudowane w pierwszej połowie XIV wieku. Nowska fara jest orientowana, co oznacza, że jej oś główna skierowana jest ze wschodu na zachód. Tym samym ołtarz w prezbiterium ustawiony jest równolegle do ściany wschodniej kościoła. We wschodzącym słońcu postrzegano bowiem symbol Jezusa Zmartwychwstałego i z tego kierunku ma przyjść Zbawca ponownie na ziemię. W kościołach orientowanych stojący przy ołtarzu kapłan (według rytu rzymskiego) i wierni jednoczyli się w modlitwie zwróceni twarzami w stronę wschodnią.

Pierwotny ołtarz postawiono z pewnością w czasie, gdy świątynia mogła już służyć celom liturgicznym. Nie miał tak charakterystycznej nadstawy (*retabulum*), która pojawiła się w okresie baroku. Miejsce jego ustawienia możemy ustalić na podstawie położenia niszy ściennej służącej do przechowywania paramentów liturgicznych, czyli przedmiotów przeznaczonych do sprawowania liturgii. Warto zauważyć, że usytuowanie ołtarza pozostawało niemal niezmienne przez blisko siedem wieków.

Około 1727 roku proboszcz nowski Wawrzyniec Judasz Tadeusz Behme postanowił nadać obrazowi patrona kościoła odpowiednią oprawę. Zdecydowano wówczas o ozdobieniu ołtarza retabulum (nastawą ołtarzową), mylnie nazywanym ołtarzem.



Sigillum osłaniające sepulcrum (wgłębienie na relikwie), zabezpieczone lakową pieczęcią biskupa Kazimierza Józefa Kowalskiego (fot. Marta Rogowska-Reszke)

W 1812 roku zarówno ołtarz, jak i cały kościół były zagrożone pożarem, który udało się ugasić. Ogień strawił jedynie ołtarz boczny stojący po prawej stronie ołtarza wielkiego. Kolejne zagrożenie wiązało się z pracami prowadzonymi w latach 1910–1912, obejmującymi rozbudowę fary i przesklepienie naw (podczas tych prac odnaleziono średniowieczne polichromie). Prace te wymusiły przeniesienie części wyposażenia prezbiterium, w tym retabulum ołtarza św. Mateusza. Przeniesione elementy złożono w pobliskich magazynach zwanych spichrzami Mechlina. 9 maja 1913 roku wybuchł w nich pożar, który doszczętnie zniszczył m.in. retabulum ołtarza wielkiego.

Sam ołtarz, podobnie jak pozostałe ołtarze, nie został przeniesiony. Relikwiarz umieszczony w drewnianej mensie, osadzonej na podmurówce z gotyckich cegieł, pozostał w prezbiterium, ponieważ nie było potrzeby jego usuwania. Dzięki temu splotowi okoliczności relikwiarz znajdujący się

w *sepulcrum* ocalał. W latach dwudziestych nad ołtarzem św. Mateusza umieszczono nowe retabulum.

Obecnie relikwiarz znajduje się w „Skarbczyku" (dawnej kaplicy bocznej), gdzie wraz z innymi cennymi obiektami cieszy oczy osób odwiedzających nowską świątynię. Być może trafią tam również kolejne relikwiarze, których poszukiwania kontynuowano. Ich wyniki przerosły oczekiwania. W zakamarkach nowskiej fary odnaleziono jeszcze cztery portatyle. Wykonane ołówkiem napisy, służące ich uporządkowaniu, odnoszą się do ołtarzy Matki Bożej Różańcowej, Matki Bożej Bolesnej i św. Barbary oraz do relikwii świętych męczenników.

Jak widać, dwa relikwiarze przyporządkowano temu samemu ołtarzowi św. Barbary. Można więc przypuszczać, że pierwszy z opisanych portatyli pochodzi z ołtarza św. Mateusza. W grudniu 2022 roku zgromadzone relikwiarze ołtarzowe umieszczono na zaprojektowanym przeze mnie stojaku, wykonanym w warsztatach szkolnych Zakładu Poprawczego w Nowem. Prezentują się godnie w otoczeniu innych cennych zabytków nowskiego kościoła.



Pakiet z relikwiami umieszczony w sepulcrum portatylu (fot. Marta Rogowska-Reszke)

Bibliografia

Brzeziński Daniel, *Aula liturgiczna: ku ponownemu odkrywaniu teologiczno-liturgicznego sensu*, „Teologia i Człowiek. Kwartalnik Wydziału Teologicznego UMK" 2013, nr 3 (23), ss. 137–148; Dziewulski Grzegorz, *Teologiczne podstawy kultu relikwii*, „Łódzkie Studia Teologiczne" 2006, nr 17, ss. 167–183; Kracik Jan, *Przemiany jakościowe kultu relikwii w starożytności i wczesnym średniowieczu*, „Saeculum Christianum. Pismo Historyczno-Społeczne" 1994, t. 1/2, ss. 95–107; Kracik Jan, *Relikwie*, Kraków 2014; Luija Kazimierz, *Symbolika czynności przy poświęceniu ołtarza*, „Poznańskie Studia Teologiczne Uniwersytet im. Adama Mickiewicza" 2003, t. 15, ss. 175–189; Pasierb Janusz Stanisław, *Ołtarz chrześcijański: historia i symbolika*, „Studia Theologica Varsaviensia" 1968, t. 6/2, ss. 17–28; Stróż Anna, *Narodziny kultu relikwii męczenników na Zachodzie*, „U Schyłku Starożytności. Studia Źródłoznawcze" 2015, t. 13, ss. 55–84; Starnawska Maria, *Świętych życie po życiu. Relikwie w kulturze religijnej na ziemiach polskich w średniowieczu*, Warszawa–Siedlce 2008; Sullivan David, *Pojęcie męczeństwa we wczesnym Kościele irlandzkim*, „Ethos" 2001, nr 14, z. 1/2, ss. 211–222; Tejszerska Anna, *Symboliczno-teologiczna wymowa chrześcijańskiego ołtarza w kontekście przeobrażeń jego formy i umiejscowienia, w świetle dokumentów Kościoła, pism Patres Ecclesiae i współczesnych badań*, „TECHNE. Seria Nowa" 2018, nr 1, ss. 55–78. ■

RYSZARD SZWOCH

POWSTANIE STAROGARDZKIE 1846 ROKU
OD KONSPIRACJI DO ODWOŁANEGO ATAKU

Niewielka kociewska wieś Klonówka 180 lat temu stała się miejscem wydarzeń, których następstwa odbiły się szerokim echem, także poza granicami Prus. To właśnie tutaj rozpoczęła się historia zrywu określanego mianem „powstania starogardzkiego". Jego organizatorzy zamierzali włączyć się w przygotowywane na 1846 rok ogólnonarodowe powstanie, które miało objąć ziemie polskie wszystkich trzech zaborów. W Klonówce opracowano plan lokalnej akcji, a głównym ośrodkiem przygotowań stała się miejscowa plebania. Kluczową rolę w gronie konspiratorów odgrywał administrator parafii, ks. Józef Wojciech Łobodzki.

Duchowny włączył się w działalność konspiracyjną już w 1845 roku, gdy na ręce komisarza obwodowego Juliusza Trojanowskiego złożył przysięgę, w której, „biorąc Boga na świadka, zobowiązał się prowadzić agitację wśród swoich rodaków celem zmobilizowania ich do walki za wolność, ojczyznę i religię przeciw Niemcom i Rosji".

Ksiądz Józef W. Łobodzki (1796–1863) udzielał na plebanii gościny emisariuszom Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i konspiratorom przygotowującym Prusy Zachodnie do powstania. W decydującym momencie plebania stała się także siedzibą sztabu, w którym dopracowano ostateczny plan działań. Znaczenie Łobodzkiego wzrosło po utworzeniu obwodu starogardzkiego, jednego z siedmiu powołanych przez naczelne władze powstańcze w Prusach Zachodnich. Za jego pośrednictwem starogardzki komisarz powstańczy miał otrzymywać dalsze rozkazy. Po aresztowaniu komisarza Juliusza Trojanowskiego dalsze losy spisku stanęły pod znakiem zapytania. W styczniu 1846 roku ks. Łobodzki został przesłuchany przez policję, nie przerwał jednak działalności konspiracyjnej. Wkrótce Seweryn Elżanowski zaproponował mu objęcie funkcji komisarza obwodu starogardzkiego. Duchowny jej nie przyjął, zobowiązał się jednak do dalszego prowadzenia przygotowań.

Przez kolejne półtora miesiąca intensywnie rozbudowywał sieć konspiracyjną, wykorzystując znajomość parafii i okolicznych terenów. Do spisku werbował przede wszystkim miejscowych chłopów, przygotowując ich do udziału w wystąpieniu zbrojnym.

Przywódcy przygotowywanego powstania, związani z Towarzystwem Demokratycznym Polskim i krajową konspiracją, wyznaczyli jego rozpoczęcie na noc z 21 na 22 lutego 1846 roku. Do tego terminu dostosowano również przygotowania na Kociewiu.

Wiadomość o braku komisarza obwodu starogardzkiego dotarła do Floriana Ceynowy, chirurga z Królewca, działacza społecznego i narodowego. Jak później wspominał, postanowił „bić się za wolność Polski pod Starogardem". Królewiec opuścił 19 lutego, a następnego dnia przybył do Klonówki, gdzie spotkał się z ks. Łobodzkim. Początkowo występował jedynie jako ochotnik i nie miał formalnej nominacji na komisarza. Po zapoznaniu się z sytuacją, za na-



Pomnik upamiętniający przygotowania do zrywu niepodległościowego chłopów kociewskich w Klonówce, 1846 (fot. Jacek Cherek)



mową duchownego, zdecydował się jednak objąć dowództwo nad akcją.

Nie wiadomo, dlaczego Ceynowa wybrał właśnie Kociewie. Pewne znaczenie mogła mieć obecność jego brata Marcina, w latach 1839–1846 proboszcza w pobliskich Kokoszkowach, a tym samym znajomość miejscowych warunków i ludzi.

Ceynowa miał za sobą ochotniczą służbę wojskową w Królewcu jako chirurg przy jednostce artylerii, nie posiadał jednak doświadczenia w samodzielnym dowodzeniu akcją zbrojną. Jego gotowość do objęcia dowództwa spotkała się z aprobatą ks. Łobodzkiego, który jako duchowny musiał godzić zaangażowanie w konspirację z ograniczeniami wynikającymi z kapłańskiego powołania.

W wąskim gronie spiskowców zgromadzonych na plebanii dopracowano ostateczny plan ataku na Starogard. Wyznaczono dowódców poszczególnych grup, którym polecono zebrać osoby wcześniej zaprzysiężone oraz pozyskać nowych ochotników.

Następnego dnia ks. Łobodzki zwołał naradę, w której uczestniczyli członkowie pięcioosobowego sztabu oraz duchowni z parafii w Subkowach: proboszcz Andrzej



Florian Ceynowa (1817–1881), rys. na podstawie grafiki z Wikipedii (domena publiczna)

S. Pomieczyński i wikary Franciszek Kandyba. Obaj nie znali jeszcze zadań, jakie przewidziano dla nich w przygotowywanej akcji. Przekonywano ich, że udział w wystąpieniu jest konieczny dla obrony starogardzkich katolików, którym – jak twierdzono – mieli zagrażać miejscowi ewangelicy.

Plan zakładał atak na pruski garnizon w Starogardzie, zdobycie broni i koni, zatrzymanie oficerów i urzędników oraz przejęcie kontroli nad strategicznymi punktami miasta. W razie oporu przewidywano użycie broni. Powodzenie akcji miało opierać się przede wszystkim na zaskoczeniu garnizonu podczas nocnego balu karnawałowego.

Ksiądz Łobodzki udzielił uczestnikom odprawy sakramentów, a następnie wraz z członkami miejscowej siatki konspiracyjnej, Michałem Błędzkim i Maciejem Wrzałą, zajął się mobilizacją mieszkańców Klonówki i Najmusów. Zgromadzili blisko trzydziestu ochotników. Duchowny przemówił do nich przed dworem Kalksteinów, po czym odprowadził oddział do folwarku Najmusy. Następnie wrócił na plebanię, powierzając dalsze prowadzenie grupy Błędzkiemu i Wrzale. Także podkomendni Ceynowy udali się do wyznaczonych miejscowości, by pozyskać kolejnych uczestników. Jan Danowski i Jan Frost zwerbowali w Brzeźnie siedmiu ochotników, a Antoni Świtała z Rywałdu zgromadził około sześćdziesięciu osób. Łącznie siły przeznaczone do wyprawy na Starogard liczyły blisko sto osób. Około godziny 22 poszczególne grupy wyruszyły w stronę miasta.

Po północy, już 22 lutego, Ceynowa oczekiwał dowódców oddziałów w umówionym punkcie zbornym przy moście chojnickim. Wkrótce otrzymał jednak niepokojące wiadomości. Dowódca grupy wyznaczonej do opanowania stajni huzarów i unieszkodliwienia wartowników poinformował go, że część uczestników odmawia zabicia żołnierzy. Nie nadeszły także oczekiwane posiłki z Kaszub.

Sytuację pogarszał fakt, że władze pruskie zostały uprzedzone o planowanym ataku i zdołały zabezpieczyć garnizon. Powstańcy utracili więc jeden z najważniejszych atutów – możliwość zaskoczenia przeciwnika. Wobec niewielkich sił, odmowy podjęcia walki przez część uczestników oraz braku posiłków Ceynowa zdecydował się odwołać atak i rozpuścić oddziały.

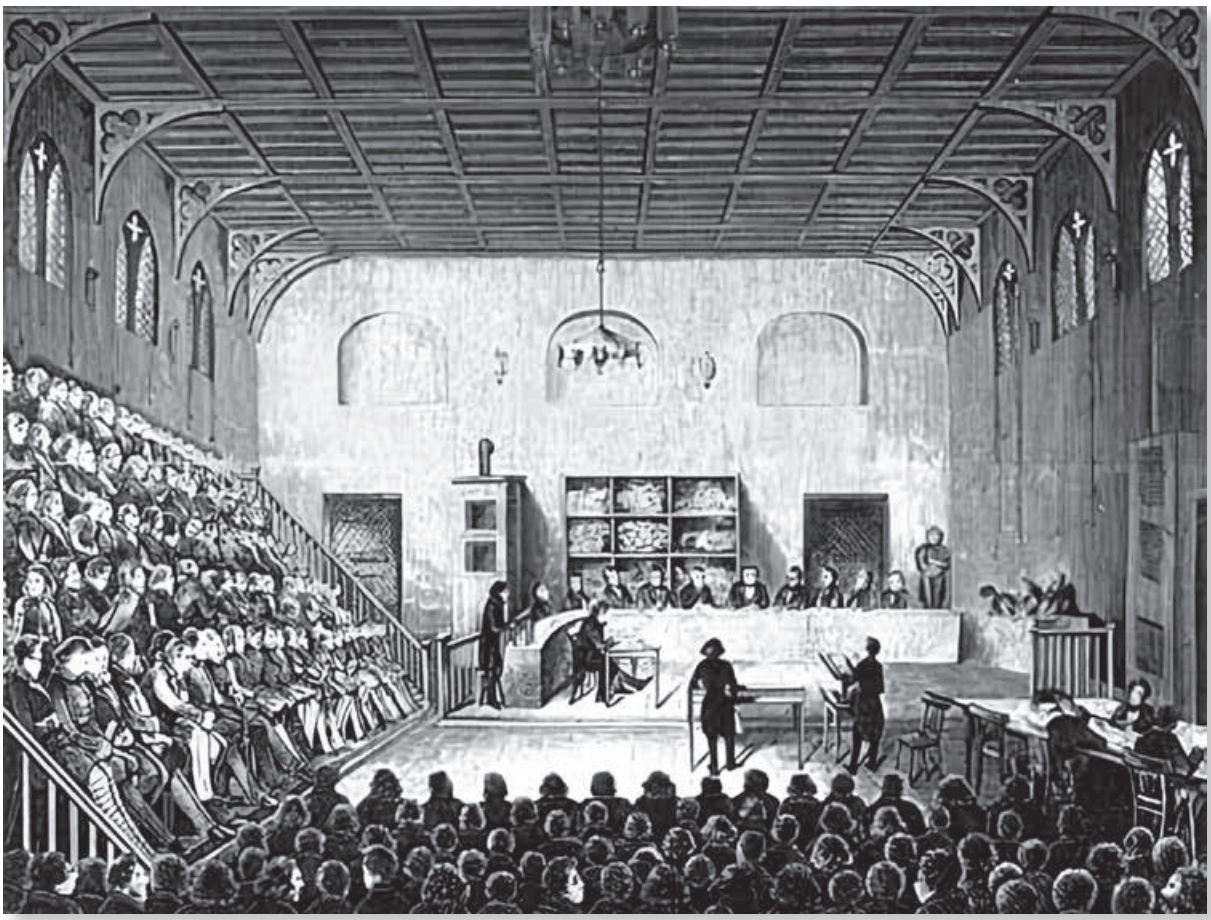
Nocna wyprawa na Starogard z 21 na 22 lutego 1846 roku zakończyła się więc niepowodzeniem jeszcze przed rozpoczęciem właściwej walki. Zadecydowały o tym przede wszystkim wcześniejsze ujawnienie planów spiskowych, przygotowanie pruskiego garnizonu do obrony, słabość sił powstańczych, wycofanie się części uczestników oraz brak oczekiwanego wsparcia z Kaszub.

W kolejnych dniach rozpoczęły się aresztowania. ks. Łobodzkiego zatrzymano 24 lutego i na czas śledztwa osadzono w Grudziądzu, skąd następnie przewieziono go do więzienia Moabit w Berlinie. Do stolicy Prus trafili również Florian Ceynowa oraz inni uczestnicy konspiracji. W 1847 roku stanęli przed sądem w głośnym procesie, w którym łącznie oskarżono 254 osoby o udział w spisku zmierzającym do odbudowy państwa polskiego w granicach z 1772 roku.

Rozprawy rozpoczęły się 2 sierpnia 1847 roku. Był to pierwszy publiczny proces polityczny w Prusach, a ze względu na liczbę oskarżonych i słuchaczy odbywały się w kościele więziennym Moabit.

Proces wzbudził duże zainteresowanie prasy. Liberalny „Deutsche Zeitung", relacjonując jego otwarcie 8 sierpnia 1847 roku, krytycznie odnosił się do polskich dążeń niepodległościowych, zarazem wskazując na krzywdę wyrządzoną Polsce i potrzebę sprawiedliwego traktowania Polaków.

Jedną z głównych postaci procesu był Ludwik Mierosławski. W swoich wystąpieniach bronił prawa Polaków do niepodległości, nadając rozprawie wymiar polityczny



Polski proces w Berlinie przeciwko 254 uczestnikom spisku na ziemiach polskich, „Leipziger Illustrierte Zeitung", grudzień 1847 (Wikipedia, domena publiczna)

wykraczający poza samą sprawę sądową. Jego mowy szybko zaczęły krążyć drukiem – jeszcze w 1847 roku ukazały się m.in. po polsku i francusku, także poza Prusami.

Ksiądz Józef Łobodzki i Florian Ceynowa zeznawali podczas 48. posiedzenia sądu, 14 października 1847 roku. Łobodzki występował po polsku, powołując się na rzekomą nieznajomość języka niemieckiego; po polsku odczytano mu także akt oskarżenia.

Wyrokiem z 2 grudnia 1847 roku ośmiu oskarżonych – wśród nich Ludwika Mierosławskiego, Floriana Ceynowę i ks. Józefa Łobodzkiego – skazano na śmierć przez ścięcie toporem. Wielu innych otrzymało wieloletnie kary więzienia lub twierdzy, część zaś uniewinniono. Wyroków śmierci nie wykonano.

Los więźniów odmieniła rewolucja marcowa w Berlinie. 20 marca 1848 roku, pod naciskiem tłumu zgromadzonego przed pałacem królewskim, Fryderyk Wilhelm IV zgodził się na uwolnienie polskich więźniów politycznych. Wypuszczonych z Moabitu Polaków entuzjastycznie witano na ulicach Berlina.

Ks. Łobodzki nie mógł wrócić już do Klonówki. Po opuszczeniu diecezji chełmińskiej związał się z archidiecezją poznańską. Posługiwał kolejno w Piłce i Iwnie, a następnie w Siedlcu, gdzie zmarł w 1863 roku.

Starogardzka „wyprawa", choć zakończyła się bez podjęcia walki, była częścią szerszych przygotowań powstańczych 1846 roku. Rozgrywała się zarazem w okresie narastających w Europie dążeń narodowych, liberalnych i demokratycznych, które dwa lata później znalazły szeroki wyraz w wydarzeniach Wiosny Ludów. Zryw na Kociewiu pozostaje więc jednym z lokalnych epizodów długiej historii polskich dążeń niepodległościowych. ■

KAZIMIERZ ICKIEWICZ

STULECIE TECHNICZNEGO KSZTAŁCENIA W TCZEWIE

Zespół Szkół Technicznych im. kmdra Antoniego Garnuszewskiego w Tczewie obchodzi w 2026 roku stulecie swojego istnienia. Niewiele szkół może poszczycić się równie długą i bogatą historią. Jubileusz ten stanowi doskonałą okazję, by przypomnieć najważniejsze wydarzenia, osiągnięcia i przemiany, które na przestrzeni stu lat kształtowały dzieje tej tczewskiej placówki szkolnictwa zawodowego.

Zespół Szkół Technicznych w Tczewie został utworzony na mocy uchwały Rady Powiatu Tczewskiego z 27 stycznia 2004 roku w wyniku połączenia Zespołu Szkół Mechanicznych im. Maksymiliana Tytusa Hubera oraz Zespołu Szkół Technicznych i Transportowych im. Alfonsa Runowskiego. Dyrektorem nowo powstałej placówki został mgr Kazimierz Ickiewicz, który kierował szkołą do 2010 roku, kiedy przeszedł na emeryturę. Od 2010 roku funkcję dyrektora Zespołu Szkół Technicznych pełni mgr Czesław Roczyński.

Powstanie „Mechanika”

W latach 20. XX wieku starosta tczewski Wacław Dytkiewicz postanowił utworzyć w Tczewie placówkę, która umożliwiałaby młodzieży zdobywanie wykształcenia zawodowego w różnych specjalnościach. Tak rozpoczęła się historia Zespołu Szkół Mechanicznych, popularnie nazywanego „Mechanikiem”. Dążąc do realizacji tego zamierzenia, Wacław Dytkiewicz nawiązał współpracę z właścicielami miejscowych zakładów rzemieślniczych, przedstawicielami PKP oraz władzami szkolnymi. Przedstawił im koncepcję utworzenia w Tczewie szkoły zawodowej. Ostatecznie zdecydowano, że będzie ona wzorowana na Państwowej Szkole Przemysłowej w Bydgoszczy.

W tym samym czasie powstało Towarzystwo Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej, na którego czele stanął Dytkiewicz. Podjęło ono działania organizacyjne zmierzające do utworzenia nowej placówki. Jednym z najważniejszych problemów było znalezienie dla niej odpowiedniego budynku.

Trudność tę udało się rozwiązać dzięki dyrektorowi Szkoły Morskiej, inż. Antoniemu Garnuszewskiemu, który zaproponował, aby zajęcia odbywały się w gmachu kierowanej przez niego szkoły przy ul. 30 Stycznia 59. W ten sposób przy Szkole Morskiej w Tczewie utworzono pierwszą klasę rzemieślniczą, przygotowującą mechaników okrętowych na potrzeby polskiej marynarki handlowej.

14 kwietnia 1926 roku Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pismem nr III D.R. 1902/26, powołał Szkołę Rzemieślniczo-Przemysłową, która rozpoczęła działalność 1 września tego samego roku. Jej pierwszym dyrektorem został kmdr inż. Antoni Garnuszewski.

Do pierwszej klasy przyjęto 25 uczniów, których kształcono w zawodach ślusarza mechanika i kowala. Przygotowywano ich do pracy w marynarce handlowej oraz kolejnictwie. Z czasem zakres kształcenia rozszerzano, dostosowując go do potrzeb lokalnego przemysłu i kolejnictwa.



Budynek dawnego „Mechanika" przy ul. Sobieskiego w Tczewie, przed 1948 (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

1 września 1929 roku Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa Towarzystwa Rzemieślniczego w Tczewie przeniosła się do własnego budynku przy ul. Sobieskiego 10. Na rok przed wybuchem II wojny światowej została przekształcona w Państwowe Gimnazjum Mechaniczne, co znacząco podniosło jej rangę i prestiż wśród mieszkańców Tczewa.

W czasie okupacji niemieckiej w budynku przy ul. Sobieskiego 10 funkcjonował obóz przejściowy dla polskich więźniów. Wydarzenia te upamiętnia tablica wmurowana w frontową ścianę gmachu.

Wkrótce po zakończeniu II wojny światowej wznowiono działalność Państwowego Gimnazjum Mechanicznego, a jego dyrektorem został Stanisław Gniewosz. W następnych latach szkoła przechodziła liczne zmiany organizacyjne i programowe. 1 września 1950 roku otrzymała nazwę Zasadniczej Szkoły Metalowej, w której funkcjonowały 3 wydziały: mechaniczny, elektryczny i galwanizerski. Po 2 latach placówkę przemianowano na Państwowe Liceum Mechaniczne I stopnia.

W 1953 roku nastąpiła kolejna reorganizacja i szkoła zaczęła funkcjonować jako Zasadnicza Szkoła Zawodowa. Zmianom nazwy towarzyszyły również przekształcenia w strukturze kształcenia. Zlikwidowano najpierw wydział elektryczny, a następnie galwanizerski, stopniowo koncentrując nauczanie na kierunkach mechanicznych.

Ważnym etapem w dalszym rozwoju placówki było utworzenie w 1962 roku 5-letniego Technikum Mechanicznego o specjalności obróbka skrawaniem. Poszerzyło to zakres oferowanego kształcenia zawodowego i otworzyło przed szkołą nowe możliwości rozwoju.

Rosnące zainteresowanie kształceniem w szkole sprawiło, że dotychczasowa baza lokalowa okazała się niewystarczająca. W 1966 roku Technikum Mechaniczne przeniesiono więc do budynku przy ul. Parkowej 1. Obok szkoły dziennej funkcjonowało również Technikum Mechaniczne dla Pracujących.





Od góry: Budynek Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 przy ul. Sobieskiego, 1998; budynek Technikum Mechanicznego przy ul. Parkowej, 2002 (fot. Stanisław Zaczyński / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Dalszy rozwój placówki pociągnął za sobą kolejne zmiany organizacyjne. W 1974 roku Technikum Mechaniczne, Zasadniczą Szkołę Zawodową oraz Technikum Mechaniczne dla Pracujących połączono w jedną jednostkę organizacyjną, która otrzymała nazwę Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Tczewie. Nowo utworzony zespół dysponował

rozbudowaną bazą lokalową. Tworzyły ją budynki przy ul. Sobieskiego i Parkowej, warsztaty szkolne oraz internat mieszczący się przy pl. Wolności, obecnie pl. Hallera.

Ważnym wydarzeniem w dziejach placówki były obchody 50-lecia jej istnienia. Z tej okazji 23 października 1976 roku Zespół Szkół Zawodowych nr 1 otrzymał sztandar. Dwa lata później, 28 października 1978 roku, w budynku przy ul. Parkowej otwarto Izbę Pamięci, w której zgromadzono liczne dokumenty i pamiątki związane z okresem II wojny światowej.

We wrześniu 1981 roku utworzono 3-letnie technikum na podbudowie zasadniczej szkoły zawodowej, kształcące w specjalności naprawa i eksploatacja pojazdów samochodowych.

Podczas obchodów 55-lecia szkoły odbyła się uroczystość nadania jej imienia Maksymiliana Tytusa Hubera – wybitnego uczonego i profesora mechaniki technicznej, zasłużonego dla rozwoju nauk technicznych. Jego dorobek miał znaczenie światowe, a sformułowana przez niego hipoteza wytrzymałościowa znalazła trwałe miejsce w programie kształcenia techników mechanicznych.

W kolejnych latach szkoła nadal rozwijała ofertę kształcenia i unowocześniała bazę dydaktyczną. 1 września 1989 roku w 5-letnim Technikum Mechanicznym wprowadzono specjalność naprawa i eksploatacja pojazdów samochodowych. W tym samym czasie uruchomiono również pracownię komputerową.

Istotne zmiany nastąpiły także w bazie szkolnej. 1 września 1992 roku w budynku Zasadniczej Szkoły Zawodowej oddano do użytku salę audiowizualną, a na parterze gmachu przy ul. Sobieskiego urządzono salę gimnastyczną w pomieszczeniach zaadaptowanych po warsztatach szkolnych. 2 lata później, 1 września 1994 roku, poszerzono ofertę edukacyjną o specjalność mechanik naprawy maszyn i urządzeń oraz utworzono 4-letnie Liceum Zawodowe.

W 1996 roku Zespół Szkół Zawodowych nr 1 obchodził 70-lecie istnienia. Jubileusz uczczono wydaniem publikacji poświęconej historii szkoły.

W 1999 roku warsztaty szkolne zostały wyłączone ze struktur Zespołu Szkół Zawodowych nr 1. Na ich bazie utworzono Centrum Kształcenia Praktycznego w Tczewie.

Największe zmiany organizacyjne nastąpiły w roku szkolnym 2002/2003. Placówka przyjęła wówczas nazwę Zespołu Szkół Mechanicznych im. Maksymiliana Tytusa Hubera. Zrezygnowano z użytkowania budynku przy ul. Sobieskiego, a wszystkie klasy przeniesiono do gmachu przy ul. Parkowej. W tym samym czasie utworzono 3-letnie Liceum Profilowane, prowadzące kształcenie w 2 profilach: mechatronicznym oraz zarządzania informacją.

W ciągu kilkudziesięciu lat działalności szkołą, funkcjonującą pod różnymi nazwami, kierowali kolejni dyrektorzy. W okresie międzywojennym byli to: inż. Antoni Garnuszewski, inż. Jan Stec i inż. Witold Wroczyński. Po II wojnie światowej funkcję tę pełnili: Stanisław Gniewosz, Emil Gabański, Bernard Rezmer, mgr inż. Mieczysław Wysokiński, mgr inż. Roman Kirszling oraz Maciej Dunajski.

Historia „Kolejówki"

Drugą placówką, która dała początek obecnemu Zespołowi Szkół Technicznych w Tczewie, był Zespół Szkół Technicznych i Transportowych. Jego historia rozpoczęła się 1 września 1977 roku, kiedy utworzono Zasadniczą Szkołę Zawodową Przyzakładową Lokomotywowni PKP Zajączkowo Tczewskie z siedzibą w Tczewie.

W 1984 roku, w wyniku zmian organizacyjnych, placówka usamodzielniła się i zaczęła funkcjonować jako Zasadnicza Szkoła Zawodowa PKP i Technikum Kolejowe Ministerstwa Komunikacji. 4 lata później szkoła otrzymała sztandar oraz imię Alfonsa Runowskiego – kolejarza z Szymankowa, który

1 września 1939 roku został zamordowany podczas pełnienia służby. Zapisał się on w historii jako jeden z pierwszych polskich kolejarzy, którzy ponieśli śmierć w pierwszych godzinach II wojny światowej.

Kolejne zmiany organizacyjne nastąpiły w 1993 roku. Placówka funkcjonowała początkowo jako Zasadnicza Szkoła Zawodowa i Technikum Kolejowe, a następnie została przekształcona w Zespół Szkół Kolejowych im. Alfonsa Runowskiego w Tczewie.

Od 1 stycznia 1999 roku placówka podlegała Starostwu Powiatowemu w Tczewie. 1 września 2002 roku przyjęła nazwę Zespołu Szkół Technicznych i Transportowych im. Alfonsa Runowskiego w Tczewie.

Po 25 latach działalności szkoła oferowała kształcenie w kilku typach szkół i zawodach. W Technikum Kolejowym młodzież kształciła się w zawodach: technik budownictwa, technik elektryk, technik mechanik, technik telekomunikacji oraz technik elektronik. Zasadnicza Szkoła Zawodowa przygotowywała do zawodu montera elektronika, natomiast Liceum Profilowane prowadziło nauczanie w profilach elektronicznym i transportowo-spedycyjnym. Ofertę edukacyjną uzupełniała Szkoła Policealna dla Dorosłych, kształcąca w zawodzie technika elektronika.

Łącznie we wszystkich typach szkół kształciło się w tym czasie około 400 uczniów i 60 słuchaczy. Zatrudnionych było 18 nauczycieli w pełnym wymiarze czasu pracy i 24 w niepełnym, a także 4 pracowników administracji i 7 pracowników obsługi. Kierownictwo szkoły stanowili: Kazimierz Ickiewicz – dyrektor, Czesław Roczyński – wicedyrektor ds. dydaktyczno-wychowawczych, Adam Kwaśniewski – kierownik warsztatów oraz Jolanta Chamska – pedagog szkolny.

Od początku działalności placówka mieściła się w budynku przy pl. św. Grzegorza 5, na tczewskiej starówce, stanowiącym własność Skarbu Państwa. Do dyspozycji szkoły pozostawało 11 sal lekcyjnych, nie-



Budynek dawnej „Kolejówki" przy pl. św. Grzegorza, 1994; od 1993 – Zasadnicza Szkoła Zawodowa i Technikum Kolejowe (fot. Stanisław Zaczyński / zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

wielka świetlica oraz pomieszczenia administracyjne.

Drugim obiektem użytkowanym przez szkołę były Warsztaty Szkolne przy ul. Warsztatowej 5. Odbywały się w nich zajęcia praktyczne z zakresu obróbki ręcznej i mechanicznej, a także zajęcia w kuźni i spawalni. W budynku mieściły się również sala gimnastyczna, siłownia, biblioteka szkolna licząca około 15 tys. woluminów oraz specjalistyczne pracownie: komputerowa, elektryczna, urządzeń sterowania ruchem kolejowym i technik lutowniczych. Do dyspozycji uczniów pozostawały ponadto 2 sale lekcyjne, świetlica z zapleczem kuchennym, szatnia oraz umywalnia.

W zależności od kierunku kształcenia uczniowie odbywali praktyki zawodowe również poza warsztatami szkolnymi. Organizowano je m.in. w Zakładzie Napraw Infrastruktury w Gdańsku oraz w tczewskich zakładach przemysłowych: Flextro-

nics International Poland, Metrix SA, Volex SA i Molex SA.

Jednym z ciekawych przedsięwzięć realizowanych w warsztatach szkolnych było wykonanie modelu historycznego mostu tczewskiego. Model ten był eksponowany w Muzeum Techniki w Warszawie, a obecnie znajduje się w Muzeum Wisły w Tczewie.

Ważnym elementem działalności szkoły było również pielęgnowanie tradycji kolejarskich i regionalnych. Szczególne miejsce w jej życiu zajmował Zespół Pieśni i Tańca „Kolejarz", który działał przez około 20 lat i skupiał uczniów szkoły. Jego działalność stanowiła istotny element pracy dydaktyczno-wychowawczej placówki, a zarazem podkreślała przywiązanie do tradycji kolejarskich i kultury regionu pomorskiego. Wyrazem troski o zachowanie pamięci o przeszłości była także działająca w latach 1977–1996 Izba Tradycji, w której gromadzono materiały i pamiątki związane z II wojną światową oraz okresem okupacji w Tczewie.

W ciągu 27 lat działalności, od 1977 do 2004 roku, Zespół Szkół Technicznych i Transportowych w Tczewie wykształcił 2 806 absolwentów. Technikum Kolejowe ukończyły 863 osoby, zdobywając kwalifikacje m.in. w specjalnościach związanych z transportem, budownictwem, elektrotechniką, mechaniką i telekomunikacją.

Zasadniczą Szkołę Kolejową ukończyły 1 943 osoby, przygotowane do pracy w zawodach: operator ruchowo-przewozowy kolei, mechanik urządzeń kolejowych, elektromonter trakcji elektrycznej, elektromonter taboru szynowego, elektromechanik urządzeń sterowania ruchem kolejowym, murarz, blacharz-dekarz, monter nawierzchni kolejowej, mechanik pojazdów samochodowych oraz monter elektronik.

Znaczna część absolwentów Technikum Kolejowego kontynuowała naukę na uczelniach wyższych. Wielu z nich związało swoją drogę zawodową z kolejnictwem, przemysłem, oświatą i samorządem lokalnym, obejmując w tych dziedzinach odpowiedzialne stanowiska.

W latach 1977–2004 istotny wpływ na rozwój placówki i poprawę warunków jej funkcjonowania miały kolejne organy prowadzące: Dyrekcja Generalna PKP, Ministerstwo Transportu i Gospodarki Morskiej w Warszawie oraz Starostwo Powiatowe w Tczewie. O charakterze szkoły i jej osiągnięciach decydowali jednak przede wszystkim nauczyciele, pracownicy, uczniowie oraz ich rodzice. Ważnym wsparciem dla działalności placówki była także Rada Rodziców.

Dorobek i osiągnięcia Zespołu Szkół Technicznych i Transportowych świadczą o ważnej roli, jaką placówka odgrywała w latach 1977–2004. Przez 27 lat działalności szkoła na trwałe wpisała się w historię szkolnictwa kolejowego w Polsce oraz szkolnictwa zawodowego w powiecie tczewskim.

W tym okresie szkołą kierowali kolejno: mgr Stanisław Wilinberg, mgr Roman Milczewski oraz mgr Kazimierz Ickiewicz.

Utworzenie Zespołu Szkół Technicznych w 2004 roku

Gdy w 2004 roku utworzono Zespół Szkół Technicznych w Tczewie, jego dyrektorem został mgr Kazimierz Ickiewicz, a funkcje wicedyrektorów objęli mgr inż. Roman Makowski i mgr Maciej Dunajski.

W pierwszym roku działalności, czyli w roku szkolnym 2004/2005, szkoła prowadziła kształcenie w kilku typach szkół. W 4-letnim Technikum na podbudowie gimnazjum uczniowie kształcili się w zawodach technika mechanika i technika elektryka. 3-letnia Zasadnicza Szkoła Zawodowa, również na podbudowie gimnazjum, przygotowywała do zawodów: mechanik pojazdów samochodowych, elektromechanik pojazdów samochodowych oraz monter elektronik. Funkcjonowało także 3-letnie Technikum Mechaniczne na podbudowie zasadniczej szkoły zawodowej, kształcące w zawodzie technika mechanika. We wszystkich typach

szkół kształciło się wówczas 834 uczniów. Zatrudnionych było 51 nauczycieli oraz 17 pracowników administracji i obsługi.

W kolejnych latach oferta edukacyjna placówki ulegała dalszym zmianom. W roku szkolnym 2006/2007 uruchomiono Szkołę Policealną dla Dorosłych, kształcącą w zawodzie technika informatyka. Jednocześnie zakończyło działalność Technikum Mechaniczne. W Technikum, Liceum Profilowanym i Zasadniczej Szkole Zawodowej uczyło się wówczas 575 uczniów, natomiast do Szkoły Policealnej dla Dorosłych uczęszczało 40 słuchaczy.

Szczególne znaczenie miał rok 2006, w którym obchodzono jubileusz 80-lecia tradycji szkoły, zapoczątkowanej – jak wspomniano – w 1926 roku powołaniem Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej w Tczewie. Główne uroczystości jubileuszowe odbyły się 20 i 21 kwietnia. Ich najważniejszym punktem było nadanie Zespołowi Szkół Technicznych imienia kmdra Antoniego Garnuszewskiego oraz wręczenie szkole nowego sztandaru, ufundowanego przez społeczność szkolną i sponsorów. 20 kwietnia wszyscy uczniowie uczestniczyli w uroczystej akademii, a następnie spotkali się ze swoimi wychowawcami. 21 kwietnia w kościele farnym Podwyższenia Krzyża Świętego kilkunastu księży – absolwentów szkół połączonych w 2004 roku – koncelebrowało Mszę św. dla społeczności szkolnej. Przewodniczył jej ks. Mieczysław Więckowski, który przez 17 lat był katechetą w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 w Tczewie, a homilię wygłosił absolwent szkoły – ks. dr Dariusz Drążek. Podczas dalszej części obchodów przewodniczący Rady Powiatu Tczewskiego Stanisław Ackerman odczytał akt nadania szkole imienia i przekazał go dyrektorowi Kazimierzowi Ickiewiczowi.

W 2010 roku, po przejściu Kazimierza Ickiewicza na emeryturę, dyrektorem szkoły został mgr Czesław Roczyński. Funkcje wicedyrektorów pełnili mgr Andrzej Piotrowski



Kmdr ppor. mgr inż. Antoni Garnuszewski (1886–1964)) podczas wizyty w Tczewie, 1960; od 2006 patron Zespołu Szkół Technicznych w Tczewie (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

i mgr Leszek Różycki. Kolejne lata były okresem dalszego rozwoju placówki. W 2011 roku, 7 lat po utworzeniu Zespołu Szkół Technicznych w obecnym kształcie, szkoła miała już ugruntowaną pozycję wśród szkół ponadgimnazjalnych powiatu tczewskiego. Jej absolwenci byli przygotowani do podjęcia pracy zawodowej, a wielu z nich kontynuowało naukę na studiach technicznych.

W roku szkolnym 2011/2012, w którym obchodzono jubileusz 85-lecia tradycji szkoły, placówka liczyła 19 oddziałów, w których kształciło się około 500 uczniów. W 4-letnim Technikum naukę prowadzono w zawodach: technik pojazdów samochodowych, technik elektryk, technik informatyk oraz technik cyfrowych procesów graficznych. 3-letnia Zasadnicza Szkoła Zawodowa kształciła w zawodach mechanika pojazdów samochodowych i elektromechanika pojazdów samochodowych, natomiast 4-seme-

stralna Szkoła Policealna dla Dorosłych – w zawodzie technika informatyka.

Rozwojowi szkoły towarzyszyła systematyczna modernizacja bazy dydaktycznej. Zajęcia wychowania fizycznego odbywały się w wyremontowanej w 2006 roku sali gimnastycznej oraz siłowni. Placówka dysponowała także dobrze wyposażoną biblioteką z centrum multimedialnym obejmującym 8 stanowisk komputerowych, 6 pracowniami komputerowymi oraz specjalistycznymi pracowniami przeznaczonymi do kształcenia w zawodach elektryczno-elektronicznych i mechaniczno-mechatronicznych.

Uczniowie szkoły odnosili sukcesy w olimpiadach przedmiotowych, konkursach oraz zawodach sportowych, sportowo-obronnych i strzeleckich. W placówce prowadzono również zajęcia pozalekcyjne. Szkoła współpracowała z Zespołem Kształcenia Zawodowego w Tczewie oraz zakładami pracy, w których uczniowie odbywali praktyki zawodowe, m.in. ZKM Veolia Sp. z o.o., Flextronics International Poland, Siemens, EATON Truck i EATON Components.

Rok 2016 był szczególny w życiu i działalności Zespołu Szkół Technicznych w Tczewie. Był to rok jubileuszu – 90. rocznicy istnienia placówki. Obchody 90-lecia stały się okazją do podsumowania osiągnięć placówki, przypomnienia jej dokonań oraz refleksji nad ciągłością historii. O bogactwie tej tradycji świadczą dzieje „Mechanika" i „Kolejówki" – dwóch szkół, które dały początek obecnemu Zespołowi Szkół Technicznych im. kmdra A. Garnuszewskiego w Tczewie.

W 2019 roku rozwiązano Zespół Kształcenia Zawodowego, a jego pracownicy zostali włączeni do Zespołu Szkół Technicznych. W strukturach szkoły znalazły się również Centrum Kształcenia Praktycznego oraz Ośrodek Dokształcania i Doskonalenia Zawodowego. W ten sposób powstała rozbudowana placówka zapewniająca kompleksowe kształcenie zawodowe – zarówno teoretyczne, jak i praktyczne.

W kolejnych latach oferta edukacyjna była systematycznie dostosowywana do potrzeb rynku pracy i zmian zachodzących w szkolnictwie zawodowym. Od roku szkolnego 2021/2022 uczniowie technikum kształcili się m.in. w zawodach technika informatyka, technika grafiki i poligrafii cyfrowej, technika mechanika, technika mechatronika oraz technika pojazdów samochodowych. W roku jubileuszu stulecia szkoła prowadzi kształcenie w zawodach: technik informatyk, technik grafiki i poligrafii cyfrowej, technik mechatronik, technik mechanik CNC oraz technik automatyk sterowania ruchem kolejowym.

Zespół Szkół Technicznych kontynuuje tradycje placówek, które przez dziesięciolecia tworzyły historię tczewskiego szkolnictwa zawodowego. Ich dorobek stał się fundamentem współczesnej szkoły, która rozwija swoją ofertę i dostosowuje ją do zmieniających się potrzeb kształcenia zawodowego.

W roku stulecia kadrę kierowniczą placówki stanowią: mgr Czesław Roczyński – dyrektor, mgr Andrzej Piotrowski i mgr Leszek Różycki – wicedyrektorzy, mgr inż. Monika Machlus – kierownik szkolenia praktycznego, mgr Małgorzata Zimna -Koszczyńska – wicedyrektor ds. CKZ oraz mgr inż. Jarosław Adamski – kierownik warsztatów szkolnych.

Stuletnia tradycja szkoły stanowi ważną część historii lokalnego szkolnictwa zawodowego. W jej murach kształciły się kolejne pokolenia uczniów, zdobywając wiedzę, umiejętności zawodowe i przygotowanie do dalszej drogi życiowej. Na przestrzeni lat zmieniały się nazwy placówek, kierunki kształcenia, programy nauczania i warunki pracy, niezmienny pozostawał jednak podstawowy cel – dobre przygotowanie młodych ludzi do życia zawodowego i społecznego. Dzisiejszy Zespół Szkół Technicznych im. kmdra A. Garnuszewskiego w Tczewie jest spadkobiercą tego dorobku i kontynuuje tradycję zapoczątkowaną w 1926 roku. ■

FRANCISZEK LORKOWSKI

JAN HOŁOGA (1907–1949)
Z DZIEJÓW NOWSKIEJ SPÓŁDZIELCZOŚCI

W 2025 r. Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska w Nowem obchodziła stulecie swojego istnienia. Ta, licząca już ponad wiek, rolnicza kooperatywa godnie kontynuuje tradycje Spółdzielni Handlowo-Rolniczej „Rolnik". Jednym z kierowników „Rolnika" był Jan Hołoga. Jego praca w Nowem przypadała na czas przedwojnia, okupacji i trudnych lat powojennej odbudowy. Warto przypomnieć życiorys tej zasłużonej dla spółdzielczości postaci.

Jan Hołoga urodził się 11 marca 1907 r. w Mieleszynie, na ziemi gnieźnieńskiej. Jego przodkowie – dziadek Andrzej oraz ojciec Wacław – byli młynarzami. Rodzice Jana – wspomniany już Wacław Hołoga oraz Ludwika z Goławskich – pobrali się w 1896 r. w Kicinie. Małżeństwo Hołogów miało liczne potomstwo – cztery córki i czterech synów. Jan Hołoga był ich szóstym dzieckiem. Około 1910 r. rodzina przeprowadziła się do Poznania, gdzie Wacław Hołoga podjął pracę jako urzędnik sądowy.

Od 1913 r. Jan Hołoga kształcił się w szkole powszechnej w Poznaniu. Skończył ją w 1921 r. Naukę kontynuował w poznańskiej Miejskiej Szkole Handlowej, na dwuletnim kursie, który ukończył z wynikiem dobrym[1]. 1 sierpnia 1923 r. Hołoga rozpoczął pracę w Bank Zbożowy Spółka Akcyjna w Poznaniu. Zajmował się tam prowadzeniem kancelarii, a także czynnościami księgowymi. W opinii jego przełożonych czytamy: „Pana Hołogę możemy polecić jako rzetelnego, pilnego i zdolnego pomocnika (...) Jesteśmy przekonani, że p. Hołoga wkrótce wybije się na dzielnego fachowca (...)".

Pracę w Banku Zbożowym zakończył 1 lipca 1927 r. Następnym miejscem zatrudnienia Hołogi była Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa „Rolnik" w Gnieźnie, gdzie wykonywał obowiązki kancelaryjne, a także zadania związane ze sprzedażą i skupem płodów rolnych. Pracę w gnieźnieńskim „Rolniku" zakończył 1 października 1929 r.

Kolejnym miejscem pracy była swarzędzka filia Spółdzielni „Rolnik" z Kostrzyna. Jan Hołoga wykonywał tam zadania podobne do tych na poprzednich stanowiskach, niejednokrotnie zastępując kierownika filii. W świadectwie pracy przełożeni Hołogi napisali: „[Jan Hołoga] był bardzo pracowity, staranny i rzetelny, a prace Jemu powierzone (...) wykonywał ku naszemu najlepszemu zadowoleniu". Od 1 marca 1934 r. Hołoga pracował w „Rolniku" w Lubawie, gdzie był zatrudniony do końca stycznia 1935 r. Częste zmiany miejsc pracy wynikały z chęci zdobycia doświadczenia[2].

W połowie lutego 1935 r. Jan Hołoga rozpoczął pracę w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik" w Nowem[3]. Nowski „Rolnik" zawiązał

[1] Życiorys Jana Hołogi z 24 stycznia 1935 r. (zbiory rodziny Hołoga); F. Lorkowski, *Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa „Rolnik" w Nowem i jej działacze okresu międzywojennego* (mps w zbiorach autora).

[2] Świadectwa pracy Jana Hołogi (zbiory rodz. Hołoga).

[3] Korespondencja między Janem Hołogą a ks. Gustawem Działowskim z 19 stycznia, 6 lutego i 14 lutego 1935 r. (skany w zbiorach autora).



Jan Hołoga wraz ze współpracownikami (fot. ze zbiorów Andrzeja Hołogi)

się 26 lipca 1926 r. Wśród celów statutowych wskazano zakup i sprzedaż płodów oraz artykułów rolnych. Wśród założycieli znaleźli się m.in. ks. dr Gustaw Działowski – proboszcz z Pieniążkowa, Antoni Plefkiewicz z Milewka, Józef Doring z Nowego, Wiktor Lorkowski i Stanisław Wojnowski z Kończyc, Kazimierz Mielcarek z Ostrowitego, Franciszek Karpiński

z Wielkiego Komorska, Ptaszczyński i Antoni Dąbrowski z Nowego. Członkami pierwszego zarządu zostali Marian Niezgodzki, Kazimierz Gołkowski i Wacław Grodzki z Nowego[4].

Jak wskazują dane finansowe, spółdzielnia na początku lat trzydziestych XX wieku rozwijała się dobrze pomimo trwającego Wielkiego Kryzysu gospodarczego. Był to szczególnie trudny okres dla rolników, ponieważ ceny płodów rolnych gwałtownie spadały, ograniczając ich dochody. Na sytuację ekonomiczną miała wpływ zapewne rozważna gospodarka finansowa oraz mocne osadzenie w środowisku lokalnym: wśród miejscowych rolników, posiadaczy ziemskich, przedsiębiorców i rzemieślników. W 1932 r. spółdzielnia liczyła 61 członków[5].

W 1934 r. ks. Działowski, jako przewodniczący rady nadzorczej „Rolnika", rozpoczął poszukiwania nowego kierownika spółdzielni. Nie znamy przyczyn zmiany dotychczasowego kierownictwa. W styczniu 1935 r. nawiązał kontakt z Józefem Sierszeńskim – dyrektorem „Rolnika" w Lubawie. Po zapoznaniu się z życiorysem, referencjami i dotychczasową pracą Jana Hołogi ks. Działdowski postanowił zatrudnić właśnie jego[6].

Po objęciu posady kierownika Hołoga zaangażował się w rozwój nowskiej spółdzielni, poszerzając jej ofertę, co przyniosło firmie dobre wyniki finansowe. W 1937 r. w Nowem Jan Hołoga ożenił się z Magdaleną Sieg, która pochodziła z cenionej w Nowem rodziny stolarskiej.

1 września 1939 r. rozpoczęła się II wojna światowa. Nowe zostało zajęte przez wojska niemieckie 3 września. Rozpoczęła się eksterminacja miejscowej ludności. Czas wojny był również trudny dla „Rolnika". Niemcy aresztowali i zamordowali w nieodległych miejscach kaźni działaczy spółdzielczych, m.in. wieloletniego sekretarza rady nadzorczej Wiktora Lorkowskiego oraz jednego z twórców spółdzielni, Franciszka Karpińskiego[7]. 10 czerwca 1940 r. zmarł ks. Gustaw Działdowski. W marcu 1941 r., w ramach realizacji planu czteroletniego, okupant zarekwirował majątek „Rolnika".

10 kwietnia 1940 r. Jan Hołoga został aresztowany za pomoc partyzantom „Gryfa Pomorskiego". Początkowo osadzono go w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, gdzie otrzymał numer 21549. W obozie Hołoga podawał się za stolarza. Pomagał również innym więźniom – przemycał węgiel, który przeciwdziałał zatruciom organizmu. Współwięźniowie nazywali go „doktorem Janem"[8].

28 maja Hołoga został przeniesiony do obozu w Gusen w północnej Austrii, utworzonego na początku 1940 r. jako podobóz Mauthausen. Był jednym z pierwszych więźniów tego obozu. Jego pobyt przypadł na czas prac związanych z ukończeniem baraków, otwarciem obozu oraz pierwszymi transportami więźniów z obozów Dachau i Sachsenhausen. 2 czerwca został przeniesiony do nieodległego obozu w Mauthausen. Warunki panujące wówczas w Gusen i Mauthausen należały do najcięższych spośród obozów koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy, a śmiertelność była niezwykle wysoka. Jan Hołoga opuścił obóz Mauthausen 24 grudnia 1942 r. i powrócił do Nowego.

W obozach miał status więźnia politycznego[9]. W następnym roku rozpoczął pracę w spółdzielni, działającej już pod niemiecką

4 Dokument rejestracji SHR Rolnik z 17 października 1925 r. (archiwum Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Nowem).

5 W. Kościński, *Nowe nad Wisłą dziennikarskim piórem (1875–1939)*, Gdynia 2021, s. 106–108.

6 Korespondencja między ks. Gustawem Działowskim a Józefem Sierszeńskim z 25 stycznia 1935 r. (skan w zbiorach autora).

7 Lista osób poległych, zamordowanych, zabitych i zmarłych w wyniku II wojny światowej (...), w: Z. Lorkowski, K. Halicki, *Nowe nad Wisłą w okresie międzywojennym, Nowe – dzieje starego miasta*, Nowe–Gdynia 2016, s. 439.

8 Wspomnienia Andrzeja Hołogi (w zbiorach rodzinnych).

9 Pismo Międzynarodowego Biura Poszukiwań w Arolsen z 13 lipca 1977 r. do Magdaleny Hołogi.



Jan Hołoga ze współpracownikami przed budynkiem Rolnika w Nowem, obok samochodu prawdopodobnie marki Opel Super 6

nazwą Raiffeisen, gdzie został zmuszony do przyjęcia III grupy niemieckiej listy narodowościowej (*volkslisty*). Pracę w Raiffeisenie i ostatnie miesiące wojny Jan Hołoga wspominał następująco: „Podczas pracy mej w Raiffeisenie miałem możliwość wspomagania Polaków. Sprzedawałem bez kartek węgiel, zboże siewne jako chlebowe, groch, nawozy sztuczne oraz ziemniaki (...) większe ilości zboża oraz ziemniaków dostarczałem do partyzantów znajdujących się w lasach Lipinki koło Warlubia. Pod koniec lutego 1944 roku wcielony zostałem do służby wojskowej do taboru, a w kwietniu 1945 roku dostałem się do niewoli amerykańskiej, z której powróciłem w październiku 1945 roku. Po powrocie do Polski zorganizowałem Spółdzielnię «Samopomoc Chłopska» w Nowem, sklep żelazny, tekstylny, porcelany, sklepy spożywcze w Rychławie i Ostrowitem, wyremontowałem młyn w Twardej Górze i uruchomiłem go, oraz założyłem Spółdzielnię Spożywców w Nowem".

W połowie 1945 r. reaktywowano Spółdzielnię Rolniczo-Handlową „Rolnik", którą później połączono ze Spółdzielnią Rolniczo-Handlową „Samopomoc Chłopska" w Nowem. Andrzej Hołoga tak wspominał swojego ojca: „Od razu poświęcił się pracy, nie dbając o zdrowie, pomimo że był bardzo chory na serce. Niestety nerwowa praca, ciągłe naciski komunistów sprawiły, że palił 60 papierosów dziennie. (...) W dniu jego śmierci bandyci z UB nakazali mojemu Ojcu zdjąć krzyże ze ścian, czego nie wykonał i widocznie przypłacił to życiem"[10].

Jan Hołoga zmarł nagle 15 czerwca 1949 r., w wieku 42 lat. Został pochowany na cmentarzu w Nowem. ■

[10] Wspomnienia Andrzeja Hołogi (w zbiorach rodzinnych).

ADAM MURAWSKI

PIERWSZY ZJAZD KATOLICKI DIECEZJI CHEŁMIŃSKIEJ W 1924 R.

Tczewska fara była świadkiem wielu ważnych wydarzeń. Jednym z mniej znanych jest wizyta kardynała Edmunda Dalbora (1869–1926), pierwszego prymasa Polski po odzyskaniu niepodległości. Przybył on do Tczewa na Pierwszy Zjazd Katolicki Diecezji Chełmińskiej, który odbywał się od 31 maja do 2 czerwca 1924 r. w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Zjazd na Pomorzu Gdańskim, przez lata poddawanym pruskiej germanizacji i wpływom protestantyzmu, dla miejscowych katolików był okazją do zamanifestowania przywiązania do wiary przodków oraz więzi z Polską, która odzyskała niepodległość po latach zaborów.

Przygotowaniem zjazdu zajęła się Liga Katolicka Pomorska, a jej oddziały parafialne zachęcały wiernych do licznego udziału. W komitecie organizacyjnym znaleźli się m.in.: minister byłej Dzielnicy Pruskiej dr Józef Wybicki (1866–1929), pierwszy starosta krajowy pomorski z siedzibą w Toruniu i przewodniczący Zarządu Głównego Ligi Katolickiej; ks. Jan Nepomucen Zakryś (1875–1935), proboszcz parafii św. Katarzyny w Klonówce i sekretarz generalny Ligi Katolickiej; ks. Bernard Paweł Bączkowski (1884–1939), kuratus parafii św. Józefa w Tczewie i przewodniczący komitetu miejscowego; oraz Leon Formański (1883–1939), redaktor naczelny „Pielgrzyma" i „Dziennika Tczewskiego" oraz sekretarz komitetu miejscowego.

W zjeździe uczestniczyło blisko dwustu dostojników Kościoła katolickiego. Obecni byli m.in. wspomniany już prymas Polski, kard. Edmund Dalbor, arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański; bp Augustyn Rosentreter (1844–1926), ordynariusz diecezji chełmińskiej; abp Edward Ropp (1851–1939), metropolita mohylewski; ks. August Hlond (1881–1948), administrator apostolski Śląska, późniejszy prymas Polski; bp Edward O'Rourke (1876–1943), administrator przyszłej diecezji gdańskiej; infułat Czesław Meysner (1871–1928) z Poznania; bp Jakub Jan Klunder (1849–1927), sufragan diecezji chełmińskiej; ks. Feliks Bolt (1864–1940), senator; ks. Józef Albin Kłos (1870–1938) z Poznania oraz kanonik Stanisław Krzeszkiewicz (1868–1944) z Gniezna.

Wśród uczestników zjazdu była także siostra Józefa Prądzyńska (1862–1924), szarytka ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. W gronie gości świeckich znaleźli się m.in. posłowie Jan Piotr Szturmowski (1887–1936) i Zygmunt Nowicki (1881–1944) oraz dr Dominik Bogocz, starosta starogardzki.

Relacje ze zjazdu ukazywały się na bieżąco w „Pielgrzymie", „Dzienniku Tczewskim", „Słowie Pomorskim", „Gazecie Gdańskiej", „Gazecie Kartuskiej" i „Dzienniku Starogardzkim". Swoich dziennikarzy przysłały również „Gazeta Bydgoska" oraz poznański „Przewodnik Katolicki".

Zjazd Katolicki w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Tczewie rozpoczął się w sobotę 31 maja 1924 r. o godz. 9.00 Mszą w tymczasowym kościele św. Józefa na No-



kard. Edmund Dalbor (1869–1926), od 1915 arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański, pierwszy prymas Polski po odzyskaniu niepodległości (fot. prymaspolski.pl)



bp Augustyn Rosentreter (1844–1926), od 1899 ordynariusz chełmiński (zbiory diec. pelplińskiej)

wym Mieście. Odprawił ją ks. dr August Hlond, administrator apostolski Śląska.

O godz. 14.30 na dworzec w Tczewie przybyli z Pelplina specjalnym wagonem salonowym kard. Edmund Dalbor, bp Augustyn Rosentreter, ordynariusz diecezji chełmińskiej, ks. infułat Czesław Meysner z Poznania oraz bp Jakub Jan Klunder, sufragan diecezji chełmińskiej. Mimo ulewnego deszczu powitały ich tłumy wiernych, duchowni, przedstawiciele władz miasta i powiatu oraz członkowie stowarzyszeń ze sztandarami. Przemówienia powitalne wygłosili ks. Brunon Czapla (1872–1926), proboszcz parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Subkowach oraz dziekan dekanatu tczewskiego, a także dr Jan Licznerski (1901–1975), przewodniczący Rady Miejskiej w Tczewie.

Miasto przystrojono zielenią, kwiatami, chorągwiami oraz emblematami narodowymi i kościelnymi; ustawiono również bramy triumfalne. Z dworca goście przeszli w pochodzie do kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego przy dźwiękach orkiestry 65 Starogardzkiego Pułku Piechoty i Kolejowej Orkiestry Dętej z Tczewa.

W tczewskiej farze uroczyście powitano prymasa Polski, kard. Edmunda Dalbora, oraz bp. Augustyna Rosentretera. Jako pierwszy przemówił gospodarz świątyni, 83-letni prałat Robert Fabian Sawicki (1841–1925), proboszcz parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Mówił jednak tak cicho, że zgromadzonym trudno było go usłyszeć. Następnie bp Rosentreter zaintonował hymn „Veni Creator Spiritus" („O Stworzycielu, Duchu, przyjdź"). W jego wykonaniu uczestniczył Chór Towarzystwa Czeladzi Katolickiej pod dyrekcją Pawła Wardackiego. Autorstwo hymnu przypisuje się niekiedy Rabanowi Maurowi (ok. 780–856), benedyktynowi i arcybiskupowi Moguncji.

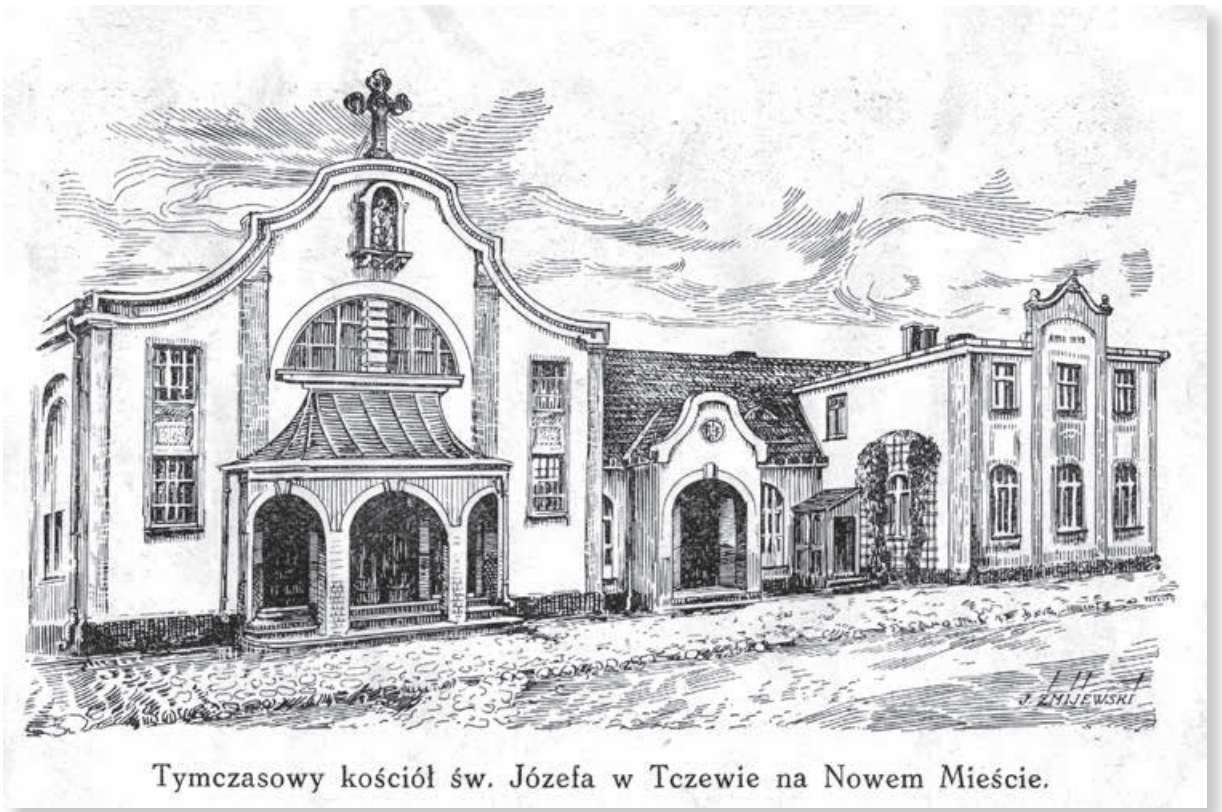
O godz. 16.00 w dużej sali Domu Miejskiego rozpoczęło się pierwsze posiedzenie plenarne zjazdu. Otworzył je wspomniany dr Józef Wybicki. W przemówieniu przedstawił cel i znaczenie Pierwszego Zjazdu Katolickiego na Pomorzu oraz złożył bp. Augustynowi Rosentreterowi życzenia z okazji 25-lecia posługi biskupiej. Na zakończenie Wybicki wzniósł okrzyk na cześć papieża Piusa XI i prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. Wyjaśniał, że „jeden i drugi bardzo sercom naszym bliski. Pierwszy, bo z Polski prawie wprost poszedł na Stolicę Piotrową, a drugi, bo w każdym mieście lub

siole, do którego przybywa, prawie zawsze kieruje swoje kroki do świątyni".

Po otwarciu obrad wybrano władze zjazdu. Marszałkiem został senator Leon Janta-Połczyński (1867–1961), a wicemarszałkami Edward Jackowski (1877–1938), prezes Sądu Okręgowego w Starogardzie Gdańskim, oraz Stanisław Wilga z Tczewa. Funkcje sekretarzy powierzono prof. Majewskiemu, inspektorowi szkolnemu Leonowi Chrościckiemu z Kościerzyny, ks. Alojzemu Józefowi Rapiorowi (1893–1939), redaktorowi Bonifacemu Chmielewskiemu (1885–1933) z Pelplina oraz Kazańskiemu z Kościerzyny, którego imienia nie udało się ustalić.

Gdy prezydium zajęło miejsca, rozpoczęły się przemówienia powitalne. Pierwszy zabrał głos bp Augustyn Rosentreter, ordynariusz diecezji chełmińskiej i protektor zjazdu. Słuchano go ze szczególną uwagą: był jedynym w ówczesnej Polsce biskupem narodowości niemieckiej. Zebrani czekali na jego słowa, ciekawi, jak powita zjazd katolicki na polskim Pomorzu – ziemi, która jeszcze niedawno należała do Niemiec.

W ocenie większości zgromadzonych bp Augustyn Rosentreter przemawiał jako biskup wierny Kościołowi i szczerze lojalny wobec państwa polskiego: „Kiedy przeważna część diecezji chełmińskiej zrządzeniem Opatrzności przypadła do Polski, upominałem wiernych w liście pasterskim, aby byli posłuszni zwierzchności, bo tak nakazuje sumienie. Gdy Opatrzność Boska znowu złączyła i wskrzesiła państwo polskie, nie dziw, że Polacy, którzy znosili cierpienia i udręki, dziś się radują. Niech jednak pamiętają, że winni spłacić Bogu dług wdzięczności, a stanie się to, jeżeli Polska świadoma będzie swojego posłannictwa i jak dawniej będzie przedmurzem chrześci-



Tymczasowy kościół św. Józefa w Tczewie na Nowem Mieście.

Miejsce wykorzystywane przez Zjazd Katolicki: dawny Dom św. Józefa przy ul. Gdańskiej, który od 1909 roku należał do Stowarzyszenia Czeladzi Katolickiej, a od 1920 roku pełnił funkcję tymczasowego kościoła św. Józefa na Nowym Mieście w Tczewie (źródło: statut Komitetu Budowy Kościoła)

jaństwa na Wschodzie. Spełni je zaś ona, gdy całe życie publiczne przesiąknięte będzie zasadami katolickimi we wszystkich swych przejawach. Nie tylko katolicyzmowi, ale i państwu przez to oddamy największą zasługę. Boć nie bolszewizm ani socjalizm, lecz tylko chrześcijanizm zapewnić może państwu pomyślny rozwój. Gotowi do oddania państwu wszystkiego, mamy prawo jako katolicy żądać poszanowania praw Kościoła, niezależności i wolności w zakresie czysto religijnym". Na zakończenie przemówienia bp Rosentreter udzielił zgromadzonym błogosławieństwa apostolskiego w imieniu papieża Piusa XI.

Po bp. Rosentreterze głos zabrał prymas Polski, kard. Edmund Dalbor. Mówił o duchowej więzi Kościoła na ziemiach polskich, przywołując misję św. Wojciecha w Prusach, jego męczeństwo i sprowadzenie ciała do Polski. ks. dr August Hlond, administrator apostolski Śląska, mówił z kolei o odrodzeniu religijnym Górnoślązaków oraz ich pragnieniu więzi z archidiecezją poznańską i resztą kraju. W imieniu Polaków i katolików mieszkających w Rosji uczestników zjazdu powitał abp Edward Ropp, metropolita mohylewski.

Następnie przemawiali przedstawiciele władz i gospodarzy zjazdu: wicewojewoda Piotr Wojda (1877–1940) w imieniu rządu, gen. Leonard Kazimierz Skierski (1866–1940) w imieniu wojska, starosta tczewski Wacław Dytkiewicz (1866–1939) w imieniu mieszkańców powiatu oraz burmistrz Stefan Wojczyński w imieniu mieszkańców Tczewa. Głos zabrał również ks. Bernard Paweł Bączkowski, przewodniczący miejscowego komitetu wykonawczego.

Po części oficjalnej rozpoczęto obrady merytoryczne. Pierwszy referat, zatytułowany „Rola katolicyzmu w Polsce obecnej



Miejsce nabożeństw i liturgii podczas I Zjazdu Katolickiego w Tczewie – kościół Podwyższenia Krzyża Świętego na początku XX wieku (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)



Prymas Polski kard. Edmund Dalbor z siostrami szarytkami podczas wcześniejszej wizyty w Szpitalu św. Wincentego à Paulo w Tczewie, prowadzonym przez zgromadzenie od 1884 roku. Pierwsza z prawej, obok kardynała, stoi s. Amalia Beuge (1884–1925), przełożona tczewskiego domu zakonnego; pierwsza z lewej – s. Józefa Prądzyńska, wizytatorka z Chełmna (zbiory Mariusza Komorowskiego)

doby z uwzględnieniem Pomorza", wygłosił dr Paweł Gantkowski (1869–1938), profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Poznańskiego i prezes poznańskiej Ligi Katolickiej. Słuchacze docenili jego swadę i język, a także świadectwo przywiązania do Kościoła płynące z ust świeckiego mówcy.

Kolejny referat, „O znaczeniu bractw i towarzystw kościelnych w dobie obecnej", przedstawił ks. Bernard Franciszek Dembek (1878–1937), proboszcz parafii św. Mikołaja w Grudziądzu i dziekan dekanatu grudziądzkiego, późniejszy biskup pomocniczy diecezji łomżyńskiej. Zwracając się do duchownych i świeckich, wzywał do organizowania wszystkich środowisk diecezji chełmińskiej na gruncie katolickim, za przykładem innych diecezji.

Po obradach plenarnych uczestnicy spotkali się w grupach skupiających przedstawicieli związków i stowarzyszeń młodzieżowych, duchownych, prefektów oraz abstynentów. Pracowali nad rezolucjami, które miały wyrazić stanowisko zjazdu i służyć społeczeństwu za wskazówkę.

Pierwszy dzień zjazdu zakończyły wydarzenia w mieście. O godz. 19.30 w dużej sali Domu Miejskiego część gości obejrzała „Króla a biskupa" – czteroaktową sztukę historyczną napisaną w 1914 r. przez ks. kan. Ignacego Ziembę, proboszcza parafii w Jodłowej, malarza i poetę. Pozostali uczestniczyli w pochodach ulicami Tczewa przy dźwiękach orkiestry wojskowej oraz orkiestr stowarzyszeń biorących udział w zjeździe.



Pocztówka okolicznościowa wydana z okazji I Zjazdu Katolickiego w Tczewie (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Drugi dzień Zjazdu Katolickiego, niedziela 1 czerwca 1924 r., przywitał uczestników słońcem. O godz. 8.00 na tczewskim rynku rozpoczęła się uroczysta Msza św. pod przewodnictwem prymasa Polski, kard. Edmunda Dalbora. Homilię wygłosił ks. kan. Aleksander Kupczyński, proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Wielkim Garcu (od 1926 r. proboszcz fary tczewskiej). Śpiew prowadził Chór Katedralny z Pelplina pod batutą ks. prof. Szymona Dreszlera (1897–1964). W liturgii uczestniczyło około 10 tys. wiernych. Wypełnili rynek i przyległe ulice, a nad tłumem powiewało ponad sto sztandarów stowarzyszeń kościelnych i świeckich[1].

Równocześnie z Mszą św. na rynku, o godz. 8.00, w tczewskiej farze bp Jakub Jan Klunder, sufragan diecezji chełmińskiej, odprawił Mszę św. dla dzieci. Homilię wygłosił ks. Edmund Fittkau (1883–1939), proboszcz parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Pucku.

Przed południem uczestnicy wrócili do obrad. O godz. 10.00 ks. kan. Aleksander Kupczyński otworzył zebranie delegatów Związku Towarzystw Ludowych. Referat „Towarzystwo Ludowe a praca dla Boga i Ojczyzny" wygłosił ks. Władysław Karpiński (1870–1939), proboszcz parafii św. Rocha w Osieku. Równocześnie odbywał się wiec rodzicielski pod przewodnictwem posła Zygmunta Nowickiego. Przemawiali na nim kard. Edmund Dalbor i ks. senator Feliks Bolt, pochodzący z Barłożna. Referat przedstawił również dr Zegarski.

Po obiedzie wydanym przez miejscowy komitet o godz. 15.00 rozpoczęło się posiedzenie plenarne. Jako pierwszy wystąpił ks. prałat Józef Prądzyński (1877–1942), sekretarz generalny Związku Kapłanów „Unitas" i poznańskiej Ligi Katolickiej. Wygłosił referat „Nasze wymagania katolickie w stosunku do państwa". Po nim prof. Pohlmann z Wejherowa mówił na temat „Czego

[1] Dane według „Gazety Bydgoskiej" nr 130 z 05.06.1924 r., s. 4.

od nas domaga się młodzież katolicka". O godz. 17.00 ze Starego Miasta wyruszył pochód w kierunku Nowego Miasta. Według relacji wzięło w nim udział ponad 10 tys. osób, 200 sztandarów i pięć orkiestr. Na czele jechał wóz zaprzężony w cztery siwe konie. Uczestników, idących wśród wiwatów publiczności, pozdrawiali z balkonu Domu Miejskiego biskupi z prymasem Polski, kard. Edmundem Dalborem, na czele.

Po około 45 minutach pochód dotarł do tymczasowego kościoła św. Józefa na Nowym Mieście. Tam okolicznościowe kazanie wygłosił ks. Józef Wysiński (1872–1936), proboszcz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Toruniu. Uczestnicy zaśpiewali „My chcemy Boga", po czym pochód się zakończył.

Wieczorem w dużej sali Domu Miejskiego ponownie wystawiono „Króla a biskupa". Spektakl obejrzeli goście, którzy nie widzieli go poprzedniego dnia. O godz. 20.30 w Strzelnicy rozpoczął się raut dla przedstawicieli władz, przewodniczących związków i towarzystw oraz członków komitetów. Zakończył on drugi dzień zjazdu.

Trzeci dzień Zjazdu Katolickiego, poniedziałek 2 czerwca 1924 r., rozpoczął się o godz. 8.00 uroczystym nabożeństwem misyjnym pod przewodnictwem ks. dr. Augusta Hlonda, administratora apostolskiego Śląska. Kazanie wygłosił (zamiast werbisty o. Tomasz Puchały) ks. Jurkiewicz z Bruczkowa. Śpiew prowadziło Towarzystwo św. Cecylii z tczewskiego Nowego Miasta pod dyrekcją Zielińskiego. Po nabożeństwie odbył się wiec Ligi Katolickiej. Prof. Kazimierz Krotoski (1860–1937) z Poznania wygłosił wykład pt. „Apostolstwo ludzi świeckich w sprawie katolickiej". Po wiecu trwały obrady poszczególnych związków. O godz. 12.00 rozpoczęło się trzecie posiedzenie plenarne, podczas którego były wiceminister Adam Poszwiński (1881–1942) wygłosił referat „Kościół narodowy czy katolicki?". Następnie uczestnicy z małymi poprawkami przyjęli rezolucje I Zjazdu Katolickiego Diecezji Chełmińskiej. Obrady zamknęło przemówienie marszałka zjazdu, senatora Leona Janty-Połczyńskiego.

Uczestnicy przeszli potem w pochodzie do tczewskiej fary. Tam kard. Edmund Dalbor zaintonował hymn „Te Deum" („Ciebie, Boga, wysławiamy"), a śpiew podjął chór zgromadzony na emporze.

W poniedziałkowe popołudnie doszło do tragicznego zdarzenia. Jak podała „Gazeta Bydgoska" z 12 czerwca 1924 r., siostra wizytatorka Józefa Prądzyńska, która przyjechała z Chełmna na zjazd, zmarła podczas spotkania z kard. Edmundem Dalborem. Chciała prosić prymasa o błogosławieństwo dla swego zgromadzenia. Według relacji prasowej nagle zasłabła w trakcie rozmowy; kardynał udzielił jej absolucji, a jego kapelan – namaszczenia.

Skala zjazdu staje się wyraźniejsza, gdy spojrzymy na niego w kontekście innych ważnych wydarzeń, które Tczew gościł w pierwszych latach po powrocie Pomorza Gdańskiego do Polski. W 1920 r. przybył tu gen. Józef Haller, a w 1923 r. – prezydent Stanisław Wojciechowski. Trzydniowy I Zjazd Katolicki Diecezji Chełmińskiej, zorganizowany na przełomie maja i czerwca 1924 r., wyróżniał się rozmachem i liczbą uczestników. Był publicznym wyrazem wiary mieszkańców Tczewa i Pomorza, a zarazem ich więzi z odrodzoną Polską. O znaczeniu, jakie mu przypisywano, świadczy również okolicznościowa pocztówka upamiętniająca wizytę prymasa Polski w Tczewie.

Zjazd ten pokazał, że po odzyskaniu niepodległości Kościół tworzyli nie tylko duchowni. Współtworzyli go także świeccy, którzy przez swoje stowarzyszenia chcieli kształtować życie nowej, polskiej społeczności Pomorza.

O I Zjeździe Katolickim w Tczewie informował „Pielgrzym" 1924, nr 67–68. „Gazeta Bydgoska" 1924, nr 130 i 135; „Przewodnik Katolicki" 1924, nr 22, 24 i 25. ■



fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

JAKUB BORKOWICZ

KRADZIEŻE NA WSI W POWIECIE STAROGARDZKIM W MIĘDZYWOJNIU

Przestępczość pospolita, zwłaszcza kradzieże i włamania, stanowiła w latach 1920–1939 poważne wyzwanie dla władz i mieszkańców powiatu starogardzkiego.

Na jej nasilenie wpływały czynniki polityczne, społeczne i ekonomiczne. Szczególnie dotkliwie odczuwali ją mieszkańcy wsi, gdzie przestępczości sprzyjały niewielka obsada posterunków Policji Państwowej oraz zubożenie miejscowej ludności. Obraz sytuacji dają sprawozdania o stanie bezpieczeństwa publicznego zachowane w aktach Starostwa Powiatowego w Starogardzie Gdańskim (tab. 1). Choć nie zachowały się wszystkie statystyki, dostępne dane pozwalają ocenić skalę problemu. Świadczą o nim również doniesienia prasowe. W „Pielgrzymie" z 5 stycznia 1932 roku (nr 5) pisano o licznych kradzieżach w Pinczynie, gdzie „w styczniu 1932 roku było aż 12 kradzieży i nie ma chwili spokoju dla gospodarzy". W sprawozdaniach Starostwa Powiatowego w Starogardzie Gdańskim wskazywano kilka przyczyn złego stanu bezpieczeństwa:

- migrację osób poszukujących pracy w Gdyni i Wolnym Mieście Gdańsku, z których część dopuszczała się po drodze kradzieży;
- wzrost bezrobocia i ogólne zubożenie ludności;
- zbyt małą obsadę posterunków Policji Państwowej. Wobec niewielkiej obsady posterunków w wielu gromadach

Tab. 1. Liczba kradzieży w gospodarstwach wiejskich powiatu starogardzkiego w latach 1921–1938

Rok	Liczba kradzieży
1921	15
1928	24
1929	71
1930	151
1931	163
1932	214
1933	675
1934	740
1935	611
1936	690
1937	449
1938	409

Źródło: Akta Starostwa Powiatowego w Starogardzie Gdańskim (Archiwum Państwowe w Gdańsku)

ustanawiano stróżów opłacanych ze składek mieszkańców. Niekiedy gospodarze sami pilnowali swojego dobytku[1].

Na zbyt małą liczbę policjantów jako jedną z ważniejszych przyczyn wzrostu liczby kradzieży wielokrotnie zwracano uwagę również w prasie codziennej. W artykule opublikowanym 23 stycznia 1932 roku „Pielgrzym" informował, że mieszkańcy Borkowa, zaniepokojeni kradzieżami, domagali się zwiększenia obsady posterunku Policji Państwowej. Z kolei w 1928 roku mieszkańcy Skórcza kupili z własnych środków psa tropiącego dla policji, aby pomóc w zwalczaniu kradzieży[2].

Pomimo starań Policji Państwowej wiele kradzieży pozostawało niewykrytych, na co wskazują przytoczone w tab. 2 staty-



Starogard.

Przytrzymanie niebezpiecznego złodzieja. Jak już donieśliśmy dokonano w jasny dzień śmiałego włamania do mieszkania sekretarza sądowego p. Michalaka. Obecnie przytrzymano złodzieja, który nazywa się Żabiński i pochodzi z Grudziądza. Na szosie niedaleko Jabłowa przytrzymała go policja, gdy Starogard opuścił, niosąc swój łup we worku na plecach. Złodzieja odstawiono do więzienia, a przy nim znalezione rzeczy zwrócono poszkodowanemu.

Dla przestrogi. Pewna około 8-letnia dziewczynka wracała z miasta, gdzie uczyniła zakupy, trzymując resztę pieniędzy w ręku. Będąc już na schodach blisko mieszkania, podeszła do niej jakaś jej nieznana 12-letnia dziewczyna i odebrała jej całą gotówkę. Więc ostrożnie przy dawaniu dzieciom gotówki.

Wilcze Błota p. starogardzki

Napad rabunkowy. Dnia 6 bm. napadnięty został pewien gospodarz niedaleko wioski przez jakiegoś nieznajomego opryszka w celach rabunkowych. Na szczęście przejeżdżał w tej chwili posterunkowy pp., na skutek czego zbrodniarz uciekł, pozostawiając swą czapkę, która przyczyni się do wykrycia sprawcy.

Skórcz pow. starogardzki.

Zakupiono psa policyjnego. Ponieważ w ostatnim czasie kradzieże drobiu się mnożyły w zastraszający sposób, kilka tutejszych obywateli zakupiło z własnych funduszów psa policyjnego, którego oddano do dyspozycji tutejszego posterunku p. p.

Piesinica pow. starogardzki.

Stóg dwa razy sprzedany. Swego czasu sprzedał jeden z kupców stóg słomy, biorąc za to tylko zadatek. Po pewnym czasie sprzedał ten sam stóg komuś innemu, który zapłacił całą należytość. Pierwszy właściciel zabrał się do zwożenia kupionej słomy. Na drugi dzień przyjechał drugi właściciel tego stogu, gdy pierwszy już miał załadowany wóz. W pierwszej chwili sądzili obaj, że jest to kradzież. W końcu odstąpił drugi właściciel od swych praw własności, przyznając pierwszemu pierwszeństwo

„Gazeta Bydgoska", 11.03.1928, nr 59, s. 8

styki sporządzone przez Starostwo Powiatowe.

Choć statystyki nie obejmują wszystkich lat i miesięcy, ukazują trudności, z jakimi Policja Państwowa mierzyła się, zwalczając kradzieże w powiecie starogardzkim.

Na wzrost liczby kradzieży w latach trzydziestych mogły wpływać bezrobocie i zu-

[1] APG, Starostwo Powiatowe w Starogardzie Gdańskim, Sprawozdania sytuacyjne tygodniowe i miesięczne z ruchu politycznego, narodowościowego, wyznaniowego i prasowego, wywrotowego, zawodowego i stanu bezpieczeństwa publicznego na terenie powiatu 1930-1932, 1632/20 s. 6, 8, 128-129.

[2] „Gazeta Bydgoska", 11.03.1928, nr 59.

Tab. 2. Wykrywalność kradzieży w gospodarstwach wiejskich powiatu starogardzkiego w latach 1921–1938

Rok	Liczb kradzieży ogółem	Kradzieże wykryte	Wykrywalność [w %]
1921	16	6	37,50
1926	34	17	50,00
1929	109	29	26,61
1930	48	25	52,08
1931	157	91	57,96
1932	54	17	31,48
1934	149	71	47,65
1935	92	35	38,04
1936	61	30	49,18

Źródło: Akta Starostwa Powiatowego w Starogardzie Gdańskim (Archiwum Państwowe w Gdańsku)

bożenie ludności związane z Wielkim Kryzysem, które pogarszały warunki życia mieszkańców.

Kradzieże były dla mieszkańców szczególnie uciążliwe, ponieważ łupem złodziei padały rozmaite składniki ich dobytku. Gospodarzom kradziono zwierzęta hodowlane – kury, gęsi, świnie, perliczki, konie i owce – a nawet ule z pszczołami. Skradzione zwierzęta sprzedawano innym gospodarzom lub zabijano.

Przykładowo w marcu 1932 roku w Rzężęcinie rolnikowi skradziono trzy świnie, które następnie upieczono w piecu miejscowej cegielni[3]. W sierpniu 1929 roku we wsi Wysokie złodzieje ukradli owcę i zabili ją na łące. O ich zuchwałości świadczy pozostawiona kartka, na której napisali, że owca była dobra i wrócą po kolejne[4].

Kradziono również zboże. W lutym 1932 roku z majątku Borkowo zginęło 10 cetnarów pszenicy, a z majątku Gąsiorek – 10 cetnarów pszenicy, groch oraz worek koniczyny[5]. Podczas żniw złodzieje zabierali także snopki pozostawione na polach. W sierpniu 1931 roku w Bytonii i Suminie dwóm gospodarzom skradziono łącznie 210 snopków zboża[6].

Dotkliwe dla mieszkańców wsi były także włamania do domów. Złodzieje zabierali pieniądze, przedmioty codziennego użytku, odzież, pościel i bieliznę. Z domu S. w Borzechowie wynieśli dwanaście pierzyn, bieliznę, srebrne naczynia i porcelanę[7]. Z kolei jednemu z gospodarzy we Wysokiej skradziono niemal cały dobytek – pozostawiono jedynie meble[8].

Sprawcy kradli zwierzęta i zboże bezpośrednio z gospodarstw oraz pól, a do budynków dostawali się przez dachy, otwory w murach lub wyłamane drzwi. Zdarzało się, że grozili gospodarzom bronią. Skradzione przedmioty ukrywali w ziemi, zbożu lub własnych domach, po czym sprzedawali je kupcom, rzeźnikom i innym gospodarzom.

Nabywcy nie zawsze wiedzieli o ich pochodzeniu. W czerwcu 1932 roku przed sądem stanęło 37 mieszkańców powiatu starogardzkiego, którzy kupili skradzione ubrania od grupy złodziei, do której

3 „Słowo Pomorskie", 18.03.1932, nr 65.
4 „Słowo Pomorskie", 08.12.1929, nr 284.
5 „Słowo Pomorskie", 14.02.1932., nr 36.
6 „Słowo Pomorskie", 09.08.1931, nr 182; 15.08.1931, nr 187.
7 „Pielgrzym", 17.12.1931, nr 151.
8 „Słowo Pomorskie", 08.12.1929, nr 284.

należeli Franciszek i Jan B. Grupa działała od 1931 roku na terenie powiatów kościerskiego, tczewskiego i starogardzkiego[9].

Kradzieży na wsiach powiatu starogardzkiego dokonywały zarówno pojedyncze osoby, jak i zorganizowane grupy. Wśród sprawców byli mieszkańcy okolicy, w tym osoby wcześniej skazane za podobne przestępstwa.

Prasa wiązała kradzieże także z bezrobociem i migracją zarobkową. Przykładowo dom gminny w Zblewie, z którego korzystali najubożsi mieszkańcy wsi, przedstawiano jako miejsce przebywania złodziei. „Słowo Pomorskie" z 30 grudnia 1932 roku wspominało z kolei o sprawcach przybyłych z innych części Polski w poszukiwaniu pracy na Pomorzu[10].

Szczególne zagrożenie dla gospodarzy stanowiły grupy działające na terenie powiatu starogardzkiego i powiatów sąsiednich. Znajomość okolicy ułatwiała im unikanie zatrzymania. W grupach tych działali zarówno sprawcy kradzieży, jak i paserzy zajmujący się zbywaniem łupów.

Jedną z takich grup była szajka z Lipinek Szlacheckich, rozbita w 1924 roku. Liczyła 14 mieszkańców wsi; według doniesień należał do niej także sołtys. Działała od 1919 roku. Podczas napadów jej członkowie przebierali się w mundury Grenzschutzu. Część stała na czatach, pozostali dokonywali kradzieży, a łupy trafiały do paserów w Tczewie[11]. Grupę wiązano również z co najmniej dwoma zabójstwami.

W grudniu 1937 roku w Zblewie policja zatrzymała po dłuższej walce pięciu członków grupy złodziei mieszkających w Zblewie i Czarnym Lesie. Podczas rewizji znaleziono przedmioty pochodzące z kradzieży oraz narzędzia używane do włamań, w tym łom i nóż rzeźnicki. Znaleziono także mięso i marynarki poplamione krwią świń. Zatrzymano ponadto dwóch paserów: jeden skupował drób, drugi, z zawodu rzeźnik, mięso świń. Grupa działała w powiatach starogardzkim i kościerskim[12].

W 1936 roku rozbito również grupę Władysława S. ze Starogardu, do której należeli jego krewni zajmujący się paserstwem. Przypisywano jej między innymi kradzieże w domach dwóch gospodarzy z Pinczyna, którym zabrano gramofon i zegarki. Ofiarami grupy padli także gospodarze z Bobowa, Koteż, Kręgu i wsi Piece[13].

Podczas działań przeciwko grupom złodziei dochodziło także do strzelanin. W nocy z 23 na 24 [miesiąc] 1930 roku trzej mężczyźni próbowali napaść na gospodarstwo w Bobowie. Policja dowiedziała się o planowanym napadzie od informatora i skierowała na miejsce pięciu funkcjonariuszy. Podczas próby napadu jeden ze sprawców zginął od strzału, a pozostali uciekli[14].

W lipcu 1931 roku policjanci z posterunku w Zblewie podczas nocnych obław rozbili sześcioosobową grupę, której przypisywano liczne kradzieże w powiatach starogardzkim, chojnickim i kościerskim[15].

W świetle przedstawionych źródeł poprawie bezpieczeństwa mogło sprzyjać zwiększenie liczby funkcjonariuszy na terenach wiejskich, zwłaszcza tam, gdzie mieszkańcy zgłaszali powtarzające się kradzieże. Ważna byłaby również współpraca policji z sąsiednimi powiatami, ponieważ część grup działała poza granicami jednego powiatu. Samo ściganie sprawców nie usuwałoby jednak wszystkich przyczyn problemu. Ograniczenie bezrobocia i pomoc najuboższym mieszkańcom mogły zmniejszyć presję ekonomiczną, którą współczesne sprawozdania i prasa wiązały ze wzrostem liczby kradzieży. ■

9 „Pielgrzym", 01.06.1932, nr 68.
10 „Słowo Pomorskie", 30.12.1930, nr 300.
11 „Pielgrzym", 03.02.1925 r., nr 15.
12 „Pielgrzym", 06.01.1938 nr 3.
13 „Pielgrzym", 29.09.1936 nr 117; 24.10.1936 nr 128.
14 APG, Starostwo Powiatowe w Starogardzie Gdańskim, Sprawozdania sytuacyjne...., 1632/20, s. 23.
15 „Pielgrzym", 26.07.1931, nr. 170.

TCZEW PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ NA POCZTÓWKACH

(ZBIORY MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W TCZEWIE)





DANUTA DRYWA*

MIESZKAŃCY TCZEWA I OKOLIC W OBOZIE KONCENTRACYJNYM STUTTHOF

Losy mieszkańców Tczewa i okolic w obozie koncentracyjnym Stutthof są ściśle związane z historią miasta i rolą, jaką odgrywało ono w stosunkach polsko-gdańskich w latach 1920–1939. Położenie Tczewa przy granicy z Wolnym Miastem Gdańskiem oraz bliskość granicy z Prusami Wschodnimi miały ogromne znaczenie zarówno dla Polaków, jak i dla Niemców pozostałych na tym terenie po włączeniu Pomorza Gdańskiego do Polski w 1920 r. Tczew stał się wówczas ważną stacją kolejową – przebiegały tędy linie z Berlina do Królewca oraz z Polski do Gdańska. Początkowo planowano tu również budowę nowego portu morskiego, a już w 1920 r. powstała pierwsza Szkoła Morska.

Utworzenie w 1920 r. Wolnego Miasta Gdańska oraz strajk dokerów w gdańskim porcie, który utrudniał dostawy broni z Francji dla polskiego wojska walczącego w wojnie polsko-bolszewickiej, sprawiły, że latem tego roku Tczew stał się miejscem przeładunku francuskiej broni. W Zatoce Gdańskiej przeładowywano ją ze statków na mniejsze jednostki, które następnie kierowano do Tczewa. Ważną rolę odgrywała też stacja Zajączkowo Tczewskie, gdzie od 1910 r. trwały prace przy budowie Parowozowni Głównej I Klasy Zajączkowo Tczewskie.

Tczew był także ważnym punktem przerzutowym dla działaczy plebiscytowych przedostających się z Powiśla do Polski. Przerzut osób z powiatu kwidzyńskiego odbywał się promem z Janowa do Gniewa. W wyniku plebiscytu Janowo, Bursztychy, Nowe Lignowy, Małe Pólko, Kramrowo, sześć łąk nadwiślańskich oraz port Korzeniewo zostały przekazane Polsce jako tzw. Mała Polska i weszły w skład powiatu gniewskiego. Uciekinierzy z Prus Wschodnich, zaopatrzeni w rekomendacje wystawiane przez Konsulat RP w Kwidzynie, byli kierowani z Gniewa do innych miast, między innymi do Tczewa.

Jednym z działaczy plebiscytowych, którzy musieli opuścić Prusy Wschodnie, był Franciszek Brose – członek „Straży Ludowej" i mąż zaufania Warmińskiej Komisji Plebiscytowej. W lipcu 1920 r. przerzucono go do Gniewa i zatrudniono jako maszynistę PKP na trasie Tczew–Malbork. Po wybuchu wojny działał w służbie wojskowej PKP, niszcząc tabor, mosty i tory. Został aresztowany w Warlubiu i był więziony do 13 października 1939 r. Po zwolnieniu skierowano go do robót przymusowych; przez cały czas pozostawał pod obserwacją Gestapo. Po wojnie Franciszek Brose pozostał w Tczewie.

Tczew był też ważnym miejscem spotkań polskich harcerzy, członków chórów, zespołów artystycznych, klubów sportowych oraz organizacji społeczno-politycznych i paramilitarnych. W spotkaniach tych uczestniczyli między innymi Polacy

^ Artykuł opracowano na podstawie liczącego ponad 800 stron pierwszego tomu pracy zbiorowej badaczy Muzeum Stutthof, wśród których jest dr Danuta Drywa. Publikacja *Stutthof. Monografia*, t. 1: Tło historyczne. Obóz i jego więźniowie w latach 1939–1941, pod redakcją naukową B. Chrzanowskiego i M. Owsińskiego, ukazała się w 2026 r.





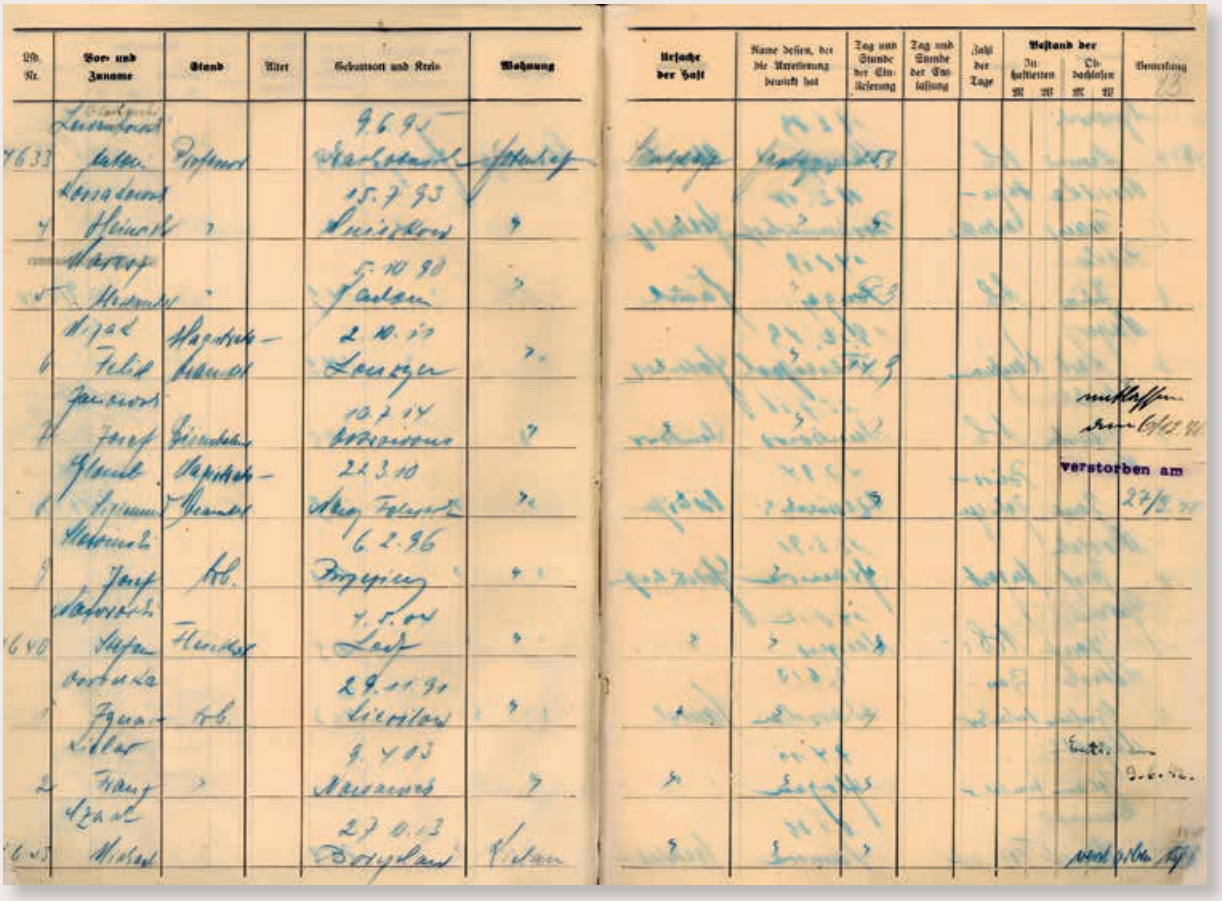
Od góry: Komendantura KL Stutthof, jesień 1941; aresztowanie kolejarzy polskich na Dworcu Głównym w Gdańsku, 1.09.1939 (AMS)

z Wolnego Miasta Gdańska. Również dla ludności niemieckiej pozostałej na tych ziemiach Tczew był ważnym punktem przygranicznym. Przed wojną przygraniczny powiat tczewski zamieszkiwało około 3000 obywateli polskich narodowości niemieckiej. Po 1933 r. nasiliły się kontakty Niemców z miast pomorskich z III Rzeszą. Na całym Pomorzu niemieccy agitatorzy podczas spotkań z miejscową ludnością niemiecką

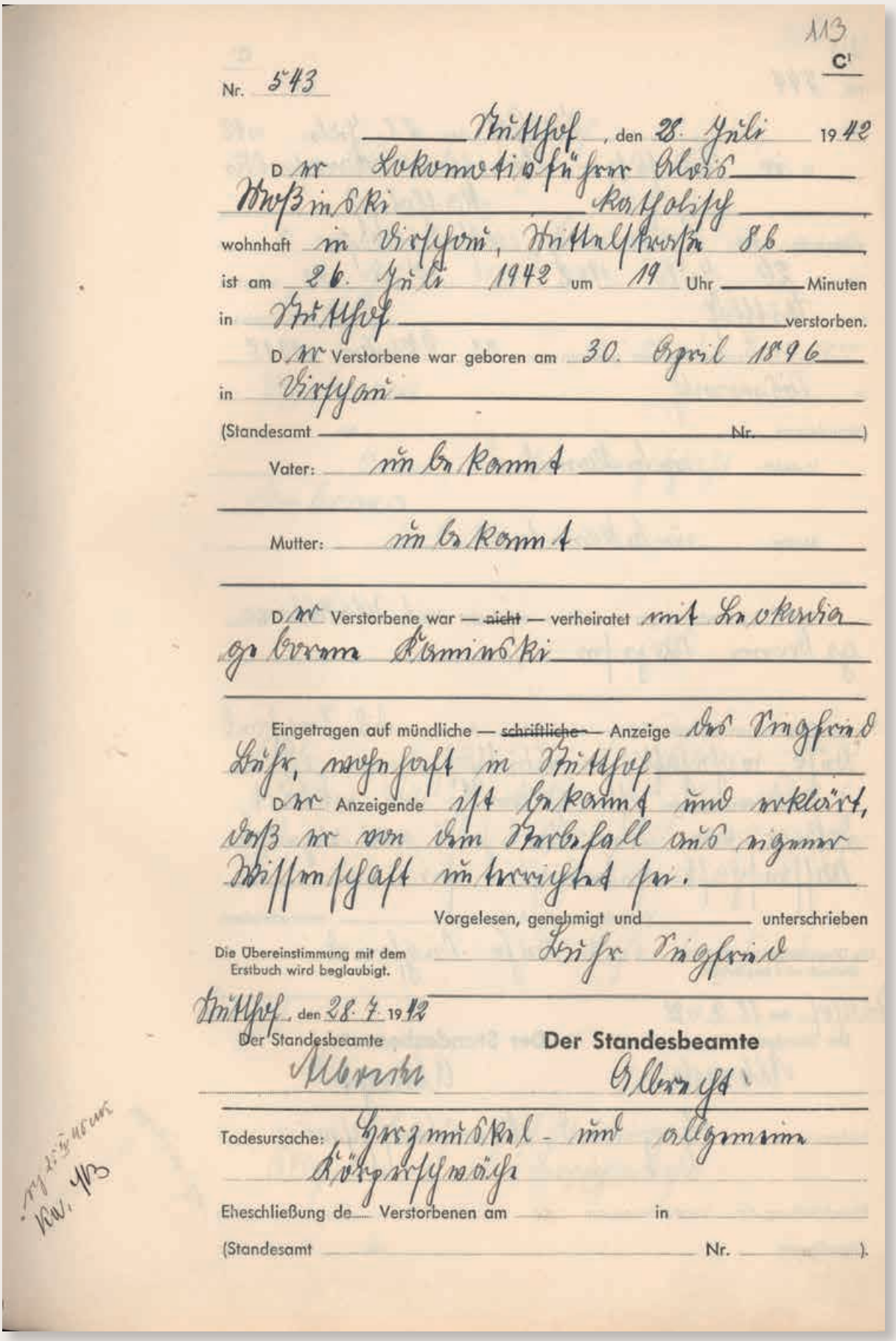
otwarcie mówili o rychłym zajęciu Gdańska. W Tczewie mieściła się siedziba polskiego oddziału Landbund Weichselsgau (Związku Ziemskiego Okręgu Wisły). Jego przewodniczącym był właściciel ziemski Hans Joachim von Modrow z Jastrzębia w powiecie świeckim, bliski współpracownik Ludolfa Alvenslebena, stojącego na czele Volksdeutscher Selbstschutz.

Po 1936 r., w ramach przygotowań do zajęcia Gdańska, wzrósł przemyt amunicji drogą wodną z Wolnego Miasta Gdańska do Niemców mieszkających w polskich miastach przygranicznych. Wcześniej, wiosną 1928 r., w celu ochrony granic Rzeczypospolitej zreorganizowano jednostki straży na polskim Wybrzeżu, tworząc inspektoraty graniczne Straży Granicznej w Gdyni i Tczewie. Zreorganizowano też kontrolę skarbową, ukierunkowując ją na nadzór nad kolejowymi i drogowymi przejściami granicznymi. Polski wywiad korzystał z pomocy kolejarzy przy przechwytywaniu listów i przesyłek przewożonych pociągami tranzytowymi z Pomorza Zachodniego do Prus Wschodnich. Augustyn Czoska z Tczewa, pracownik kontraktowy Ekspozytury Straży Granicznej i inspektor celny placówki kontrolnej w Kałdowie, został rozstrzelany w Lasach Szpęgawskich.

Po zajęciu powiatu tczewskiego przez wojska niemieckie władze okupacyjne już 2 września 1939 r. zaczęły tworzyć obozy internowania dla ludności polskiej. Największe miejsca odosobnienia znajdowały się w więzieniach sądowych i Szkole Rzemieślniczej w Tczewie oraz na terenie dawnej tczewskiej fabryki „Arkona". Tam 1 listopada 1939 r. umieszczono mieszkańców Tczewa przeznaczonych do deportacji do obozu przejściowego w Prabutach (Übergangslager Riesenburg), głównie pracowników Polskich Kolei Państwowych wraz z rodzinami. Następnie skierowano ich do obozu w Gniewie,



Księga ewidencyjna obozu Stutthof, w której pod nr 4633 został zapisany Antoni Ledóchowski (AMS)



113
C¹

Nr. 543

Stutthof, den 28. Juli 1942

Der Lokomotivführer Alois Moszyński katholisch

wohnhaft in Tczew, Mickiewicza 86

ist am 26. Juli 1942 um 19 Uhr ____ Minuten

in Stutthof ____ verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 30. April 1896

in Tczew

(Standesamt ____ Nr. ____)

Vater: unbekannt

Mutter: unbekannt

Der Verstorbene war — ~~nicht~~ — verheiratet mit Franciszka geborene Kamińska

Eingetragen auf mündliche — ~~schriftliche~~ — Anzeige des Siegfried Hüfer, wohnhaft in Stutthof

Der Anzeigende ist bekannt und erklärt, daß er von dem Todesfall aus eigener Wissenschaft unterrichtet ist.

Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben

Die Übereinstimmung mit dem Erstbuch wird beglaubigt.

Hüfer Siegfried

Stutthof, den 28. 7. 1942

Der Standesbeamte

Albrecht

Der Standesbeamte

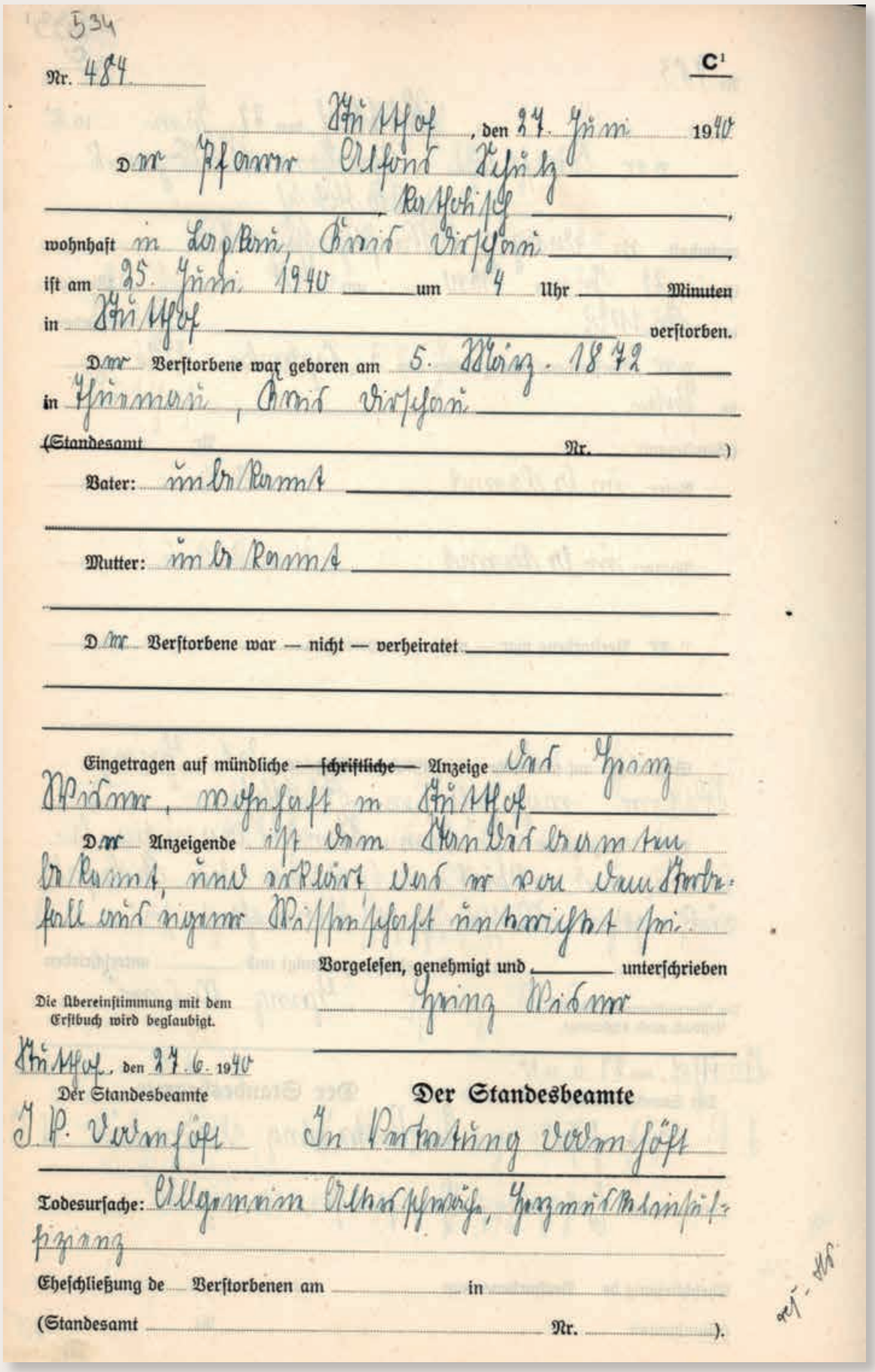
Albrecht

Todesursache: Herzmuskelschwäche - und allgemeine Körperschwäche

Eheschließung des Verstorbenen am ____ in ____

(Standesamt ____ Nr. ____)

Dokument zgonu maszynisty kolejowego z Tczewa, Alojzego Moszyńskiego, który został zamordowany w obozie Stutthof 26.07.1942 (AMS)



534

Nr. 484 C¹

Stutthof, den 27. Juni 1940

Der Pfarrer Alfons Schulz

Katholisch

wohnhaft in Lorenzkau, Kreis Dirschau

ist am 25. Juni 1940 um 4 Uhr Minuten

in Stutthof verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 5. März 1872

in Hammerau, Kreis Dirschau

(Standesamt Nr.)

Vater: unbekannt

Mutter: unbekannt

Der Verstorbene war — nicht — verheiratet

Eingetragen auf mündliche — ~~schriftliche~~ — Anzeige des Hans Wiebe, wohnhaft in Stutthof

Der Anzeigende ist dem Standesbeamten bekannt, und erklärt auf sein Befragen, daß weitere Personenstandsfälle und eigene Wohnsitze unbekannt sind.

Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben

Hans Wiebe

Die Übereinstimmung mit dem Erstbuch wird beglaubigt.

Stutthof, den 27.6.1940

Der Standesbeamte

J.V. Wermke

Der Standesbeamte

In Vertretung Wermke

Todesursache: Allgemeine Altersschwäche, Herzmuskelentartung

Eheschließung des Verstorbenen am in

(Standesamt Nr.).

Dokument zgonu ks. Alfonsa Schulza, proboszcza w Subkowach, zamordowanego w obozie Stutthof 25.06.1940 (AMS)



Wykładowcy Szkoły Morskiej w Tczewie; drugi od lewej stoi Antoni Ledóchowski (fot. koloryzowane, domena publiczna)

zorganizowanego na terenie zamku krzyżackiego. Z obozu w Prabutach rodziny wywożono do pracy na Pomorze Zachodnie. Zwolnieni z obozu nie mieli prawa wrócić do swoich miejsc zamieszkania.

Część więźniów aresztowanych jesienią 1939 r. wywożono na miejsca straceń w Lasach Szpęgawskich. W koszarach w Tczewie 20 października 1939 r. zamordowano księży kurii biskupiej w Pelplinie i kapituły katedralnej.

Wśród pierwszych aresztowanych w chwili wybuchu wojny, a w niektórych przypadkach jeszcze przed 1 września 1939 r., byli polscy kolejarze z Wolnego Miasta Gdańska. Wielu z nich pochodziło z Tczewa i okolic. W aktach obozowych odnotowano nazwiska tczewskich kolejarzy: Feliksa Klondera – 5 września 1939 r., Feliksa Drewiga – 6 września, a Alojzego Drywy – 15 września 1939 r. Alojzego Drywę przewieziono do KL Sachsenhausen transportem z 13 lutego 1941 r.; zmarł tam 5 września 1942 r.

Pierwsze aresztowania mieszkańców Tczewa objęły również kupców, robotników i właścicieli drobnych przedsiębiorstw. W aktach obozu Stutthof 4 września 1939 r. odnotowano kupca Hansa Piesika, a 5 września – Władysława Majewskiego. Do obozu skierowano także zegarmistrza Mieczysława Polskiego, którego nazwisko odnotowano 9 września. Zwolniono go 6 listopada 1939 r., lecz w 1942 r. ponownie aresztowano za odmowę podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Zmarł w obozie 15 września 1942 r. 25 września 1939 r. w Gdyni aresztowano wykładowców i pracowników administracji Szkoły Morskiej. Był wśród nich Antoni Ledóchowski, naczelnik Wydziału Nawigacyjnego i jeden z pierwszych wykładowców Szkoły Morskiej w Tczewie. Został zwolniony z obozu dzięki staraniom żony.

Z Tczewem związanych było wielu księży diecezji chełmińskiej, aresztowanych jesienią 1939 r. i osadzonych w obozie Stutthof, a następnie wywiezionych do KL Sachsenhausen. Z Tczewa pochodzili także aresztowani działacze „Strażnicy", jednej z pierwszych organizacji konspiracyjnych na Pomorzu Gdańskim, oraz członkowie Organizacji Wojskowej „Związek Jaszczurczy". Pochodziły stąd również rodziny osadzone w obozie Stutthof za odmowę podpisania niemieckiej listy narodowościowej (Deutsche Volksliste) oraz robotnicy przymusowi kierowani do obozu na tzw. wychowanie (*Erziehung*) za przewinienia w miejscu pracy.

Mieszkańcy Tczewa i okolic miasta swoją postawą przed wojną, jak i w czasie wojny udowodnili swoje przywiązanie do Ojczyzny, za co osadzani byli w KL Stutthof od samego początku jego istnienia – od września 1939 r. aż do zakończenia jego działalności w 1945 r. ■

DANIEL CZERWIŃSKI*

WALKI O TCZEW W DOKUMENTACH Z ROSYJSKICH ARCHIWÓW

Na temat działalności Armii Czerwonej w 1945 roku napisano już niemało, choć uczciwe badania nad tym tematem stały się możliwe dopiero po upadku komunizmu w Polsce. Od tej pory historycy penetrowali archiwa polskie i wykorzystywali relacje. Oprócz krótkiego okresu w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia brakowało jednak dostępu do materiałów zgromadzonych w archiwach rosyjskich. Dziś – z uwagi na sytuację międzynarodową – dostęp ten nadal jest utrudniony, ale w dobie internetu mamy już o wiele większe możliwości niż kiedyś.

Portal pamyatnaroda.ru udostępnia wiele materiałów zgromadzonych w Centralnym Archiwum Wojskowym Federacji Rosyjskiej w Podolsku. Można tam znaleźć również akta jednostek, które brały udział w walkach o Tczew. Zasób portalu zmienia się jednak dynamicznie, a wiele materiałów jest z niego usuwanych.

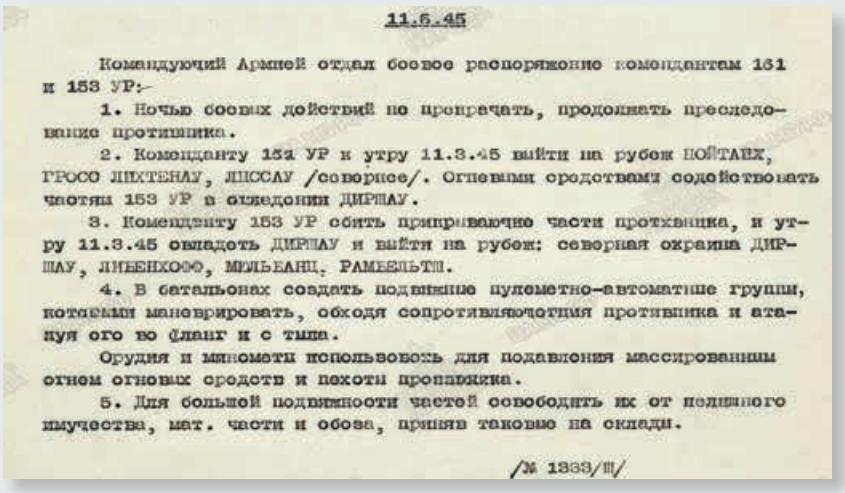


Ilustr. 1. Schemat nr 213: 2. I 1. Front białoruski. Wschodniopomorska operacja ofensywna. 10 lutego–31 marca 1945 r.

Armia Czerwona zajęła Tczew podczas operacji pomorskiej, nazywanej w rosyjskiej historiografii „wschodniopomorską". Trwała ona zasadniczo od lutego do kwietnia 1945 roku. Była konieczna, ponieważ po szybkim natarciu, które w styczniu doprowadziło wojska sowieckie nad Odrę, siły niemieckie wciąż zajmowały Pomorze i znaczną część Dolnego Śląska. Mogły stamtąd uderzyć na skrzydła Armii Czerwonej, gdyby ta ruszyła bezpośrednio na Berlin. Przed rozpoczęciem natarcia na stolicę Niemiec Sowieci musieli więc opanować Pomorze. Zadanie powierzono 2. Frontowi Białoruskiemu pod dowództwem marszałka Konstantego Rokossowskiego, wspieranemu przez wydzielone siły 1. Frontu Białoruskiego marszałka Gieorgija Żukowa.

Tczew znalazł się w pasie natarcia 2. Armii Uderzeniowej dowodzonej przez gen. Iwana Fiedunińskiego. Jego żołnierze walczyli wcześniej m.in. o Grudziądz i Malbork. Do Tczewa skierowano jednak tylko wyznaczone jednostki tej armii. W różnych opracowaniach można znaleźć informacje, że „po odparciu uderzenia hitlerowców o świcie 12 marca rozpoczął szturm. 372. dywizja uderzyła na miasto od południa, zaś 242. dywizja piechoty atakowała zachodnie przedmieścia Tczewa". Cytat pochodzi z opracowania mjr. Bolesława Dolaty. Problem w tym, że 242. Dywizja Strzelecka nie wchodziła w skład 2. Armii Uderzeniowej i w ogóle nie było jej na tym terenie.

Według materiałów Armii Czerwonej główne zadanie opanowania miasta Tczewa



11.6.45

Командующий Армией отдал боевое распоряжение комендантам 161 и 153 УР:-

1. Ночью боевых действий не прекращать, продолжать преследование противника.

2. Коменданту 152 УР к утру 11.3.45 выйти на рубеж НОЙТАЙХ, ГРОССО ЛИХТЕНАУ, ЛИССАУ /северное/. Огневыми средствами содействовать частям 153 УР в овладении ДИРШАУ.

3. Коменданту 153 УР обить прикрывающие части противника, и утру 11.3.45 овладеть ДИРШАУ и выйти на рубеж: северная окраина ДИРШАУ, ЛИБЕНХОФФ, МИЛЬБАНЦ, РАМБЕЛЬТШ.

4. В батальонах создать подвижные пулеметно-автоматные группы, которыми маневрировать, обходя сопротивляющегося противника и атакуя его во фланг и с тыла.

Орудия и минометы использовать для подавления массированным огнем огневых средств и пехоты противника.

5. Для большей подвижности частей освободить их от лишнего имущества, мат. части и обоза, сдавая таковое на склады.

/№ 1333/III/

Ilustr. 2. Rozkaz bojowy dla komendantów 161. i 153. Rejonu Umocnionego[**]

1. W nocy nie przerywać działań bojowych, kontynuować pościg za przeciwnikiem.
2. Komendant 161. rejonu umocnionego (r.u.) ma do rana 11.3.45 wyjść na rubież: НОЙТАЙХ (Neuteich, Nowy Staw), ГРОССО ЛИХТЕНАУ (Groß Lichtenau, Lichnowy), ЛИССАУ (Ließau, Lisewo Malborskie) (na północ od miejscowości). Środkami ogniowymi współdziałać z oddziałami 153. r.u. w opanowaniu ДИРШАУ (Dirschau, Tczew).
3. Komendant 153. r.u. ma rozbić osłonowe oddziały przeciwnika, a do rana 11.3.45 opanować Tczew i wyjść na rubież: północne obrzeża Tczewa, ЛИБЕНХОФФ (Liebenhoff, Zajączkowo), МИЛЬБАНЦ (Mühlbanz, Miłobądz), РАМБЕЛЬТШ (Rambeltsch, Rębielcz).
4. W batalionach utworzyć ruchome grupy karabinów maszynowych i pistoletów maszynowych, gotowe do manewrowania, obchodzenia stawiającego opór przeciwnika i atakowania go ze skrzydła i od tyłu.
5. Dział i moździerzy używać do obezwładniania zmasowanym ogniem środków ogniowych i piechoty przeciwnika.
6. Dla zwiększenia ruchliwości oddziałów uwolnić je od zbędnego wyposażenia; sprzęt wojskowy i tabor, które z tego wynikną, skierować do składów.

(Дершау) otrzymał 153. Rejon Umocniony dowodzony przez płk. Siergieja Aleksandrowicza Ignatiewa. W dostępnych dziś dokumentach wskazano nawet pododdziały wyznaczone do opanowania miasta.

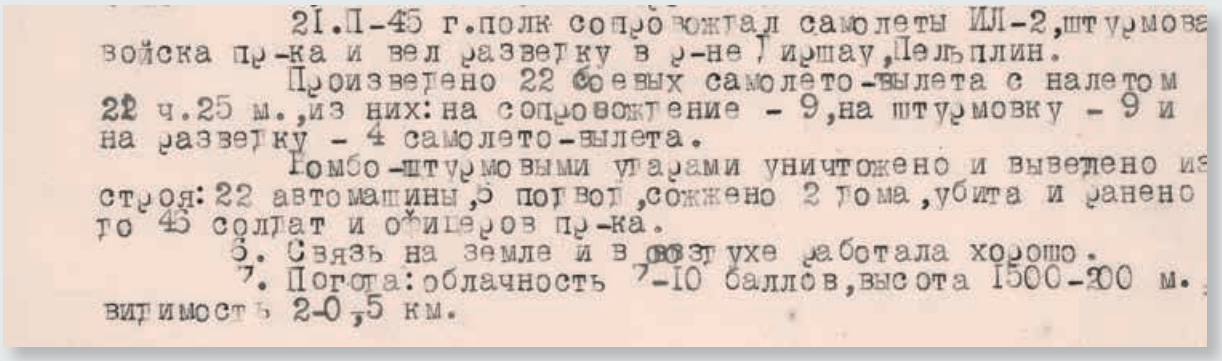
Zanim do walki wkroczyły wojska lądowe, Tczew stał się celem ataków sowieckiego lotnictwa. W dokumentach wchodzącej w skład II Frontu Białoruskiego 4. Armii Lotniczej Tczew pojawia się po raz pierwszy 19 lutego. Jak wynika z dziennika bojowego, w ciągu dnia lotnictwo wspierało natarcie 2. Armii Uderzeniowej i 8. Korpusu Pancernego, atakując siły przeciwnika m.in. w okolicach Skórcza, Czerska, Osieka i Bobowa. Jednocześnie sowieccy piloci prowadzili rozpoznanie w rejonie „Pruszcza, Gdyni, Lęborka, Słupska, Bytowa, Czerska i Tczewa". Tak szeroki zakres terytorialny wynika oczywiście z faktu, że 4. Armia była przydzielona do całego frontu, który obejmował znaczny teren Pomorza.

W kolejnych dniach miasto było już bezpośrednio bombardowane. Jak wynika z niemieckich raportów z 6 marca, podczas trzydniowych nalotów zginęło łącznie 147 mieszkańców Tczewa (oczywiście o wiele więcej było rannych).

Do tej pory nie wiedzieliśmy, jakie samoloty były za to odpowiedzialne. Nadal co prawda nie mamy kompletu informacji, ale dokumenty 4. Armii Lotniczej rzucają nowe światło na te wydarzenia. W czasie wykładu, jaki miałem okazję wygłosić w Tczewie 20 lutego 2026 r., mówiłem, że w akcji brały udział samoloty szturmowe Ił-2. Pokazują to dokumenty z ilustracji 3 i 4.

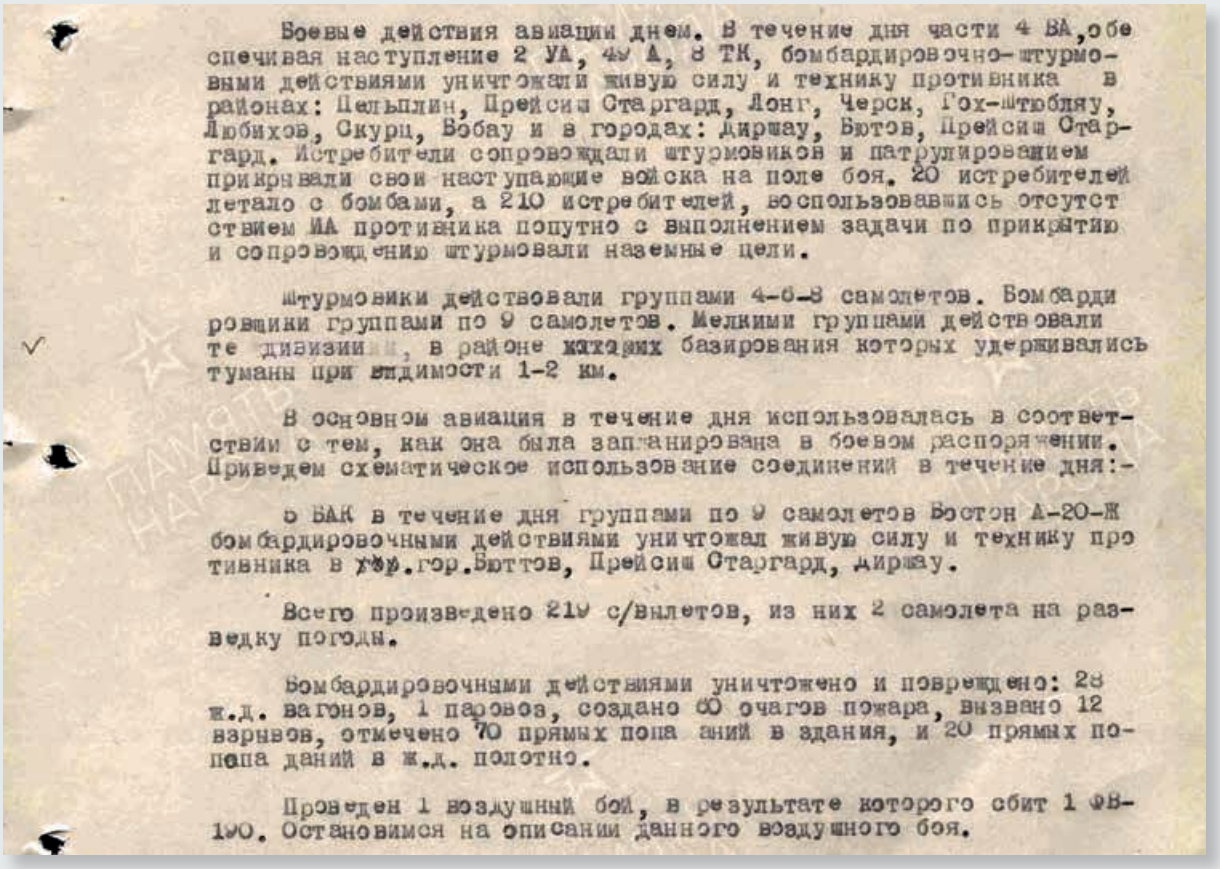
Nie były to jednak jedyne maszyny, jakie atakowały Tczew. Analizując raporty, można bowiem wskazać jeszcze inne jednostki. 20 lutego zapisano, że myśliwce pomagały m.in. 2. Armii działaniami bombowo-szturmowymi. Dotyczyło to również rejonu Tczewa. Niewielka część maszyn latała uzbrojona w bomby, a reszta zapewne wspierała wojska lądowe ogniem działek i karabinów maszynowych.

Straty w tkance miejskiej spowodowały jednak naloty bombowe. Odpowiedzialny


21.II-45 г.полк сопровождал самолеты ИЛ-2,штурмовые
войска пр-ка и вел разведку в р-не Диршау,Пельплин.
Произведено 22 боевых самолето-вылета с налетом
22 ч.25 м.,из них: на сопровождение - 9,на штурмовку - 9 и
на разведку - 4 самолето-вылета.
Бомбо-штурмовыми ударами уничтожено и выведено из
строя: 22 автомашины,5 повозок,сожжено 2 дома,убита и ранено
до 45 солдат и офицеров пр-ка.
6. Связь на земле и в воздухе работала хорошо.
7. Погода: облачность 7-10 баллов,высота 1500-200 м.
видимость 2-0,5 км.

Ilustr. 3. Informacja o działaniach lotnictwa z 21 lutego 1945 r.

1. Pułk osłaniał samoloty Ił-2, atakował wojska przeciwnika i prowadził rozpoznanie w rejonie Tczewa i Pelplina. Wykonano 22 loty bojowe o łącznym czasie 22 godzin i 25 minut: 9 lotów osłonowych, 9 szturmowych i 4 rozpoznawcze.
2. Według raportu w atakach bombowych i szturmowych zniszczono lub unieruchomiono 22 samochody i 5 wozów, spalono 2 domy oraz zabito lub raniono do 45 żołnierzy i oficerów przeciwnika.
3. Łączność na ziemi i w powietrzu działała dobrze. Było pochmurno; widzialność wynosiła od 1500 do 2000 m.



Боевые действия авиации днем. В течение дня части 4 ВА, обеспечивая наступление 2 УА, 4У А, 8 ТК, бомбардировочно-штурмовыми действиями уничтожали живую силу и технику противника в районах: Пельплин, Прейсиш Старгард, Лонг, Черск, Гох-Штобляу, Любихов, Скурц, Бобау и в городах: Диршау, Бютов, Прейсиш Старгард. Истребители сопровождали штурмовиков и патрулированием прикрывали свои наступающие войска на поле боя. 20 истребителей летало с бомбами, а 210 истребителей, воспользовавшись отсутствием ИА противника попутно с выполнением задачи по прикрытию и сопровождению штурмовали наземные цели.

Штурмовики действовали группами 4-6-8 самолетов. Бомбардировщики группами по 9 самолетов. Мелкими группами действовали те дивизии [illegible], в районе которых базирования которых удерживались туманы при видимости 1-2 км.

В основном авиация в течение дня использовалась в соответствии с тем, как она была запланирована в боевом распоряжении. Приведем схематическое использование соединений в течение дня:-

5 БАК в течение дня группами по 9 самолетов Бостон А-20-Ж бомбардировочными действиями уничтожал живую силу и технику противника в [illegible] гор. Бютов, Прейсиш Старгард, Диршау.

Всего произведено 219 с/вылетов, из них 2 самолета на разведку погоды.

Бомбардировочными действиями уничтожено и повреждено: 28 ж.д. вагонов, 1 паровоз, создано 60 очагов пожара, вызвано 12 взрывов, отмечено 70 прямых попаданий в здания, и 20 прямых попаданий в ж.д. полотно.

Проведен 1 воздушный бой, в результате которого сбит 1 ФВ-190. Остановимся на описании данного воздушного боя.

Ilustr. 4. Sprawozdanie z działań lotnictwa 4. Armii Lotniczej w rejonie Tczewa

Działania bojowe lotnictwa w ciągu dnia. W ciągu dnia jednostki 4. Armii Lotniczej, zwłaszcza lotnictwo szturmowe 2. Dywizji Lotnictwa Szturmowego i 4. Korpusu Lotnictwa Szturmowego, uderzeniami bombowymi i szturmowymi niszczyły siły żywe i sprzęt przeciwnika w rejonach: Pelplin, Starogard Pruski, Long, Czersk, Zblewo, Lubichowo, Skórcz, Bobowo (Пельплин, Прейсиш Старгард, Лонг, Черск, Гох-Штобляу, Любихов, Скурц, Бобау), a także w miastach: Tczew, Bytów i Stargard Pruski (Диршау, Бютов, Прейсиш Старгард). Myśliwce osłaniały samoloty szturmowe i patrolując zabezpieczały nasze wojska na polu walki. 20 myśliwców latało z bombami, a 210 myśliwców wykorzystano jako samoloty szturmowe; za zadanie postawiono im osłanianie wojsk na lądzie i związane z tym atakowanie celów naziemnych.

Samoloty szturmowe działały grupami po 4–6–8 maszyn, bombowce – grupami po 9 maszyn. Małymi grupami działały te dywizje, w rejonie których lotnisk macierzystych utrzymywały się mgły przy widzialności 1–2 km.

W zasadniczej części lotnictwo wykorzystywano w ciągu dnia zgodnie z planem zawartym w rozkazie bojowym. Poniżej przedstawiono schemat wykorzystania jednostek w ciągu dnia:

Korpus Lotnictwa Bombowego w ciągu dnia grupami po 9 samolotów Boston A-20-Ż bombardował wojska przeciwnika, niszczył jego siły żywe i sprzęt w rejonie miast: Bytów, Stargard Pruski i Tczew.

Łącznie wykonano 219 lotów samolotowych, w tym 2 samoloty wysłano na rozpoznanie pogody.

Działaniami bombowymi zniszczono lub uszkodzono: 23 wagony kolejowe, 1 parowóz; wywołano 60 ognisk pożarów i 12 wybuchów; odnotowano 70 bezpośrednich trafień w budynki i 20 bezpośrednich trafień w torowisko kolejowe.

1. Stoczono jedną walkę powietrzną, w wyniku której zestrzelono jednego Fw 190. Zatrzymajmy się na opisie tej walki powietrznej.



Ilustr. 5. Podpis pod zdjęciem z archiwów rosyjskich
Zdobycz 5. Gwardyjskiej Armii Pancernej za okres od 17 stycznia do 10 lutego 1945 r. Armia zgromadziła 15.800 sztuk bydła, 5.900 owiec i 3.200 świń. Znacznie większą liczbę zwierząt przekazano związkom piechoty (strzeleckim).

za to był 5. Korpus Lotnictwa Bombowego. W ciągu całego dnia grupy po dziewięć samolotów Douglas DB-7 (nazywanych w sowieckiej nomenklaturze Boston A-20-Ż) bombardowały wojska nieprzyjaciela w rejonie miast Bytowa, Starogardu i Tczewa. W rejonie Tczewa znajdowały się również maszyny z 4. Korpusu Lotnictwa Szturmowego (czyli zapewne Ił-2) i 8. Korpusu Lotnictwa Myśliwskiego.

W nocy zadanie bombardowania miasta otrzymał 63. Pułk Bombowców Nocnych. Z materiałów wynika, że latał on na Douglasach (Boston 3) i PO-2. Zdecydowanie częściej wykorzystywano te drugie: pułk meldował, że w ciągu tej nocy użył 46 Bostonów i 584 PO-2.

22 lutego Tczew ponownie pojawia się w rozkazach. Co prawda zadanie atakowania miasta otrzymał 5. Korpus Lotnictwa Bombowego, ale z raportów wynika, że nad miastem latały również Ił-2 z 332. Dywizji Lotnictwa Szturmowego (część 4. Korpusu Lotnictwa Szturmowego), które, choć nie miały zapędzać się dalej niż do Pelplina, trafiły również nad Tczew. Kolejnej nocy z powodu warunków pogodowych samoloty nie latały, a 23 lutego miały być w gotowości w razie potrzeby. Dopiero 24 lutego 5. Korpus Bombowy miał operować w rejonie od Tczewa do Czarnego. Siły kierowano więc tam, gdzie były akurat potrzebne.

Przedstawiony artykuł to jedynie fragment historii Tczewa z zimy i wiosny 1945 roku. Nie możemy przecież zapominać o rabunkowej działalności Sowietów już po wyparciu Niemców. Artykuł pokazuje jednak, że mimo upływu ponad 80 lat od zakończenia wojny nadal możemy odkrywać nowe fakty. ■

* Dr Daniel Czerwiński jest pracownikiem IPN Gdańsk oraz Instytutu Strat Wojennych.
** Tłumaczenia tekstów źródłowych pochodzą od redakcji.

CZESŁAW GLINKOWSKI

MIEJSCA PAMIĘCI W TCZEWIE

W 2008 roku, blisko dwie dekady temu, ukazała się moja książka pt. „Przywróćmy pamięć…”. Zamieściłem w niej m.in. tworzony przez kilka lat wykaz tczewskich miejsc pamięci. Chciałem przypomnieć ludzi, którzy odeszli, a także przybliżyć miejsca szczególnie ważne dla historii Tczewa i jego mieszkańców.

Po latach wracam do tego tematu, uzupełniając i porządkując opublikowany w książce wykaz tczewskich mogił zbiorowych, grobów indywidualnych, pomników oraz tablic pamiątkowych wraz z ich dokładną lokalizacją. Jest to więc kolejna próba ich opisania i uporządkowania.

Każde z tych miejsc zasługuje na pamięć, ponieważ stanowi ślad przeszłości – świadectwo ludzkich losów i wydarzeń, które współtworzyły dzieje miasta. Szczególnie bolesny ślad pozostawiła w Tczewie m.in. II wojna światowa – już 1 września 1939 roku miasto i jego strategiczne mosty nad Wisłą znalazły się wśród pierwszych celów niemieckiego ataku. Lata okupacji przyniosły mieszkańcom aresztowania, egzekucje, wysiedlenia i inne represje, których świadectwa do dziś odnajdujemy w przestrzeni miasta. Trzeba do tych miejsc wracać, przypominać ich znaczenie i zachowywać wiedzę o nich, ponieważ wraz z upływem czasu zmienia się przestrzeń miasta, odchodzą świadkowie dawnych wydarzeń, a część historii może stopniowo znikać ze społecznej świadomości.

Miejsca pamięci pozwalają tę przeszłość odczytywać na nowo. Łączą historię miasta z losami konkretnych ludzi, przypominając, że dzieje Tczewa zapisane są nie tylko w dokumentach i kronikach, lecz także w jego ulicach, cmentarzach, pomnikach, tablicach i mogiłach. Niniejszy wykaz ma służyć właśnie temu – porządkować wiedzę, przypominać znaczenie tych miejsc i pozostawić ich możliwie pełny obraz kolejnym pokoleniom.

CMENTARZE I GROBY WOJENNE

I. Cmentarz wyznaniowy, tzw. Stary, przy ul. 30 Stycznia:

1. Pomnik ze zbiorową mogiłą pomordowanych podczas II wojny światowej patriotów ziemi tczewskiej



fot. Julia Rogalska



Mogiła z pomnikiem żołnierzy z lat 20. XX w., tzw. hallerczyków (9 żołnierzy), fot. Julia Rogalska

Wokół pomnika znajdują się 4 mogiły zbiorowe (kwatery ziemne z krzyżami).

2. **Mogiła z pomnikiem żołnierzy z lat 20. XX w., tzw. hallerczyków (9 żołnierzy)**

   Pomnik/nagrobek z granitu wykonany w 2006 roku. Na jego pionowym elemencie znajduje się 10 tablic: dziewięć z nazwiskami żołnierzy, a dziesiąta poświęcona jest żołnierzowi NN.

II. Cmentarz wyznaniowy, tzw. Nowy, przy ul. 30 Stycznia:

1. **Trzy zbiorowe mogiły żołnierzy Wojska Polskiego z okresu II wojny światowej, poległych w obronie miasta Tczewa.**

   Są to 3 groby zbiorowe, pierwotnie wykonane z lastryka, z trzema poziomymi płytami. Po remoncie nagrobki wykonano z płyt granitowych.

2. **Mogiła zbiorowa (cmentarz) żołnierzy Armii Czerwonej przy ul. 30 Stycznia/ Szkoły Morskiej**

Na działce o pow. 0,5732 ha znajduje się pomnik z elementów lastrykowych. Przed nim, w miejscu kwatery, w której złożono szczątki 469 żołnierzy Armii Radzieckiej z byłego powiatu tczewskiego, znajduje się znacznych rozmiarów bryła o pochylonej płaszczyźnie, wykonana z elementów lastrykowych. Zamocowano na niej 7 płyt granitowych z nazwiskami zidentyfikowanych żołnierzy. Według stanu na 26 lutego 2021 r. znanych jest zaledwie 128 nazwisk. Wokół ustawiono słupki lastrykowe połączone ozdobnymi łańcuchami z tworzywa sztucznego. Pozostałą powierzchnię działki zajmuje teren zielony: trawniki, drzewa, krzewy ozdobne oraz betonowe donice przeznaczone do sezonowych nasadzeń kwiatowych.

III. Cmentarz Żołnierzy Austriackich Suchostrzygi Dworzec (za torami)

Na działce o powierzchni 0,0560 ha znajduje się pomnik z piaskowca, z me-

dalionem z brązu, oraz niewielka gablota z nazwiskami żołnierzy – jeńców pruskich. Pozostałą część terenu stanowi zieleń (trawniki, drzewa i krzewy ozdobne). Cały teren cmentarza otacza ogrodzenie z ozdobnych elementów stalowych, osadzone na betonowym fundamencie i cokole.

POZOSTAŁE GROBY I MIEJSCA PAMIĘCI

I. Cmentarz wyznaniowy, tzw. Stary, przy ul. 30 Stycznia:

1. **Mogiła Stanisława Liśkiewicza – oficera służby granicznej, który zginął w obronie granic w 1930 r. pod Opaleniem.**

   Pojedynczy grób z pomnikiem wykonanym z lastryko.

2. **Mogiła żołnierza Michała Różanowskiego – zamordowanego na posterunku 16 sierpnia 1939 r. – to pojedynczy grób z nagrobkiem (pierwotnie z lastryko, potem wymienionym na granitowy).**

3. **Grób Kazimierza Porawskiego – uczestnika powstania z 1863 r. – to pojedynczy grób z pomnikiem wykonanym z lastryko.**

   Na poziomej płycie ułożono otwartą granitową księgę.

4. **Grób Floriana Hłaski – komandora Wyższej Szkoły Morskiej – stanowi pionowy, betonowy pomnik z krzyżem, orłem i popiersiem w medalionie.**

   Pozioma część grobu jest ziemna, otoczona lastrykowym obrzeżem oraz czterema betonowymi gazonami połączonymi poziomymi rurami.

5. **Grób marynarza Wyższej Szkoły Morskiej – betonowy grób usytuowany obok mogiły Floriana Hłaski.**

II. Obelisk przed koszarami od strony ul. Wojska Polskiego, z tablicami pamiątkowymi, na których wymienione są nazwiska zidentyfikowanych patriotów polskich, którzy zostali zamordowani przez hitlerowców w koszarach i na terenie prochowni.

Znajduje się na wydzielonym, ogrodzonym terenie zielonym (trawnik, drzewka, nieliczne krzewinki ozdobne oraz niewielka powierzchnia ziemna przeznaczona do obsadzania kwiatami sezonowymi wraz z małą donicą betonową).

III. Pomnik Patriotów przy PI. Patriotów

Pomnik z elementów granitowych, z umieszczonymi na nim tablicami z napisami, które wymagają regularnej konserwacji, znajduje się na wzniesieniu, do którego prowadzą schody. Wzdłuż nich, na skarpie, rośnie żywopłot. Teren przed pomnikiem jest częściowo utwardzony płytami, a częściowo gruntowy. Pozostałą część stanowi teren zielony z trawnikiem.

IV. Czarna płyta obok Straży Pożarnej przy ul. Lecha, z wymienionymi nazwiskami patriotów polskich, oddaje hołd tym, którzy w tym miejscu w 1940 roku zostali rozstrzelani przez Niemców.

Tablica pamiątkowa z czarnego granitu jest zamontowana na murze ceglanym. Przed tablicą znajduje się niewielki fragment terenu z krzewinkami ozdobnymi, przeznaczony również do obsadzania kwiatami sezonowymi.

V. Obelisk na skraju Parku Miejskiego od strony ul. Bałdowskiej z granitową tablicą z nazwiskami poległych harcerzy.

Teren otaczają drzewa parkowe, wokół obelisku posadzony jest żywopłot, a przed nim ustawiono przenośne gazony do obsadzania kwiatami sezonowymi.

VI. Tablice pamiątkowe umieszczone od frontu na zewnętrznej ścianie budynku I LO im. M. Skłodowskiej-Curie.

Teren przed tablicami jest obsadzony krzewinkami ozdobnymi. Ustawiono tam również przenośne kwietniki na kwiaty sezonowe oraz ławeczki.

VII. Obelisk z tablicą pamiątkową poświęconą tym, którzy walczyli pod Monte Cassino, Falaise, Arnhem oraz w Powstaniu Warszawskim, usytuowany na skraju Parku im. Kopernika – u zbiegu pl. J. Piłsudskiego i ul. 30 Stycznia.

VIII. Obelisk z tablicą pamiątkową poświęconą żołnierzom II Batalionu Strzelców – obrońcom mostu na Wiśle, polskim celnikom i kolejarzom z Szymankowa – usytuowany na terenie zielonym (wysepce) przy ul. Jana z Kolna.

IX. Pomnik ofiar terroru stalinowskiego usytuowany w Parku Miejskim (obok Zespołu Szkół Technicznych).

Wokół tablicy na murowanej ścianie, z elementami metalowymi symbolizującymi kraty, znajduje się niewysoki płotek z elementów metalowych. Po bokach ściany znajdują się fragmenty terenu obsadzone krzewami ozdobnymi oraz przeznaczone do sezonowych nasadzeń. Teren wokół i przed pomnikiem łączy się z zielenią tzw. małego parku.

X. Tablica pamiątkowa usytuowana na bocznej ścianie Biblioteki Miejskiej od strony ul. Kościuszki.

Przy ścianie budynku rośnie jedno duże drzewo oraz dwa młode drzewka i krzewinki wieloletnie. Znajduje się tam również miejsce przeznaczone do sadzenia kwiatów sezonowych.

XI. Tablica pamiątkowa na ścianie domu przy ul. Kościuszki 9 ku czci Edmunda Raduńskiego.

Tablica wykonana jest z granitu.

XII. Dwie granitowe tablice pamiątkowe na ścianie budynku Muzeum Wisły, upa-



Obelisk przed koszarami przy ul. Wojska Polskiego (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)



Fot. archiwalna. Figura stojąca przed obeliskiem została zdemontowana w 2001 r.

miętniające miejsce obozu przejściowego z lat 1939–1942.

XIII. Tablica pamiątkowa upamiętniająca działaczy NSZZ „Solidarność" – mieszkańców Tczewa internowanych podczas stanu wojennego – odsłonięta w 25. rocznicę jego wprowadzenia.

Wykonana z granitu i zawieszona na ścianie budynku portierni EATON.

XIV. Obelisk – kamień z płytą pamiątkową poświęconą uchwaleniu Konstytucji 3 Maja – zlokalizowany na skwerze im. Konstytucji 3 Maja, przy wieży ciśnień, u zbiegu ul. Bałdowskiej i ul. 30 Stycznia.

XV. Pomnik papieża Jana Pawła II – usytuowany na pl. Papieskim (u zbiegu ul. Rokickiej i Jagiellońskiej).

Rzeźba papieża, wykonana z granitu norweskiego i białego marmuru brazylijskiego, powstała w 2007 r.

XVI. Pomnik „Solidarności" – obelisk z tablicą upamiętniającą opozycjonistów w czasach PRL.

Pomnik zlokalizowany jest na terenie parku im. Kopernika w Tczewie. Obelisk odsłonięto 11 listopada 2010 r.

XVII. Obelisk – kamień z tablicą upamiętniającą żołnierzy 47. Batalionu Saperów.

Obelisk przeniesiono ze zlikwidowanej w 2011 r. jednostki wojskowej nr 3730 i ustawiono na nowo zagospodarowanym fragmencie terenu parku im. Kopernika, przy siedzibie organizacji kombatanckich. Oprócz obelisku ustawiono maszty i elementy identyfikacyjne saperów. Tło obelisku stanowią tablice graficzne przedstawiające historię 47. Batalionu Saperów, przemianowanego na 16. Tczewski Batalion Saperów. Odsłonięcia dokonano w październiku 2011 r.

XVIII. Obelisk – kamień z tablicą upamiętniającą Marszałka Józefa Piłsudskiego, zlokalizowany na pl. J. Piłsudskiego przy arkadach parku im. Kopernika.

Na kamieniu znajduje się również medalion z brązu z popiersiem Marszałka. ■

JAN KULAS

O GENEZIE „SOLIDARNOŚCI" W REGIONIE GDAŃSKIM I W TCZEWIE!

Od wielu lat grupa historyków przymierzała się do napisania historii NSZZ „Solidarność" w regionie gdańskim w latach 1980–1981. Innymi słowy, od wielkiego Strajku Sierpniowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, zapoczątkowanego 14 sierpnia 1980 roku, po wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981. Chyba dobrze się stało, że dzieła tego podjął się historyk młodszego pokolenia, dr Arkadiusz Kazański, autor m.in. ponad 500 biogramów współtwórców i działaczy NSZZ „Solidarność".

Arkadiusz Kazański badał dzieje gdańskiej „Solidarności" podczas kilkuletnich prac nad rozprawą doktorską, pisaną pod kierunkiem prof. dr. hab. Grzegorza Berendta. Pracę obronił w 2019 roku, ale na tym nie poprzestał. Szlifował i uzupełniał swoje dzieło przez kolejnych kilka lat. Źródeł, materiałów wciąż przybywało. Z początkiem 2026 roku dzieło ukazało się drukiem. Po raz pierwszy zostało zaprezentowane publicznie w dniach 20–22 lutego 2026 roku, podczas Targów Książki w Gdyni, jednego z ważnych wydarzeń kulturalnych w ramach obchodów 100-lecia miasta.



Niewątpliwie można i trzeba pogratulować młodemu i dzielnemu oraz niezwykle wytrwałemu historykowi rodem z Gdańska znakomitej publikacji. Naturalnie do tego dzieła będzie można wnieść dodatkowe objaśnienia, uzupełnienia czy też własne komentarze. Rzecz to całkiem ludzka.

Czas, aby kilka zdań poświęcić samej publikacji dr. Arkadiusza Kazańskiego. Zacznijmy od tytułu, nieco obszernego, ale i pojemnego. A mianowicie: „Mamy niezależne, samorządne związki zawodowe! Dzieje Regionu Gdańskiego NSZZ «Solidarność» (1980–1981)". Publikacja została wydana w 2025 roku przez Oddział IPN w Gdańsku. Praca liczy 624 strony tekstu oraz blisko pięćdziesiąt kart fotografii. Przy tak obszernej i profesjonalnej pracy bardzo ważny jest wykaz osób – wielu, naprawdę wielu – zapisanych na 24 stronach książki! Indeks

nazwisk oraz przejrzysta struktura publikacji bardzo ułatwiają jej lekturę, począwszy od młodego pokolenia czytelników, po średnie i starsze pokolenie. Struktura dzieła jest następująca: *Spis treści*; *Wprowadzenie*; *Województwo gdańskie w latach 1945–1980*; *Od strajków dokerów do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża*; *Sierpień '80*; *Od komitetów założycielskich do komisji zakładowych*; *Struktury terenowe MKZ/Zarządu Regionu Gdańskiego 1980–1981 (Kartuzy, Kościerzyna, Kwidzyn, Lębork, Malbork, Pruszcz Gdański, Puck, Starogard Gdański, Tczew, Wejherowo)*; *Ośrodki aspirujące do MKZ/Zarządu Regionu Gdańskiego*; *Od kryzysu bydgoskiego do stanu wojennego*; *Podsumowanie*; *Wykaz skrótów*; *Bibliografia* (20 stron); *Indeks osób*.

W Tczewie i podregionie

Jak czytamy w monografii Arkadiusza Kazańskiego, dzieje „Solidarności" w Tczewie i podregionie stanowiły ważną część historii Regionu Gdańskiego. Autor szczegółowo przedstawia rozwój miejscowych struktur związkowych, ich działaczy oraz najważniejsze wydarzenia z lat 1980–1981. Wynika z nich, że w okresie pierwszej „Solidarności" (1980–1981) w Tczewie kluczową rolę odgrywała struktura związkowa w Fabryce Przekładni Samochodowych „Polmo". Tam też odbył się prekursorski, spontaniczny strajk w dniu 2 lipca 1980 roku. Z kolei w sierpniu 1980 roku działacze FPS „Polmo" dołączyli do MKS w Gdańsku. Po podpisaniu „Porozumienia Gdańskiego" (31 sierpnia 1980) duże zasługi w powstaniu nowego Związku miał Leszek Lamkiewicz, który był stałym łącznikiem z MKZ w Gdańsku. W tej podstawowej sprawie pomagali mu głównie Marian Stawicki i Roman Szlagowski.

Do Komitetu Założycielskiego przy „Polmo" pod przewodnictwem Andrzeja Kaszuby zjeżdżali się przedstawiciele mniejszych zakładów pracy z Tczewa oraz z Gniewu, Pelplina, a „nawet ze Starogardu Gdańskiego". Z racji wiodącej roli „Polmo" A. Kaszuba zaproponował powołanie „Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Miasta Tczewa i powiatu".

Już od października 1980 roku w „Polmo" ukazywał się zakładowy „Biuletyn Informacyjny". Do stanu wojennego ukazało się aż dziewiętnaście numerów. W skład zespołu redakcyjnego wchodzili: Konrad Gajewski, A. Kaszuba, L. Lamkiewicz i Tadeusz Wilczarski, a spoza Związku pomagała im Janina Tranbsbor. W ostatnim, kluczowym momencie 1981 roku pracę w „Biuletynie Informacyjnym" przejęli Ryszard Bartnik (redaktor naczelny), Eliza Arciszewska i Barbara Wiśniewska. Z kolei formalnie i faktycznie Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność" w „Polmo" utworzono 18 grudnia 1980 roku. W jej skład wchodziły 24 osoby. Przewodniczącym wybrano A. Kaszubę, a jego zastępcą L. Lamkiewicza. W połowie 1981 roku A. Kaszubę, L. Lamkiewicza i M. Stawickiego wybrano do struktury regionalnej NSZZ „Solidarność" w Gdańsku. Świadczyło to o pozycji i znaczeniu tczewskiej „Solidarności" w skali całego regionu.

Autor odnotowuje, że w połowie 1981 roku zorganizowano w Tczewie samorząd pracowniczy. Zebrani, w liczbie 80 delegatów, wybrali przewodniczącym Rady Pracowniczej Andrzeja Staśkowskiego, a wiceprzewodniczącym Tadeusza Wilczarskiego. Sekretarzem został Eugeniusz Hojda. Nieprzypadkowo wszyscy trzej należeli do NSZZ „Solidarność" przy FPS „Polmo". Należy podkreślić, że nowa Rada Pracownicza sprawnie przeprowadziła, wedle ustawowej procedury, wybór nowego dyrektora w osobie Jerzego Bogackiego, w miejsce dotychczasowego „bojowo" nastawionego Andrzeja Jędykiewicza, aktywnego członka PZPR. Z pomyślnych i sprawdzonych doświadczeń tczewskiego samorządu pracowniczego chętnie korzystano w mieście i regionie, jak też w skali kraju, szczególnie w strukturach branżowych przemysłu.



Wiec z udziałem Lecha Wałęsy na stadionie miejskim przy ul. Bałdowskiej w Tczewie, lipiec 1981. Na zdjęciu od prawej: Roman Gałkowski, Andrzej Kaszuba, Leszek Lamkiewicz, Lech Wałęsa, Alojzy Szablewski, ks. Henryk Jankowski (zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie)

Kazański zauważa, że przy FPS „Polmo" działał również Komitet Obrony Więzionych za Przekonania (KOWzP), założony przez Konrada Gajewskiego. Komitet tworzyły, jak zanotował autor monografii, trzy osoby, tj. Konrad Gajewski, Mieczysław Śliwka i Zdzisław Stachowicz. Komitet prowadził działalność niezależną nie tylko od struktur partyjnych, ale i związkowych. KOWzP nie stronił też od spektakularnych akcji politycznych, jak np. wywieszenie na budynku „Polmo" trzech jednoznacznych haseł: „Telewizja z rąk PZPR w ręce Społeczeństwa", „Demokratyczne wybory do Sejmu gwarancją odnowy Rzeczypospolitej" i „Jesteśmy z Wami, Patrioci z KPN".

Monografia „Solidarności" w regionie gdańskim prezentuje również powstanie struktur związkowych w Meblarskiej Spółdzielni Pracy „Jedność" pod przewodnictwem Heleny Kordek, a także na terenie Węzła PKP, gdzie Komisji Porozumiewawczej przewodził Roman Urbański. Pod koniec 1980 roku powołano również Komisję Międzyszkolną NSZZ „Solidarność" Pracowników Oświaty i Wychowania, na której czele stanął Andrzej Zieliński. Organizacje związkowe powołano także we wszystkich 40 oddziałach ZOZ w Tczewie. Autorytetami NSZZ „Solidarność" w tczewskiej służbie zdrowia byli wówczas lekarze – Zbigniew Bulczak i Danuta Galewska. Jednak do Rady Pracowniczej na najważniejsze stanowiska wybrano Czesławę Jaszczyńską i Łucję Wydrowską-Biedunkiewicz.

Jak słusznie pisze autor monografii, po pewnym czasie komitety zakładowe NSZZ „Solidarność" z Tczewa, Gniewa, Pelplina, Kulic Tczewskich, Rajków, Subków i Swarożyna skupiły się w Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność". W jej skład wchodziło „47 miejscowych zakładów i instytucji". Siedzibą Międzyzakładowej Komisji stał się Tczewski Dom Kultury przy ul. Kołłątaja. Powołanie tej struktury wynikało z „naturalnej potrzeby

bycia razem, wymiany informacji i integracji". W sumie Związek w „podregionie tczewskim" liczył około 12 tys. osób, a w samym Tczewie „należało do niego 90 proc. zatrudnionych osób". We wrześniu 1981 r. utworzono już formalnie Oddział Zarządu Regionu Gdańskiego (ZRG) w Tczewie, a jego przewodniczącym został Ryszard Graczyk. Do Prezydium Oddziału ZRG weszli L. Lamkiewicz (wiceprzewodniczący), Helena Kordek (sekretarz), Zbigniew Bulczak, Roman Gałkowski, Zbigniew Milaszewski, Krzysztof Ramotowski, Marian Stawicki i po jednym przedstawicielu z Gniewu („Fama") i Pelplina (Cukrownia).



Delegaci strajkujących zakładów pracy w Sali BHP Stoczni Gdańskiej im. Lenina, sierpień 1980 (źródło: Wikipedia)

Monografia pozwala odnieść wrażenie, że Tczewski Ośrodek NSZZ „Solidarność" w połowie 1981 roku zaliczał się do największych w regionie gdańskim. Nie przypadkiem również, dnia 11 lipca 1981 roku, w okresie kampanii wyborczej w strukturach NSZZ „Solidarność", w Tczewie gościli, tego samego dnia dwaj wielcy liderzy: Lech Wałęsa, który spotkał się z mieszkańcami Tczewa na Stadionie Miejskim przy ul. Bałdowskiej, oraz Andrzej Gwiazda, który rozmawiał z mieszkańcami „Grodu Sambora" w Tczewskim Domu Kultury.

Debata o monografii „Solidarności" w Sali BHP

Blisko dwie godziny trwało 20 kwietnia br. spotkanie promocyjne dzieła „Mamy wreszcie niezależne, samorządne związki zawodowe!..." w historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej. Przygotowali je bardzo starannie pracownicy Oddziału IPN w Gdańsku. Zostało ono umiejętnie połączone z wprowadzeniem w genezę publikacji przez autora, dr. Arkadiusza Kazańskiego, oraz dyskusją panelową recenzentów dzieła. Dobrze się stało, że podczas spotkania promocyjnego blisko godzinę zarezerwowano dla gości, uczestników i współtwórców NSZZ „Solidarność". Każdy mógł się wypowiedzieć i każdy otrzymał rzeczową odpowiedź. Dobrze też się stało, że unikano raczej ocen i prezentowania własnych, obecnych poglądów, jak też nawiązywania do współczesnej, przecież złożonej rzeczywistości.

Osobiście w swoim „głosie" podkreśliłem prekursorski i wybitnie autorski charakter dzieła, podczas gdy tego rodzaju prace zazwyczaj przygotowują zespoły autorskie. Upomniałem się również o „Encyklopedię Solidarności" (w formie klasycznej ukazało się 5 tomów), której opracowywanie jest obecnie kontynuowane jedynie w wersji internetowej. Wśród wielkich biografii współtwórców „Solidarności", nie tylko regionu gdańskiego, podkreśliłem potrzebę opracowania życiorysów i dokonań Aliny Pienkowskiej i Alojzego Szablewskiego z Gdańska oraz Andrzeja Kaszuby z Tczewa.

Na zakończenie miło skonstatować, że spotkanie promocyjne dzieła dr. A. Kazańskiego przebiegło w merytorycznej, przyjaznej i życzliwej atmosferze. Nie było żadnych sporów, a tym bardziej jakichkolwiek kłótni. Dominowała refleksja nad wielką i często wspólną historią oraz troska o poszukiwanie tego, co wciąż może łączyć na fundamencie dziedzictwa „Solidarności". Ale można i trzeba wyrazić przekonanie i nadzieję, że publikacja autora trafi do każdej gminy i każdej szkoły. ■

MIROSŁAW KALKOWSKI

JUŻ 8 TOM „SŁOWNIKA BIOGRAFICZNEGO KOCIEWIA" RYSZARDA SZWOCHA. CZEKAMY NA KOLEJNE

„Poznawać i rozumieć historię można tylko poprzez poznawanie biegu ludzkich dziejów. To człowiek tworzy historię, wypełniając czas wytworami swego wysiłku twórczego – fizycznego i intelektualnego. Pamięć o człowieku i jego dokonaniach niestety przemija. Tylko nieliczni pozostawiają po sobie trwałe dzieła, które stają się ich pomnikami. Pokolenia przemijają i giną w otchłani wieków. Ta prawda zainspirowała autora do utrwalenia wysiłku i dokonań mieszkańców regionu. Autor uważa, że jego praca polegająca na gromadzeniu biografii ma sens: ocala pamięć o ludziach i ich życiu, daje nadzieję, że człowiek «nie wszystek umrzeć, a przyszłym pokoleniom dostarczy bogatego źródła wiedzy historycznej"[1].

Od pomysłu do I tomu „Słownika biograficznego Kociewia"

Podczas przygotowywania planu pracy Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej na 2004 rok Rada Stowarzyszenia zaproponowała wykorzystanie obszernego zbioru informacji o mieszkańcach Kociewia, zgromadzonego przez sekretarza TMZK Ryszarda Szwocha, i rozpoczęcie prac nad „Słownikiem biograficznym Kociewia". Rok 2004 poprzedzał III Kongres Kociewski; rok kongresu został uchwałą Sejmiku Województwa Pomorskiego ustanowiony Rokiem Kociewskim. Rada ustaliła również, jak ma wyglądać seria wydawnicza i jak będą powstawać kolejne tomy.

Na początku czerwca 2004 roku, podczas

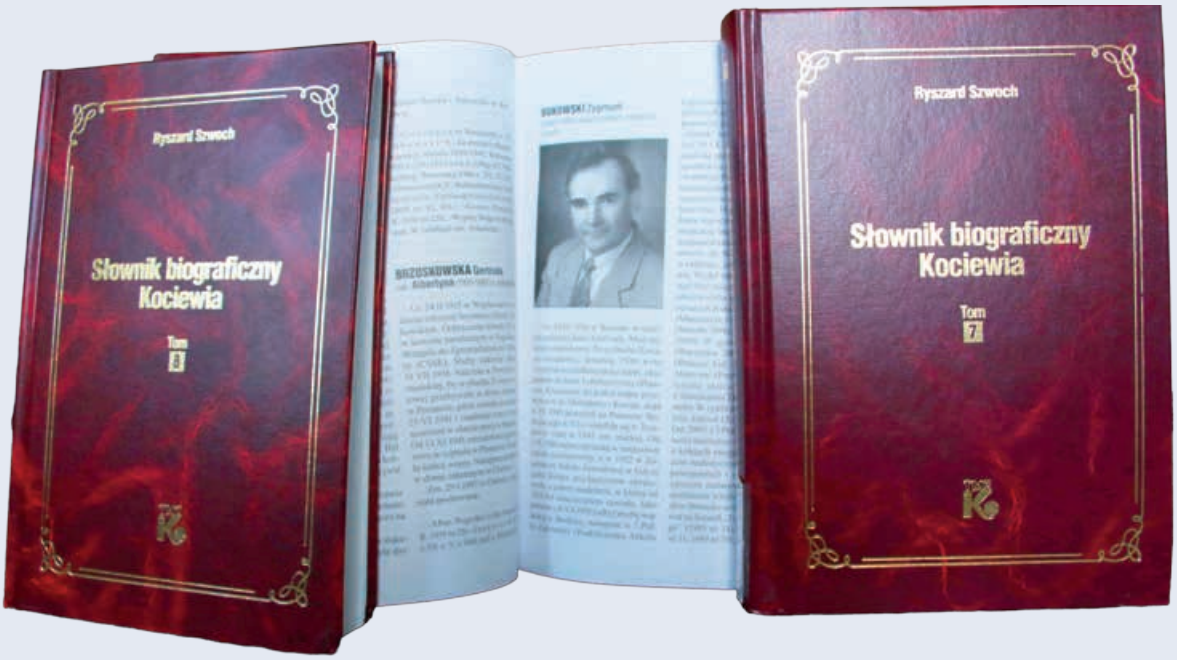


Biesiady Literackiej w Czarnej Wodzie, Ryszard Szwoch przedstawił informację o planowanym wydaniu „Słownika biograficznego Kociewia" pod szyldem TMZK.

Pod koniec 2004 roku władze TMZK zajęły się finansowaniem prac redakcyjnych i wydawniczych. Wnioski o dofinansowanie skierowano do władz Starogardu Gdańskiego, marszałka województwa pomorskiego oraz dyrekcji dużych zakładów pracy działających w regionie.

We wrześniu 2005 roku podpisano umowę z marszałkiem województwa pomorskiego o dofinansowanie pierwszego tomu „Słownika biograficznego Kociewia". Dzięki temu 10 października 2005

[1] Grzegorz Petka, fragment referatu wygłoszonego podczas Biesiady Literackiej w Czarnej Wodzie, opublikowanego w „Kociewskim Magazynie Regionalnym" 2007, nr 1 (56).



roku książkę skierowano do druku w Wydawnictwie „Bernardinum" w Pelplinie. Pierwsze egzemplarze ukazały się 23 grudnia 2005 roku, tuż przed świętami. Napis „tom 1" na okładce zapowiadał kontynuację serii. Kolejne tomy ukazały się w latach 2006, 2008, 2013, 2015, 2017, 2022 i 2025.

Ryszard Szwoch – autor wszystkich haseł

Starogardzianin od urodzenia, filolog, nauczyciel I Liceum Ogólnokształcącego w Starogardzie, historyk, znawca kultury i regionalista. Od 43 lat pełni funkcję sekretarza Towarzystwa Miłośników Ziemi Kociewskiej. Jest autorem wielu książek i publikacji oraz niezliczonych artykułów, referatów i wystąpień poświęconych Kociewiu.

W centrum jego zainteresowań zawsze byli ludzie związani z regionem. Już w młodości, zanim upowszechniły się komputery, sporządzał na fiszkach notatki o osobach, które spotykał i poznawał. Dziś zgromadzony przez niego zbiór obejmuje informacje o ponad siedmiu tysiącach osób: zarówno urodzonych na Kociewiu, jak i związanych z nim przez rodzinne korzenie, pracę czy działalność na rzecz regionu.

Kryteria wyboru osób

Planując zawartość kolejnych tomów, autor brał czasem pod uwagę propozycje osób ze swojego otoczenia. O tym, czyj biogram znajdzie się w „Słowniku biograficznym Kociewia", decydował jednak ostatecznie sam.

W „Słowniku" uwzględniono osoby urodzone na Kociewiu, które zasłużyły się działalnością w innych częściach kraju lub za granicą. Są w nim również postacie związane z kulturą, życiem społecznym i gospodarczym, religią oraz historią. Podstawową zasadą doboru biogramów było nieprefero-wanie żadnej z tych dziedzin. Drugim kryterium było uwzględnianie wyłącznie osób zmarłych, trzecim zaś – przedstawienie postaci z różnych epok, od najdawniejszych czasów po współczesność.

Początkowo przyjęto, że „Słownik" obejmie osoby zmarłe do 2000 roku. Z czasem granicę tę przesunięto do 2018 roku.

„Słownik" jako książka

„Słownik biograficzny Kociewia" ukazuje się w tzw. systemie holenderskim: każdy tom zawiera hasła od A do Ż, a biogramy mogą być uzupełniane w kolejnych tomach. Wszystkie tomy mają jednolitą szatę graficzną i twardą oprawę.

Tomy różnią się liczbą stron i haseł. W ośmiu tomach autor opracował łącznie ponad 2500 biogramów, czyli średnio ponad 300 w każdym tomie.

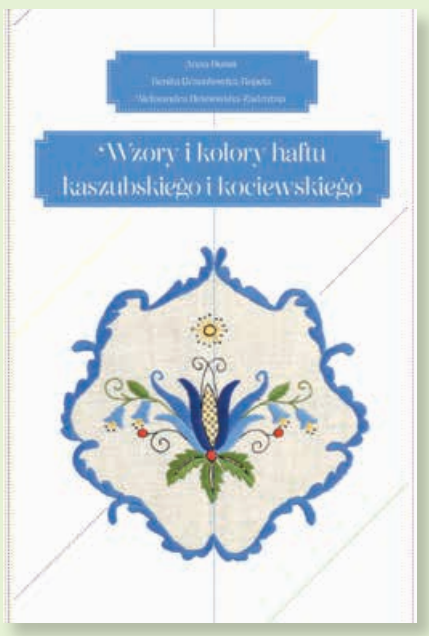
Hasła mają stały układ, który ułatwia korzystanie z „Słownika". Oprócz informacji o życiu, rodzinie, wykształceniu, pracy zawodowej, osiągnięciach i odznaczeniach przedstawianej osoby zawierają jej fotografię oraz przypisy wskazujące źródła informacji. Inspiracją dla autora był ukazujący się od 1935 roku „Polski słownik biograficzny", z którym Ryszard Szwoch współpracował i w którym publikował biogramy Kociewiaków.

Nakłady poszczególnych tomów wynosiły od 300 do 500 egzemplarzy. W 2010 roku dodrukowano ponadto 150 egzemplarzy pierwszego tomu.

Poszczególne tomy „Słownika biograficznego Kociewia" ukazywały się dzięki wsparciu finansowemu sponsorów. Wydanie serii wsparli marszałek województwa pomorskiego, Joanna Stankiewicz-Kiełbińska z Gdyni, państwo Rudzcy, również z Gdyni, oraz prof. dr hab. med. Stefan Raszeja, doktor honoris causa. Wydanie ostatniego tomu dofinansowały Bank Spółdzielczy w Starogardzie i Bank Spółdzielczy w Skórczu.

Informacje od Wydawcy

Informacja pierwsza: w sklepiku Muzeum Ziemi Kociewskiej w Starogardzie oraz w Archiwum Kociewskim można jeszcze nabyć sześć ostatnich tomów „Słownika" – od trzeciego do ósmego. Informacja druga: i co dalej ze „Słownikiem"? Chciałoby się kontynuować pracę i wydawać kolejne tomy. Zapotrzebowanie w kociewskich środowiskach jest. Regionaliści, historycy i nauczyciele oczekują upamiętnienia aktywnych mieszkańców powiatów tczewskiego, świeckiego i starogardzkiego oraz upowszechnienia wiedzy o nich. Autor opracowuje biogramy kolejnych Kociewiaków, tak jak robi to od 60 lat. Już dziś zgromadzone przez niego materiały mogłyby posłużyć do wydania dwunastu tomów. Jest jednak, jak zawsze, jeden problem: brak środków. Wydawca, Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim, nie dysponuje obecnie pieniędzmi na ten cel, ale – korzystając z doświadczenia zdobytego przez ostatnie 20 lat – będzie robił wszystko, aby „Słownik" nadal się ukazywał. ■



Anna Dunst, Benita Grzenkowicz-Ropela, Aleksandra Heimowska-Zadrożna, „Wzory i kolory haftu kaszubskiego i kociewskiego" (Gdańsk 2026)

Publikacja zaprasza do poznania żywej tradycji pomorskiego wzornictwa i samodzielnego haftowania. Łączy wiedzę o regionalnym dziedzictwie z praktycznymi wskazówkami i gotowymi szablonami.

Przedstawia osiem szkół haftu kaszubskiego: wdzydzką, żukowską, pucką, wejherowską, borowiacką, tucholską, słupską i gdańską, a także haft kociewski w ujęciu Marii Wespa i Małgorzaty Garnysz oraz haft czepcowy.

Wzory opracowano na podstawie unikalnych makat ze zbiorów Klubu Siedmiu Kolorów i Złotnicy Kaszubskiej, prezentowanych na wystawie „Między blaskiem złotnicy a kolorami Kaszub". Dzięki profesjonalnej digitalizacji szablony są czytelne i łatwe do przeniesienia na materiał.

Źródło: Kaszubska Książka.pl

JOANNA DROZD

CO NAM MÓWIĄ MURY MIASTA?

Dokąd wiodą podziemne przejścia pod Placem Hallera? Dlaczego któregoś dnia „zniknął" stary dworzec? Skąd wzięły się w Tczewie relikwie krzyża, na którym umarł Jezus? W jakim celu ludzie żyjący w średniowieczu robili dziury na murach fary? Z jakiego powodu Sambor II nie dokończył budowy zamku nad Wisłą? Tego wszystkiego można się dowiedzieć z najnowszej książki „Szept kamieni. Opowieści o tczewskich zabytkach", którą napisali uczniowie Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Świętej Jadwigi Królowej w Tczewie razem z naukowcami i osobami, którym Tczew jest szczególnie bliski. Publikacja ta ukazuje inne spojrzenie na miasto, gdyż autorzy oddają głos ludziom znającym historię miejsca, odsłaniają swoje rodzinne tajemnice, towarzyszą archeologom podczas prac wykopaliskowych i sięgają do materiałów źródłowych, aby wyeksponować ukryte piękno miasta.



Najnowsza książka „Szept kamieni. Opowieści o tczewskich zabytkach" odsłania sekrety i ciekawostki związane z miastem (fot. arch. własne)

„Szept kamieni. Opowieści o tczewskich zabytkach" to spojrzenie na gród Sambora z wielu perspektyw. Wielogłosowa narracja łączy teksty naukowe, popularnonaukowe i eseistyczne oraz te podyktowane młodzieńczą wyobraźnią. Interdyscyplinarna opowieść o Tczewie jako przestrzeni budowana jest na wielu poziomach, począwszy od synkretyzmu gatunkowego, a skończywszy na synkretyzmie tematów i języka. Różnorodność formy podkreśla, że życie ludzkie i rzeczywistość składają się z różnych porządków – *sacrum* i *profanum*, logiki i emocji. Połączenie w jednej publikacji artykułu popularnonaukowego z opowiadaniem zawierającym wątki fantastyczne nadaje lokalnej historii wymiar uniwersalny, pozwala także odzwierciedlić złożoność świata i ludzkiej natury. Niezwykłe jest też to, że publikacja łączy pokolenia ludzi kochających swoje miasto – począwszy od licealistów, a skończywszy na naukowcach, ludziach pióra i pasjonatach fotografii.

W książce tematem przewodnim jest miejska przestrzeń ukazywana



Młodzi autorzy książki „Szept kamieni. Opowieści o tczewskich zabytkach" podczas spotkania autorskiego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tczewie (fot. arch. własne)

z wielu perspektyw – od detali, np. gotyckiej kraty w tczewskiej farze i chrzcielnicy, która pamięta najstarsze dzieje miasta, przez opis pojedynczego budynku, aż po panoramiczny obraz bitwy rozgrywającej się pod Tczewem. Ta wielogłosowa opowieść ukazuje szerszy obraz Tczewa, odsłania urokliwe miejsca, czyni go bardziej interesującym i skłania do refleksji nad przestrzenią. Oddaje także złożoność świata, w którym rzadko istnieje jedna racja. Zdaniem profesor Anety Lewińskiej „przestrzeń (fizyczna i wirtualna) nie jest tu neutralnym tłem, lecz aktywnie konstruowana i naznaczana przez relacje międzyludzkie, działania, dawne wydarzenia, stając się miejscem interakcji, ale też tworzeniem tożsamości".

Zebrany materiał został podzielony na trzy części: „Tczew w historycznych narracjach", „Tczew w literackich narracjach" i „Varia". Pierwsza z nich obejmuje teksty naukowe, popularnonaukowe, eseje i gawędy. Zestawienie otwiera cykl artykułów poświęconych farze – kościołowi, który stanowi bijące serce miasta i jest silnie związany z historią jego powstania. Z okazji jubileuszu 800-lecia najstarszej świątyni w Tczewie przeprowadziłam wywiad z jej obecnym proboszczem. Reporterskim okiem przyjrzałam się także historii powstania fary i jej gotyckim perełkom. Podczas tej wędrówki w czasie moim niezwykłym przewodnikiem był ks. prałat Piotr Wysga, wieloletni proboszcz parafii Podwyższenia Krzyża Świętego, człowiek, który, przebywając w Tczewie od 58 lat, wie wszystko na temat miasta i zna prawie każdą mieszkającą w nim rodzinę. Seweryn Pauch w artykule naukowym ukazał fascynującą genezę średniowiecznych otworów na murach fary. Wiąże je z rozpalaniem ognia lub pozyskiwaniem pyłu z ceglanych murów kościoła, któremu przypisywano leczniczą moc. Błażej Wieczorkowski oprowadził czytelników po wykopaliskach archeologicznych przy kościele św. Stanisława Kostki, które

mógł udokumentować dzięki uprzejmości archeologa Bartosza Świątkowskiego. Przybliżył także historię dawnego klasztoru dominikańskiego. Joanna Went opisała tajemnicze dzieje nieistniejącego już tczewskiego zamku, a Maria Piankowska podjęła próbę zbadania ustnej legendy dotyczącej podziemnych przejść pod Placem Hallera. Weronika Rosińska opisała dzieje budynku, w którym obecnie mieści się szkoła katolicka przy ulicy Wodnej. Marcin Kłodziński w gawędowym artykule przedstawił historię „zagubionego" budynku dawnego dworca kolejowego oraz siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Tczewie. Bazując na niepublikowanych dotąd materiałach, przedstawił mroczny powojenny czas, utrwalony w budynkach. Historyczne narracje zamyka tekst Moniki Jabłońskiej, która zabiera nas na spacer tropem wspomnień Anny Łajming (1904–2003). To literacka podróż po grodzie Sambora w latach dwudziestych XX wieku.

Między historią a fantazją

Kiedy w opowieści o mieście zawodzą źródła historyczne, luki w nich wypełnia wyobraźnia. Drugą część książki stanowią zatem opowiadania łączące elementy fantastyki i oniryzmu, osadzone w realiach historycznych Tczewa. Zofia Haska przeniosła nas w inną rzeczywistość tczewskiej fary. Anna Wojciechowska przywołała bolesne wydarzenie z 1982 roku – pożar wieży tczewskiej fary – poprzez wspomnienia strażaka, który mógł brać udział w akcji gaśniczej. Zofia Brzozowska dzięki butom odkrytym na strychu w babcinym domu odbyła podróż w czasie do kamienicy przy Placu Hallera w latach trzydziestych XX wieku. Filip Przeperski ukazał działania XIX-wiecznych masonów w Tczewie, a także przedstawił smutny koniec tczewskiego ratusza. Tekst autorstwa Jakuba Ossowskiego przywołał czasy II wojny światowej w Tczewie. Literackie narracje zamyka opowiadanie kryminalne Piotra Bolca osnute wokół wiatraka.

„Varia" to ostatnia część publikacji, w której Maciej Wojcieszak zestawił dwa źródła dotyczące bitwy pod Tczewem, do której doszło 7–8 sierpnia 1627 r. między Szwecją a Polską. Całość wieńczy tekst Moniki Jabłońskiej, ukazujący gród Sambora w czasie i przestrzeni na podstawie cyfrowych zbiorów „Skarbnicy Tczewskiej". Czytelnicy, przeglądając te zbiory, mogą zobaczyć, jak przed laty wyglądała ich ulica i jak dany obiekt został utrwalony na pocztówce czy starej fotografii.

Teksty wzbogacono kolorowymi zdjęciami, które wykonali Michał Krzemiński i Liliana Dekowska. Dzięki artystycznemu spojrzeniu w ciekawy sposób utrwalili opisywane miejsca i obiekty. Okładkę książki w konwencji surrealistycznej zaprojektowała Karolina Szulc.

Sukces ma wielu ojców

Człowiek niewiele zdziała w pojedynkę. Potrzebni są ludzie, którzy nadadzą przedsięwzięciu odpowiedni rozmach. Niniejsza publikacja nie powstałaby, gdyby nie życzliwość osób, które nas wspierały. Słowa podziękowania należą się instytucjom oraz darczyńcom, bez których wydanie książki nie byłoby możliwe: Panu Łukaszowi Brządkowskiemu, Prezydentowi Miasta Tczewa, za wsparcie finansowe i objęcie książki patronatem; Panu prof. UG dr. hab. Arkadiuszowi Janickiemu, Dziekanowi Wydziału Historycznego Uniwersytetu Gdańskiego, za udzielenie wsparcia finansowego w imieniu wydziału; Zakładom Wodociągów i Kanalizacji w Tczewie, Zespołowi Szkół Katolickich im. Świętej Jadwigi Królowej w Tczewie oraz Stowarzyszeniu Rodzina Kolpinga przy parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Tczewie za przekazane fundusze; Panu Damianowi Domańskiemu, Dyrektorowi Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tczewie, za przychylność i objęcie publikacji patronatem.

Czy książka może być atrakcyjna dla młodzieży?

Uczniowie szkoły katolickiej udowodnili, że tradycyjna książka może dziś zainteresować młodych ludzi. Przygotowując artykuły, podjęli wysiłek poszukiwania informacji w dostępnych źródłach historycznych i wydanych publikacjach. Odwiedzali bibliotekę i opisywane miejsca oraz rozmawiali z ludźmi mieszkającymi przy Placu Hallera. Mogli zajrzeć do piwnic kamienic na Starówce i posłuchać wersji wydarzeń opowiedzianych przez mieszkańców. Śledzili także prace archeologiczne prowadzone przy kościele św. Stanisława Kostki.

Praca nad publikacją była dla młodych ludzi cennym doświadczeniem edukacyjnym, społecznym i osobistym. Nauczyli się dzięki niej krytycznego myślenia i weryfikowania informacji. Mogli się przekonać, że historia nie jest zbiorem suchych faktów, lecz narracją opartą na dokumentach, a zabytkowe budynki i miejsca opowiadają o żywych ludziach, ich emocjach, dylematach i codzienności. Najważniejsze dla nastolatków okazało się jednak przełamywanie barier w komunikacji z drugim człowiekiem. Przeprowadzenie wywiadu wymaga odwagi, pokonania własnej nieśmiałości, a także umiejętności formułowania trafnych pytań. Uczniom „Katolika" to się udało. Pisanie artykułów ma jeszcze jedną zaletę: pozwala licealistom zdobywać cenne doświadczenie wykraczające poza standardowy program nauczania. Pisanie i poprawianie tekstów oraz uwzględnianie uwag redaktorskich pomagają im sprawniej operować słowem i wyrażać własne myśli, uczą współpracy z redaktorami i grafikami oraz dają poczucie odpowiedzialności za wspólne dzieło.

Szkoła jako wydawnictwo?

Czy szkoła może podejmować działania wydawnicze? Zdecydowanie tak. „Szept kamieni. Opowieści o tczewskich zabytkach" jest tego dowodem. Książka powstała z potrzeby serca i miłości do literatury, podobnie jak wydane w 2020 roku „Bajki i niebajki o Świętej Jadwidze Królowej" – utrzymana w konwencji baśniowej opowieść o patronce Tczewa.



„Bajki i niebajki o Świętej Jadwidze Królowej" to książka utrzymana w konwencji baśniowej, poświęcona patronce szkoły katolickiej i Tczewa (fot. arch. własne)

Od 2009 roku szkoła katolicka realizuje projekt wydawniczy, który zapoczątkowały okolicznościowe publikacje z okazji 10-lecia ówczesnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego (od 2009 roku szkoła nosi nazwę Uniwersyteckiego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Świętej Jadwigi Królowej). W ciągu 17 lat powstało sześć publikacji związanych z jubileuszami placówki: „Z wiarą, nadzieją i miłością. X-lecie Liceum Katolickiego im. Św. Jadwigi Królowej w Tczewie – publikacja z okazji 10-lecia liceum"; „Budujemy na skale. X-lecie Publicznego Katolickiego Gimnazjum przy parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Tczewie"; „Jadwiga Rex Poloniae – święta obecna w Tczewie. Obchody XV rocznicy kanonizacji św. Jadwigi Królowej"; „Święta Jadwiga patronka Tczewa; To już 20 lat. Radość jest w nas" – publikacja z okazji 20-lecia istnienia liceum; „To jest młodość. Katolicka Szkoła Podstawowa w Tczewie".



„Katolik" wydaje rocznik popularnonaukowy „Tropem Horacego i Einsteina" (fot. arch. własne)

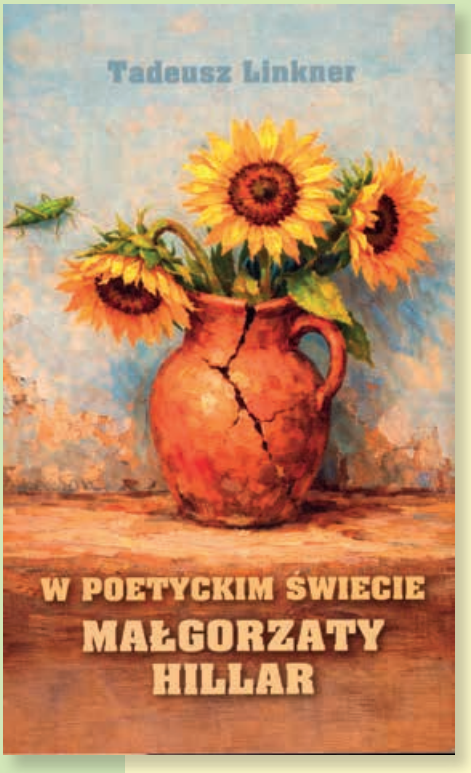
Od 2014 roku ukazuje się rocznik popularnonaukowy „Tropem Horacego i Einsteina" (dotąd ukazało się 10 numerów) pod patronatem Uniwersytetu Gdańskiego (część humanistyczna – tytułowy, metaforyczny Horacy) oraz Politechniki Gdańskiej (część poświęcona naukom ścisłym – Einstein).

Wśród redaktorów narodziła się idea stworzenia książki, która dokumentowałaby roczną działalność szkoły katolickiej. „– Zależało nam na umożliwieniu publikacji referatów wygłoszonych przez naszych gości, dorobku nauczycieli oraz prac uczniów zakwalifikowanych do konkursów, olimpiad przedmiotowych i interdyscyplinarnych. Zamiarem pomysłodawców było również stworzenie przestrzeni do prezentacji pierwszych prób poetyckich, tekstów epickich, opowiadań oraz referatów wygłoszonych podczas wojewódzkich i ogólnopolskich spotkań" – twierdzi ks. Krzysztof Niemczyk, dyrektor Zespołu Szkół Katolickich w Tczewie. – „To także zapis tego, co dzieje się w szkole poza dydaktyką, a stanowi o jej «duchu i kulturze». Najważniejsze jest przecież to, co się dzieje poza lekcjami. Dzięki publikacji można uchwycić to, co nieuchwytne".

W pracy nad rocznikiem, oprócz autorów, ważni są redaktorzy, którzy czuwają nad całością publikacji. Do ich zadań należą selekcja materiałów do druku, pilnowanie terminów, redakcja merytoryczna, korekta językowa oraz kilkukrotne czytanie tekstów w celu wychwycenia wszelkich błędów, także ortograficznych i interpunkcyjnych.

Szkolny zespół redakcyjny zmieniał się na przestrzeni lat. Warto wspomnieć osoby, które współtworzyły publikacje na początku naszej działalności lub współtworzą je obecnie: Kamilę Wojciechowską, Danutę Kitkowską, Krzysztofa Zielińskiego, ks. Krzysztofa Niemczyka, Danutę Ziemann i Monikę Kruszec-Szamocką. To bohaterowie drugiego planu, bez których pracy i zaangażowania wydawane dzieła nie odniosłyby sukcesu.

Wszystkie przygotowywane przez szkołę publikacje książkowe mają numer ISBN (International Standard Book Number), a rocznik „Tropem Horacego i Einsteina" – numer ISSN (International Standard Serial Number). Wydawanie tych publikacji wiąże się z obowiązkiem przekazania tzw. egzemplarza obowiązkowego do uprawnionych bibliotek w kraju, co czyni nasze książki i rocznik częścią dziedzictwa narodowego. ■



Tadeusz Linkner, „W poetyckim świecie Małgorzaty Hillar" (Pelplin 2026)

Tadeusz Linkner, ceniony historyk literatury, krytyk literacki i profesor Uniwersytetu Gdańskiego, od lat bada i przybliża twórczość Małgorzaty Hillar. Literatura Kaszub i Kociewia zajmuje ważne miejsce w jego zainteresowaniach naukowych, a prace poświęcone poetce pomagają przywracać jej dorobek pamięci czytelników.

Małgorzata Hillar (1926–1995), poetka i tłumaczka, pochodziła z Piesienicy na Kociewiu. Jej debiutem książkowym był „Gliniany dzbanek" (1957). Kolejne tomy, m.in. „Prośba do macierzanki", „Krople słońca" i „Czekanie na Dawida", utrwaliły jej miejsce w powojennej poezji polskiej. W jej wierszach miłość i bliskość natury splatają się z doświadczeniem samotności oraz macierzyństwa.

W 2000 roku nakładem Kociewskiego Kantoru Edytorskiego w Tczewie ukazała się książka Linknera „Miłość jest światłem moich wierszy. O poezji Małgorzaty Hillar" – obszerne studium krytycznoliterackie, stanowiące ważny wkład w poznanie jej życia i twórczości.

Aleksandra Brzozowska, „INNER-REGIO - wewnętrzne połączenia" (Tczew 2026)

To książka, która łączy trzy perspektywy: kobiece reportaże, poezję inspirowaną snami, marzeniami i tęsknotami oraz fotografie Katarzyny Gapskiej, ukazujące codzienność Kociewia. Razem tworzą wielowymiarową opowieść o świecie wokół nas i tym, który nosimy w sobie – o tym, jak miejsca, w których żyjemy, splatają się z mapami naszych serc.

Czy nasze najgłębsze uczucia są uniwersalne, czy wyrastają z krajobrazu, który nas otacza? Co skrywają serca mieszkanek krainy jezior i szuwarów? Ta opowieść rozgrywa się na Kociewiu, lecz prowadzi ku doświadczeniom bliskim każdemu z nas.




80 LAT
BIBLIOTEKI
W TCZEWIE



ISSN 0860-1917
9 770860 191002